



ROZTRZĄSANIA

i

POGLĄDY LITERACKIE

przez

LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

POZNAŃ.
Czcionkami K. Kamieńskiego i Spółki, ulica Berlińska 32.
Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego.
1869.



ROZTRZĄSANIA

I

POGLĄDY LITERACKIE.

ROZTRZĄSANIA

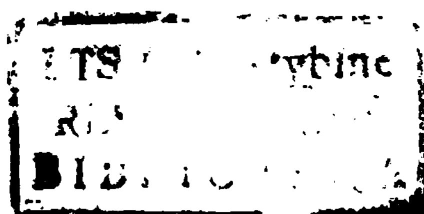
I

POGLĄDY LITERACKIE

PRZEZ

LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

POZNAŃ.
Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki, ulica Berlińska 32.
Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego.
1869.



HENRYK RZEWUSKI
i
BARTŁOMIEJ MICHAŁOWSKI.

Przymioty i niedostatki Autora Pamiątek Soplicy. — Fałszowane Pamiętniki, — Targowica i mniemany legitymizm. — Pan Bartłomiej egoista. — Charakterystyka króla Stanisława. — Obrona Targowiczan kosztem znanych patryotów. — Przykład heroizmu jenerała Mokronowskiego. — Czém był Szczęsny Potocki. — Stanisław August i królowa Georgii. — Paradoxalny autor.

Ilekroć pojawiła się jaka nowa książka Henryka Rzewuskiego, zawsze brałem ją do rąk z niemałem oczekiwaniem, ale i z pewną nieufnością, którą pokonywała ciekawość.

Doskonała znajomość stosunków familijnych i podań szlacheckich, połączona ze znajomością świata, wreszcie sam talent pisarski umiejący czer-

pać, że tak powiem, z pierwszéj ręki, — oto są tytuły budzące oczekiwanie.

Te zaś, co budzą nieufność, zdają się pochodzić najwięcéj z chwilowych, osobistych względów autora, nietylko sprzecznych z ogłoszonemi przezeń prawdami; ale często najdotkliwiéj obrażających uczucie narodu. Patron opinii i stronnictw potępionych sądem historyi i sądem sumień, usiłuje wyobrażenia i uczucia ogólne ciągnąć w tę stronę, zkąd wyszło tyle narzędzi zagłady, zkąd wiara katolickiego narodu doznała najsroższych ciosów.

Jeżeli w innych pismach Autora *Pamiątek Soplicy* znachodziły się tu i ówdzie niejakie wskazówki naprowadzające na te intencye, — to myśl jego wyrażała się więcéj ułamkowo, pobieżnie, niż w całéj pełności — co pozwalało wnosić, że w obec czerstwiejszych przekonań i sumień, zmuszony był porobić te restrykcye. Najświeższe zaś, wykonane przez niego dzieło: *Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego*, obejmujące w pięciu tomach wypadki od roku 1786 do 1815., odsłania w całéj pełności myśl — i oddaje ją w sposób nieoszczędzający ani rzeczy, ani ludzi — zupełnie, jakby swoją publikę traktował *en bagatelle.*

Aczkolwiek wielce miłuję Pamiętniki, jednakże nie lubię nadużycia téj formy czyli naśladownictwa; co znaczy, mówiąc wyraźniéj, że ten tylko ma prawo pisać pamiętniki, kto patrzał na wypadki i brał w nich udział — inaczéj pod formą tą, będzie to zawsze romansowa fikcya, środek podstawienia swoich wyobrażeń i faktów źle posłyszanych, lub połatanych z książek, azatem przeistoczonych i podejrzanéj wiary. Mówiłem także, że tylko osobom wtajemniczonym w wysoką grę polityki, stojącym na górującym punkcie towarzyskim, lub umysłowym, przyzwoita jest pisać o rzeczach i ludziach swojego czasu; przypuszczać bowiem należy, że mogą mieć najdokładniejszą wiadomość przyczyn i skutków zdarzeń przed ich okiem dokonanych. Tego tylko rodzaju pamiętniki mają wartość historyczno-źródłową; wszelkie inne przechodzą mniéj więcéj w kategoryę historycznego romansu. Toż i Pamiętniki Michałowskiego nie są niczém inném, tylko romansem osnutym na tradycyach Targowicy, rodzajem pamfletu, co w pamiętnikowéj formie szarza zacne imiona, przechowane ze czcią w pamięci obywatelskiéj, a potępione podnosi.

Zdanie to nie jest żadném uprzedzeniem się

przeciw rzetelnym opiniom i wyznaniom pochodzącym od jakiegobądź członka związku Targowickiego. I owszem, miałbym to za bardzo cenny dla historyi nabytek, gdyby który z naczelników związku, przypuśćmy taki światły człowiek jak Bończa Tomaszewski, zostawił był niepodejrzaną relacyą całéj téj roboty, z wykryciem zakulisowych działań, tajemnych sprężyn i pobudek, niemniéj zgryzot i wyrzutów sumienia w sercach bezinteresownych działaczy, gdy celu chybili; interesowani bowiem pochwytawszy starostwa i donatywy, nie minęli się z celem i nie mieli czego rozpaczać. Mam jeszcze to przekonanie, że taki pamiętnik odkryłby nam wcale co innego, jak ów pseudo-Michałowski odkrywa. Pod piórem sumiennego człowieka, byłaby to upokarzająca spowiedź z dobrych intencyi, — a krótkiego widzenia, z łatwowierności dającéj się wciągnąć w zasadzkę, z pychy niemogącéj ścierpieć by się coś dobrego bez nas robiło; — wreszcie z niezaszczytnych komerażów i intryg, z świadectw, patrzących na przedajność, na układy i spiskowania przeciw prawéj władzy. — Taki, a nie inny byłby to pamiętnik, — i dla téj przyczyny choć Targowicki związek miał wielu ludzi z głową i dobrze piszących, przecież nikt nie odważył się rzucić na

papier tych wyznań: bo jeszcze cynizmu pióra nie znano wówczas, przewrotów sumienia nie umiano w obec świata drukowanem słowem usprawiedliwiać; tylko w cichości trawiono swoją nędzę, lub pod tarczą potężnéj gwarantki, w dostojeństwach i bogactwach udawano wzgardę i litość dla dobrodusznych półgłówków nie umiejących nic wyratować z powszechnego rozbicia, krom uczciwego imienia.

Gdy tedy podobnych pamiętników niezostawili Targowiczanie, polegaliśmy dotąd na relacyach bądź stronników uchwały konstytucyjnéj, bądź ludzi obojętnych względem téj reformy; lecz nie obojętnych dla sprawy ojczystéj — wreszcie na sądzie historyków. — Być może, iż wszyscy ci nie mogąc się otrząść z namiętności, rzucili za mocne światła i za mocne cienie, a będąc pod wpływem wielu fałszywych wyobrażeń zeszłowiecznych, źle ocenili wypadki; a w spadku biorąc uprzedzenia i nienawiści, nie oddali sprawiedliwości komu się należy, a raczéj nie chcieli zmazać piętna hańby, wyciśniętego na niejedném czole w doraźnych sądach krajowych zaburzeń. Nie przeczę, ta karta historyi jest może jednostronnie pisaną; przynajmniéj nie znam żadnéj publikacyi, coby ją modyfikowała. — Bo i mogłoż być inaczéj, kiedy czynności przeci-

wnego obozu miały tylko oficyalną stronę, a bardzo mało tych zakulisowych szczegółów, tych poufnych wynurzeń się, co dają klucz do zrozumienia toku zdarzeń, zawikłań i charakterów. — Nic z tego nietranspirowało na wierzch, utaiło się bez protestacyi, bez usprawiedliwienia się przed współczesnymi, bez odwołania się do trybunału historyi, i poszło w grób z piętnem zbrodni i przekleństwem.

Nie przeczę, to potępiające milczenie mogło być skutkiem drażliwego położenia, okoliczności natężonych, niesprzyjających podobnym protestacyom i spowiedziom, opinii skierowanéj odpornie, niewyrozumiałéj, bo jedną żywionéj namiętnością, — a mimo tego, ani wątpię, niechby się tylko był znalazł dokument rzucający inne światło na tę sprawę, dokument szczerego wyznania, umotywowany szlachetnemi i bezinteresownemi pobudkami, musiałby się wyrobić oględniejszy wyrok, któryby szorstkość opinii złagodził i prawdę we właściwych kolorach okazał. Że go nie ma, chociaż dziś namiętności przygasły, tradycye pozacierały się, aktorowie powymierali, a rehabilitacye są w modzie, — czego to więc dowodzi? Oto, że sumienia jednych tak były obciążone, iż wolały pozostać w przyjętéj roli, niż zrzucać z siebie syzyfowe brzemię; gdy

drudzy, wciągnieni do spólnictwa hasłem obrony starych swobód i praw Rzeczypospolitéj, choć późniéj poznali fałszywą grę, nie mieli odwagi przyznać się, że byli oszukani, azatem jako narzędzia oszustwa, nie wiele mogli wiedzieć o stosunkach, naradach, czynnościach, planach naczelników partyi; wreszcie większa część zacnych bardzo obywateli, podpisujących akt konfederacyi, bądź dobrowolnie, bądź pod naciskiem, rehabilitowała się prędko w oczach współziemian, poświęcając się publicznym usługom, lub pozostając w miernéj niezawisłości.

Jakież tedy było zadziwienie moje, i zapewne niejednego czytelnika, gdy wziąwszy do rąk Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego, znalazłem w nich bardzo rozciągle traktowaną kwestyą Konfederacyi Targowickiéj, a co najciekawsza, okazaną z téj strony, z jakiéj jeszcze okazać jéj nie odważył się żaden historyk: — bo w postaci baranka w walce z wilkiem, czyli stronnictwem ustawy konstytucyjnéj.

Jakkolwiek tedy ciekawość moja była wytężoną, żeby pochwytać co najwięcéj dowodów i szczegółów, mogących zmodyfikować zdanie moje w téj rzeczy, przyznam się, że często opuszczała mnie

wiara w prawdziwość faktów podawanych przez p. Michałowskiego, i gruntowność jego rozumowań. Tego zaś nie inna przyczyna, tylko że po niektórych aluzyach zdradliwych, mylnych szczegółach i datach, oraz zdaniach bardzo dzisiejszych, poznałem, iż to jest świeża robota, zapewne samego wydawcy; że żaden Bartłomiej Michałowski nie egzystował, a choćby i egzystował, to był taki — z przeproszeniem czytelników moich — niedołęga, że nigdyby nie zdobył się na napisanie podobnych pamiętników; gdyż ten brak loicznego tłumaczenia się, te gęste usterki językowe w składni, ta niewłaściwość użytych wyrazów, widocznie są udane, przez tak znakomitego pisarza jak autor Pamiątek Soplicy, aby tém snadniéj wmówić w czytelnika, że to klecił ów niedołęga Michałowski.

Dzisiaj nie udają się podobne podrabiania; czasy podrabianych kronik minęły; wreszcie nacoby się zdało podrabiać stare szpargały, kiedy nowe więcéj mają pokupu i wielbicieli. Jestto więc tylko forma, w którą autor Soplicy oblókł podania, jakie miał, wyobrażenia, jakie sobie wyrobił, uprzedzenia, jakie zatrzymał, kierunek, jaki popiera; ale dlatego nie będąc ani naocznym świadkiem opisywanych zdarzeń, ani czynnym aktorem, wy-

nalazł sobie pana Bartłomieja, któremu swoje myśli w usta wkłada, i każe mu żyć śród ludzi i scen bardzo interesujących, pamiętnych katastrofami, nagłemi zmianami rządów, wysileniami, upadkami i nadziejami.

Nie powiem jednak, żeby pan H. R. szczęśliwą miał rękę w wyborze człowieka, któremu powierzył reprezentacyą swoich wiadomości, wyobrażeń i kombinacyi?!

Zkąd się wziął ten pan Bartłomiéj Michałowski? kto go rodzi, gdzie jego gniazdo, jaki klejnot familijny? — Niewiem, bo nie czytałem pierwszych trzech tomów; koniec dzieła pokazał się wprzódy niż początek. Wszelako z toku opowiadania tylem dociekł, że za młodu służył w wojsku cesarskim, w pułku Szybilskiego, pod którym bił się w wojnie siedmioletniéj, i dostawszy gdzieś kulą, wziął dymissyę z pensyą i pozwoleniem noszenia munduru. Była to więc sztuka wojskowa, ale w jego całem późniejszem zachowaniu się nic nie pokazywało człowieka z krwią i sercem żołnierskiem. Zamiłowany w wygódkach, niezmiernie troskliwie obchodzi się ze swoją osobą, żyje regularnie jak zegarek, wina niepija, kawkę i herbatkę lubi, a za fajeczką dobrego turczyna przepada, —

po wielkich tylko wzruszeniach czuje się osłabiony, i jedzie do Karlsbadu, albo się kuruje piołunkowem winem, w które tak się zaopatrzył, że mu do śmierci wystarczy. Amator ten pokoju i próżniactwa, niczem się nie trudni, ani nawet gospodarstwem: bo szczęśliwy, jak każdy samolub, ma poczciwego synowca, który mu zarządza majątkiem i kapitały składa, towarzyskiego rezydenta, który go w melancholii rozrywa, wierne sługi, które nań chuchają. Zapomniałem, że miał urząd szambelana przy królu Stanisławie; lecz i tego się pozbywa, gdy naparłszy się jechać z królem do Kaniowa, a nieotrzymawszy pańskiego przyzwolenia na tę podróż, dąsa się i dziękuje królowi za służby. Ma to być ideał niepodległego szlachcica, co jak sam często powtarza, do żadnéj partyi nie należy — czyli tłumacząc to właściwem słowem: nie podejmuje żadnéj czynności publicznéj, aby sobie zatrzymał urojone prawo sądzić bezstronnie i jednych i drugich.

I kiedy widział, że drudzy tonęli,
Mówił, stojąc na brzegu: płynąć nieumieli.

Zapewne przez wybór tak nieszczęśliwéj figury i samo opowiadanie ucierpiało niezmiernie. Pierwsze dwa tomy interesują jeszcze jako tako, mniéj

znanemi anegdotami, gęstymi rozumowaniami i uwagami nad społeczeństwem warszawskim, nad czynnościami cztéroletniego sejmu, szczegółami o figurach partyi konserwatywnéj (to miano bowiem daje Targowiczanom zapewne dla tego, że się ryczałtem w konserwacyę oddali), za to reszta tomów zawiera same tylko historyczne ogólniki, o jakich każdy umie rozpowiadać, kto żadnéj nawet historyi nie czytał, a niedopieroż ten, kto patrzał na wypadki współczesne. Za to aż do unudzenia znajdziemy tam puste gadaniny o przejażdżkach pana Bartłomieja do krewnych w Galicyi, jak mu dobrze było u pani Rzepeckiéj, jakie miała krowy, jaki nabiał, a masło tak wyborne, że je posyłała do Wiednia. Że mi z całéj téj opowieści najwięcéj to masło zostało w pamięci, ztąd pochodzi, iż pan Bartłomiéj aż trzy razy powtarza ten szczegół z pewnym znaczącym naciskiem. Miałażby w tym rysie mieścić się charakterystyka kraju, ludzi, instytucyi, stosunków handlowo-przemysłowych, czyli téż jest to jedna z licznych naiwności p. Bartłomieja? — Niewiem, — ale dość powiedzieć, że niepospolicie nudzi opowiadaniem swoich płaskości i amplifikacyą najpowszedniejszych przygód. Tymczasem niepospolity pisarz, jak H. R., miał najszczęśliwszą zręczność

zrobić z pana Bartłomieja figurę interesującą, choć komiczną, gdyby odstępując od formy pamiętnikowéj tak niewdzięcznéj, gdy się nie ma dość zasobów, aby ją napełnić, wystawił go nam w charakterze miłośnika pokoju i wygódek, narażonego na najrozmaitsze perypecye i kłopoty ruchliwych czasów, wojen i zamieszek. A właśnie znalazł się był na tym tropie, kiedy pokazał nam pana Bartłomieja w roku 1794, jak w szlafroku i pantoflach i z nieodstępną fajeczką zamyka się i siedzi w domu, co go nie chroni od dostania się do kozy, zkąd potem za sprawą pani Grabowskiéj, ucieka do Gdańska i oddaje się pod opiekę obcego konsulatu tytułem dawnéj służby wojskowéj. Przeprowadzenie takiego tchórza i egoisty przez ciąg podobnych katastrof, zawierałoby sens moralny więcéj budujący niż ten, jaki wyciągnąć da się z całego pamiętnika.

Ale zostawmy na boku już pana Bartłomieja, który miał być dla nas owym ideałem niepodległego szlachcica, co nawet swego króla nieznosi; ale dla tego innym tak często do nóg pada, że szkoda, iż nie podał do wiadomości potomnych, ile zdarł spodni na tych hołdach. Zostawmy go — a zatrzymajmy się na niektórych trafnych uwagach,

świeżych anegdotach historycznych, a wreszcie na nietrafnościach i niekonsekwencyach z równą obfitością rozsypanych w tém dziele.

O królu Stanisławie Auguście takie robi postrzeżenia:

„Żaden monarcha tyle się nie przyczynił do zepsucia obyczajów swojego narodu i do wywrócenia jego przyrodzonéj konstytucyi. Wszystko, co było w Polsce starodawnego, już go raziło. Rad był zatracić w narodzie pamięć przeszłości, żeby historya polska od jego panowania się zaczynała. Pomimo wysokiego światła, starannego wychowania, nawet niepospolitéj nauki, nie był mężem stanu, gdyż wszystkie swoje podrobne namiętności przenosił do swoich rządów. I tak nienawiść, jaką czuł dla tych, co ich nazywano magnatami, była głównym bodźcem jego postępków. Myślał, że na gruzach ich potęgi w narodzie, swoję własną wyniesie, i że tym sposobem zostać może samowładnym panem. Całkowite jego panowanie było dążnością do zniechęcenia narodu do rządu wielu, a brania pochopu do rządu jednego, jako więcéj przynoszącego rękojmi spokojności i bezpieczeństwu wszystkich. Nie było intryg, którychby zaniedbał, ażeby poróżnić między sobą domy magnackie; *di-*

vide et impera, było jego maksymą. A nie umiał przewidzieć, że nie on, ani nawet szlachta, ale niższe stany, tak dobrze jak nam obce, bo niewyrażające podań narodowych, i sąsiednie państwa korzystać będą z poniżenia magnatów.

„Najstraszniejsza a niegodziwa broń, jakiéj przeciwko nich użył, było sprzyjanie rozwodom. Co mu nie było trudno po wyniesieniu na Prymasa, omal nie na bezzależnego zwierzchnika Kościoła polskiego, rodzonego brata, pełnego światła i nauki: ale dumnego, mściwego, rozwiązłego i bez żadnéj religii. On to porozsadzał na stolicach biskupich kapłanów niedowiarków i gorszącego życia, którzy znowu zapełniali konsystorze kapłanami, do nichże samych podobnymi... Przy takich biskupach i konsystorzach, jakie oni obmyślili, rozwody w przestraszającym postępie namnożyły się: bo dekret rozwodowy tak rychło następował po pozwie, że nie było czasu do refleksyi... Z rozwodami mnożyły się procesy familijne, gniewy zawziętości, nienawiści i ruiny wielkich domów. Gdyż przyszło do tego, że można było w jednem towarzystwie spotkać pana wysokiego rodu z trzema, a nawet z cztérema damami, z których każda była kiedyś jego żoną... Ale czém cios najwięcéj zabójczy

żadał naszym obyczajom, to osłabieniem związków familijnych. W Polsce stosunki familijne zastępowały niedostatek siły rządowéj. Każdy szlachcic uczył się tych stosunków i musiał umieć na pamięć całą swoją genealogią. Do piątego, a nawet do szóstego stopnia pokrewieństwa było tak dalece szanowane, że synowiec w tym stopniu nazywał starszego krewnego stryjem i był dla niego pełen uszanowania. Dzieci i wnuki stryjecznych lub ciotecznych braci nazywali siebie braćmi i siostrami, i to samo im przypominało obowiązki miłości wzajemnéj. Wyraz kuzyn był tak dobrze jak nieznany między szlachtą, lub oznaczał niepokrewieństwo, ale jakąś daleką koligacyą, któréj stopnia nie było podobieństwem skreślić. U szlachty bywały aż nadto często procesy familijne i zwady między najbliższémi krewnymi, nawet nienawiści; ale te były osobiste i nie były przeniesione do życia publicznego. Na sejmikach poselskich, deputackich, ziemskich, procesujący się między sobą krewni, głosowali wspólnie, nie rozrywali partyi, na któréj czele stał zawsze jakiś najstarszy wiekiem krewny, którego zdanie było dla wszystkich jéj członków wyrocznią. Pod pewnym względem partye były familiami, i tém samem były tak potężne, że ma-

gnaci musieli się spokrewniać z szlacheckiemi domami, dla podtrzymania swojéj przewagi. Tym sposobem zachowała się równość szlachecka tak dobrze, że wyraz *mésalliance* niedający się tłumaczyć w języku polskim, dopiero pod koniec Stanisława Augusta zaczął wchodzić w używanie... Ten duch familijny kaził (zapewne: raził) króla, któryby rodzonego dziada nie umiał pokazać. On sam i dowcipni awanturnicy, którymi się otaczał, rzucali pociski szyderstwa naprzeciw tego zachowawczego ducha, do czego aż nadto im pomagało zfrancuziałe towarzystwo dworu i stolicy. Co tylko było w obyczajowości narodowéj, obrzucone zostało nazwiskiem sarmatyzmu nietylko w salonach warszawskich; ale nawet na widowniach publicznych. Młodzież nieumiarkowana w uniesieniu, przyklaskiwała komedyi pana Zabłockiego: *Sarmatyzm* dowcipny paszkwil na jéj ojców. Jakże związki familijne miały być szanowane?«

W dalszym ciągu dodaje autor, że nie mało przyczyniło się do zatarcia narodowego obyczaju porzucenie stroju polskiego, do czego król dał pierwszy popęd, przyjmując koronę w ubiorze bliższym jakiegoś komedyanta, niż szlachcica polskiego. Trafną z tego powodu robi uwagę: »Ubior nie jest

rzeczą dowolną, on musi coś wewnętrznego wyrażać, i jest koniecznie jakieś powinowactwo między duchem narodu, a jego ubiorem.“ Nakoniec do przyczyn ścierających charakter dawnego społeczeństwa, kładzie ówczesną literaturę francuzką, któréj niedorzeczności i przewrotne zasady dobrodusznie przejmowano i zamieniano w czyn z pochopnością naszemu narodowi właściwą. Nauki téż Woltera, Diderota, Helwecyusza zastósowano praktycznie, co przykładami stwierdza, opowiadając, jak trzech kawalerów dopuściło się profanacyi na procesyi Bożego Ciała w Warszawie, co im uszło płazem — i jak młodzieniec pewien na Rusi dopuścił się podobnéj profanacyi, wynosząc z kościoła Hostyą poświęconą, — lecz tym razem zbrodnia została pomimo wszystkich protekcyi, srodze ukaraną; winowajcę odsądzono od czci, majątku i szlachectwa, i skazano na śmierć; on zaś nieczekając spełnienia wyroku, uciekł do Ameryki. Szlachta niezepsuta, jeszcze lepiéj umiała dochodzić obrazy Majestatu Boskiego, niż libertyńska stolica. —

Oto jest jeden z rysów obyczajowych owego wieku wierniéj i prawdziwiéj schwycony, niż inne odnoszące się szczególniéj do osób, polityczną gra-

jących rolę w epoce reform krajowych. W tym względzie nie możemy odmówić autorowi bystrego rzutu oka, lubo w powyższym ustępie znajdą się niektóre punkta niezbyt ściśle oznaczone, lub téż niezostające w związku z tém, co na innych miejscach powiada.

I tak mówiąc o królu, przygania mu, że „całkowite jego panowanie dążyło do zniechęcenia narodu do rządu wielu (możnowładztwa), a brania pochopu do rządu jednego, jako więcéj przynoszącego rękojmi spokojności i bezpieczeństwa wszystkich.“ — Przyznam się, że nie tę dążność należałoby królowi wyrzucać, ale chyba obwiniać go o brak żelaznéj energii w przeprowadzeniu jéj; dążność ta zresztą niebyła nową: bo od czasów Jana Kazimierza, pracowano nad zniesieniem elekcyi i pomnożeniem władzy królewskiéj. Sam autor przyznaje niżéj (karta 160. T. I.) „jako w praktyce zawsze się pokaże, że jednowładztwo i możnowładztwo są jedyne osie, na których się obracają przeznaczenia społeczności ludzkich.“ — Scentralizowanie władzy przez osłabienie sił możnowładzców, była jedyną już praktyczną drogą, — że niedoprowadziła do celu, wina w tém cięży na możnowładzcach przywykłych od dawna prowadzić poli-

tykę na swoją rękę i zachodzić w konszachty z obcémi dwory, aby mieć plecy do stawiania oporu. Przypuśćmy nawet, żeby król oddał się był w ręce możnowładzcom, — czyżby to uratowało Rzeczpospolitę? Czyż te partye co wystąpiły przeciw sobie przed i po sejmie koronacyjnym, byłyby oręż schowały do pochew? Czy obok jednego króla obranego naciskiem Moskwy, nie byłby stanął drugi Elekt Radziwiłłów i Potockich, nielicząc innych piastów, coby się na tę godność kasali? Możnowładztwo zepsute intrygami kandydatów do tronu, miało tylko nieograniczoną pychę i nieumiało się łączyć w zbawczych celach; dowiodło tego związkiem Targowickim. Nie mogąc mówić ze ścisłością o tém, jakby było, gdyby było inaczéj, wskazuję na ten ostatni wybryk możnowładztwa i na tém opieram wsteczny domysł. Pan Bartłomiéj zacięcie polemizując przeciw stronnikom czynności wielkiego sejmu, każe nam wierzyć, że ta reforma wszystkiego złego stała się źródłem, i że w możnowładztwie był tylko zbawczy środek, tymczasem przykładami dowodzi rzeczy wręcz przeciwnéj: bo malując sprawki tego lub owego magnata, niepokazuje nam wcale owego materyału, z którego się robią podwaliny i kolumny, ale same groteski i ka-

rykatury dobre na materyał do rubasznéj powiastki lub komedyi. — Snuć ogólniki powabne łatwo, trudniéj jest pokazywać na żywych, wiarogodnych przykładach jak stała społeczność.

Mógłbym także pomówić pana Bartłomieja o niesłuszny zarzut zrobiony królowi, jakoby tenże umyślnie ułatwił rozwody; aby możnowładztwo osłabić. Zaiste byłby to jenialny, przynajmniéj arcydemoniczny pomysł godny machialowego *Principe;* — lecz o ile wiemy, nawet między najgorszymi szukając monarchami, jeszczebyśmy nieznaleźli takiego, coby zamierzył porozrywać święte węzły ródziny, choćby dla własnego interesu; — bo przecież tam rząd łatwiejszy, gdzie węzeł rodziny trzyma społeczeństwo w karbach moralnych. — Niegodzi się robić nieszczęśliwego gorszym niż był, zwłaszcza, że rozwody nie są wyjątkiem w porządku ówczesnego świata; ale wszędzie się zagęściły w skutek filozoficznéj propagandy nurtującéj w społeczeństwie wyrosłem na nauce kościoła. — Wreszcie przypisawszy królowi taką machiawelską przebiegłość, wolno byłoby zapytać się, dla czego nieużył jej na obronę własnéj korony? — Surowo również wyraził się o Prymasie, bracie królewskim, który przeciwnie w wielkim rygorze utrzymał duchowień-

stwo, jak to poświadcza nawet nieprzyjazny mu Kitowicz, pochwalając nakazane przez niego rekolekcye po dekanatach, połączone z egzaminem z nauk. — Trudno niegodzić się z panem Bartłomiejem tam, gdzie pisze bez chęci ciągnienia wody na swoje koło, a tylko sumiennéj prawdy szuka. Do takich miejsc należy ustęp o żydach, a mianowicie o ich reformie przez Franka dokonanéj. Szczegóły podane są trafnie zestawione, a uwaga niniejsza głęboką: „Nikt o reformie żydów nie myślał, i chciałbym wiedzieć na coby się im ona przydała? Czy żeby ich wyleczyć z zabobonów?... Ale pierwéj trzebaby się porozumieć co ten wyraz znaczy. Każda nawet prawda dla tego, który w nią nie wierzy, jest zabobonem. Nasi ojcowie bardzo to dobrze rozumieli, nadto się troszczyli swojem własnem zbawieniem, żeby się trudzić zbawieniem żydów, a tem dokuczać im na tym świecie. Dopiero kiedy uczucia religijne tak u jednych jak u drugich zaczęły omdlewać, w imię cywilizacyi wzięto się do ich nawracania już nie religijnego, ale cywilnego. Usiłowano tego dokazać, żeby żyd został Polakiem, zachowując w ścisłości swoję religię, czyli swoją narodowość: bo u niego to rzecz jedna.“ — Tak się téż stało, i rzeczywiście

żydzi weszli do towarzystwa chrześciańskiego, które na tym nabytku nietylko niezyskało, ale owszem traci wiele; niemasz bowiem zagorzalszych racyonalistów jak reformowani żydzi.

Pod względem historycznym ciekawe są karty opisujące zjazd monarchów w Kaniowie. „Zanosiło się na wojnę — powiada pan Bartłomiéj — między Rosyą a Austryą sprzymierzoną z jednéj, a państwem Ottomańskiem z drugiéj strony. Wówczas imperatorowa Katarzyna i cesarz Józef byli w aliansie z Polską. Wątpliwości nie ulega, że chcieli uczynić naszą Rzeczpospolitę wspólniczką ciężarów téj wojny, i korzyści jakieby z niéj otrzymać można było. Były oto zawiązki układów tych dwóch mocarzy z naszym królem. Zdaje się z tego, co z tych tajemnych układów transpirowało, że na wypadek pomyślnego końca téj wojny, o którym nie można było wątpić, królowi było obiecane ustępstwo kilku cyrkułów w Galicyi ze strony Austryi, a téj części Białéj-Rusi, która na zachodnim brzegu Dniepru jest położona, ze strony Rosyi; nawet mówiono że do tego miano dodać Raję Chocimską.“ — Szczegóły tych układów jak widzimy, mało są znane; z nich to się wysnuwa działanie posła pruskiego Lucheziniego. Prusy związane z Anglią, nie ży-

czącą sobie uszczuplenia granic Porty Ottomańskiéj, a same niemające żadnego widoku zyskać coś na ukartowanym podziale Turcyi, krzywo patrzały na ten sojusz, i aby go rozerwać, przyjęły na siebie rolę wybawiciela Rzeczypospolitéj z pod uciążliwéj gwarancyi rosyjskiéj. Działo się to w początkach wielkiego Sejmu, zabierającego się do popraw i reform. Owóż zręczny margrabia Luchezini, umiał podbijać bębenka partyi pragnącéj zmian i nowości, a przez agentów swoich działać po kawiarniach i bilardach na opinię niższych warstw społeczeństwa.

Znana to polityka! — lecz co pan Bartłomiej twierdzi, że Luchezini nie byłby planów swoich prowadził, gdyby nie to, że trafił do panów Stanisława i Ignacego Potockich, którzy nie mając szczęścia podobać się imperatorowéj Katarzynie na zjeździe w Kaniowie, wrócili do Warszawy z sercem zajątrzonym na nią i na ich krewnego pana Szczęsnego — potrzebuje lepszego dowodu, jak obryzganie błotem tych braci, równie szanowanych w opinii współczesnéj jak i potomnéj. — Biorąc całe ich życie pod rozbiór, można przecież dopatrzeć, że nie jakieś zaproszenie na obiad w Kaniowie, kierowało krokami ich polityki i wyra-

chowanym odwetem; byli to ludzie reformy, a uczuciami zawsze nieprzychylni gwarantce, w któréj widzieli sprężynę poniżenia i upadku Rzeczypospolitéj. — Z widoczną nienawiścią rzucił pan Bartłomiej wyrok potępienia na pana Marszałka litewskiego i pana Podstolego koronnego, późniejszego Wojewodę i Ministra oświecenia; — pomawiając obu o nieumiarkowaną próżność, a drugiego o chciwość i egoizm: co więcéj, postawił tak obryzganych obok pana Szczęsnego, którego otoczył całą aureolą cnót obywatelskich. Tymczasem o ich zasługach miał naród czas przekonać się: bo patrzał na nie lat wiele i w różnych kolejach. Pana Szczęsnego nie widział tylko w przeciwnym obozie, i znał go z aktów budzących smutne wspomnienie.

Zresztą nie można powiedzieć, tylko że z wyrazem prawdy bezstronnéj opisane są pierwsze czynności sejmu, ubieganie się o marszałkowstwo w izbie poselskiéj pana Szczęsnego, cofnięcie się jego od kandydatury, i wybór Refendarza Małachowskiego, co wywołało takie starcie się zdań, że zaraz odrysowały się dwie partye w sejmie. Jednéj dawał impulsye Luchezini, i jak mówi pan Bartłomiéj: „był to ciekawy i osobliwy fenomen, widzieć ludzi, którzy uzyskali w całym narodzie

odgłos największego patryotyzmu, przez to, iż byli narzędziami czynnemi potencyi najniechętniejszéj dla Rzeczypospolitéj...“ Druga partya była konserwatorską; lecz nie powiada od kogo brała impulsyę? — Co do twierdzenia jakoby patent na patryotyzm dawał tylko Luchezini, dowcipnie brzmi i ma pozór prawdy za sobą; ale przecież i to wiadomo, że ludzie, jak dwaj Potoccy, Małachowski, Niemcewicz i tylu innych i przed i po sejmie, zawsze używali tej reputacyi; gdy przeciwnie, wielu należących do partyi przeciwnéj, niezaszczytne zostawili po sobie imiona. — Wprawdzie chce nas p. Bartłomiéj przekonać, że najzbawienniejsze projekta do uchwał sejmowych wychodziły od partyi moskiewskiéj; lecz gdyby i tak było, możnaby powiedzieć: *Timeo Danaos.* Tymczasem jest to tylko przekręcenie faktów, i tak, między innemi ten cały ustęp oparł pan Bartłomiéj na pozorze, gdy mówi:

„Projekt nadania mieszczaństwu wszelkich przywilei szlachcie służących, projekt, jednomyślnie zamieniony w prawo, był podany przez Suchorzewskiego, Wojskiego Wschowskiego i najzapaleńszego konserwatora w całym sejmie, a który potem był jednym z pierwszych, co zawiązali Konfederacyę Targowicką.“ Litania tych projektowiczów,

co potem zawiązali Konfederacyę, dosyć jest długą, i zatrzymałyby więcéj niż to warte, aby pokazać, że i téj niemieli zasługi; jednakowoż co do projektu Suchorzewskiego, winienem dać objaśnienie. Nie z jego to głowy wyszedł plan utworzenia nowego stanu Rzeczypospolitéj, czyniący ze stanu miejskiego pierwszy do szlacheckiego stopień, aby w przeciągu lat kilkudziesięciu przelał się stan miejski w szlachecki; wyrósł on bowiem w kole reformatorów i tylko zręcznie podsunięty został Suchorzewskiemu, który pochwycił go skwapliwie, aby, jak sam potem wyznawał, mieszczan, zabezpieczonych w prawach swoich, odstręczył od patryotów, a do swojéj przyciągnął fakcyi; partyi zaś konstytucyjnéj szło o to, aby samo prawo przeszło z łatwością, a nie o inicyatywę. Z téj strategii parlamentarskiéj, nie warto było robić tak wielkiéj rzeczy.

Męczące jest ścieranie się ciągłe z panem Bartłomiejem, męczące i dla piszącego i dla czytelnika tych uwag, chociaż już wybieram piąte przez dziesiąte; chciawszy wszystko roztrząsnąć sumiennie, trzebaby siła napisać żeby poprostować te dorywcze zdania, te jednostronne sposoby widzenia, te apodyktyczne i poniżające sądy o ludziach

nie mających u niego łaski, a znowu te panegiryki osób potępionych opinią historyi, sprowadzić do prostego mianownika. Nikt rozważający tę epokę spokojnym umysłem, nie może pochwalić wszystkich czynności, a raczéj ducha kierującego stronnictwem konstytucyjnem; ależ znowu nikt się nie odważył odjąć mu całą zasługę, w praktyce obywatelskiego życia, a przenieść takową na korzyść partyi targowickiéj, o co się pan Bartłomiéj upomina z takim naciskiem, a w dowodach ucieka się do takich wybiegów i majaków, że podziwiać należy jego talent adwokacki. — Chce on gwałtem wyperswadować nam, że co tylko robili ludzie téj partyi, było złe i nikczemne, dla tego, że się sprzymierzyli z ulicą; nieprzeczę iż takie przymierze należy do czarnych kart każdéj historyi — ale wprzód dowieść potrzeba, że Ignacy i Stanisław Potocki, że Niemcewicz, Małachowski, Czacki i tylu innych (księdza Podkanclerzego wyjmuję), używali tego narzędzia do politycznéj intrygi. — *Vice versa* znowu, daje pan Bartłomiéj najzupełniejszą absolucyę nietylko takim Świętosławskim, Złotnickim, Hulewiczom i całéj kompanii; ale samemu nawet Adamowi Ponińskiemu, którego litośnie nazywa „nieborakiem ściganym od opinii.“

Niepodobna przypuścić aby pan Bartłomiéj nie znał dziejów swego czasu, chyba można przypuścić, że rachując na tak spóźnione wydanie własnych pamiętników, pozwolił sobie kozłów poprzemieniać w barany, i zapewne pomyślał w duchu: kiedy wnuki przeczytają to, uwierzą mi na słowo; bo gdzieżby potrafili mię skontrolować, zwłaszcza że się i pamięć i tradycya zatrze pod wpływem nowych wyobrażeń, potrzeb i skłonności.

Niewiem czy szczęśliwie odgadł pan Bartłomiéj, ale to wiem, że nawet bez tradycyi i bez historyi, możnaby co chwila łapać go na rażących niepodobieństwach. — I tak dając zdanie swe o Targowickiéj Konfederacyi, powiada: „Żeby ją osądzić sprawiedliwie *sine ira nec studio*, trzeba niewypuszczać z uwagi okoliczności, które do niéj dały powód. Bezwątpienia jéj naczelnicy z boleścią serca widzieli upadek dawnéj formy rządowéj: bo byli do niéj sumiennie przywiązani. Ale wielce się mylą ci, co powtarzają, że ich cel był jedynie służyć widokom obcéj potencyi, lub co najwięcéj, zwrócić naród do nierządu, z którego Konstytucya 3 maja niby go wyzwoliła. Zapewne, że chcieli wywrócić tę nową Konstytucyę; ale nie tyle dla tego, że ją uważali być złą, ile że mieli, że tak

powiem *metafizyczne* przekonanie, które powinnoby wejść w użycie, dla oznaczenia kupnych przekonań, przedajnych sumien. — Pan Bartłomiéj mimowolnie zbogacił język dyplomatyczny.

Szczególniejszą ma też słabość do swoich wielkich polityków, jak między innymi do Kossakowskiego, biskupa inflandzkiego. Rady, które ten zacny prałat dawał po akcesie króla do Targowicy, szczególniéj co do zaprowadzenia porządku w Warszawie, przypominają późniejszą epokę, o któréj marszałek Sebastiani powiedział pamiętne słowo. Kossakowski jest w oczach p. Bartłomieja mężem wysokiego światła, wielkiéj rozwagi umiejącym rzeczy przewidywać. — Nie naliczyłbym mnóstwo zasług podnoszonych w tym sposobie; każdy Targowiczanin musi być *eo ipso* doskonały i wytrawny statysta; a każdy ze stronnictwa reformy — partacz. Szkoda tylko, że mówiąc ogólnikami dość powszednemi o ich cnotach domowych i publicznych, nie umiał o żadnym przytoczyć choćby jednego takiego rysu, jak znany fakt o jenerale Mokronowskim. Na kilka dni przed wybuchem w Warszawie, przyszli do niego wojskowi, odkryli zamiar i wezwali na naczelnika. Mokronowski odradzał, powiadając, że siły ich za słabe, aby się mogły mierzyć z woj-

skiem Igelstroma. Ale gdy mu oznajmili, że ich postanowienie niezłomne, że czy zechce należeć czy nie, wybuch nastąpi za dni kilka — Mokranowski odrzekł: „a więc zginę z wami!“ i przyjął naczelnictwo. Stało się, że nazajutrz obłożnie zachorował na pedogrę, a tylko dwa dni zostawało do wybuchu. Mokronowski posłał po swego lekarza Bergonconiego i zapytał, czy są środki w medycynie dla przerwania paroxyzmu pedogry? Bergonconi odpowiedział, że jeżeli w takim razie krew choremu się wypuści, paroxyzm ustanie; ale następstwo tego środka jest straszne: bo chory na chwilę uzdrowiony, wkrótce potem zapada na konwulsye peryodyczne tego rodzaju, co je nazywa pospólstwo chorobą Ś. Walentego. Mokronowski w wilią dnia przeznaczonego do powstania, kazał krew sobie puścić i paroxyzm jakby ręką odjęty został. Nazajutrz walczył z pułkiem Sybirskim i zwyciężył. Lecz późniéj zapadł na epilepsią, która go do śmierci trapiła. Rys ten mógłby ozdobić karty historyi każdego narodu. Postępowanie Targowicy nie nastręczało sposobu dla tak pięknego upadku, choć gładszą jeszcze drogą wiodło do niego Rzeczpospolitę.

Plan Pamiętników p. Bartłomieja, metoda ja-

kiéj się niby trzymać postanowił, to jest: żeby pozostać po za obrębem obu stronnictw poruszających Rzeczpospolitę — ma za sobą odcień wyższéj prawdy, daje pole do sądów niezależnych, otwiera poglądy głębsze i szersze, reasumuje w sobie istotnego ducha narodu; alić gdy przyszło do wykonania, gdy go uniosły uprzedzenia z jednéj, zbytne schlebianie i płaszczenie się z drugiéj strony — stracił równowagę i pokazał się nienawistnym górującéj w narodzie opinii, która miała za sobą obywateli z sercem, głową, nieograniczonem poświęceniem się i potężnego sprzymierzeńca w duchu epoki — a znowu zbyt przyjaźnie przemawia za tymi, co działając wbrew tej opinii, nie potrafili nic uratować, ale owszem stali się, że tak powiem, dobrymi przewodnikami ostatecznéj katastrofy. Gdyby pan Bartłomiéj utrzymał się był w charakterze neutralnym, ale nie posuniętym do szczytu egoizmu, w jakim pokazuje się od początku do końca, musiałby niechybnie postawić sobie pytanie: ażali związek p. Szczęsnego, acz na pewnych fundamentach zgodnych z duchem i organizmem narodu oparty, był na swojem miejscu i w porze? Ażali to odstrychnięcie się od opinii, mającéj wziętość i przyczyny swego bytu: bo przygotowanéj je-

szcze od czasów Leszczyńskiego, a podzielanéj przez samego króla i przez najświatlejsze głowy, a owianéj duchem ówczesnego świata — ażali to odstrychnięcie się i działanie na swoją rękę pod opieką niemiłéj potencyi, nie sparaliżowało od razu tych sił, jakie mogła była Rzeczpospolita w przerodzeniu się swojem odpornie postawić? Sam król acz z natury słaby, widząc umysły podzielone, jeszcze mocniéj zachwiał się i wypuścił tę władzę, którą bezpodzielnie złożono w jego ręce... Związek Szczęsnego wiedział i czuł *a priori*, że niepotrafi nic ocalić, — krom dogodzenia swéj dumie. Stronnictwo kostytucyjne miało w siebie wiarę od początku do końca i potem. Owóż p. Bartłomiéj nie utrzymał się w swéj neutralności; zabrnąwszy w anegdotyczne szczegóły, w charakteryzowanie osób działających, zgubił nić i okazał się chwalcą Targowicy i jéj sprzymierzeńca, a zaciętym przeciwnikiem myśli ogarniającéj naród, i nadającéj żywotność wszystkiem jego usiłowaniom późniejszym. Legiony, Księstwo Warszawskie, Kongresowe Królestwo, był to dalszy ciąg; — dalszym ciągiem Związku Targowickiego, jest chyba ta literatura do któréj niniejsze Pamiętniki należą.

Szkoda! a jednak p. Bartłomiéj mógł był od-

dać wielką przysługę, gdyby był bezinteresowną pochodnią prawdy rozświecił te dzieje, nie tak dawne, aby dzisiejsze namiętności nie wiązały się z niémi bezpośrednio; nie tak wyjaśnione, aby miano o nich zdrowe zawsze pojęcie — ale chcieć być neutralnym sędzią przeszłości, niełatwa rzecz, zwłaszcza jeżeli komu co chwila zawadzi się pod piórem jaki sarkazm na dzisiejszość, jaka aluzya zbyt namacalna, a głowę zaprząta myśl zakulisowa, używająca historyi, téj mistrzyni życia, za środek do przeprowadzenia jakichś politycznych spekulacyi. O téj tedy neutralności p. Bartłomieja możnaby powiedzieć, co Seneka mówił do swego syna nieumiejącego zrobić zakończenia do mowy, którą zaczął w najlepszym zapale: „I nie wstydzisz się, to chcieć lepiéj mówić, niż jesteś w stanie?“ — Jak wam niewstyd panie Bartłomieju udawać bezstronność, protestować przeciw stronniczości, a co chwila zdradzać niemoc przyrodzoną?! —

A jednak, piękna była sposobność przy tylu szacownych podaniach, znajomości osób i zdarzeń zrobić dzieło wysokiéj moralnéj i politycznéj nauki, dzieło prawdziwie praktycznego zastósowania w życiu, kodeks familijny. — Drwić z jednych, kadzić drugim, może być zabawne lub nudne, ale nie bu-

dujące. A cóż dopiero jeżeli pisarz nie cofnął się przed intencyą rzucenia zamętu rozbicia w umysły przez podawanie sofizmatów za prawdy, pozorów za rzeczywistość, i przez podrażnienie opinii w ten sposób, iżby nawet i te zbawienne uwagi i postrzeżenia, na jakie mu stać, ilekroć słucha głosu prawdy i sumienia, znalazły niewiernych co je odepchną ze wstrętem niewiary i rzekną: *Timeo Danaos.*

Pan Bartłomiéj nie poszedł ani krok daléj od tego, co dotąd kurs miało; tylko kolory przemienił, i to, co dotąd uchodziło za białe, nazwał czarnem, a co za czarne białem. Króla, sejm wielki i dalsze następstwa, wystawia ze strony ujemnéj; Targowicki związek, Szczęsnego i adherentów z dodatniéj; — jest to tylko zmiana kart i nic więcéj, — a gdzież sąd, coby nas uczył, że ani jedna, ani druga partya nie była w posiadaniu pełnéj prawdy, a tylko prawdy ułamkiem? Czy pokazał chorobę wieku toczącą tak jednych, jak drugich — brak religijnych przekonań? Ów Szczęsny tak podniesiony przezeń jako polityk, miłośnik praw kardynalnych staréj Rzeczypospolitéj, pan popularny, cywilizator Ukrainy, istny Rzymianin w obronie złotéj wolności, jest tylko pobielanym grobem, blichtrem ośle-

piającym a nie grzejącym i owocującym; wszak on istny poganin w swoich upodobaniach klassycznego materyalizmu, a nie mąż napełniony tym duchem Bożym, co mógł jedynie postawić na nogi obalony stary zakon Rzeczypospolitéj. Szczęsny zawód swój rozpoczął z młodzieńczym entuzyazmem, który ślicznie odpowiadał bogactwom i ambicyi królika Ukrainy. Na sejmie 1784 występuje w roli wielkiego obywatela i skarbi sobie popularność, jakiéj niemiał już i Radziwiłł, a z rozpoczęciem Wielkiego Sejmu cofa się przed samą myślą, że wota poselskie mogłyby nie na jego stronę przeważyć się w wyborze marszałka Sejmu; duma magnata nie może już znieść współzawodnictwa — i w pracach nie łączy się z narodem, chociaż jako poseł bracławski mógłby tak dzielnie wpływać na modyfikacyą wielu postanowień niebardzo zgodnych z organizmem, do którego naród przywykł, a który się wyrobił tarciem historycznego potoku.

Od téj obojętności do zawziętości, krok tylko jeden; od chwili promulgowania i zaprzysiężenia ustawy staje się mściwym sędzią, upoważnionym od partyi kupiącéj się pod jego chorągwią. Trafnie głęboki jeden pisarz powiada: „Najszlachetniejszy człowiek nie wytrwa, kiedy go nie zapala

duch Boży, a zmysły i miłość własną unoszą, Pan Bóg go nie weźmie za swoje narzędzie, złym się ludziom dostanie.« Jest to charakter do zgłębienia w dziejach nader ciekawy; stare wyobrażenia, dawne tradycye, krzyżowały się ze zwyczajami i życiem dzisiejszego wieku. Wylew zdań w prawodawstwie i reformach, jakże nie miał nastąpić, gdy tamy tak były niemocne i tak kruche? Stare tradycye popadły w lekceważenie zostawszy literą, głosem, nie czynem.— Potocki, człowiek zmysłowy, nietylko do dna serca nieprzejęty duchem Bożym, ale jako mistrz loży massońskiéj, lekceważący sobie religijne zasady, łatwo przez drugich, a nadewszystko przez siebie samego był uwiedzionym. Niepodobna dziś nieprzyznać, że mimo tego miał on w zdaniach swoich w niektórych względach słuszność; ale że sejm opuścił, od wojska powierzonego sobie odjechał, pokazuje, że pozwolił wziąść górę miłości własnéj, obrażonéj pysze nad uczuciem i powinnością obywatelską. Odtąd sława jego rozbryzła się, została niesława. Próżno p. Bartłomiéj bierze ztąd pochop i pioruny ciska na opinię, co stawia i strąca swoich bożków. Nie jest w tem wina opinii, która sądzi zawsze to, co ją najbliżéj dotyka — ale wina człowieka nie-

umiejącego jéj szanować. Pan Szczęsny zapomniał tej wybornéj maxymy, a raczéj nieumiał się do niéj zastósować: „*L'opinion publique est une jurisdiction que l'honnete homme ne doit jamais reconnaitre parfaitement, et qu'il ne doit jamais decliner.*“ Postawił się jeżem, i cóż wywołał? oto te prawa, zasady instytucye, wierzenia, w których obronie stanął, sam pogruchotał pod piętnem swéj zemsty. Typ starożytny, wiara dawna, podania domowe znikły bez wspomnień, bez sympatyi, bez zdolności nawet pojęcia czem były — a tymczasem reforma posuwała się gwałtownym umysłowym ruchem, niewiadomo czy jako niezbędny fakt życia, czy zawiew ducha europejskiego. To pewna, że bez tego Związku, co tyle nieprawych liczył w swem gronie, noszących płaszczyk konserwatyzmu, Sejm nie miałby rozpędu na ten skok, który nazywał się Konstytucyą, i który de facto przepołowił nasze dzieje.

Napróżno usiłuje p. Bartłomiéj pokazywać nam, jak w kalejdoskopie znakomite przymioty umysłowe, wielkie cnoty obywatelskie w ludziach należących do targowickiego spisku; — próżny wysił, a raczéj fortel daremny, obrócony na zdyskre-

dytowanie tych, którym opinia i historya przyznaje zaszczytne miejsce w pamięci potomnych.

Historya nigdy Targowiczan obronić nie może, bo reprezentują żywioł anarchiczny, wojnę domową, żadne prawa ich nie rozgrzeszą: bo sprowadzili obcy oręż na obalenie ustawy, którą naród zaprzysiągł dobrowolnie. Wreszcie gdzież w nich te wielkie cnoty, na którychby Rzeczpospolita stać mogła, jeżeli nie chcieli, żeby porównie z duchem wieku stała na prawie narodów? Jeżeli tylko wywieszali chorągiew złotéj wolności, a odpierali potrzebęześrodkowania władzy? — A gdzież te ich cnoty prywatne i publiczne? zobaczmyż jak owocowały pod cieniem chorągwi złotéj wolności? Oto ci, co powstali przeciw ustawie w obronie złotéj wolności, weszli potem w służbę Imperatorowéj w rangach jenerałów, pobrali pensye i dobra; sami napełniali akta hańbiącemi manifestami i kłótniami, jak Potocki ze Złotnickim, Świętosławski z Pułaskim — ztąd dowcipnisie mówili o nich „Targowica jeszcze fica!“ Ci zażarci republikanie, brygadyerowie złotéj wolności, którzy za nieprzyjaciół uważali w manifestach swoich, tych, co się tknęli kardynalnych praw, między innymi taki Złotnicki, w kilka lat późniéj hańbił tę Rzeczpospolitę mó-

wiąc o jéj bezprawiach, nadużyciach; — ztąd widzimy jaka sprzeczność w ich działaniu, jakie skutki założeniu przeciwne. Gdzież p. Bartłomiéj pokaże mi taką niekonsekwencyę w założeniu i działaniu stronnictwa reformy? Na Sejmie wielkim najdroższe przywileje rycerskiego stanu, ten sam rycerski stan niesie w ofierze. Gdzieindziéj dzielni królowie długo borykali się ze szlachtą, aby jéj odjąć na korzyść władzy te przywileje — tutaj szlachta dobrowolnie je składa, a choć nie jest w stanie w tak krótkim czasie przyjść do nowéj organizacyi, choć nieurządza na trwałość — jednakowoż ofiara ducha, jest zasługą, i to niebezowocną...

Zdaje mi się, że te rzeczy wypadało z téj strony ująć panu Bartłomiejowi, a nie zasiewać nowy kąkol, dowodząc to, czego dowieść nie mógł: bo każdy ma odpowiedź, podobną do téj, którą król dał Mokronowskiemu, gdy mu przyszedł donieść o wyparciu rosyjskiéj załogi — i cóż z tego Mospanie?!

I cóż z tego panie Bartłomieju, że mieliśmy Targowicę?

Pallida mors aequo pulsat pede
Pauperum tabernas regumque turres.

ten wiersz przyszedł ci na myśl, gdyś się dowie-

dział o śmierci Imperatorowéj, i wypaliłeś jéj mowę pogrzebową. „Było w téj monarchini — mówisz — coś tak dzielnego, tak żywotnego, tak przestronnego, że trudno było przyzwyczaić się do téj myśli, że dała siebie zamknąć między kilku deskami.“ — Rozczulające wyznanie! Pokazuje się, jak nieskończenie różne bywają rodzaje wzruszeń: ten obojętnie znosi śmierć ojca, matki, rodzeństwa, a rozczula go śmierć aktora na scenie, zgon kochanki w romansie, lub suczki faworytki. Przy zamknięciu dziejów Rzeczypospolitéj, przy śmierci króla, którego nawet był szambelanem, a który zgasł na obcym dworze, nieznalazł ani jednego choćby krasomówczego kwiatu, żeby mu na grobie złożyć.... Za to wdzięczni jesteśmy choćby za jeden rys, który przytoczył, rys malujący szlachetny charakter tego nieszczęśliwego pana: „Gdy szło żeby wyjednać od króla abdykacyę, zachodziły w tem wielkie trudności. Król opierał się żądaniu dworów, i żeby dotrwał w swoim oporze, mógł był wiele utargować dla siebie. — To pewna, że było kilka projektów wcale korzystnych dla niego. Ze strony Austryi była szlachetna propozycya żeby królowi zostawić Żmudź, gdzie były położone najbogatsze jego ekonomie. Ale te ekonomie były

zapewnione innym, przeto projekt upadł sam przez się. Była jeszcze druga propozycya Austryi, żeby mu zostawić Mazowsze, do czego i Rosya się skłaniała; ale Prusy oparły się temu.... Nakoniec gabinet berliński zaproponował, aby jakie udzielne biskupstwo w Rzeszy cesarz sekularyzował, i dał w indemnizacyi królowi nie jako dożywocie, ale jako księstwo spadkowe dla jego domu. Król byłby może i zgodził się na to; lecz o projekcie nie wiedział.... Otóż trzeba było takiego nieszczęścia, że JW. Ch. o tych układach niewiedząc, a jedynie uwiadomiony że skłaniano króla do abdykacyi, o co trudności zachodziły z jego strony, wyrwał się niechcący, że zadziwia go ta zwłoka. Znam króla, rzekł: niech go zastraszą, że jeśli nie złoży korony, długi jego osobiste nie będą zapłacone; król żeby nie skrzywdzić swoich wierzycieli, na wszystko się zgodzi. Tak się też stało. Wszelkie inne układy zatamowane zostały: bo można było taniéj otrzymać czego żądano.“

Król pojechał do Petersburga i tam dni resztę przeżył na łasce dworu.... W dwa lata późniéj podobna historya powtórzyła się z Grzegorzem XIII. królem Georgii, który abdykował także i umarł w Petersburgu... ale za Kaukazem, w Georgii, już

rządzonéj przez jenerała Cicianowa: została się Marianna wdowa po exkrólu, energiczna niewiasta, która przywiązane do swéj dawnéj dynastyi plemiona, chciała wezwać do odbicia straconego tronu... Ajent jéj zdradził ją. Jenerał Cicianow widząc z téj strony niebezpieczeństwo dla spokojności zakaukazkich krajów, dał rozkaz jenerałowi Łazarew, przyaresztować ją i wywieść do Rosyi.... Nazajutrz jeszcze królowa spała, gdy Łazarew wpadł do jéj sypialni, a tymczasem oddział żołnierzy obsadził wszystkie drzwi pałacu.

— Jak śmiesz wchodzić do mnie! zawołała zrywając się ze snu. — Wstawaj — odrzekł surowo jenerał — oto rozkaz księcia Cicianowa! Na tę wzmiankę żywy rumieniec wystąpił na twarz Marianny, gniew oburzenia tryskał z ócz. *Ciciano copfiani!* (Ciciano wyrzutek narodu!) zawołała — i zaczęła przekładać, że jechać nie może: bo dzieci śpią, że dopiero za kilka godzin będzie mogła to uczynić. Łazarew za całą odpowiedź przystąpił i brutalsko szarpnął ją za nogę. Lecz w chwili, kiedy się schylał ku niéj, został pchnięty w pierś tak silnym pchnięciem kindżała, że go na wylot przeszył. Marianna wyrwała z niego kindżał i rzuciła mu w twarz: „Tak ginie, kto królowę obra-

ził!« Co się potem stało? łatwo domyślić się — Marianna uległa przemocy, i wraz z dziećmi wrzuconą została w kibitkę, która ją poniosła do Moskwy, tego portu detronizowanych królów.

Koniec ten ma przynajmniéj jakąś poezyę — wielkości w upadku....

Zamykając powyższe uwagi moje, przyznaję się, pobieżne, niedostateczne, aby były w stanie w krótkiéj pogadance objąć massę faktów i uwag nad niemi, jakie autor rozsiał w pięciu tomach; starałem się zatrzymać czytelnika przynajmniéj na tym punkcie, który jest kulminacyjnym w Pamiętnikach Michałowskiego — aby z téj wysokości łatwiéj było objąć obie sfery walczących ze sobą wyobrażeń....

Książka ta, jak już mówiłem, mogłaby być wyborną, a jest chybioną. Zbyt namacalna dążność skojarzenia wiary, podań, uczuć narodu, z wiarą, podaniami i uczuciami innego słowiańskiego plemienia, wyrosłego na zupełnie innych warunkach, z inną wiarą i posłannictwem, odejmuje nawet tę wartość, jaką mają liczne prawdy i poglądy znachodzące się zawsze pod tem paradoxalnem piórem, z którego płyną już złote słowa tajemnic duchowych narodu, już niekonsekwencye

i cynizmy równające się lekceważeniu i pogardzie jaką twardy egoista światowy miewa, np. dla głodnego nędzarza — bo ofiara miłości najwięcéj go kosztuje.

Mógłbym to jeszcze dodać, że pamiętniki te są niejako dalszym ciągiem Mieszanin Bejły — istną mieszaniną prawdy i pozorów prawdy.

La Rochefoucauld w maksymach swoich wyrzekł: „Prawda nie robi tyle dobrego w świecie, ile złego robią pozory prawdy.“ — Otóż ten pozór prawdy, jakim autor powłóczy swoje opowiadania z przeszłości, aby pod ich pokrywką siał błąd, budzi tę nieufność w czytelniku, o jakiéj na początku wzmiankowałem i obraża go, nie tyle z powodu zdań i opinii: bo są przecież ludzie umiejący takowe i w przeciwnikach szanować, ile że usiłuje paradoxami zagłuszyć sumienie, i zatrzeć w niem pojęcie złego i dobrego, a poniżeniem historycznych osób czczonych dotąd, prowadzić daléj tę szkołę skandalu literackiego, którą tak szczęśliwie przed laty rozpoczął, spotykając się w tem z pismami przeciwnego końca. *Les extrêmes se touchent.*

OSTATNIE CHWILE

KRÓLA WYGNAŃCA.

Ułamkowy pamiętnik króla Stanisława Augusta. — Przygody tych Pamiętników. — Listy do Bacciorellego. — Pobyt króla w Petersburgu. — Brak charakteru. — Kraj obojętny na jego śmierć.

Kiedy w Lipsku któraś księgarnia zapowiedziała wyjście Pamiętników Stanisława Augusta przez niego po francuzku spisanych, jednocześnie Tygodnik Poznański wydawany przez Dra Kazimierza Szulca ogłaszał je w tłomaczeniu polskiem. Sam fakt publikacyi tych pamiętników, o istnieniu których od dawna krążyła wieść, nastrajał do najwyższego stopnia ciekawość. Bo któżby, choć cośkolwiek zajmujący się smutnym i krwawym dramatem konania Rzeczypospolitéj, nie zżymał się na tyle niejasnych i niewytłomaczonych stron,

w osobie tego króla pozostawionych w tem wszystkiem, co współcześni i późniejsi o nim pisali; były albowiem zdania potępiające go bezwzględnie, lub zbyt uniewinniające. Owóż kto tylko chciał wyrobić sobie o nim pojęcie bezinteresowne, poznać do głębi charakter, zajrzeć w głąb jego przekonań, a nadewszystko odkryć tajemne sprężyny i okoliczności zwykle działające przeważniéj na miękką, zniewieściałą indywidualność, niż pewne pryncypia — słowem, kto chciał tego nieszczęśliwego króla na wskróś przeniknąć i zrozumieć go jakim był — wywołał raczéj jakieś szpetne widziadło, nie człowieka dobrze stworzonego, z sercem na swojem miejscu i zdrowym mózgiem. Sama różność sądów współczesnych, uwielbiających go i potępiających bez granic, pokazuje, że prawda musi stać pośrodku, a co pewniejsza, że jedni widząc w nim króla, pomijali człowieka; drudzy tylko człowieka, zapominali o królu.

Z współczesnych nieznalazł się téż jenialny Saint-Simon, któryby go unieśmiertelnił portretem za to pochlebców i panegirystów, jak namiętnych satyryków i krytyków, miał niemało, a lubo podług nich dałaby się ulać niezgorsza maska, nigdy

jednak moralna całość, mogąca zadowolnić psychologa. Z tego powodu taki materyał, jak własne wyznanie Poniatowskiego, choćby najbardziéj zamglony sofizmem i sztuką udawania, do któréj miał spryt wrodzony, zapowiadał ważny wpływ na sposób zapatrywania się. Ani wątpić, że przy świetle takich wyznań, niejedna opinia dałaby się zmodyfikować, i niejedna z przyczyn wchodzących dotąd w rachubę, straciłaby na ważności. Dokument spowiedzi z życia, z tajemnych pobudek do tego lub owego kroku, pomimo domniemanéj nieszczerości autobiografa, jeszczeby znaczył wiele na szali sądu historyka, niemówiąc już o tem, ile samo odkrycie się ze zdaniem, lub z uczuciem tak ważnéj figury, mogłoby oryentować w owym steku krzyżujących się opinii i intryg, dobroduszności i bezczelnéj podłoty.

Takie mniéj więcéj żniwo rokowały zapowiedziane Pamiętniki Poniatowskiego*). Sam począ-

*) W Skarbcu Hist. Polskiéj wydawanym przez Karola Sienkiewicza w Paryżu 1839, znachodzę wzmiankę o Pamiętnikach króla Stanisława Augusta znajdujących się w zbiorze rękopismów Puławskim. Lecz takowe zapełnione są opowiadaniami o jego pobycie w Anglii, Francyi, Saxonii i w Rosyi, nieciekawemi co do szczegółów; wszakże w pozostałem po nim Archiwum znajdują opisy niektórych przygód jego panowania, bądź własnoręczne notaty — co wszystko przekonywa że się zajmował pisaniem dalszego ciągu Pamiętników.

tek rozwijający się na dość obszerną skalę, i potrącający o szczegóły i sytuacye nieznane lub mało znane, pozwalał przypuszczać, że całość dojdzie kilkotomowego rozmiaru. Tymczasem gdy w *Tygodniku Poznańskim* cząstkowo ogłaszany pamiętnik, zapełniwszy kilka numerów — ustał; jednocześnie i lipski francuzki oryginał wyszedł na widok. Z porównania jednéj i drugiéj publikacyi okazało się, że to jest tylko początek pamiętników niedochodzących daléj jak do elekcyi pod Wolą, czyli do roku 1764, a zatem niezawierający nic coby się bezpośrednio z panowaniem króla Stanisława Augusta łączyło. Wprawdzie w Tygodnikowéj publikacyi znalazło się parę dokumentów, niezamieszczonych w Lipskiéj; lecz te niedają nam poznać króla w rysach mniéj znanych. Gdy zaś i jeden i drugi rękopis z różnych rąk podany był do druku, wolno się domyślać, że sam król poufnym swoim i przyjaciołom rozsyłał te ułomki; co znajduje potwierdzenie w szczególe odnoszącym się do rękopisu, z którego Tygodnik drukował. Przytaczam opis wydawcy: „Część Pamiętników zawierająca opis kwietniowego powstania Warszawy z r. 1794, dostała się nam do rąk w oryginale, pisana własną ręką króla, zkądinąd nam

znaną. Reszta zaś manuskryptu, jest, jak się zdaje, współczesnym oryginałowi odpisem, bo skreślony ręką zeszłego wieku na papierze w fabryce królewskiéj zrobionym, ukazującym wodnemi znakami na jednym półarkuszu wielkie *S* w koronie, na drugim ukoronowany herb *Ciołka*, z podpisem Schweidnitza. Tą samą ręką, tym samym atramentem i na tym samym papierze, co ta część Pamiętnika, jest napisany adres na kopercie listowéj: *à Monsieur le Chambellan Wolski* à Białystok i data: 4 Julii 1796, a łóźno liczba 9. — Ten list był zapieczętowany owalną pieczęcią wielkości dwózłotówki, wyciśniętą na czerwonym laku, ukazującą herb Ciołka (Poniatowskich) otoczony polskim Orłem i Pogonią, w około których wstęga z napisem: *pro fide et grege;* nad tarczą herbową korona królewska, pod nią floresy z gałązek dębowych i innych. Na głównéj stronie listowéj koperty jest brunatnym atramentem (przez urzędnika pocztowego) napisana wielka liczba 2, a po odwrotnéj odbite ołowiem rosyjskiemi literami: *Grodno.*"

Pokazuje się, że król w czasie swego pobytu w Grodnie udzielił tych Pamiętników Szambelanowi Wolskiemu, który potém wraz z Trembeckim,

towarzyszył mu do Petersburga. Zkąd pochodził rękopis Lipski? niewiadomo mi; jednakowoż domyślać się można, że należał do osoby posiadającéj zaufanie królewskie. Najpodobniéj do prawdy, został on udzielony malarzowi Bacciarellemu, do którego król przysyłał z Petersburga swoje buletyny, tworzące dziennik pobytu jego w Rosyi, także drukowane przy wyżéj wspomnionych urywhkac pamiętnikowych.

Że Stanisław August pisał swoje Pamiętniki, i że napisał całe, o tem mam wiarogodne wskazówki. Jan Sagatyński będący paziem przy królu, aż do jego śmierci, pozostawił kilkadziesiąt kart wspomnień, które wyszły w Poznaniu r. 1845 (u Stefańskiego). Opisując on tryb życia króla, powiada: „Codzień wstawał o szóstéj; po śniadaniu czytywał gazety, potém pisał pamiętniki swego życia przy biórze, które zawsze starannie zamykał, chowając klucz do kamizelki.“ A daléj: „Co zaś pisał? tego wiedzieć nie można, bo tego nikomu nie wyjawił. Po śmierci jego, Paweł cesarz będący przy jego zgonie, kazał naprzód wszystko opieczętować, a przyszedłszy nazajutrz, w swéj przytomności wszystko z owego biórka powybierać i do siebie zawieść.“

Naoczny ten świadek widywał zatem króla piszącego pamiętniki. Oryginał wzięto do tajnégo rosyjskiego archiwum i tam spoczywa; tylko kiedy niekiedy carowie pozwalają zeń korzystać zaufanym ludziom, co umieją w tym arsenale wybrać argumenta na usprawiedliwienie zbrodni zaboru i długiego szeregu gwałtów. Takim historyografem posiadającym zaufanie cara Mikołaja był Fryderyk Smitt, któremu wolno było użytkować z tych pamiętników do historyi Suworowa.

Inny jeszcze szczegół bliżéj objaśnia. Wiadomo że W. Książe Konstanty miał upodobanie w skandalicznych memoryałach, — i rad niemi belwederską bibliotekę napełniał. — W takim komplecie nie mogło się obyć bez odpisu Pamiętników Stan. Augusta, mających zapewne nie małą ważność dla inkwizytorskiego ducha, czychającego na każdą tajemnicę, nawet najprywatniéjszą; do czego kluczem mogły być i dawniejsze nieco wspomnienia. Jakoż po wybuchu listopadowym gdy belwederskie akta zabrał rząd narodowy do ministra spraw zagranicznych, świadek dzisiaj żyjący hr. Roman Załuski, miał sposobność widzieć między innemi odpis Pamiętników króla w czterech grubych tomach. Aczkolwiek rzecz ponętna,

nie było wtedy czasu do zajmowania się podobną lekturą. O dalszym losie tego odpisu trudno coś wiedzieć, lubo są niejakie poszlaki. W pewnym domu pokazywano mi rękopis francuski, ocalony przypadkowo od ognia, na jaki wskazano cały stos aktów, w chwilach gdy po upadku Warszawy w obawie zemsty wroga, niszczono prywatnie wszystko, cokolwiekby podawało w podejrzenie o udział w czynnościach powstania. Rękopis ów, na chybił trafił wyrwany ze stosu, pochodził z Belwederu i był autentykiem skandalicznych memoarów awanturnicy Alexandry Panam, która oskarżając w nich o różne miłośne zbrodnie któregoś Koburga, znalazła protekcyę u W. Księcia, a może i nakład na swoję ramotę, wydaną potém w Paryżu. Z téj okoliczności i z innych jeszcze szczegółów, bardzo łatwo przypuszczam, że i Pamiętniki Stan. Augusta mogące się w aktach na spalenie przeznaczonych znajdować, uległy temu losowi.

Podawszy wiadome mi okoliczności co do samych Pamiętników ogłoszanych w ułamku, budzących żal za całością — winienem z kolei powiedzieć o zbiorze buletynów, czy listów, które możnaby nazwać kroniką ostatniego roku życia Stanisława Augusta. Edytor Lipski ogłosił je w ory-

ginale francuzkim, nader niepoprawnie i niedbale drukowanym. Buletynów jest 82, i oprócz tego list nadwornego medyka Beklera opisujący chorobę i zgon króla; na końcu zaś dodany opis ceremonii pogrzebowych. Buletyny te, zaczynające się od daty 20 lutego 1797, do 9 lutego 1798, czyli od przyjazdu króla do Wilna (z Grodna) prawie do dnia jego śmierci zaszłéj w Petersburgu na d. 12 lutego 1798 r., pisane są do Fryderyka Bacciarellego, konsyliarza i prywatnego ajenta królewskiego w Warszawie, w celu by je udzielał osobom do rodziny królewskiéj należącym.

Dokument ten wydany niedbale; nazwiska osób i miejsc źle odczytane, a nigdzie nie zadano sobie pracy postarać się o jakie takie objaśnienia.

Niepodnosząc bynajmniéj listów tych do niezasłużonéj wysokości, mam je bądź jak bądź, za bardzo interesujące dopełnienie monarszéj karyery Stanisława Augusta. Ostatni ten rok życia króla polskiego, uważany z punktu moralnego, jest jakby Nemezą, w wielkim starożytnym dramacie, przeprowadzonym z ścisłością miejsca i akcyi. — Pierwsza scena otwiera się miłosną schadzką w ogrodach Oranienbaum, z któréj wywiązała się korona; ostatnia w marmurowym pałacu, tem

politycznem więzieniu przybranem w dekoracyę gościnności. Ślepy los ofiarę swoją sprowadził w to samo miejsce, gdzie ją spotkał niezasłużony tryumf, jakby się chciał napastwić jéj upokorzeniem, a ludziom dać smutny przykład występnéj próżności, podejmującej się rządzić narodem choćby tytułem faworyta możniejszéj sąsiadki. Przerażający to obraz! Małoduszny samolub daje się włóczyć z gali na galę, z fety na fetę, i jakby poprzestając na zaszczycie siedzenia między carem a carową, zapomina o milionowym jęku zdradzonego narodu. Niemożna sobie inaczéj wytłumaczyć téj lekkomyślności w bieganiu za staremi gratami, w fetowaniu dyplomatycznych smakoszów, w zajmowaniu się teatrem, tylko tem, że robak sumienia, niedając spokoju wyzutemu z państw królowi, zmuszał go do szukania odurzających rozrywek i zajęć. Człowiek w podeszłym wieku, co z czary życia napił się do sytości, niepodobna aby swobodnym umysłem uganiał się od rana do nocy za błahemi fraszkami, godnemi ciekawego turysty, a nie monarszéj osoby, albo żeby z taką jak on punktualnością odrabiał ową pańszczyznę dworską, srodze uciążliwą pod takim impetykiem i fanatycznym etykiety przestrzegaczem, jak Paweł. —

Czego się w tem położeniu mógł obawiać, a czego spodziewać Stanisław August? — trudno sobie wyrozumować. Każdy inny podnioślejszy umysł, zredukowany do tego stanowiska, byłby umiał godniéj znaleść się w nieszczęściu, i nie ustroić się w szatę niewolnika włóczonego ciągle za wozem tryumfatora; ani starożytna, ani nowożytna historya nie stawia podobnego przykładu dobrowolnego poniewierania się. Rzymscy tryumfatorowie zaprzęgali królewskich jeńców do swego wozu, ale ci poganie, umieli nawet w tém poniżeniu z godnością drapować się łachmanem purpury. — Średniowieczni z koron wyzuci tułacze, umierali za kratami więzień, lub żebrali po dworach pomocy, i to jednało im współczucie, namaszczało na bohaterów. W walce z losem charakter pomazańca bywał ocalony.

Jakobinizm monarszy Carów wystawił królewskość na znikczemnienie w oczach świata, i to zaraz potém, kiedy na Zachodzie wyrokiem ludu spadła pod toporem głowa koronowana. Ostatni ten fakt, zgrozę wywołał po monarszych dworach; jaki taki chwytał za oręż i szedł ukarać występnych. Rosya nie była bezczynną w szeregu mocarstw poprzysięgających zagładę Jakobinom i wprzód

nim posunęła się na Francyę, ochrzciła jakobinizmem ruch ratującéj się Polski, dążący do niepodległości narodowéj. Jak w Krasickiego bajce hipokryta:

„Krzyknął na psa że wściekły, w punkcie go zabili.“

tak i tu hipokryza znalazła dla swojéj wygody usprawiedliwiający pozór. Była w tém niejaka loika politycznéj zbrodni — ale w sprowadzeniu Stanisława Augusta do Petersburga, aby robić zeń widowisko upośledzające głowę koronowaną — przebijał się prawdziwy sankiulotyzm w purpurze. — Mogło to pochlebiać dumie autokraty, acz do reszty zabijało principium. Na nieszczęście próba odbyła nię na człowieku słabego charakteru i woli, którego mniéj bolała strata korony i spoddańczenie narodu, niż żeby się widział pozbawionym dobrych obiadów, przyjemnego towarzystwa salonów, utworów sztuki i ceremoniałów dworskich, w których nieraz smutną odgrywał rolę. Czytając owe listy, czy buletyny, pisane w ciągu rocznego pobytu w Petersburgu, doznaje się takiego wrażenia, jakby to był nie zdetronizowany monarcha, ale jakiś diletant przybywający drugi raz do Petersburga, aby dopełnić przed czterdziestu laty zaczętych studyów nad towarzystwem, dworem, dziełami

sztuki, gmachamy i instytutami téj stolicy. Śmieszne honory, karykatura jakiegoś dworu, przyjemnostki artystyczne, a do tego wszystkiego kłopoty finansowe — oto treść tego ostatniego rozdziału w życiu ostatniego polskiego króla! Z któréj strony obrócisz go, nie napotkasz, przy najlepszéj woli, jednego rysu bohaterskiego. Człowiek ten, żeby nieuchybić przyzwoitościom etykiety, żeby utrzymać się w atmosferze perfumowanego salonu, zapomniał że jest sąd historyi, że są powinności przywiązane do korony, nawet gdy ta zdartą zostanie.

Takie wrażenie zostawiają te jego listy. Wprawdzie noszą one cechę półoficyalną, głównie z téj przyczyny, że są pisane pod trwogą aby nie były czytane. Gdyby nie ta obawa, może wymknąłby się niejeden sarkazm na dwudziestokilkostopniowy mróz podczas *wachtparady*, święcenia Jordanu, lub innéj uroczystości, na któréj król musiał się stawić, i udawać że mu nie zimno, kiedy carowi ciepło; może niejedno wyznanie ciężkich upokorzeń wycisnęłoby mu łzy, lub oblało rumieńcem wstydu; lecz tego wszystkiego nie znajdzie w tych listach; ledwo wytężonym domysłem można się czegoś dorozumiewać, a i to nie ma poparcia

w jakimkolwiek usiłowaniu, do wyjścia z tego stanu poniżenia...

Zdawałoby się że powiedział sobie: raz podpisawszy wymuszoną abdykacyę, zkąd wyszedłem, tam wracam; z łaski Katarzyny zostałem królem, z jéj woli tracę koronę; od syna więc należy mi się chleb łaskawy. I zrezygnowany, poprzestał na łaskawym chlebie — tając jakby grzech śmiertelny, przykry nieraz stosunek i doznawane upokorzenia.

Nie sposób, żeby Stanisław August nie czuł i nie widział od czasu wyjazdu z Warszawy, że stał się więźniem pólitycznym. Za takiego uważali go wszyscy, a i dwór rosyjski nie obwijał w bawełnę. Przecież na kongresie wiedeńskim gdy Rosya napierała na odebranie Saxonii Fryderykowi Augustowi, a Talleyrand przedstawiał Alexandrowi, że król saski nie może dobrowolnie dać sobie wydrzeć berła — odrzekł mu tenże: „*En ce cas le Roi périra en Russie. Ce ne sera pas le prémier roi, qui y sera mort prisonnier! Stanislas Auguste a eu le même sort.*“ (W takim razie król zginie w Rosyi. Niepierwszyto z króli, co tam umarł w niewoli! Stanisław August doświadczył tego).

Wzniosły charakter więźnia byłby rehabilitował

Poniatowskiego; a mógł dostąpić tego zaszczytu, obstając przy swoich prawach. Wprawdzie certował się trochę w Grodnie — lecz na to, by wytargować sobie złote kajdany!

Dla skompletowania epizodu cofnijmy się do chwili upadku powstania Kościuszki, a przekonamy się, że strata korony i państwa nie wywarła na samolubnym królu tego wrażenia, jakiegoby doznał nawet człowiek prywatny, gdyby go wyzuwano z mienia i dostojeństwa. Każda mniéj bierna istota, byłaby się przynajmniéj zdobyła na energiczną protestacyą, jeżeli nie na krok godny najwyższéj głowy narodu. Po katastrofie Maciejowickiéj, Suworow wszedłszy do Warszawy zaniósł królowi rozkaz carowéj, aby gotował się do opuszczenia stolicy, i przeniesienia rezydencyi do Grodna... Król zwyczajem swoim jakiś czas ociągał się, a chcąc zasłonić się przed naciskiem nalegań Suworowa, pobudzał lud przez swoich stronników, rozpuszczając wieść jako po jego wyjeździe rzeź nastąpi, w skutek czego tłumy się zbiegły na dziedziniec zamkowy i tam kładąc się mostem przed końmi i karetami, nie puszczały ukochanego króla. Podejrzliwy Kitowicz w ten sposób tłumaczy tę manifestacyę mieszkańców Warszawy; mniemam

jednak, że podejrzywa niesłusznie. Lud niepuszczał króla, bo widział w nim ostatni promyk exystencyi narodowéj; póki on siedział w zamku królewskim, dopóty Polska istniała urzędownie jako udzielne mocarstwo. Nie była to więc nastrojona manifestacya, ale instynktowa zachowawczość grodła, w którem uosabiało się państwo. Kitowicz w oburzeniu się nie umiał dopatrzeć naturalnéj przyczyny w owym objawie uczuć, i przypisał ją pokątnym poduszczaniom i plotkom; aczkolwiek podczas powstania Kościuszki, jak sam to powiada, gdy pewnego razu król wyjechał na Pragę, powstał niezmierny rozruch w Warszawie na wieść o jego ucieczce do Moskwy; dopiero kiedy go ujrzano konno wracającego do zamku uspokojono się śród okrzyków: Niech żyje król!

Pojmuję tedy owe niepuszczanie ze stolicy króla, konfiskowanego przez wroga; króla, z którego usunięciem upadał jeden tytuł do politycznego istnienia narodu. Teroryzm Suworowa położył koniec tym objawom ludu. Królowi dano termin do wyjazdu, zaliczono 13 tysięcy dukatów na drogę, i przykazano niebrać nikogo z familii.

Dnia 7 stycznia 1795 opuszczał Stanisław August Warszawę. Do pojazdu wsiadł z nim mar-

szałek dworu Kicki i szambelan Trembecki. Przez miasto jak opowiada paź jego Sagatyński — orszak postępował wolno dla wielkiego natłoku ludu. Eskorta moskiewska odmieniała się na każdéj stacyi pocztowéj. Tak dojechał do Grodna gdzie go przyjmował jenerał-gubernator tych prowincyi książe Rupnin i dodał mu asystencyę z gwardyi rosyjskiéj. — Z czasem pościągała się tam jego familia, w któréj gronie oddawał się zwykłym rozrywkom, zapewne więcéj umysłowym, jak czytanie i konwersacya — nie zaś hucznym biesiadom, balom, teatrowi i koncertom, o co go niewiem czy słusznie pomawia Kitowicz, dość bowiem przeczytać ustęp z Pamiętnika Karpińskiego, który go w Grodnie odwiedzał, a chociaż nie liczył się do admiratorów króla, nie mógł przecież czego innego napisać jak prawdę.

„Pojechałem do króla sprowadzonego do Gro„dna, — pisze Karpiński — i po opowiedzeniu się „przez szambelana w kilka minut przyjść mi do sie„bie pozwolił. Zastałem go samego, i zobaczywszy „mię zalany obfitemi łzami, rzecze: „„Błysnęło „nam szczęście i jakże prędko zupełnie zniknęło.“‘ „Cieszyłem go jak mógłem, ale myśliłem, że i ty „królu do tego nieszczęścia przyłożyłeś się. —

„Puścić mię niechciał więcéj tygodnia z Grodna,
„gdzie wieczory z nim smutnie przepędzaliśmy."

Trafne daje on zdanie o królu przytaczając rozmowę swoją z księciem Cycyanowem, z którym rozgadawszy się o upadku Polski, gdy książe badał go, coby było przyczyną téj zguby, odpowiedział mu: „Przyczyna cała że u was w Rosyi kobiéta królem, a u nas w Polsce król kobiétą."

Aczkolwiek Stanisław August słabego był serca, i dla samolubnych nawyczek, często mijał się z godnością, to z drugiej strony w najwyższych warstwach narodu zakradło się tak bezwstydne zobojętnienie na los ojczyzny, że rzeczywiście nie można wszystkich win zwalać na niego jednego. Karpiński opowiada z goryczą o bałach w Grodnie dawanych u Repnina, gdzie obywatelstwo sproszone szalało do upadłego, toż samo o balach w Wilnie, gdzie tylko jedna pani Gorecka odrzekła z godnością pytającemu ją jenerałowi dla czego nietańczy: „Czegoż wpan chcesz, ażebym na pogrzebie mojéj matki ojczyzny tańczyła?" — A oweż częste odwiedziny magnatów w Grodnie czy może miały cel okazania współczucia wywiezionemu monarsze, dodawania mu ducha, lub radzenia o ratunku sprawy narodowéj? bynajmniéj; jedni przyjeżdżali

prosić go o rekomendacyę do carskiego dworu, inni przybywali wyjednywać sobie ordery, i nadużywając słabości króla, wytargowywali od niego patenta na order Ś. Stanisława z dawniejszą zmyśloną datą.

W takiem otoczeniu małość charakteru i bierność usposobienia w królu, nie mogła się zdobyć na krok odpowiedni wyjątkowemu położeniu, a tem mniéj podnieść się do wysokości ofiary. Najwięcéj jeżeli dawał ucho namowom niektórych członków swéj familii i znaczniejszych dworzan. Że były takie namowy, a raczéj że różne układano projekta do ucieczki za granicę, do Wenecyi, nareszcie do Rzymu, tego dawnego przytułku wszystkich pretendentów i głów zdetronizowanych, pokaże się to z niektórych natrąceń Kitowicza: „W czasie pobytu w Grodnie, — mówi jego Pamiętnik — król używał pojazdem ulubionego spaceru za Niemnem; lecz książe Repnin, jego stróż anioł, bojąc się by król nie dał drapaka za bliską granicę pruską, kazał most zrzucić, aby mu zagrodzić drogę do wycieczek w tamtą stronę. Postrzegłszy to król, zdyssymulował, nic nie mówiąc do nikogo i obrócił swój spacer w inne miejsce.“

Widocznie, Stanisława Augusta uważano jak

więźnia stanu. Rosya obawiała się przedewszystkim intrygi pruskiéj, któréj narzędziami w jéj mniemaniu byli stronnicy Konstytucyi 3 Maja. Siewers, ów główny autor drugiego rozbioru, teraz usunięty z posady pełnomocnika carowéj w Polsce, z powodu intrygi Zubowych, czuwał z amatorstwa nad sprawami Polski, i z domowego gniazda Bauenhoffu, ciągle dawał ostrzeżenia Katarzynie, stósownie do doniesień odbieranych od jawnych i skrytych stronników Moskwy, jak: sekretarz królewski Friese, jak Fryderyk Moszyński i Mannuzzi. Otóż w jednym liście (25 stycz. 1795) tak się wyraża: „Król ma być otoczony (w Grodnie muszarami) to jest adjutantami, kamerdynerami sprzyjającemi Konstytucyi i nieprzyjaznemi Rosyi; głową ich jenerał Gorzyński, marszałek królewskiego dworu, chociaż właściwie Bezborodko ustanowiony jest tym marszałkiem. Dla tego mam sobie za obowiązek oświadczyć W. Cesarskiéj Mości, że ów Gorzyński pod każdym względem do niebezpiecznych należy, jako oddany zasadom 3 Maja; oprócz tego majątek ma w pruskim kordonie, był dowódzcą ułanów ulubionego regimentu króla, i szefem bióra wojennego, jak również przedaży patentów. Traktowałem go dość ozięble,

i dałem mu do zrozumienia, żeby się oddalił od dworu (na sejmie grodzieńskim). Pozwoliłem na sprzedaż obu jego urzędów, co miało być pokryte funduszém wojskowym. Król lubo mi bardzo za to dziękował, nie puścił gō od siebie, i w biórze zatrzymał. Dałem mu do zrozumienia aby wyjechał; i wtenczas to wpadłem na trop wyraźny jego znoszenia się z ministrem pruskim. Odjechał ale wrócił zaraz do Warszawy, skoro się dowiedział o mojem odwołaniu z poselstwa. Czyżto nie dość aby go odsunąć? Wielki koniuszy dworu Kicki nie więcéj wart od niego; mniemam przeto że i on oddalony być powinien. Z razu chciałem napisać o tem do księcia Repnina; lecz w końcu zdecydowałem się uwiadomić wprzód W. Cesarską Mość.

„Winienem jeszcze dodać, że ze względu na oświadczenie księcia Repnina i przysięgi (zapewne homagialnéj) o jakiéj pisała gazeta hamburska — król niepowinien ani chwili zostawać w Grodnie, ani w staréj Polsce. — Niepotrafi się on oprzeć żadnéj intrydze, i każdemu da się powodować. Podług mego zdania tylko w Orlu lub Woronežu, można go trzymać bezpiecznie: bo Kijow lub Smoleńsk byłby za nadto blisko.“

W innym liście polecając Katarzynie jadącego do Petersburga Fryderyka Moszyńskiego, powtarza to samo: „Jeżeli Wasza Ces. Mość dasz posłuchanie Moszyńskiemu powtórzy to samo, co mówię, że króla, którego znana jest słabość i skłonność do intryg, czemprędzéj wysłać potrzeba."

Wszystko to się działo w ciągu traktowań trzech dworów o zatrzymanie Warszawy; dała więc jéj gubernatora, bardzo ludzkiego człowieka, jenerała Buxhowdena, który we wszystkiem dogadzał obywatelom, ale czujny Siewers ciągle ostrzegał o niebezpieczeństwo od Prus. W jednym liście radzi wypędzić z Warszawy wszystkich zamiejscowych, a mianowicie abszytowanych oficerów, nareszcie żydów, których w czasie czteroletniego sejmu napłynęło do 15 tysięcy. „Wszyscy oni mają więcéj pociągu do Prus niż do Rosyi, ponieważ najwięcéj z Wielkopolski pochodzą." W inném miejscu znowu oświadcza się z radą: „Mówiłem już W. Ces. Mości, że zupełny podział Polski jest nieodzowny, że Rzeczpospolita, lub jakieś nieoznaczone państwo, będzie jabłkiem niezgody, z którego dwóch skorzysta z uszczerbkiem trzeciego, a tym trzecim jest Rosya, któréj wzrost

olbrzymi budzi zazdrość w mocarstwach europejskich. W. Ces. Mość pojmujesz w mądrości swojéj, ile wypada w obecnéj chwili poświęcić dwom sąsiadom. Z Prusakiem jako najłakomszym i najchytrzejszym trzeba się mieć na ostrożności — od Prusaka niech graniczy rzeka, lub prosta linia — lub téż niech żadnéj nie będzie granicy.“

Tymczasem traktat między trzema sąsiadami stanowiący o ostatecznym rozbiorze Polski zawarty został 24 października 1795 r. w Petersburgu. — W miesiąc potém na d. 25 listopada, Stanisław August podpisał akt abdykacyi. Dokument ten brzmi w tych wyrazach:

My Stanisław August, z Bożéj łaski król polski, W. Ks. litewski etc.

„Nie szukając w ciągu królowania naszego innych korzyści lub zamiarów, jak stać się użytecznym ojczyźnie naszéj, byliśmy także tego zdania, iż opuścić należy tron w okolicznościach, w których rozumieliśmy, że oddalenie nasze przyłoży się do powiększenia szczęścia współziomków naszych, lub téż przynajmniéj umniejszenia ich nieszczęścia; przekonani teraz, że pieczołowitość nasza na nic się ojczyźnie nie przyda, kiedy nieszczęśliwa zdarzona w niéj insurekcya pogrążyła

ją w teraźniejszy stan zniszczenia, i rozważywszy, że środki względem przyszłego losu Polski koniecznie potrzebne z powodu naglących okoliczności, a od Najj. Imperatorowéj Wszech Rosyi i innych sąsiedzkich mocarstw przedsięwzięte, jedynemi są do przywrócenia pokoju i spokojności współobywatelom naszym, których dobro było zawsze najmilszym przedmiotem starań naszych; — postanowiliśmy przeto, z przywiązania do spokojności publicznéj, oświadczyć, tak jak téż niniejszym aktem ogłaszamy, *że wolnie i z własnéj woli* wyrzekamy się bez ekscepcyi wszelkich praw naszych do korony polskiéj, do Wielkiego Księstwa Litewskiego i innych należących do nich krajów, jakotéż znajdujących się w nich posesyi i przynależytości. — Akt ten uroczysty abdykacyi korony i rządu Polski w ręce Najj. Imperatorowéj Wszech Rosyi składamy dobrowolnie i z tą rzetelnością, która postępowaniem naszém w całém życiu kierowała, zstępując z tronu dopełniamy ostatniego obowiązku królewskiéj godności, zaklinając Najj. Imperatorowę, ażeby macierzyńską swą dobroczynność na tych rozciągnęła, których królem byliśmy, i to wielkości jéj duszy działanie, wielkim swym sprzymierzeńcom udzieliła. Akt niniejszy dla większego

waloru podpisaliśmy i pieczęć nań naszą wycisnąć rozkazaliśmy.

Działo się w Grodnie d. 25 listopada r. 1795 a r. 32 panowania naszego.

Stanisław August, król.
Stanisław kniaź na Kozielsku Puzyna.

Sądząc z tego oficialnego aktu, możnaby wnosić, że Stanisława Augusta nic a nic nie kosztowało to zrzeczenie się praw do tronu. *Wolnie z własnéj woli*, *uroczystym aktem* abdykując *z przywiązania do spokojności publicznéj* — sam siebie obelżył kłamstwami w oczach potomności. Nacisk ze strony interesowanéj musiał być potężny, kiedy tak poniżające wywołał oświadczenie. Wielka szkoda, że który z obecnych świadków niespisał tych scen przejmujących, jakie mogły się zdarzyć w ciągu traktowań. Siła szczegółów wiadomy Kitowicz powiada: „że Katarzyna napisała do niego bilet, „aby złożył koronę; a on przeczytawszy go, zem„dlał, ruszyły go wymioty itd. Natura chciwa pa„nowania przynajmniéj nad ziemi kawałkiem obszer„ności kapelusza, walczyła z żalem, wstydem i roz„paczą przez trzy dni itd.“

Kitowicz w rozżaleniu swojém przypisuje mu tylko *chęć panowania*. Zapewne mogła i ta po-

budka powodować tym próżnym i słabym duchem; ale i to pewna, że znaczenie polityczne z państw wyzutego króla, dopóki się praw swych niezrzekał, było niezmiernym kłopotem dla mocarstw zaborczych, a głównie dla Rosyi. Postęp zwycięskiéj rewolucyi francuzkiéj zasypującéj Europę gruzami tronów, namnożył tylu królów tułaczów wyglądających restauracyi, że w ich liczbie mogłoby się znaleść miejsce i dla Stanisława Augusta; legitimizm bowiem protegowany przez mocarstwa rewolucyi przeciwne, wchodził w rachubę jako zasada; chociaż takowa w tym przypadku przez samych obrońców legitimizmu pogwałconą została.

Czy z własnego natchnienia, czy z życzliwéj namowy, zamyślał nieszczęśliwy król wyjechać do Wenecyi lub Rzymu — pokazuje się jednak, że do wykonania tego stanowczego kroku brakło mu energii i woli; zresztą póki się całkowicie niesplamił wymożoną abdykacyą na sobie, ucieczka z Grodna miała swoją ważność polityczną; po abdykacyi, nie miała żadnéj; bo nawet nie osiągała tego celu, dla którego poświęcał swoje prawa, to jest spłaty prywatnych długów zaręczonéj przez trzy

mocarstwa, a mającéj być wynagrodzeniem za ten akt.

Całe nieszczęście, że Stanisław August zawsze zapominał czem był, i to w stanowczych chwilach, a ciągle uważał na siebie jak na prywatną osobę. Prywatne jego długi, wprawdzie ogromne, bo podane na 40 milionów złp., budziły w nim tyle skrupułów, tak go niepokoiły, że dyplomacya moskiewska poznawszy tę jego słabą stronę, wiedziała jak w nią uderzyć. Komarzewski w dziele swojém: *Coup-d'oeil rapide sur la décadence de la Pologne* (á Paris 1807) nie inną naznacza przyczynę podpisania aktu abdykacyi.

„Jenerał gubernator Litwy (Repnin) stósownie „do wyrażonego rozkazu Carowéj, przyniósł kró„lowi do podpisu (25 listopada w rocznicę jego „koronacyi) akt zrzeczenia się tronu; krok ten „zmartwił go niesłychanie; opierał się stanowczo, „lecz położenie było okropne. Wydatki porobione „przez króla dla dobra kraju; sumy wysypane na „utrzymanie wpływu dworskiego w sejmach i sej„mikach, koszta na ajentów dostarczających wia„domości o sprawach publicznych i tych co czu„wali nad bezpieczeństwem królewskiéj osoby; — „nakoniec ogromne straty poniesione w zamieszkach

„krajowych — wszystko to napędziło mu długów, „bez sposobu zapłacenia ich, lub wynagrodzenia „wiernych sług. Owóż jenerał-gubernator Litwy „stanowczo oświadczył królowi: „„Jako ani długi „jego osobiste spłacone, ani przyszły los jego, los „rodziny zabezpieczony nie będzie, jeżeliby wzbra„niał się podpisać abdykacyi.““ Zastanowiwszy się „tedy, że odmawiając podpisu, mnóstwo osób po„grążyłby w nędzę, zdecydował się podpisać. — „Czyliż takie postępowanie — zapytuje Koma„rzewski — nie jest jasnym dowodem, że król „bynajmniéj nie pokrywał gwałtu Carowéj, i że „w porozumieniu się z nią nie zdradzał Ojczyzny?“

Ostatnie te wyrazy w tekście są podkreślone, co pokazuje, że były echem publicznéj opinii. Być może, że opinia myliłasię, ale to pewna, że czuła niepolityczną nikczemność tego kroku, niedającego się niczém uniewinnić, nawet namowami i insynuacyami złych patryotów ciągnących do Petersburga, i zawadzających zawsze o Grodno, aby przy blasku dogorėwającéj królewskości upiec swoją pieczeń, a razem téż oddać jaką usługę Moskwie. Fryderyk Moszyński w liście do Siewersa (z 9 grudnia 1795) niezapomina pochwalić się z usłużności swojéj w skłonieniu króla.

„Dopomogłem tu — pisze on — do dokończe-„nia tych układów, do których, jak sobie Wpan łatwo „wystawisz, przyjść musiało, a które prawdopodo-„bnie wkrótce ogłoszonémi zostaną. Gdy bowiem „wszystko załatwione, pokończone, uporządkowane „i podpisane, a nawet potwierdzone, trzeba było „skończyć na tem. Mówią, że myślą o ulżeniu „doli, dostarczając wszystkiego co potrzeba.“

Ostatnie te wyrazy haniebnym są komentarzem! A więc obawa złéj doli, bojaźń, żeby czasem niebrakło na dobry obiad — zniewoliła do podpisu!!...

W roku 1797 na dniu 15/26 stycznia, już za imperatorstwa Pawła, stanęła konwencya między trzema dworami o zapłacenie owych nieszczęśliwych długów królewskich. Paragraf czwarty tak w téj mierze opiewa: „Co się tyczy długów, które summą 40 milionów są udeterminowane, te na pięć części podzielone będą, z których dwie piąte części Naj. Imperator Wszech-Rosyi, $^2/_5$ Naj. Król Pruski, a $^1/_5$ część Naj. Cesarz Rzymski biorą na siebie tak, iż gdy wspomniona wyżéj komisya prawność i rzeczywistość długów pozna, części ich podług rzeczonéj repartycyi mają być zapłacone.“

Komisya ta zebrała się w Warszawie w tymże samym roku. Były z nią niemałe trudności; w ciągu likwidacyi niejedna pozycya położona przez fawor królewski, nie mogła się utrzymać, z czego przybywało siła frasunku, a nawet jak to doktor Beckler daje do zrozumienia w liście donoszącym o śmierci króla, szykany ztąd wynikłe, zabiły nieszczęśliwego pana.

Kwestya polityki raz przerzucona na pole prywatnego interesu, nieocaliła ani dobréj sławy, ani téż nieprzyniosła takiego owocu, żeby go w spokojności spożywać było można. Jedyny to morał jaki z tego wypadku da się wyprowadzić, chociaż sam fakt najwymowniejszą jest krytyką elekcyjnego tronu. Ów Elekt, ów Piast ostatni, znika z widowni świata bez odgłosu, bez protestacyi, bez argumentu. Żadna dynastya nieznikła nigdy, jak historya historyą, w sposób tak nieznaczący. Dynastyom towarzyszy idea przez wszystkie koleje zmiany losu — z Elektem poszło tylko zaspokojenie żołądkowych potrzeb, uosobione w pierwszym ministrze kuchni — sławnym Tremonie...

Niedługo po śmierci Katarzyny, Paweł napisał własnoręczny list do exkróla, o który podobno postarała się familia, z zaprosinami do Petersbur-

ga, a właściwie na koronacyą do Moskwy. Król trwał niby w chęci wyjazdu do Rzymu, ale pani Grabowska, tajemna jego żona, wymogła na nim, żeby się niesprzeciwiał, rachując wiele na wspaniałomyślność Pawła, sprzyjaźnionego z królem jeszcze od wizyty w Wiśniowcu, a najprędzéj z obawy utracenia 200 tysięcy dukatów rocznéj pensyi, przeznaczonéj przez dwory na utrzymanie królewskie.

„Tak więc — pisze Kitowicz — po dwuletnim pobycie królewskim w Grodnie, książę Repnin sporządził spis osób mających jechać z królem do Petersburga, i wyznaczył termin wyjazdu. Z listy téj wyłączony był koniuszy koronny Kicki, który swym wesołym humorem króla rozerwać umiał. Prosił król za nim, ale napróżno! — Na zaspokojenie wielkich długów królewskich posprzedawano ruchomości i kosztowności, jako to: naczynia srebrne starożytnéj roboty, puhary, rostruchany, dzbany z wieków Zygmuntów; nadto siodła, czapraki, dyftyki, munsztuki drogiemi kamieniami wysadzane; mnóstwo sreber i drogich kamieni, szmaragdy, szafiry, rubiny, turkusy, sprzedano do Hamburga żydom.“

Szkoda, że Kitowicz robiąc wzmiankę o téj

sprzedaży kosztowności, nie położył daty. Jeżeli bowiem stało się to nim nastąpiła konwencya między trzema dworami co do spłaty czterdziesto-milionowego długu, i opatrywania króla pensyą 200 tysięcy dukatów, krok ten tłumaczyły okoliczności; lecz jeżeli przed samym wyjazdem z Grodna, kiedy konwencya była już zawartą, lekkomyślność w zaciąganiu długów była nie do przebaczenia. Zdaje się jednak, że rozrzutność i nieład w wydatkach cechowały dwór Stanisława Augusta, kiedy po roku pobytu w Petersburgu nowe, niemałe zostały po nim grzechy. Z tego, co Karpiński opowiada o expensownem życiu w stolicy carów wnosić można, że nieodmawiał sobie żadnéj fantazyi; między innemi: „do cudzéj już Warszawy posłał kilka bryk „z Petersburga po mąkę pszenną marymoncką, jak „gdyby się urągał żywiącym go Moskalom, że mąki „dobréj nie mają. Ale niejadł już z téj mąki chle„ba: bo kiedy dopiero do Grodna przyszła, on ży„cia nieszczęśliwego dokonał.“

Ciągłe świecenie się u dworu, udział w nieustannych festynach i paradach, świetne biesiady i wieczorynki u siebie, pociągały za sobą ogromne wydatki. Dwór exkróla musiał rad nierad gasić wystawne życie bojarów. Listy do Bacciarellego

najlepiéj komentują jakiego rodzaju bywały zabawy i co się wydawało na wystąpienia i przyjęcia.

Czy po za programem tych wystąpień i artystycznych peregrynacyi stała jaka poważniejsza myśl, trudno odgadnąć. Zapewne na złych planach nie brakło; roją się one zazwyczaj w bezczynnem oczekiwaniu. Kitowicz opisując pobyt króla w Petersburgu powiada, że w Nowy Rok 1798 przybył do niego imperator z powinszowaniem i długo z nim rozmawiał. Poczem król z twarzą wypogodzoną szedł do otaczających go Polaków i rzekł: „Przecie sprzykrzyło się losowi prześladować nas dłużéj; wkrótce zobaczymy Warszawę jako stolicę odzyskanéj Ojczyzny.“ — Ciekawa rzecz, ile w tem prawdy? Jednakże prawdopodobieństwo być może o tyle, o ile wiadomo, że Repnin posłany do Berlina, gdy naciskał króla pruskiego do ligi przeciw Francyi, a ten unikał decyzyi, rzekł doń w oburzeniu wcale niedyplomatycznóm: „Albo z nami królu, albo przeciw nam!“ na co obrażony król pruski miał odpowiedzieć: „Jestem udzielnym monarchą i nikt mi prawa dyktować nie będzie; papamiętaj książę, że to Berlin, nie Warszawa i nie Cieszyn, żebyś się w takim tonie odzywał.“ Misya Repninowska dość ochłodziła stosunek dwóch

na grobie Polski sprzyjaźnionych dworów; — porywczy Paweł mógł więc nagadać coś Poniatowskiemu o odebraniu Warszawy z rąk pruskich i o jego restauracyi. Taka obietnica nic niekosztowała, a zawsze zysk'wała się opinia u łatwowiernych, tylekroć późniéj wyzyskiwana przez politykę rosyjską, mydlącą oczy projektami odbudowania Polski.

Jaki powód był śmierci królewskiéj? — list Becklera dosyć jasno naznacza i to w terminach medycznych. Głos jednak publiczny przypisywał przeziębieniu. Król assystując wielkiéj ceremonii święcenia Jordanu, odprawianéj w największe mrozy, a dla przypodobania się carowi assystując bez futra przez trzy godziny, przeziąbł i odtąd na zdrowiu wątleć zaczął. Inni śmierć jego przypisywali truciźnie i pomawiali o to posła pruskiego... co znowu zdawałoby się mieć łączność z projektowaną restauracyą tronu polskiego... Nigdzie tyle nie krąży plotek co na dworze despoty; na nich więc jak na niezbitych faktach budują się najosobliwsze domysły, które z czasem wchodzą do historyi ze stęplem prawdy. Bądź jak bądź, Stanisław August postawił się na takiem stanowisku przed swoim zgonem, że morderstwo dokonane na nim byłoby tylko niepożyteczną zbrodnią...

Na samym końcu, jako dopełnienie Petersburgskiego pobytu, dodany jest opis pogrzebu nieszczęśliwego króla. Zdawałoby się, że Paweł zabrawszy mu wszystko, nie powinien był żałować ostatniéj expensy. — Tymczasem Kitowicz podaje ciekawy szczegół. Powiada on, że car w nagrodę kosztów pogrzebu, narzucił kontrybucyą po rublu z dymu na te wszystkie województwa, które od Korony Polskiéj i W. Ks. Litewskiego przez ostatni podział pod jego panowanie odpadły. Odpadło zaś dymów 692,828; a to podług wyrachowania w tabeli Moszyńskiego, sekretarza W. Ks. Lit. sejmującym stanom dnia 19 Kwietnia 1790 r. do uwagi podanéj, a z rejestrów skarbowych pracowicie wyciągnionéj. Zatem wybrał car 692,828 rubli, dając przyczynę, iż gdy to był pogrzeb króla polskiego i w. ks. lit., zatem Polacy i Litwini powinni koszta ponosić. Jakkolwiek tedy obrzęd pogrzebowy był suty i okazały, niekosztował nigdy nad połowę téj summy, — co więcéj niż o połowę zmniejsza wspaniałość carską i do rozmiarów prostéj komedyi sprowadza owe pompatyczne ukoronowanie trupa tą samą koroną, którą zdarto żywemu. —

Czy zgon Stanisława Augusta sprawił w kraju

wrażenie? — godzi się powątpiewać; bo choć było wielu bliższych mu, co mogli go żałować i dla rzeczywistych przymiotów, któremi byłby świetniał w spokojniejszych okolicznościach — ogół narodu obojętnie przyjął tę stratę. — Że tak było, można wziąść miarę ze słów przytoczonych przez Komarzewskiego, a wyjętych z jakiegoś współczesnego pisma, jakoby Stanisław August: *umarł bez wzbudzenia najmniejszego interesu, a nawet litości* — przeciw czemu protestuje Komarzewski i zasłania się listem pewnéj znakomitéj damy, nieszczodréj w próżne pochwały, a któréj dziad, pierwszy minister Augusta IIIgo, miał wiele do zniesienia od wujów króla (Czartoryskich).

Znakomitą tą damą byłażby p. Szczęsnowa Potocka z domu Mniszchowna, bawiąca wówczas w Petersburgu? — Być może; przytaczam list jéj jako wyraz opinii osobistéj, lub małego kółka; co nie jest jedno, żeby miał być wyrazem powszechnego zdania.

„Byłam naocznym świadkiem okropnego widoku. Król tknięty apoplexyą pasując się ze śmiercią przez całą dobę, żyć przestał! Będąc obecną wszystkiemu, ponieważ tego dnia niewychodziłam prawie z pokoju jego, widziałam jak robiono, co

tylko się dało, by go zachować przy życiu. Już od pewnego czasu przeczuwał on bliskość śmierci, i sposobił się do niéj w duchu chrześciańskim. — Śmierć niezmieniła go nic a nie na twarzy tchnącéj wewnętrznym spokojem. Wszyscy go tu żałują. Lubo nienawiść do królewskiéj rodziny wpajano mi od dzieciństwa, lubo zbieg innych okoliczności długo oddalał mię od niego; jednakowoż wzruszona jego położeniem, wzięłam sobie za powinność często odwiedzać go, co mi dało sposobność poznania go lepiéj. Pan ten, zawierz mojemu słowu, miał najlepsze serce; lecz chętka zobowiązywania sobie wszystkich i świadczenie dobrodziejstw narobiła mu najwięcéj złego. Pełen dowcipu i nauki, jeżeli popełnił jaki błąd, to jedynie z łatwowierności, dając się oszukiwać ludziom złéj wiary. Szczerémi łzami opłakałam go, i zapewne żal był po nim powszechny, albowiem niepodobna przypuszczać, aby śmierć nieszczęśliwego w czyjemkolwiek sercu zostawić mogła jad nienawiści.«

Jak powyższy list, tak wiele innych pism i ustnych świadectw osób współczesnych zgadzają się co do szlachetnych i ujmujących przymiotów tego króla, szczególniéj w obrębie stosunków prywa-

tnych — to jednak niebroni go przed sądem historyi. —

Ferrand, znany historyk trzech zaborów streszczając jego zawód królewski, tak mówi: „*Aprés avoir porté sans gloire une couronne qu'il avait achatée sans remords, il la vendit sans pudeur, et mit le comble á son abjection, en allant mendier son dernier asile dans le nouveaux Etats de cette même Catherine, dont il était le jouet depuis trente ans.*"

W zdaniu tem ledwo kilka wyrażeń możnaby złagodzić; zresztą trzeba je przyjąć w całéj szorstkości. Wspomnione Pamiętniki Stanisława Augusta, jeżeli tylko pisane w duchu prawdy, jak spowiedź przed Bogiem z najskrytszych pobudek, jedne Pamiętniki tego króla, mogłyby przyczynić się do zmodyfikowania tego sądu, lub też utwierdzenia się w nim nieodwołalnie. Wszystko, co dotychczas publikowano o nim, a mianowicie z współczesnych źródeł i dokumentów, nie mogło go jeszcze zrehabilitować w oczach potomności.

ZAKON KAZNODZIEJSKI.

Znaczenie Zakonów. — Dante o S. Dominiku. — Krucyata przeciw Albigensom. — Albert Wielki. — S. Tomasz z Akwinu. — Campanella i jego Sonet o Polsce. — S. Jacek i Czesław Odrowążowie. — Zasługi Dominikanów w Polsce. — Odparcie zarzutów przeciw Inkwizycyi S. —

I.

Instytucye zakonne, tak samo jak człowiek, mają porę siły i kwitnienia, porę słabnięcia i upadku; gdy jednak człowiek nie odmładza się na starość; to zestarzały zakon może się odmłodzić, jeżeli czuje w sobie tę potęgę wiary, co stwarza cuda, jeżeli nowéj broni użyje na nowych nieprzyjaciół, słowem, jeżeli zechce się odrodzić kwoli dzisiejszych potrzeb, z całą jędrnością dawnéj, nieprzemiennéj treści.

To pewna, że jak zakony powstawały przez mężów wysokiego ducha, świętości, nauki, podo-

bnie téż i odrodzonemi być mogą. Za naszych dni widzieliśmy jak zakon Ś. Dominika ożył w księdzu Lacordaire, mężu wielkiego ducha, co dar wymowy mogącéj świetnieć u kratek, lub w parlamencie, naukę mogącą mu dać sławę i godności świeckie, ukrył pod biały habit, i tym sposobem zakon we Francyi, od czasów rewolucyi zniesiony, na nowo przywrócił.

Historya wszystkich niemal instytucyi zakonnych przedstawia szereg prac apostolskich, dzielących się bądź na wychowanie społeczeństw, bądź na konserwacye i rozwinięcie nauk, pielęgnowanie cierpiących, poświęcenie się dla drugich, słowem usług oddanych ludzkości i cywilizacyi chrześciańskiéj, w miarę tych potrzeb, jakie wyradzały się w dziejowym biegu. Przedewszystkiem jednak historya zakonu kaznodziejskiego imponuje takim ogromem zasług, i takim zastępem wielkich mężów pod względem świętości życia, nauki i wymowy, że dość ją czytać, aby uchylić czoło przed wspaniałością tradycyi, i wzbudzić w sobie przekonanie, że to, czém dziś jesteśmy i co mamy, winniśmy bezsprzecznie kościołowi cywilizującemu świat w wiekach średnich, i tym niezmordowanym pionierom idei chrześciańskiéj, co z zaciszy kla-

sztornéj biegli między pogańskie narody roznosić światło Ewangielii, a między nawrócone, strzedz téj jedności, od której duch nieustalony odszczepiał się tak łatwo.

Co więcéj, powstające zakony były dla samego kościoła rodzajem heroicznego lekarstwa. Ile-kroć stan duchowny wątlał na siłach, tracił ciepło, nurzał się w zbytkach i lenistwie, tylekroć z jego łona wychodził jaki święty mąż, co dając ze siebie przykład najszczytniejszych cnót, porywał przykładem, i tejże chwili stawał koło niego zastęp dzielnych współpracowników, wprowadzających w życie myśl założyciela.

Pod koniec dwunastego wieku, gdy wielki duch Grzegorza VII. zwątlał w karności kościelnéj, gdy zdobycze krucyat wypadały z rąk zdobywców, a kościół grecki skłaniający się do unii pozostał przy dawném odszczepieństwie — dała się uczuć potrzeba spiesznéj naprawy podejmowanéj tak przez papieży, jak przez mężów wysokiéj świętości, którzy szczególniéj piorunowali przeciw zbytkom i bogactwu księży bawiących się więcéj łowami i rycerskim rzemiosłem, niż modlitwą, pracą apostolską, lub naukami. W tych okresach zapomnienia się piekło stawiało niebezpieczne sieci na ludzi

On z tłumem nie biegł za mądrością świata,
Prawdę ukochał, karmił się jéj manną,
W mądrości ducha gdy dojrzał nad lata,
Zajął się pilnie uprawą winnicy.
Gdy przyszedł poznać majestat Piotrowy,
Co niegdyś wspierał ubogie i wdowy,
A dziś ma dla nich serce kute z miedzi,
(O co ja świętéj nieskarżę stolicy
Lecz raczéj tego, który na niéj siedzi).
Nieżądał płatnych odpustów, nadziei,
By za sześć liczbę dwa lub trzy odliczył,
I niezajętych posad mieć nie życzył;
Ani dziesięcin brał z pola lub broga,
Które należą do ubogich Boga.
Lecz pragnął tylko wojować kacerzy...
On, silny wolą, w apostolstwie szczery,
Jak spadająca ze skały kaskada,
Z opoki Piotra na kacerzów spada;
Gdzie większy opór tam swój prąd natężał,
Kacerskie błędy łamał i zwyciężał.
I z téj kaskady trysnęły poniki
Przy których ścieku, w ich rzeźwiącym chłodzie,
Skroś w powszechnego kościoła ogrodzie,
Odżyły zwiędłe kwiaty i trawniki...

Przytoczyłem ten ustęp z wielkiego wieszcza, aby tym sposobem zbliżyć do nas olbrzymią postać Ś. Dominika. Wszystko bowiem zamknął w tym ustępie i dziecięce lata poświęcone Chry-

stusowi, i wczesne umiłowanie ubóstwa, i zapał w obronie prawdy, i heroizm dobrowolnego wyrzeczenia się ziemskich uciech, i bój przeciw kacerzom, a nakoniec cudowny dar przywiązany do jego duchowéj czeladki, co w krótkim czasie dała życie sześćdziesięciu klasztorom w Europie, a po zgonie założyciela apostolstwo swoje rozszerzyła na wszystkie części świata.

Wiadomo z żywota Ś. Dominika, że pierwszy raz w zawodzie apostolskim wystąpił w krwawéj krucyacie przeciw Albigensom; jednak przelew krwi wielu tysięcy ofiar nie na niego spada, on bowiem walczył tylko słowém bożem, i zwyciężał fałszywą pokorę heretycką, szczerością własnéj pokory, odejmował jéj urok ubóstwa dobrowolném ubóstwem, i tym sposobem wracał kościołowi jego właściwy charakter zręcznie uzurpowany przez odszczepieńców. Mylne zatém są niektórych głośnych nawet pisarzy zarzuty, obwiniające go jakoby był podszczuwaczem okrucieństw dokonywanych na Albigensach, jakoby wreszcie był założycielem inkwizycyi świętéj. Sumienne przejrzenie najwiarogodniejszych dokumentów przekonało, że żadnego udziału niemiał w ustanowieniu inkwizycyi. Tekst dekretu czwartego koncylium Lateranskiego (1215)

powierza poszukiwania o zbrodnie herezyi biskupom i ich delegatom; a chociaż Ś. Dominik znajdował się na tem koncylium, niemasz wcale o nim wzmianki; zaprowadzenie bowiem inkwizycyi było wyłączną instytucyą episkopalną. Dopiero w lat 17 na koncylium w Tuluzie, inkwizycya została powierzona mnichom, a mianowicie Dominikanom, w czem również nie mógł mieć udziału Ś. Dominik, gdy od jedenastu lat już nie żył.

Początek założenia zakonu kaznodziejskiego datuje od chwili, gdy Tuluza otwarła bramy swoje zwycięskiéj krucyacie. Ś. Dominik miał zrazu sześciu tylko towarzyszów podzielających myśl jego, i czujących potrzebę stworzenia instytucyi zakonnéj, odmiennéj od dotychczasowych. — Dotąd życie religijne objawiało się w szkole, w nauce, w extazie, a nawet w usłudze szpitalnéj, lub żołnierskiéj, mieczem broniącéj krzyża. Lecz to nie było dosyć; ostatniego słowa nie wyrzeczono jeszcze; tak przynajmniéj wierzyły dwie najczystsze i najczulsze dusze owego wieku: Ś. Franciszek z Assyżu i Ś. Dominik, i dopełniając czego innym nie dostawało instytucyom, stworzyli zakony żebrzące, rodzaj rycerzy ubóstwa. Ubóstwo otwarte, niewstydzące się, miało się zamienić w dobrowolną

profesyę. Tym sposobem żywot religijny zbliżał się do ludu prostotą i sposobem życia; zakres działalności zakonnéj rozszerzał się jednocząc w sobie naukę mnicha z poświęceniem się rycerza; przykładem i słowem wsiąkała oświata w lud ujęty poszanowaniem okazanem jego ubóstwu, przez co, że tak powiem, pyszny z władzy i bogactw kościół spopularyzował się. Plan tak głęboko pomyślany, urzeczywistnił się w dwóch zakonach: Franciszkanów i Dominikanów. Były to prawdziwe zbrojne zastępy kościoła, zbrojne nie mieczem, lecz żywem słowem; zastępy, co bezpośrednio znosząc się z ludem ugminniały niejako teologiczne prawdy kościoła, dotąd przystępne tylko uczeńszym i wyższym klasom społeczeństwa.

Jak potężną, jak zadziwiającą w następstwach była instytucya Ś. Dominika, jak ogromny udział wzięła w rozwinięciu religijném i umysłowém narodów, i w tylu kwestyach wstrząsających światem, przez ciąg cztérech prawie stuleci, pokazuje dzieło X. Barącza, gdzie szczególniéj do polskich Dominikanów starannie zebrane są daty, i wyliczone słownikowém sposobem wszystkie znamienitości zakonu kaznodziejskiego, tak święci i papieże, biskupi, uczeni, kaznodzieje itd. Są to szacowne

i ciekawe szczegóły; lecz zatrzymywać się nad niemi, wyliczać co autor starannie zestawił, nieodpowiedziałoby przeznaczeniu niniejszéj pracy, mającéj podać sam kwiat przedmiotu. Dla tego dość będzie, gdy uwagę czytelnika zwrócę na główne rysy zakonu, uwydatnione w nieśmiertelnych jego członkach, zajmujących wysokie stanowiska bądź w umiejętności, bądź w wymowie, bądź w rządzie kościoła.

Zaiste czystą, z nieba zesłaną była myśl Ś. Dominika, kiedy tak bujne wydała żniwo, że w nieprzebranym ciągu z cieniów klasztornych, jak z trojańskiego konia, coraz nowe sypały się wielkości i to nie jednostajnego kroju, lecz z całą rozmaitością wielostronnéj wiedzy i jeniuszu.

Ledwo Ś. Dominik zakończył żywot, zjawia się Albert Wielki, owa żyjąca encyklopedya XIII wieku o którym współcześni wydali zdanie: *Magnus in magia, major in philosophia, maximus in theologia.* Aczkolwiek krytyka nowożytna niepodziela bezwzględnie tego sądu, jednakowoż przesądne wyobrażenia Alberta o naukach przyrodniczych, były winą czasu, a nie człowieka. — Zawsze wiara w cudowność, miała zwyczaj poprzedzać umiejętności; mimo tego taki zapał, takie zamiłowanie

przyniósł ten mistrz w badaniu natury, że usiłowania jego nie były dla nauk ścisłych stracone. Jego zoologia i mineralogia, acz pełne niedostatków, zadziwiają ogromem wiadomości najrozliczniéjszych. W filozofii był pierwszym z wielkich komentatorów Arystotelesa; a chociaż potrzebnych nie miał przewodników, aby go dostatecznie wyłożył, to niemniéj dowiódł rozległéj erudycyi. Największą jednak ma zasługę, że przyznając całą wyższość teologii, dla filozofii umiał naznaczyć osobne miejsce i nie odmówić wolności niezawisłéj myśli w dociekaniu prawdy. W teologii rzuca się w drobiazgi i subtelności; bezbrzeżny to ocean, w którym topił trafne niekiedy pomysły. Współcześni nieprzesadzili, nadając mu tytuł: wielki w magii, większy w filozofii, największy w teologii; zwłaszcza jeżeli wspomnimy na najważniejszy szczegół, że był mistrzem Ś. Tomasza z Akwinu, który nauczyciela swego przewyższa jeniuszem oryginalnym i umiejętnością w ścisłe karby ujętą, a chociaż tyle wiedzy ma co i mistrz, wie jednak dokładniéj i umie drugim udzielić. Wielkość téż ludzka dostała się Albertowi; Tomasz z Akwinu otrzymał z nieba czego ludzie dać nie mogą:

świętość i powagę. Trafnie powiedziano o nim: słowo jego starczy za sobór, cudami są jego książki.

Nader to nie podobna rzecz w pobieżnych słowach skreślić ogrom i znakomitość jego pism, mieszczących w sobie cały gmach teologii, najdokładniejszy i najprawowierniejszy. W sławnéj jego *summie*, acz nie skończonéj, traktował z górą dziesięć tysięcy pytań, bądź dogmatycznych, bądź moralnych, objaśniał je, rozstrzygał tak głęboko, tak stanowczo, że nikt z licznych przeciwników jego sławy, nie potrafił dowieść fałszywości choćby jednego rozwiązania. Aby zaś krótko określić charakter filozoficzny Ś. Tomasza, powiemy, że to był zdrowy rozsądek podniesiony do wysokości jeniuszu; rozsądek nieugięty, przenikliwy umiejący panować nad wszystkiemi subtelnościami szkoły, z całą swobodą i wdziękiem, jeżeli o wdzięku może być mowa w tych księgach, gdzie za każdą myślą wlecze się długi ogon sylogistyki. Podobnież w teologii zachowuje to samo piętno oryginalne; umie być śmiałym nie wykraczając z granic ortodoxyi, bo łączy dwa znakomite przymioty: rzutność myśli osobistéj z wiernością objawionemu słowu; żywioł ludzki z żywiołem bożym.

Największego przeciwnika znalazły dzieła Ś. Tomasza w członku bratniego zakonu franciszkańskiego Dans-Szkocie, zwanym *doktorem subtelnym*, obrońcę realizmu, co sprawiło poróżnienie obu żebrzących zakonów wiele wieków trwające, tak, że każdy Dominikanin zawsze był *tomistą*, a każdy Franciszkan *skotystą*. — Lubo wojna ta zabazgrała nie mało papieru kuchenną łaciną i niemało krwi napsuła wzajemnemi gniewami i obelgami w postaci solecyzmów i sylogizmów, nieujęła nic pismom Ś. Tomasza sumującym w sobie wszelką wiedzę średnich wieków i całą naukę kościoła. Słowo jego pozostało wyrocznią.

Długi byłby szereg, żeby wyliczać wszystkie światła zakonu kaznodziejskiego. Wyliczył je X. Barącz w swojem dziele; spotykamy się tam z Ś. Wincentym Fereryuszem, z Taulerem, sławnym mistykiem, Jakóbem z Woraginy, autorem złotéj legendy, Turrekrematą. Las Casesem tym heroicznym obrońcą Indyan, jednym z największych zaszczytów zakonu kaznodziejskiego, kapłanem, co z gorliwością apostoła miał tkliwość dziecka, litość niewiasty wznoszącą się do szczytu wymowy. Nieprzepomniał i o cudownym malarzu fra Angelico da Fiesole o którego obrazach nieskłonny do

pochwał Michał Anioł wyrzekł: „Musiał te postacie wprzód w niebie widzieć, nim je na płótno przeniósł.“ Znajdujemy także wzmiankę o Tomaszu Campanelli autorze Stołecznego miasta, téj utopii socyalnéj pokrewnéj z Republiką Platona i Utopią Morusa. Myśliciel ten, poeta jęczący po neapolitańskich więzieniach przez lat 27 mimo tortur na jakie go brano za mniemane kacerstwa, nieprzestający pisać, a razem pracować nad zrzuceniem jarzma hiszpańskiego — bliżéj obchodzi Polskę z tego względu, że z głębi więzienia bronił systematu Kopernika, a zarazem obwinionego Galileusza; że wreście sonet jeden poświęcił Polsce, który w przekładzie podaję:

Polsko! tyś wyżéj nad królestwa one,
Kędy się berło dziedzictwem osięga —
Ojciec był wielki, lecz syn niedołęga,
Więc na innego przenosisz koronę.

Lecz jakiż pytam, ztąd rośnie pożytek
Jeśli powołasz wyrokiem wyboru,
Jakie książątko zepsutego dworu,
Co ci w dom wniesie rozpustę i zbytek?

Poszukaj raczéj gdzie pod skromną szatą
Numy, Katona, albo Trismegista;
Bóg takie ludzie zwykle chowa na to.

Pod takim władzcą zawsze lud skorzysta;
Bo w nim nie imie, nie ród dawny płątą,
Lecz nieśmiertelne czyny, cnota czysta.

Campanella co do natury pojęć swoich dążących do zreformowania społeczeństwa idzie w prostej linii od Sawonaroli, także Dominikana, o którym niewiem dla czego, nic niepodał X. Barącz? Tauler i Sawonarola, to przecież dwaj najwięksi kaznodzieje a jak wiemy, cechą zakonu Ś. Dominika jest wymowa na usłudze prawdy. Sawonaroli imie tak głośne, tak popularne, że chyba przez zapomnienie wyśliznąć się mogło z pocztu sławnych Dominikanów. Miałżeby autor mieć jaki skrupuł w zaciągnieniu go do listy, za to, że był spalony z rozkazu Aleksandra Borgii? Ależ wielki ten trybun i mówca w obronie wolności florenckiéj, niebył wcale heretykiem; raz że miłość wolności niesprzeciwia się Ewangielii, a po drugie, że jeżeli miał przeciw sobie Aleksandra VI. który go potępił, to nawzajem miał przyjacielem Ś. Filipa Neriusza i papieża Pawła III. ogłaszającego, iż ktoby oskarżał Sawonarole o herezyę, sam będzie winnym takowéj.

Zakon wydający z swego łona takie znakomitości pierwszorzędne jak te, o których wspomnia-

łem, pochłaniał w sobie wszystkie najdzielniejsze żywioły; dodawszy do tego znakomitości różnych prowincyj będące w czci i pamięci swoich narodów, pokaże się na jak mnogich kolumnach wspierał się ten okazały gmach Dominikański! Ktoby chciał opowiedzieć historyę rozszerzenia wiary w obu półkulach przez ciąg prawie pięciu wieków, niemógłby pominąć zasług synów Ś. Dominika. Niema bowiem tak dalekiego i tak dzikiego narodu, gdzieby zakonnicy dominikańscy nie dotarli. Grecya, Bułgarya, Armenia, Tatarya, Persya, Indya, Etyopia, gniazda fanatycznych herezyj, zastarzałych przesądów pogańskich, widziały tych misyonarzy stawiących im czoło. Nasz Ś. Jacek Odrowąż, uczeń Ś. Dominika, apostolstwem zasłynął na całéj Rusi, Tataryi, do Chin; a kiedy w XVII. wieku holenderskie okręty po raz pierwszy przybiły do brzegów Grenlandyi, jakież było zdziwienie, gdy znaleźli tam klasztor dominikański ufundowany jeszcze w XIII. stóleciu.

Przez tych kilka rysów, pobieżnie tu rzuconych, chciałem wskazać na ogrom zasług, jakie zakon kaznodziejski położył dla sprawy religii; on to, można twierdzić na śmiało, pierwszy przełamał lody i utorował drogę, po któréj łatwo już było

ruszać się wpływom świeckiéj cywilizacyi, dziś na zbyt ze zwycięstw swoich dumnéj, aby przyznać miała, że bez ubogich i poświęcających się zakonników, nie potrafiłaby dotrzeć tam, gdzie dotarła!

Ogólną historyą zakonu kaznodziejskiego zamknął X. Bącz w szczupłych ramach, za to rozszerzył się o Dominikanach w Polsce, bo więcéj niż półtora tomu im poświęcił, co stanowi oryginalną część jego pracy; aczkolwiek pod tym względem niebrakło mu obfitego materyału w dziełach Bzowskiego, Okólskiego, Siejkowskiego, Chodykiewicza itd. Układ, wyświecenie wielu szczegółów krytycznie, a nadewszystko dopełnienia z świeższych czasów, stanowią o wartości jego dzieła. —

II.

Żaden zakon niema wspanialszéj tradycyi, jak tradycya polskich Dominikanów; łączy się bowiem bezpośrednio z Ś. Dominikiem przez swoich dwóch świętych założycieli: Jacka i Czesława Odrowążów, którzy z rąk fundatora przyjęli w Rzymie zakonną sukienkę, i pod jego okiem doskonaleni w życiu

duchownêm, wrócili do Polski zakładać fundamenta tego zakonu. W Krakowie pierwszy stanął klasztor przy kościele Św. Trójcy, otwarty z całą solennością r. 1223, poczem, Jacek pamiętny na przestrogę Ś. Dominika, żeby nauczać i rozszerzać naukę Chrystusową, wezwał Czesława i te pamiętne rzekł słowa: „Najmilszy bracie, twoje cnoty i przymioty doskonałe tak mię nasycają, iż nic milszego nad ciebie nie mam, a jednak dla rozkazu ś. Patryarchy i pozyskania dusz ludzkich rozłączyć się musiemy. Więc idź w strony zachodnie, ja północ i wschód zostawiam sobie, tak łożmy siły, łożmy i życie dla rozszerzenia wiary i zakonu naszego.“

Jakoż z kilkoma towarzyszami puścił się Czesław do Czech, Morawy, Szląska, Saksonii; Jacek zaś poszedł na Mazowsze, a ztamtąd nad Baltyk, gdzie zawadził i o kraje skandynawskie.

Czynność i poświęcenie się nowo założonego zakonu zadziwiające robiły postępy, gdy w lat pięć na kapitule odprawionéj w Paryżu r. 1228 jenerał tego zakonu widział potrzebę ustanowienia „prowincyi polskiéj,“ obejmującéj w sobie oprócz Polski także Czechy, Morawę, Szląsk; prowincyałem mianowany był Jacek; wszak rok tylko piastował

tę godność — w r. 1229 złożył ją, aby się całkiem oddać pracom apostolstwa.

Nauka i apostolstwo było godłem zakonu; u nas zaczął on od apostolstwa i niém moralnie zdobywał ludy, mające się kiedyś zlać z Polską.

Owi to Odrowążowie, ród, który po Gryfach objął w XIII. wieku sterownictwo duchowe w Polsce, skupiali w sobie siłę wewnętrzną narodu. „Gryfy ród górujący w XII. wieku, — mówi autor Piastów — pełni nadziei i życia rzucali się w objęcie przyszłości, mężnie przeciwnościom nadstawiali czoło, silną ręką ster rządu pośród nawałnic prowadząc; Odrowążowie zaś krwawą wieku XIII. powitali zorzę. Widzieli zdradziecki Pomorczyka sztylet utopiony w sercu Leszka Białego, Polskę zrzekającą się swego apostolstwa w Prusiech. Ruś bierze u Lechów posadę; wzywa świeżo przybiegłych Tatarów, by ukończyli dzieło spustoszenia. Na ten widok Odrowążowie kolana uginają. Dzielność ludzka sama tu niepodoła; niechże wiara, łaska i miłość ludzkości, godłem ich będą.“

W takich to okropnych chwilach dla Polski występuje na widownię Iwo Odrowąż, biskup krakowski; pod jego rządem mnożą się kościoły, szpitale dla chorych, pomoc dla nieszczęśliwego ludu

śród głodu i powietrza. Ów Iwo przybywszy do Rzymu z swymi krewnymi Jackiem i Czesławem, pierwszy pojął jak wielkiem dobrodziejstwem dla jego ojczyzny mógłby się stać zakon świeżo utworzony przez Ś. Dominika, i zaraz towarzyszących mu krewnych, skłania, że porzucają świeckie kapłaństwo i duchowne godności, a przywdziewając biały habit, ślubują ubóstwo i pokorę, aby tem zbliżeniem się do ludu, przekonywać go i serca podbijać dla boskiéj prawdy. —

Czynność i wpływ propagandy tych pierwszych Dominikanów rozszerzają się w zadziwiający sposób. Nic się nie dzieje bez nich. Książęta wzywają w pomoc ich słowo, kiedy orężem nie są w stanie poganom podołać; a gdziekolwiek chwieje się wierność kościołowi, tam idzie bezbronny mnich, godzi i stosunek utrwala. Kiedy dziś praca duchowa w jedném odstępczem mieście, lub powiecie, jużby poczytaną była za wielkie dzieło misyjne — wtenczas, pomimo dzikości obyczajów i wszystkich niedostatków cywilizacyi jeden mnich zdobywał całe lądy. Niedowierzenia prawie jakie obszary zajęło apostolstwo Ś. Jacka. Cała Ruś halicka, Wołosza, Bułgary, Kumany, Krym, Bizancyum, wyspy Archipelagu, — nakoniec Kijow, to serce Rusi, gdzie się

dłużéj zatrzymał, aby pokonać reszty starego pogaństwa, z którém wschodnia schizma pozbawiona ciepła, zamknięta w skośniałych formułkach obrządkowych, nieumiała sobie dać rady. Że serce ludu do apostoła przylgnęło, dowodzi ten szczegół, że za jego sprawą powstał klasztor w Kijowie... ta najdaléj posunięta na wschód przednia straż cywilizacyi zachodniéj, podobnie, jak przedtem na brzegach Baltyku powznoszone przezeń klasztory, były tym węzłem, co kraje te w przeszłości miał z Polską pospajać. — Apostoł Prus i Rusi zapewne bez wyrozumowanéj polityki, staje się najgłębszym politykiem, bo nietylko że wielką przyszłość gotuje swojéj ojczyźnie, ale nadto przez zasiew nauki kościoła, usposabia lud ruski do kłonienia się bardziéj ku wolność miłującéj Polsce, niż ku swoim książętom tak łatwo przyjmującym jarzmo mongolskie, aby lud swój wiecznie trzymać w azyatyckiéj ciemnocie i niewoli... Apostolstwo Ś. Jacka, — to początek téj walki światła z ciemnotą przeciągającéj się prawie do dziś na granicach zachodu ze wschodem, walki, w któréj po jednéj stronie staje jedność kościoła, cywilizacya, miłość wolności, święte prawa i obowiązki człowieka — a po drugiéj despotyzm i schyzma kujące w kajdany ludzkiego

ducha. Kraków, będący wówczas ogniskiem tego religijnego i cywilizującego ruchu mającego się rozpościerać na całą Słowiańszczyznę, wydał dwóch Odrowążów, dwóch świętych, — i odtąd za ich przykładem podjął to dzieło zastęp koronnych niewiast: Salomei, Jolanty, Kingi, Jadwigi zesłanych na ratunek Polski przebywającéj w XIII. wieku najtrudniejsze, najkrwawsze swojéj formacyi koleje. —

Potrzeba było aż świętych pańskich, żeby z powodzi wewnętrznych rozterek, krwawych i pożogowych zagonów Mongolskich, ocalić przyszłość téj ziemi przeznaczonéj na serce słowiańskich plemion.

Autor *Rysu Dziejów Zakonu Kaznodziejskiego*, rzucił kilka szczegółów z żywota Ś. Jacka; prace jego misyjne, cuda, śmierć; lecz wielkiéj téj postaci duchowego rycerza, nieukazał w całości i rozmiarach, w jakich przedstawia się nam na tle owoczesnych stosunków, nad któremi góruje sam jeden... Czuł to X. Barącz, i wypowiada w przypisku, że tylko nawiasowo dotknął osoby Ś. Jacka, ponieważ August Bielowski ma zamiar po mistrzowsku skreślić obraz tego apostoła. Szanujemy skromne to wyznanie, lubo zdaje nam się, że praca X. Barącza byłaby wiele na tem zyskała. Świątynia z niedokończoną kopułą lub wieżą, zawsze

zostawia coś do życzenia. Zresztą odpowiednie rozwinięcie tego jednego żywota byłoby dla całéj pracy fundamentem i najwspanialszą jéj ozdobą. Do czego dodany szeroko zakreślony obraz tego udziału, jaki miał zakon kaznodziejski w rozwoju duchowym i umysłowym do końca XVIstego wieku i we wszystkich zagadnieniach wzruszających światem przez ciąg trojga stóleci, byłaby się stworzyła zupełniejsza monografia, niż za pomocą oschłych dat statystycznych, odnoszących się do następstwa jenerałów, wyboru prowincyałów, zjazdów na kapituły, i oderwanych od całości żywotów polskich Dominikanów, wspomnianych dla tego, że ten lub ów napisał jaki zapomniany traktacik lub panegiryk. Dawniéj byłoby to dostateczne; lecz dzisiejszym więcéj chodzi o ducha zakonu, o prace jego zbiorowe, o walki i koleje jakie przechodził, niemniéj o ważność jaką miał w historyi kościoła i w dziejach naszéj kultury. —

Z tak obfitego materyału jakim rozporządzał skrzętny w poszukiwaniach autor, wypadało odlać coś skończeńszego; a wtenczas dzieło nabrałoby innego znaczenia i nieodstręczałoby suchością tych właśnie, którym naukę ułatwiać potrzeba, aby do niéj uczuli pociąg, czyli oświecać ich, dając im nie

martwe liczby, daty i nic niemówiące nazwiska; lecz stronę żywotną przedmiotu, która będąc wynikiem wytrawnéj erudycyi, tem samem jéj niewyłącza. —

Uwagę tę odnosimy nie tyle do większéj połowy pierwszego tomu dzieła, pisanéj z ciągiem ogarniającym pewną całość, a tem samem więcéj organiczną, ile do reszty, ułożonéj słownikową metodą nie właściwą w historyi ściśle wziętéj.

Umiejętność napisania książki, nie jest rzeczą do pogardzenia: książka, jak owoc dojrzały, powinna być wszystkim do pożywania miłą, a zwłaszcza traktująca o przedmiocie téj wysokości i wagi, co dzieje zakonu kaznodziejskiego.

Z tém wszystkiem uwaga ta przychodzi za późno; dzieło istnieje i samo się broni mozołem i pracowitością w zebraniu materyałów; dla tego téż wypowiada ona tylko życzenie opinii, mającéj swój głos w rzeczach mogących dogadzać lub niedogadzać publicznéj potrzebie, lub smakowi.

Wracając do wątku dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce, uderza to szczególniéj, że na samym wstępie swego istnienia, członkowie jego nie szukają ofiar, ale sami dają się na ofiarę. Kiedy apostolstwo Ś. Dominika w południowéj Francyi

wmięszane najniewinniéj w krwawą krucyatę przeciw Albigensom, dało powód deklamacyjnéj szkole postępowych historyków, jakoby żarliwość nawracania w jednéj ręce niosła krzyż, w drugiéj miecz; tedy u nas apostolstwo Odrowążów wojowało samem tylko słowem bożém. W prędko powstających na różnych punktach klasztorach, mnożyła się liczba zakonników, dzielnie krzątających się koło wiary, nauczania i podbijania dla jedności. Były to prawdziwe cytadelle cywilizacyi; najpierwsze téż padły pod mieczem mongolskich najazdów i dostarczały długi szereg męczenników. Sandomierski klasztór pod świętobliwym przeorem Sadokiem rozpoczyna listę cztérdziestoma dziewięcioma zamordowanymi członkami zakonu, których kościół do swoich świętych zaliczył. Odtąd historya ta powtarza się bez ustanku przez kilka wieków zagonów Tatarskich, po których kozactwo i syzmatycka czerń, wzięły potem spuściznę. Szczególniéj w ruskiéj prowincyi, któréj prowincyałów spisał autor i żywoty ich podał, niewiele jest takich prowincyalstw, żeby nieznalazło się kilka imion pomordowanych księży i to przez cały ciąg do pierwszego dziesiątka lat panowania S. Augusta. Ci, których ścigała taka zawziętość, musieli mieć wiel-

kiego ducha wiary i poświęcenia się; kiedy zawsze znajdowali się na swojem stanowisku i to w klasztorach wystawionych na inkursye i bunty, a rzadko kiedy warownych jak klasztor podkamieniecki, lub te, co po obronniejszych powstawały grodach. Zresztą i mur warowny niewiele chronił: bo przecież historya podaje tyle przykładów zdobycia tych forteczek i wyrznięcia w pień zakonników... Że ta żywotność zakonu musiała się utrzymywać do chwili pierwszego rozbioru, domyśleć się można z niektórych żywotów, przypominających najwspanialsze postacie z pierwszych wieków istnienia zakonu kaznodziejskiego; między innemi owego X. Wawrzyńca Owłoczymskiego, który przez wdzięczność Ś. Wincentemu Ferreryuszowi, że go wyrwał z ciężkiéj niemocy, postanowił naśladować żywot tego świętego. „Jakoż mówi X. Barącz 1751 r. podczas jubileuszu rozpoczął w Grodnie pierwszą misyę tak szczęśliwie, że do roku 1755 ciągle po różnych kościołach parafialnych odprawiał tę duchowną posługę. Przeszedł on całą Litwę, zwiedził Białoruś aż do granic Moskwy i Liwonii. Pełen ducha bożego, najzatwardzialszych kruszył grzeszników. Niewinność anielska w całéj jego postawie widoczną była, a z twarzy jego jasne wynikały promienie. — Mimo

prześladowań i zasadzek na jego życie robionych, odprawił 54 misyj, żydów ochrzcił 37, lutrów nawrócił 252, kalwinów 11, syzmatyków 1367, ukrytych odstępców 444, grzeszników zatwardziałych 373,565, świętokradców 254,370. Do bractwa różańcowego wpisał 64,004. Ostatnią misyę odprawując w Bełzie w boleściach zakończył żywot 1763 r. jak głoszono otruty przez cyrulika. —

Chociaż liczby te, mogłyby dzisiaj wydać się przesadzonemi — to zawsze przyjąwszy połowę, zostaje się dość, aby przyznać, że zakon niezasypiał swego posłannictwa w najgorszych czasach, gdy chłód filozofizmu zaczął serca ziębić i podkopywać powagę kościoła.... Kilkadziesiąt klasztorów Dominikańskich w prowincyi litewskiéj i ruskiéj zniesionych pod panowaniem Mikołaja dostatecznie pokazuje jak tradycyjnie strasznem dla schyzmy było słowo odziedziczone po pierwszym apostole Rusi. X. Barącz o ile miał źródła, spisał historyczne daty klasztorów, jakie przed skasowaniem istniały na Litwie, Wołyniu, Podolu itp.; ale wielka szkoda, że nienapisał historyi tego skasowania, to przecież od dat ciekawsze, i nader z bliska związane z dziejami prześladowań kościoła katolickiego w Polsce.

Zamiłowanie się w szczegółkach mniemanéj

i zatwardziałych skazywali na stos. Ani wątpić że ostateczny ten argument był w używaniu i przez naszych Dominikanów, domyśleć się jednak można, że wielkiego nadużycia niebyło; inaczéj bowiem herezye byłyby się więcéj przyjmowały, stósownie do natury ludzkiéj, mającéj tem większy pociąg do męczeńskiéj gloryi, im prześladowanie zawziętsze. Zresztą sam pojednawczy charakter naszego narodu nie był skłonnym zamieniać inkwizycyą w system rządzenia ludźmi, jak ją zamienili królowie hiszpańscy. Tu wypada także, jakby dla dopełnienia uwag w tym przedmiocie podanych przez X. Barącza, zrobić małe wyjaśnienie co do inkwizycyi św. zbyt potępianéj pojęciami dzisiejszémi. Niezapominajmy że instytucya XIII. wieku niemoże być sądzoną podług liberalnych wyobrażeń wieku XIX; a następnie, że smutną sławę inkwizycyi zrobiła Hiszpania, gdzie jéj dziki charakter miał źródło więcéj polityczne niż religijne. Pozorne ochrzczenie się Żydów i Maurów, tworzyło towarzystwo tajne w łonie społeczeństwa urzędowego i publicznego; ztąd i trybunał inkwizycyjny był wyłącznie urzędem królewskim, funkcyonującym pod firmą papieską; lecz w gruncie zawisłym tylko od rządu. Są to trafiające do przekonania dowody X. Lacor-

daira, niezbijające jednak faktu, że Dominikanie byli głównem narzędziem inkwizycyi tak w Hiszpanii jak u nas. Nieuwłacza to jednak zasługom zakonu, który będąc złożony z ludzi swojego wieku, miał przesądy i obyczaje współczesne. Któż niewie jak nieraz przesąd silniéj władnie człowiekiem, niż najczystsza prawda przedwieczna, a kaprys lub aberracya umysłowa wywraca cały porządek moralny? Dziś oburzamy się na samą myśl, żeby kto mógł cierpieć prześladowanie za swoje wyobrażenia — lecz w średnich wiekach nikt się na to nieoburzał, gdyż w ówczesnem uczuciu sprawiedliwości, każdą herezyę uważano za zbrodnię główną tak przeciw społeczeństwu, jak kościołowi. Dominikanie niemogli być inni jak społeczeństwo, z którego wyszli. Ubolewać raczéj nad temi czasami gdzie panował taki zamęt w pojęciach o karze cielesnéj i karze moralnéj; gdzie kościół w pomoc swoim klątwom wzywał świeckiego ramienia i nie wahał się obok konfesyonałów zapalać stosy... Jak dalece kary inkwizytorskie były w przesądzie wieków, mamy dowód na tych, co faktu inkwizycyi najdzielniéj używając na potępienie kościoła, sami przeciwników swoich na stos wskazywali. Ge-

newski kalwinizm spalił przecież Serweta, i to w najświetniejszym okresie kultury, bo w XVI. stóleciu.

Czułem potrzebę zatrzymania się na tym punkcie, z tego mianowicie względu, że w Rysie dziejów Zakonu Kaznodziejskiego, przedmiot ten znalazłem tylko potrącony, lecz nierozwinięty; ostatnie zaś potrzebném było dla wykazania natury inkwizycyi św. potwornéj w oderwaniu od całości, a w połączeniu z nią dającéj się usprawiedliwić. —

Ważną także w historyi Dominikanów polskich grają rolę podziały na prowincye, dające powód do licznych wewnątrz walk i zatargów. Każda całość zawsze boleje, rozpadając się na części. Toż działo się w prowincyi polskiéj, gdy się oderwały od niéj Czechy z Morawą i osobną zaczęły składać prowincyę od r. 1301. Zadziwiający wzrost klasztorów na Rusi wywołał w trzysta lat późniéj (r. 1612) odłączenie się téj prowincyi; podobnież uformowała się osobno prowincya litewska w r. 1644 i na kapitule jeneralnéj w Rzymie za takową uznaną została. Z tych trzech prowincyj, ruska, do któréj sam autor należy, najlepiéj jest wypracowaną; polska zaś urywa się na chwili odłączenia się od niéj prowincyi ruskiéj, i autor powiada:

„Odtąd — to jest od 1612 r. — zupełnie ustał związek z prowincyą polską; szczególniejsze tylko zdarzenia wzajemnie podawano sobie. Dzieje prowincyi litewskiéj objęte w nocie Eustachego Tyszkiewicza *wyjętéj z Teki Wileńskiéj*.

Cały tom drugi poświęcony jest w połowie znakomitym mężom zakonu kaznodziejskiego, idącym w porządku alfabetycznym. Praca ta ważną jest dla bibliografii, choć ilość ta nazwisk ani o włos niepomnoży téj sławy i zasługi, jaką zakonowi zdobyli Odrowążowie, Mościcki, Lubomczyk, Bzowski, Birkowski, Okolski i Falkowski i tylu innych mężów zasiadających u nas na stolicach biskupich, lub ponoszących śmierć za wiarę. Resztę drugiego tomu zajmuje opis klasztorów historyczny we wszystkich trzech prowincyach, i tu autor największą ma zasługę za staranne poszukiwania, które jednak możnaby uzupełnić, czerpiąc jeszcze bądź z dokumentów miejscowych, bądź od osób świadomych rzeczy, aby z tych pojedyńczych monografii mogła powstać jedna ogólna, o ile być może kompletna. Wiemy, jakich podobna praca wymaga starań i nakładów, jak rozgałęzionych korespondencyj — lecz ile nam się zdaje, tylko tą drogą dałoby się napisać gruntowną i nic nie zostawiającą do życze-

nia historyę Dominikanów w Polsce. Kto się tak już rozpatrzył w przedmiocie jak X. Barącz, kto w pierwszym zarysie tyle objąć potrafił, temu łatwiéj dokonać reszty, aby monumentalny pomnik postawić Wielkiemu Zakonowi. O taką historyę powinno dbać całe zgromadzenie. Historya, to pamięć życia — niemoże więc być obojętną, chyba dla tych, co żyć niepragną. —

XIĘSTWO WARSZAWSKIE.

Dostatek pamiętników, niedostatek prac historycznych. — Stan Polski po ostatnim rozbiorze. — Rządy pruskie. — Złudność dobrego bytu. — Konstytucya Napoleońska. — Wycieńczenie kraju. — Summy bajońskie. — Wojna z Austryą. — Pierwszy Sejm. — Ogromne podatki. — Wojna z Rosyą. — Rozmowa Napoleona z p. de Narbonne. — Rady Xięcia Bassano. — Rada konfederacyi Jeneralnéj. — Nieużyteczne krasomóstwo. — Napoleon pod Fuldą. — Nowa organizacya rosyjska.

Nader mało mamy takich prac historycznych, w którychby autor był świadkiem i bystrym obserwatorem swojego czasu, w którychby nadewszystko umiał przedstawić, z głębszym poglądem na przyczyny i skutki, wierny obraz wpływów politycznych, oraz instytucyi zawiadujących krajem.

Pamiętniki licznie ogłaszane, a obejmujące najwięcéj okres stu lat ostatnich, są raczéj zbio-

rem obrazków i zapisków z życia towarzyskiego, i to w szerszym lub szczuplejszym obrębie; dla tego, lubo dostarczyć mogą ciekawych rysów i szczegółów do różnych miejscowości, niedają przecież téj skończonéj całości, tego wielostronnego rzutu oka, tego wreszcie streszczenia wypadków, odniesionych do kierującéj niemi przyczyny politycznéj lub administracyjnéj, jakie dać może w wyższem znaczeniu historya, zasługująca prawdziwie na miano: magistra vitae.

Na nieszczęście, z epok najbliżéj nas obchodzących niemamy takiéj historyi. Całe panowanie Stanisława Augusta składa się z samych pamiętników i urywkowych pism, mogących służyć za materyał, lub z obcych prac historycznych niedość wtajemniczonych w ducha narodu. O następnych epokach lub o dziejach niektórych prowincyi przeszłych pod inne rządy, jeszcze mniéj wiemy; piszący bowiem zwracali się tylko do pewnych momentów kiedy się życie narodu budziło, a od symptomatów letargu i przyczyn, co go sprowadziły w codziennym rzeczy porządku niejako odwracano oczy. Tymczasem badanie tego procesu przez jaki przechodził naród, wyrwany z publicznego najszerszego życia, a w najbierniejszą bezwładność wtrą-

cony, nastręcza tyle ciekawych i uczących postrzeżeń, tak otwiera oczy na charakter narodu, taką daje jasną diagnozę jego choroby — że nieraz deklamacyami wydają się te gorzkie wyrzuty, jakie od tylu lat ciskamy na los ciężący nad nami i na ludzi wykonywających wyrok losu. Niebędąc zwolennikiem teoryi fatalistycznéj, widzę w dziejach palec Opatrzności wtenczas dotykający, kiedy poprzednie ostrzeżenia, próby i kary niemogły sprowadzić godziny opamiętania się, albo ją sprowadzały za późno. — Po katastrofie dopiero odejmującéj byt polityczny, organizacyą władz i przywilej, zostaje naga treść z tych uroków ogołocona i z niéj to można dopiero wnioskować o stopniu żywotności, o siłach moralnych wewnętrznych; te bowiem powołane są do odgrywania roli wprawdzie trudnéj, lecz mimo tego wielkiéj i zaszczytnéj, choć w dziejach zwycięztw i tryumfów niegłośnéj. Ciche walki w obronie najdroższych interesów religii, języka, własności, obyczaju, walki prowadzone w jedności i z godnością, budzącą nawet poszanowanie w oczach przeciwników, dają najlepsze świadectwo, że z upadkiem politycznego znaczenia pozostały żywioły do organizmu sposobne.

Dziejopisowie ojczyści wymowni w opisach tych chwil, w których na hasło ofiar z krwi i majątku, naród pokazywał gorącość uczuć i gotowość poświęceń się, zazwyczaj bardzo skąpi są w dotykaniu innych stron życia, że tak powiem: codziennego, kiedy upokorzenie było chlebem powszednim, kiedy wszystko cofnięte w domowe ogniska skazane na bierną nicość, bez żadnéj spójni między sobą, bez cienia solidarności w najżywotniejszych interesach. Zapewne od przykrego obrazu myśl odwraca się, aby szukać w piękniejszych objawach ducha, pocieszenia i chluby — ale same dytyramby życia dziejowego niedostarczają jeszcze téj nauki, jakiéjby dla nas szukać należało w prozie zwykłego biegu spraw ludzkich. — Cośmy robili w dniach czarnéj żałoby? Czy umieliśmy zastosować się do położenia, w jakie nas rzuciły wypadki i wyciągnąć z niego wszystkie możebne korzyści ku ratowaniu najdroższych własności, jakich niechce zazwyczaj szanować obca władza kiedy w ich obronie nikt stanąć nieumie i nieśmie? Czy duch spędzony z pola walk orężnych umiał się skupić około innych środków mniéj głośnych i świetnych, a stokroć ważniejszych? Czy cicha praca rzędności domowéj, wychowania, oświaty gromadziła zasoby na przy-

szłość w którą wierzono? Wszystko są to pytania, omijane przez dziejopisów naszych, a raczéj zbywane wykrzyknikami na niesprawiedliwość losu. Tymczasem kto się rozpatrzy w te chwile upadków lub przejść z jednego stanu w inny — przekona się, że sposobność do działań obywatelskich była niekiedy łatwa, ale nikt korzystać nie chciał, wszystko się usuwało posypując głowy popiołem, i woląc przyjmować łatwą demoralizacyą, niż wydobyć siłę moralnéj samodzielności, któréj źródłem wiara w siebie.

W życiu prywatném jak publiczném, różne bywają drogi; niewiedzie się komu na jednéj, niech innéj probuje; jest to najprostsza rozsądkowa praktyka, którą wskazuje przyrodzony konserwatyzm. Nieumieliśmy nigdy być konserwatystami w wielkiem tego słowa znaczeniu. Każde niepowodzenie wtrącało w bezwładność lub téż w zgubne wetowanie tego, imajnacyjnemi siłami, co się straciło przy rzeczywistych siłach.

Jak już napomknąłem, w dziejach naszych nowszéj epoki mało sobie zadawano trudu w oddaniu tego usposobienia w jakiém się naród znajdował gdy przechodzi pod nowe mu prawa i instytucye, kiedy ducha jego w obce wtłaczano formy. Nikt

nietłumaczył z jakich przyczyn skazywano się na bezwładną bierność i czy widoczne były usiłowania w utrzymaniu tych własności, co mogą być wydzierane, lecz tylko znikczemniałym, bez skrupułu odjęte. Działanie nowych praw, wpływ instytucyi, obcéj ludności, języka, publicznego wychowania, zasługują przecież na studia o sto procent więcéj objaśniające i uczące, niżeli wspomnienia rycerskich czynów na polach bitew; samą odwagą żołnierską nieżyje i niemoże żyć żaden naród cywilizowany, lecz żyje tém, co zdobędzie pracą, i jednością sił solidarnie ze sobą złączonych.

Niewiem czy może być ciekawsza karta jak stan kraju naszego po upadku Kościuszki? Opisują nam zazwyczaj szeroko i świetnie o tych, co kraj opuścili; lecz o tych, co w nim zostali, co przechodzili przez wszystkie formy nowéj, a tak różnéj od dawnéj organizacyi — o tych, których koléj zmiennéj fortuny najdotkliwiéj cisnęła, o tych zaledwo rzucono nic nieznaczący ogólnik.

Najświeższa książka hr. Fryderyka Skarbka: *Dzieje Księstwa Warszawskiego*, skreślona jest właśnie w tym celu, aby dzisiejsze pokolenie obznajomić z wewnętrznemi dziejami tych prowincyi, co po ustąpieniu z tronu Stanisława Augusta, prze-

szły pod berło pruskie, a następnie pod rząd króla saskiego a właściwie pod panowanie Napoleońskie; król saski bowiem będąc niejako lennikiem Francyi, był oraz scisłym wykonywaczem widoków Napoleońskich dotykających nieraz obywateli Ks. Warszawskiego w sposób lekceważący nietylko ich interesa materyalne, ale uczucie godności, a mianowicie uczucie samoistności narodowéj, które okraszone szczyptą sławy zdobytéj na klęskach obojętnych nam narodów, należało do najoczywistszych złudzeń.

Można powiedzieć że w dziele tém spotykamy się po raz pierwszy z rzeczywistością, nieobjętą w buletyny tryumfów Napoleońskich, które dotąd ćmiły wszelki trzeźwy pogląd na stan kraju i jego mieszkańców. —

Jeżeli tedy ubywa nam coś ze złudzeń naszych, z drugiéj strony przybywa niejedna nauka choćby tylko ta jedna: że skazywanie się na bezwładność w oczekiwaniu jakiegoś zjawiska, co jak polityczny *Deus ex machina*, wszystko rozwiąże bez trudu — należy do najsmutniejszych symptomatów upadku ducha, i nawet w najpomyślniejszym trafie, daje jeszcze najopłakańszy wypadek. — Czy chorą i wyniszczoną osobę położysz na matach, czy ją posadzisz na ry-

dwanie tryumfalnym posypanym kwiatami, niezmienia to istoty rzeczy.

Jak wspomniałem ze wszech względów ciekawy i nauczający to obraz przedstawiony, zaraz w pierwszym rozdziale Dziejów Ks. Warszawskiego, w którym autor pokazuje nam kraj, spółeczeństwo i rządy pruskie.

Jaki był stan téj części dawnéj Rzeczypospolitéj, co się razem ze stolicą dostała Prusom? Łatwo sobie można wystawić. Upadek życia publicznego, a z nim upadek klasy uprzywilejowanéj, któréj pozostała tylko uprawa roli; przemysł w kołebce, a prawie żaden; bo nie było innych źródeł bogactwa narodowego prócz tych, któremi ją uposażyło samo przyrodzenie. Ludność nadzwyczaj mała, bo ledwie tysiąc paręset dusz na milę; miasteczka rzadkie, bez handlu, nic nie konsumujące, gdyż sami mieszkańcy trudnili się rolą, żydowska zaś ludność opierała zyski swe na rozpajaniu i demoralizacyi chrześcian. — Rolnictwo było jedyném bogactwem. — Ale i źródła tego bogactwa nie były tak świetne, więcéj bowiem wynikały one z urodzajności ziemi i z wielkiéj rozległości pól uprawie poświęconych, jak z przemysłu właścicieli. Zresztą znaczny wywóz zboża w najświetniejszych chwilach

dowodził tylko, że wewnętrzne zużycie było niedostateczne, że zbywało krajowi na środkach zamiany, i na téj rozmaitości płodów krajowego przemysłu, która jest zasadą wewnętrznego handlu. Dochody ciągnione ze sprzedaży zboża za granicą, nierozdzielały się między ludzi przemysłową pracą zajętych, a tylko szły do rąk większych właścicieli dóbr.

Przy takim braku wewnętrznego przemysłu i handlu przy małych potrzebach ludu, zawsze prawie źródła dochodów publicznych były nadzwyczaj u nas skąpe. Nigdy nie było skarbu publicznego, — a tak najzbawienniejsze zamiary, poświęcenia się obywatelskie, przemijały jak dym bez tego środka aby je mógł w rzeczywistość zamienić.

Każda karta historyi naszéj potwierdza tę prawdę.

Z przyjściem rządów pruskich nieuregulowano podatki, i niewiele podwyższono nad postanowione przez sejm 1789 r. wszakże dążnością fiskalną nieusiłowano wysysać wszystkich zasobów krajowych; owszem po starostwach, dobrach duchownych i narodowych zaprowadzono porządek i gospodarstwo.

Autor oddaje tę słuszność rządowi pruskiemu że w ogóle postępowanie jego było łagodne i wy-

rozumiałe, urzędnicy pełnili powinność swoją skromnie, w obchodzeniu się z obywatelstwem grzecznie, bez upakarzającéj dumy, która właśnie cechowała władze rosyjskie — lecz mimo tego lekceważono sobie słabość i brak spojni w narodzie — bo od razu skasowano dawne magistratury, na ich miejsce wprowadzono nowe, a z nimi obcy język. Z administracyą poszło bez trudności, z sądownictwem nieco więcéj było zachodu. Sądownictwo bowiem oparte na prawach i zwyczajach krajowych, a tém samem w związku z duchem narodu, niemogło być zmienione od razu stósownie do widoków rządu. Jakoż obok zaprowadzonych *Justits-komissyi*, czyli sądów pruskich, zachowano obok tego sądy niższe polskie, gdzie się wszystkie sprawy odbywały po łacinie. Żeby zaś podkopać użyteczność tych sądów, zostawiono stronom wolność udawania się do jednych lub drugich. Skutkiem większéj pilności i prędszego wymiaru sprawiedliwości w sądach pruskich niż polskich, strony wolały udawać się do pierwszych; gdy potém zaś wyszło prawo, że jeżeli sądy polskie niemają dziesięć spraw na wokandzie, zwiniętemi zostaną — juryzdykcya ta ustała r. 1799. Z tego rysu można mieć wyobrażenie jak duch publiczny musiał być słabym, kiedy od niego zale-

żała obrona jedynéj pozostawionéj mu instytucyi, a on nieumiał jéj zachować. — Tak tedy lud odmienny rodem, językiem, wyznaniem religijném, obyczajami, ustawami i skłonnościami wtłoczony został w formę nowego politycznego bytu, i stał się, jak mówi autor.: martwą masą, którą bez żadnéj obawy tłoczyć, przetwarzać można było, która na powierzchni wszelkie dowolne przybierała kształty i odciski....

Raptowne dokonanie zagłady cech narodowych mogłoby uchodzić za dzieło śmiałe, gdyby niewiedziano o tém, że powodzenie tego kroku łatwém było na zgnębionych i bezwładnych; bo chociaż niewygasła w duszach siła moralna, ale ta ograniczała się na tak szczupłą liczbę, że masy niedomyślały się nawet, aby na jakiéjbądź zmianie ucierpieć mogły. — Zresztą część narodu przechowująca żywą tradycyę, i jedynie mogąca coś znaczyć, skazana na życie gnuśne i nieczynne, otoczone ponętami próżności i zbytków, stawała się tém mniéj niebezpieczną; a wśród dobrego bytu, który za tych czasów podwoił dochody fortun szlacheckich, łatwo zacierała się pamięć przeszłości. Zaszła téż zmiana nagła w spółeczeństwie reprezentującem naród· Niedawni przewodnicy bez wszelkiego zachodu ze-

pchnięci zostali z dotychczasowego stanowiska i zredukowani do zera. Wyżsi dygnitarze i urzędnicy Rzeczypospolitéj straciwszy znaczenie i udział w sprawach pospolitych, ukryli się w domowem zaciszu, szczęśliwi, jeśli im czyste towarzyszyło sumienie; inni wynieśli się z kraju. Dawni wojskowi szukali służby za granicą. Mnóstwo urzędników sądowych, i tych, co mieli pomieszczenie w starostwach i dobrach duchownych, teraz inkamerowanych, zostało bez chleba i musiało szukać przytułku w innych prowincyach sąsiednich; co wyludniało kraj i tak już nieludny, a nowym panom było bardzo na rękę, gdy natomiast spodziewali się przez naprowadzenie obcych kolonistów zatrzeć właściwy charakter kraju.

Drogi to był sposób; bo osadzenie jednéj familii kosztowało około 1000 talarów! — Celem miało być podniesienie rolnictwa, ale się pokazało że rolnictwo mało zyskało na tém, a rząd tak wielkie ponosił koszta, że mając co innego na względzie, niemyślał zapewne aby się nakład powrócił. Kolonistom tym zawdzięcza kraj wyniszczenie lasów — wielu bowiem prywatnych idąc ślepo za przykładem, zaczęło sprowadzać Holendrów pozwalając im rudować lasy i zakładać osady. Najczęściéj je-

dnak gdy właściciele po latach domagali się od nich umówionego czynszu, Holendrzy zabierali się i szli gdzie indziéj szukać lasów do zniszczenia. Donacye dóbr narodowych urzędnikom i wojskowym pruskim, także miały na widoku usunięcie szlachty i pozbawienie ją sposobu utrzymania się; dawni polscy oficyaliści zastąpieni zostali amtmanami, i obcymi dzierżawcami, a stosunek ich z ludem rolniczym stawał się bezpośredni.

Trudno było oprzeć się tym środkom z góry idącym, a mającym charakter zręcznego wyzyskiwania słabości i namiętności nieodłącznych od człowieka, zwłaszcza opuszczającego ręce i ciemnego na to, co się dokoła niego działo. Autor z całego tego nienaturalnego stosunku między rządzącymi a rządzonymi, wyprowadza dwa niezmiernie szkodliwe i zgubne wyobrażenia jakie się wszczepiły w umysły krajowców; jedno, że każda władza rządowa jest siłą działającą wbrew życzeń i potrzeb narodu, z którą zawsze w sprzeczności i wojnie być trzeba; drugie, że ludzie uczciwi i majątkowo niepodlegli niepowinni się oddawać służbie krajowéj, aby się w służalców niezamienić.

Nie potrzeba przekonywać jak dwa te wyobrażenia stawszy się nałogiem, przeszły w wadę

trudną do pozbycia się nawet wtedy, gdy dobro kraju wymagało aby obywatele zajmowali wszystkie urzędy. — Poszło téż za tém prędkie otrętwienie siły działalnéj ludzi mogących pracować w zawodzie publicznym; zaniechano kształcenie się do służby krajowéj, przez co stracono wszelkie pojęcie o stanie i siłach produkcyjnych kraju.

Możnaby przypuszczać, że jeżeli dojrzałe pokolenie żywo dotknięte, usuwało się na bok, to przynajmniéj przyspasabiało młode na przyszłych obywateli. Lecz i tu zwichniony był kierunek. Rodzicom zdawało się, że dzieci ich nigdy niemogą ani powinni być użytemi do służby publicznéj, więc téż woleli je kształcić na przyjemnych ludzi towarzyskich. Francuzki język i literatura łatwo dająca się nabyć za pomocą tułających się u nas emigrantów francuzkich, składały cały zasób naukowości; języki zaś starożytne i umiejętności ścisłe, poszły w zupełne zaniedbanie. — Szczęściem ocalałe w téj powodzi przeobrażeń, szkoły i konwikta pijarskie, zaszczepiały w młodzieży gruntowniejsze wiadomości. — Wszakże były to tylko przygotowawcze kursa do dalszych uniwersyteckich nauk; atoli na te ostatnie mało kto się puszczał, woląc poświęcić życie rozpustnéj nieczynności niż pracy

Że ten rodzaj wychowania wywierał niekorzystny wpływ na język ojczysty i literaturę — łatwo się domyśleć. Rząd obcy nie miał interesu udzielać opieki i zachęty pisarzom polskim; do katedr nauczycielskich dawał przystęp li tylko swoim. — Mała zaś liczba pozostałych z czasów Stanisława Augusta uczonych, lubo uprawiała naukę w cichości, niemiała komu udzielać postrzeżeń i wniosków swoich..... któż w takiém zwątpieniu liczył na naukę?

Wprawdzie zdarzył się wówczas fenomen, jakiego niemożnaby pogodzić z intencyami pruskiego rządu; fenomenem tym było zezwolenie na Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, mając na celu utrzymywać język i badać dzieje narodu. — Lecz była to nieszkodliwa koncessya; cóż mogło zrobić Towarzystwo Naukowe, przy tak niskim stopniu wychowania młodzieży? W łańcuchu oświaty brakowało tyle ogniw, że dwie jego kończyny, niemogłyby się zrozumieć. — Do wszystkich tych środków jakich z wyrafinowaniem używał wtedy rząd pruski, aby europejskich Indyan wyprzeć gdzie daleko na północ, było ustanowienie w r. 1797 komisyi hipotecznych, które z taryf podatku ofiary powziąwszy wiadomość o wszystkich dobrach grunto-

wych i ich właścicielach, wezwały tychże do uregulowania hipotek dóbr swoich, naznaczając im prekluzyjne termina, wysyłały komisye na grunt do zrobienia regulacyi, i wezwały wszystkich wierzycieli do stawienia się pod utratą praw swoich. — Zdawałoby się, że ugruntowanie i zregulowanie kredytu tak potrzebnego w kraju, dało powód do zaprowadzenia hipotek — lecz z późniejszego obrotu rzeczy pokazało się, że przewidzianą była przez rząd słabość nasza w nadużywaniu kredytu, a zatém i przyszła ruina nadużywających go.

Trzeba wiedzieć, że za czasów pruskich wywóz do Gdańska zboża i wszelkich surowych produktów pomnażając dziesięćkroć dochody z ziemi, podniósł zarazem wartość dóbr nieruchomych; — właściciele biorąc chwilowy ten dochód za zasadę, nadali w hipotekach fałszywą podstawę kredytowi, zapominając o tém, że każdy przezorny właściciel gruntowy, nie podług wartości hipotecznéj dóbr swoich, lecz stósownie do możności uiszczenia się z długu pożyczkę zaciągać powinien. Hipoteki stały się odtąd urzędowem omamieniem, oszukującém zarówno i dziedziców i wierzycieli. Dla większéj łatwości zaszargania majątku znaleźli się ajenci banku berlińskiego, którzy zleciawszy się do Warsza-

wy, wchodzili w układy z właścicielami dóbr pożyczając im pieniędzy na własną ich zgubę. —

Prócz tego wypożyczano na hipoteki majątków prywatnych z depozytów sumy małoletnich; — zgoła ułatwienia były najobszerniejsze w zaciąganiu długów. Tym sposobem wszystkie prawie dobra ziemskie obciążone zostały, po większéj części nad swoją wartość; — toż od chwili kiedy ze zmianą stosunków intraty zredukowały się do zwyczajnéj miary, ruina stała się powszechną a majątki zaczęły przechodzić w obce ręce. —

Był to wysoki stopień niemoralności, jak mówi autor — gdy władza z istoty swojéj opiekuńcza i ojcowska, poddanych swoich demoralizuje lub z ich demoralizacyi korzysta; żaden pozor dobra pospolitego niezdoła usprawiedliwić takich kroków. Należało bowiem rządowi ostrzedz lekkomyślnych, że drożyzna ziemiopłodów, przez chwilowe okoliczności przywiedziona, niemogła być miarą rzeczywistéj dóbr wartości; — lecz niebyło to ani zamiarem, ani interesem ówczesnego rządu; a tak byt i zamożność stały się narzędziem zagłady. —

Taki obraz téj części Polski berłu pruskiemu podległéj, skreślił szanowny autor, ukazując mieszkańców pogrążonych w téj otrętwiałości, która

nierozumie nawet, ani chce rozumieć co się dokoła niéj dzieje, a tylko grzęznie w zwierzęcem zaspokojeniu codziennych potrzeb, przeradzających się w zbytek i lekkomyślną rozpustę, zwłaszcza gdy znalazły podnietę w pomnożonych dochodach i łatwości dostania pieniędzy — na kredyt. Wszystkie najdroższe interesa: język, religia, wychowanie, stanowisko spółeczne, własność, wymiar sprawiedliwości — oddane zostały na łaskę..... Niedziwimy się, że sobie lekceważono tych, co tak lekceważyli spuściznę i obowiązki po ojcach wzięte.... jeszcze tak świeże w pamięci.

Stan ten prowincyi niezmieniał się w niczém, i zapewne byłby się rozwiązał okropną katastrofą wywłaszczenia polskiéj szlachty, gdyby nie zwycięztwo Napoleona pod Jeną, i dalsze następstwa kroków wojennych, co przywiodły Francuzów na brzegi Wisły..... . . . .

Cała ta wojna prowadzona na przestrzeni od Warszawy do Królewca znaną jest z historyi. — Więcéj by nas obchodziły szczegóły odnoszące się do ruchu sprawionego w kraju przez otwierające się dłań widoki udzielnego bytu. Lecz autor dotknął ich dość ogólnie, chociaż ku temu miał źródło niepodejrzane; bo pamiętniki Wybickiego, który

jak wiadomo, najbliżéj był przypuszczony do osoby cesarza i miewał z nim rozmowy dające poznać, co ów wielki wojownik myślał, i jakie miał wyobrażenie o kraju i jego mieszkańcach, którym chciał byt polityczny przywrócić. Sądzę, że przytoczenie kilku słów trafnych napisanych przez Wybickiego o Napoleonie odnośnie do sprawy narodu, byłoby rzuciło poważne światło na wszystko, co dla nas robił. Jeźli je hr. Skarbek pominął, to nie od rzeczy tu je przypomnieć: „Rozumieliśmy, powiada „Wybicki — że Napoleon sejm r. 1791 wskrzesi, „że nam pewne da nadzieje. Ale się pokazało, że „on nie mając jeszcze pewnego względem nas sy„stematu, wychodził z nami nic nieznaczącą polity„ką; a często i przykro przypominał nam z Ru„liera zamieszki i anarchią, która od sejmu kon„stytucyjnego już miejsca niemiała. Niekiedy tak „niedorzecznie ten wielki człowiek mówił, iż słu„chać przykro mi było; jedną tylko nam przyjem„ność powiedział, że w żadnym traktacie podziału „nie zatwierdził.“

Jeżeli słowa cesarza wyrzeczone do deputacyi obywateli naszych w Berlinie, niezaspakajały oczekiwań narodu, któremu kazał powstawać, krew przelewać i ofiary ponosić, niby dla przekonania

się czy warto coś zrobić dlań zato; to po pokoju tylżyckim zaszły większe jeszcze rozczarowania. Wprawdzie trudno było wymagać jakicheś poświęceń się ze strony Francyi, tam gdzie zachodziły inne interesa i polityczne rachuby, — ale te uwagi zimnego rozsądku niemiały wówczas przystępu do umysłów oczekujących zupełnéj restauracyi.

Gdy zaś w punktach traktatu tylżyckiego, nie było innéj wzmianki tylko o Księstwie Warszawskiém utworzonem z zaboru pruskiego — o wiele osłabła wiara w potęgę i wspaniałomyślność Napoleona.

Mimo tego jednak zawodu, choć ściśle biorąc nie było poprzednich obietnic, utworzenie Księstwa należało do prawdziwych dobrodziejstw; bo obywateli wyrwało z tego zabójczego otrętwienia, do jakiego byli doprowadzeni; nadana zaś konstytucya przez Napoleona, choś niecałkiem odpowiednia duchowi narodu, powoływała go jednak do publicznego życia, oddając mu w ręce reprezentacyę i wszystkie urzędy.

Autor poświęca kiłka kart rozbiorowi téj konstytucyi, z lekka jednak dotyka szczegół historyczny tyczący się jéj powstania. Wybicki jako

naoczny świadek wybornie skreślił go w swoich Pamiętnikach.

Napoleon po traktacie tylżyckim przeleciał przez Polskę i nie zatrzymał się aż w Dreznie, wezwał świeżo w Warszawie ustanowioną komisyę rządzącą, aby stawiła się po odebranie konsytucyi, a raczéj żeby stawił się Stanisław Potocki i Wybicki. Ten rodzaj nominalnego wezwania, pokazujący że inni członkowie nie są potrzebni, sprawił przykre między nimi wrażenie; przykrzejsze jednak były spory o jaką konstytucyę prosić cesarza; jedni obstawali za ustawą 3 Maja, inni żądali zmian odpowiednich czasowi. Zapomniano że spór daremny, gdzie rzecz sama z góry już była rozstrzygnięta. Jakoż kiedy Potocki z Wybickim stanęli w zamku drezdeńskim w obec Napoleona i zaczęli mu dziękować za przyrzeczoną konstytucyą, cesarz na to: Wiem że jesteście nie kontenci że tylko zrobiłem Księstwo Warszawskie, ale ja interesów Francyi dla was kompromitować nie mógłem! — Poczem wziąwszy kapelusz, łamał go w ręku mówiąc: „Wszystko to jeszcze się tak połamie — macież jaki projekt do konstytucyi waszéj?“ — Potocki na to zaczął czytać świeżo ułożony projekt, lecz Napoleon nie dał mu dokończyć,

mówiąc: dziś wam trzeba dać inną konstytucyę reprezentacyjną — poczem zawołał księcia Bassano, aby mu dyktował. Dwaj delegowani przedstawili, że w przedpokoju był prezes komisyi rządzącéj z członkami. Na to kazał ich przywołać, i zaczął wszystkim robić nieprzyjemne wyrzuty niezgody, dążności do anarchii, i dodał: Zniosę u was naprzód poddaństwo i dam wam konstytucyę reprezentacyjną pod berłem króla saskiego — i nieczekając, daléj zaczął dyktować ową konstytucyę dla Ks. Warszawskiego. Dyktował ją prędko chodząc po pokoju.... Do deputacyi obracał się niekiedy i pytał czy z niéj kontenta; a gdy książę Talleyrand przybył nieco późniéj, odezwał się do niego: lubisz wygodki, a ja kończę już nadanie konstytucyi nowemu krajowi, i z wielką radością dodał: Zniosłem odwieczne poddaństwo w Polszce i to mych zwycięztw laur dla mnie najmilszy.“

Są to rysy, które wcale dobrze mogły się były w znakomitém dziele hr. Skarbka pomieścić, zwłaszcza, że pamiętniki zawsze są najszacowniejszym materyałem dla historyka; one dają życie i barwę uobecniają to, co się działo, i podnoszą interes historyczny.

Autor oceniając konstytucyę, robi uwagę, że

aczkolwiek takowa różni się w zasadzie od późniejszych ustaw z współdziałaniem parlamentarnem, z tém wszystkiém podziwiać wypada, że samowładność rządów Napoleońskich tyle praw i swobód, podbitym narodom zostawiała. W rzeczy samej konstytucya uznawała obok wolności wyznań religię katolicką jako religię państwa; znosiła niewolę; wprowadzała równość w obliczu prawa; utrzymywała język narodowy; wyłączała cudzoziemców od urzędów; przytém ustanawiała wojsko krajowe; niepodległość sądownictwa; dopuszczała reprezentantów do udziału w prawodawstwie; i dawała obywatelom prawo wybierać na sejm posłów, radzców po departamentach i powiatach, oraz sędziów pokoju. — Pod skrzydłami téj ustawy mógł się swobodnie rozwijać duch narodowy, co było jéj największą zaletą. W gruncie zaś odkładając na bok zbawienne jéj wpływy, niemiała żadnych rękojmi praw i swobód przyznanych; był to rząd samowładny, pod formami i pozorami konstytucyjnemi, co może najlepiéj odpowiadało ówczesnéj potrzebie, a nawet i usposobieniu narodu; był to rząd centralny, w którym każde rozporządzenie władz niższych wykonawczych szło od władzy najwyższéj. Napoleon potrzebujący ślepych swéj woli wykonawców, niebyłby

przystał na żadną formę rządu, krzyżującą jego postanowienia.

Taki stan rzeczy zadawalniał jednak ówczesnych obywateli Księstwa, choć może przy téj gwałtownéj zmianie, boleśnie czuć im się dały niektóre reformy. Szczególniéj 47 art. konstytucyi znoszący niewolę i stanowiący równość w obliczu prawa, był więcéj szumnym podkadzeniem rewolucyi francuzkiéj 1789 r. niż szczerem zajęciem się dolą naszego ludu. Posłuchajmy co hr. Skarbek powiada o skutku tego paragrafu ustawy: Usamowolnieni chłopi nieotrzymawszy obok wolności, ani własności gruntu, ani zwolnienia siebie z obowiązków pańszczyznianych, użyli téj wolności na to, aby porzucać rodzinne wioski, i pewien rodzaj wędrówki ludu po kraju odbywać. — Zerwane zostały dawne stosunki panów z włościanami, ostatni utracili opiekę pierwszych, a pierwsi przychylność i wpływ nad ostatniemi. Najgorszy zaś ten był skutek téj reformy, że w kraju dość nieludnym, zupełnie rąk do uprawy roli zabrakło, co niemało przyczyniło się do zubożenia tego kraju wysysanego przechodami wojsk i ogromnemi kontrybucyami wojennemi.

Zobaczmyż jaki po zaprowadzeniu władz i or-

ganizacyi Ks. Warszawskiego okazał się stan tego kraju, będącego niedawno teatrem wojny.

Razem ze wstąpieniem Francuzów na ziemię polską zdarzył się jedyny może wypadek w dziejach gospodarstwa krajowego, gdy bogactwo narodowe oswobodzonego kraju tak nagle zmniejszyło się, iż pociągnęło za sobą bankructwo, nie już publicznego skarbu, nie kilku bankierów, ale całego narodu, a mianowicie właścicieli gruntowych.

Jak się to stało, łatwo sobie wytłumaczyć, gdy zważymy iż za rządu pruskiego cała zamożność kraju polegała na produkcyi surowych płodów i ich wywozie za granicę; zresztą żadnego przemysłu, ani żadnéj prawie wewnątrz konsumcyi. Owóż z przyjściem Francuzów, z oblężeniem Gdańska, i z zaprowadzeniem systematu kontynentalnego, przerwał się cały wywóz. Co było w kraju zboża zużytem zostało na liwerunki dla wojska, wielka część na składach Gdańskich przepadła, a brak rąk i lata nieurodzajne dokonały reszty, a chociaż pokój powrócił, niewróciły dawne pomyślne stosunki. — Dopieroż jak niebyło z czego opłacać procentów z zaciągniętych sum na urojone hipoteki; jak się pokazało że wartość dóbr drogo, a najczęściéj za pożyczone pieniądze nabytych, spadła —

posypały się bankructwa jedne za drugiemi. Środki zaś przedsiębrane przez rząd dla ratowania obywateli jako: *juristitium* czyli zawieszenie wymiaru sprawiedliwości, następnie *moratorium* czyli zawieszenie wypłaty długów, dokonały znowu upadku tych, których całe mienie utopione było w wierzytelnościach hipotecznych. Tym sposobem bankructwo stało się ogólnem, a nędza nieuchronną. Rząd przez własnych kraju obywateli sprawowany, mógł był przy pilności i oszczędności prędko złemu zaradzić; lecz jakież to brzemię wydatku nieciężyło na kraju! to na wojsko swoje, to obce, to na zaprowadzenie nowych instytucyi; a tu od zniszczonych, i pozbawionych dotychczasowych źródeł dochodu mieszkańców, trudno wyciskać grosz, którego niebyło. —

Gdy tedy skarb publiczny niemógł wystarczyć wydatkom, a zewsząd szły utyskiwania na upadek fortun i gospodarstwa, zrobiono trzy operacye finansowe; z tych najciekawszą było odstąpienie przez Napoleona dla skarbu Ks. Warsz. 47 milionów franków, przez rząd pruski, właścicielom dóbr rozpożyczonych, którym nadano w ówczas nazwisko sum Bajońskich, dla tego, że odstąpienie onychże w Bajonie dokonanem zostało. — Operacya ta przy-

pisywana wspaniałomyślności cesarza, była, jak mówi autor, złudzeniem, a nawet i główną klęską kraju: bo kosztowało go 20 milionów franków, które przeszły do kas francuzkich. Owe pruskie wierzytelności, lokowane na złudnych hipotekach, niemogły mieć już żadnego znaczenia: bo nawet za nie procentu by nieściągniono. Tak tedy niebył to żaden zasiłek skarbu Ks. Warsz. ale przeciwnie główna przyczyna jego niedostatku i niepowetowanych strat dla kraju; wszystkie bowiem dochody zebrane od wycieńczonych mieszkańców, przelewały się do kas francuzkich. Dla dopełnienia tego obrazu niedoli przychodzi mi na myśl, trafny dowcip, powiedziany wówczas przez ministra Badeniego na te kosztowne rządy francuzkie: Prawda! zdjęto nam pęta, ale z nimi i buty.

Mimo tego wszystkiego duch publiczny ożywiał się, nietylko w Księstwie, lecz i w sąsiednich prowincyach; we wszelkiego rodzaju ofiarach nieznano granic; biedę słodzono sobie myślą, że musi być lepiéj, bo wielki Napoleon czuwał; zresztą nieumiano jeszcze wtedy jak mówi autor, brać wszystkiego ze złéj strony, co się zdarzało w życiu politycznem; bo gdzie wątpliwą była korzyść narodu, lub prawość zamiarów władzców naszych, tam szu-

kano koniecznie powodów do usprawiedliwienia postępku i zawsze złudzeniem rzeczywistość pokrywano. Ludność Ks. Warszawskiego materyalnie niedostatkiem i klęskami dręczona, była moralnie spokojną i pełną ufności.

Prawie trzy lata życia miało już nowo utworzone Księstwo Warszawskie; postawione na stopie autonomii, choć nie politycznéj, lecz dozwalającéj swobodnego rozwijania się wewnętrznych sił téj części kraju, pomimo ubóstwa pochodzącego z zamknięcia handlu, wycieńczenia publicznego skarbu, niedostatku kapitałów w rękach prywatnych, upadku kredytu, nagłéj, niezbyt oględnéj zmiany stosunków włościańskich, a nadewszystko pomimo ogromnych ciężarów wojskowych, zaczęło się, wewnątrz organizować i skutkiem ofiar prywatnych, gorliwych usług obywatelskich, wychodzić z pierwiastkowéj niemocy, i dawać już znaki życia narodowego. Cudownem można nazwać działanie wszelkiéj niezawisłości; prowincye najbiedniejsze, najbardziéj materyalnie i moralnie upadłe, raz zostawione własnym siłom, z zarządem pojmującym miejscowe potrzeby, nieparaliżującym objawów życia wewnętrznego, daleko prędzéj przychodzą do siebie, organizują się na trwalszych, odpowiedniej-

szych podstawach bytu, niż środkami najgorliwszéj protekcyi, która obca duchowi i potrzebom kraju, wymyśla dlań na papierze najpiękniejsze nieraz teoretyczne projekta, lecz jak niezastósowana do gruntu roślina, prędko usychające, lub wyniszczające ziemię. Wprawdzie i w Księstwie Warszawskiem wprowadzono niektóre obce instytucye, narzucono kodex cywilny francuzki — jednakowoż, gdy zmiany te przeszły bezpośrednio przez ręce obywatelskie kraju, zatarły się szorstkości, zmodyfikowało się wiele przeciwieństw, jedynie dla tego, że naród miał pozostawioną sobie wolność wprowadzenia tych instytucyj w sposób najodpowiedniejszy i najdogodniejszy dla siebie.

Przy takiem zajęciu się wewnętrznemi sprawami, mało zwracano baczenia na sprawy polityczne Europy, tém bardziéj, gdy ufność w gwiazdę Napoleońską odsuwała wszelkie obawy o los Księstwa. Tymczasem zjazd Erfurcki na którym znajdowało się dwóch cesarzów, cztérech królów, trzydziestu cztérech książąt panujących, z wyjątkiem jednego monarchy Austryi, ostrzegał, że na widowni politycznéj, nowa gotowała się burza, mogąca Księstwu bardziéj zagrozić niż się spodziewano. Jakoż w r. 1809 w kwietniu, już się toczyła w Ba-

waryi wojna między wojskami francuzkiemi i austryackiemi — w Księstwie tylko nikt nieprzewidywał, że na granicyi Galicyi zachodniéj dochodzącéj o kilka mil od Warszawy, stał korpus Arcyksięcia Ferdynanda gotowy do wkroczenia. Po wydanej przez tego wodza proklamacyi w Ryczywole, rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie. Armia cztérdziesto-tysięczna weszła w granice Księstwa na d. 14. kwietnia, a jak powiada hr. Skarbek, w d. 18 kwietnia niebyło nawet żadnéj wzmianki w pismach publicznych Warszawskich, że nieprzyjaciel zbliża się pod mury stolicy. — Rada Stanu dopiero w dzień późniéj wydała odezwę o postanowieniu bronienia się od napaści, wzywającą obywateli do broni; co miało tę stronę smutnie komiczną, że w wielu miejscach o istnieniu téj odezwy dowiedzieli się obywatele od samychże wojskowych austryackich. — Było i innych jeszcze odezw i postanowień co niemiara, lecz te nieposłużyły na nic, tylko żeby w aktach zostały, jaka dowód, że rząd wypełniał swój obowiązek, choć zapóźno. Wiadome są koleje téj całéj kampanii, zapisane pamiętnemi rozprawami pod Raszynem, Górą, Sandomierzem. Autor acz niepodaje nowych szczegółów, ma jednak tę nieocenioną u historyka zasługę, że jest dokładnym,

że z jego opowiadania można powziąść jasne wyobrażenie o całéj téj kampanii prowadzonéj przez Księcia Józefa i Dąbrowskiego, mającéj w znacznéj części charakter podjazdowy, a zatém toczonéj jednocześnie na różnych punktach. — Aczkolwiek siły wojenne Księstwa były szczupłe i świeże, osiągnęły jednak niemałe korzyści, które się zredukowały do mniejszych rozmiarów; los bowiem Księstwa zostający w ręku Napoleona przycięty był do warunków traktatu zawartego w Wiedniu na d. 14 października tegoż roku. Jakkolwiek bądź szczupłe granice Księstwa powiększyły się w skutek téj wojny o cztéry departamenta jako to: Lubelski, Siedlecki, Radomski, Krakowski; dwa powiaty: Stanisławowski i Sienicki, niemniéj o dwa punkta ważne w obronie kraju jak: Zamość i Kraków, a w końcu przybyła Wieliczka z całem terytoryum na wspólną własność Austryi i króla Saskiego; — w ogóle nowe to połączenie przyniosło 919 mil kwadratowych i półtora miliona ludności — nadewszystko zaś wzbogacił się kraj wieloma potrzebnemi zakładami wyrobów żelaznych w Suchedniowie, Samsonowie i innych miejscach obfitych w ten kruszec. Tak powiększone Księstwo mogło było niesłychanie prędko zagospodarować się i przejść w stan

kwitnący, gdyby przeznaczenie jego nie zależało od obrotów wojennéj polityki napoleońskiéj; — gdyby wreszcie kraina ta była czém inném, jak zakładem wojennym dla Francyi, jak ostatnim jéj posterunkiem wysuniętym na wschód i północ. Utrzymywanie armii nieodpowiedniéj możności Księstwa, liwerunki, przechody wojsk francuzkich, również wymagających jakby w nieprzyjacielskiéj ziemi, coraz gorszy stan finansów, wreszcie w trzy lata nowa wojna z Rosyą, wprzód wyczerpały siły żywotne tego porodu politycznego, nim jeszcze żyć zaczął. Przybytek kilku departamentów w pewnym względzie dodał biedę do biedy, a to głównie przez spadek wartości monety papierowéj austryackiéj i wywołanie jéj z obiegu; wreszcie na potrzeby wojenne poszły zasoby jakie kto miał, czy w gotówce, czy w krescencyi, a tak skarb publiczny niemając źródeł dochodów, zawsze pozostawał w niemożności wykonywania tych ulepszeń, jakie tylko przez rząd mogą być wykonane, a bez których niepodobna myśleć o postawieniu kraju w bycie kwitnącym.

Nic to jednak nieprzeszkadzało dobréj myśli; bo w całém Księstwie nietylko w stolicy ale i po miasteczkach departamentowych i powiatowych wyprawiano przez cały rok uroczystości na powrót

wojsk, na zawieszenie orłów, rozdawanie krzyżów, na tryumfy Napoleona, imieniny króla Saskiego, w czém trafnie je autor porównywa do owych scenicznych obrazów okazujących się widzom po szczęśliwie rozwiązanym dramacie. Odurzano się tém, jakby z obawy patrzenia w rzeczywistość.... Szukano publicznych radości: bo w domu czekał smutek i kłopoty niedostatku.

W tych chwilach ogólnego wesela zdarzył się powód powszechnego żalu — była to śmierć Stanisława Małachowskiego nieskażonego marszałka czteroletniego sejmu. Autor z tego powodu robi smutną, lecz zresztą sprawiedliwą uwagę, że szczere wynurzenie poważania całego narodu nad grobem jednego obywatela, jest rzadkiem zjawiskiem: bo rzadką jest taka zasługa, która zawiść współczesnych pokonać, a ich poważnie potomnym przekazać może. Dla tego powodu mniéj słusznym uważam zarzut zrobiony naszemu narodowi, że jest zbyt skłonnym do potępienia ludzi u steru rządu będących. Jabym sądził przeciwnie, że umie czuć całą wdzięczność dla tych, co mu dobrze głową i sercem służyli; to zaś że najcnotliwszy i najzdolniejszy mąż będący na urzędzie nie wszystkim może dogodzić, i nie wszystkie głosy mieć za sobą, pra-

ktykuje się we wszystkich narodach, wyjąwszy narody, które się obchodzą bez opinii o ludziach sprawujących nad niemi władzę. —

Że Stanisława Małachowskiego uczcił kraj, nie jest to wyjątkiem — bo przecież taką samą czcią otoczył pamięć Ks. Józefa, Kościuszki, Staszyca — jeżeli zaś bywają niepojęte przez ogół cnoty i zasługi, nie wina w tém ogółu, ale okoliczności niedozwalających tym cnotom i zasługom pokazać się jakiemi były. — Zresztą w oddawaniu pozgonnéj cześci niejesteśmy skąpsi od innych narodów; za życia tylko lubimy trapić tych, co się oddali służbie publicznéj w celach bezinteresownych lub zapominać o nich, kiedy już siły stargali.

Bardzo zajmującemi są te ustępy gdzie autor przechodzi i rozbiera krytycznie różne urządzenia wewnętrzne i postanowienia władz względem podatków, monopolu, banku kredytowego, monety papierowéj, zgoła tysięcznych środków zasilenia pustego skarbu. Na drodze legalnéj wszystkie te sposoby niedość że niedoprowadzały do niczego, lecz owszem do szczętu podkopywały kredyt. Jedynie dobrowolną ofiarą mogła stać rzecz publiczna w tak zniszczonym kraju — atoli do ciągłéj ofiary niemógł się kraj poczuwać w zwyczajnym biegu spraw

ludzkich, tém bardziéj, gdy po dwa kroć widział się zawiedzionym w swych nadziejach. Nieurodzaj z posuszy roku 1811 dodany do klęsk politycznych i handlowych napełniał trwogą mieszkańców; przewidywano bowiem nie już niepodobieństwo wydołania potrzebom kraju, ale zapowiednią nędzy i głodu. — Po bezskutecznych próbach ratunku, nastąpiło jawne bankructwo skarbu; wójsko, urzędnicy, niepłatni; ugody niedotrzymywane; ztąd wiara w zobowiązania się rządu, stracona. W takich trudnych przypadkach kiedy machina rządowa nie jest już w stanie funkcyonować, bywa zazwyczaj ucieczka do narodu, którego przypuszcza się do udziału w sprawie publicznéj. Z tego pewnika wychodząc, można twierdzić bez wyjątku, iż matką rządów reprezentacyjnych nie jest żaden postęp, oświata, liberalizm, jakto zazwyczaj głoszą, tylko po prostu ruina finansowa. Do experymentu tego ucieczono się i w Księstwie Warszawskiem. Od kilku lat niebyło mowy o sejmikach i sejmie, dopiero jak złe doszło najwyższéj miary, zjechał król saski do Warszawy i nakazał zwołać sejmiki dla wyboru nowych posłów i deputowanych — poczem wydał uniwersał naznaczający otwarcie sejmu na dzień 9. grudnia. Nastąpiła téż zmiana w osobach składa-

jących ministeryum; między innemi na ministra skarbu powołany został znakomitych zdolności mąż: Tadeusz Mostowski, którego czekało nader trudne zadanie; bo jeśli niepodobna mu było wyratować finansów, to należało przekonać reprezentantów narodu iż nawet ofiarą ostatniego grosza powinni byli ratować skarb publiczny. Jakoż w mowie mianéj na posiedzeniu sejmowém dnia 17 grudnia sprawił mocne wrażenie na umysłach, i przekonał o potrzebie ofiar, tak dalece, iż bez żadnéj dyskussyi a tém mniéj opozycyi, izba poselska zamieniała w prawo najuciążliwsze podatki. Naród biorący udział we własnym rządzie, nigdy niecofa się przed ofiarami, — jeżeli widzi, że takowe są niezbędne na potrzeby kraju; w czasach tylko upadku naszéj Rzeczypospolitéj reguła ta niemiała ścisłego zastósowania, z powodu, że działanie przeciwnych sobie stronnictw niszczyło uczucie obywatelskiéj powinności względem ogółu państwa, tak samo, jak w składzie różnoplemiennych narodowości trudno o takie uczucia dla ogólnych interesów monarchii.

Sejm ten, którego uchwały niezawodnie byłyby się przyczyniły do wydźwignienia skarbu z finansowych trudności, na krótko tylko poprzedził nową wojnę, jaką Napoleon wypowiedział Rosyi.

Co trzy lata tedy przychodziły ciężkie plagi na ten kraik, niepozwalając mu dojrzeć ani się rozwinąć własnémi siłami. Przygotowania wojenne nakazane na wielką stopę pochłonęły od razu wymożone przez sejm ofiary — wszakże bolesnémi nie były, nadzieja bowiem powiększenia się prowincyami zostającemi pod panowaniem Rosyi, budziła entuzyazm nierozłączony od chwil stanowczych w życiu narodu.

W pierwszych dniach czerwca 1812 r. przeszła Wisłę wielka armia francuzka — Napoleon z niezwykłą okazałością przybył do Poznania, ztamtąd puścił się do Torunia, Gdańska, Królewca, gdzie główną założył kwaterę. Aczkolwiek pisma publiczne milczały o celu wyprawy i nawet o wypowiedzeniu wojny, jednakowoż z tych ruchów wojsk ku granicom Rosyi można było miarkować z kim będzie walka. Nareszcie i *Monitor* zamieścił notę księcia Bassano adresowaną do kanclerza Rumiancowa, w któréj pomiędzy innémi punktami dającemi powód do kroków nieprzyjacielskich był i ten, że byt Księstwa Warszawskiego już w r. 1809 dawał powód do okazania nieufności ze strony Rosyjskiéj, — i że Rosya tajemnie zmierza do tego, aby i samo Księstwo Warszawskie zagarnąć. Z całéj téj noty pokazuje się wyraźnie, iż kwestya Księ-

stwa była bardzo podrzędną; bo gdyby inne trzy kwestye tyczące się stosunków handlowych z Anglią były załatwione w sposób zgody, o téj niewspomniano by nawet. Tymczasem wcale inaczéj brzmiała instrukcya dana X. Pradtowi posłanemu w misyi dyplomatycznéj do Warszawy. Jest tam wyraźna zachęta do skonfederowania wszystkich prowincyi, do polegania na własnych siłach, które wsparte będą wojskami francuzkiemi. Zgoła Napoleon pragnął aby usiłowania Polaków nosiły pozór że nie od niego, lecz od nich samych wyszły. W tém dwóznaczném postępowaniu znać było jak sam nie był zdecydowanym co ma zrobić, a raczéj niechciał tak zrobić jak mu jego zdrowy i bystry sposób widzenia nakazywał. Najlepiéj w tym przedmiocie mogą nas objaśnić rozmowy Narbonna z Napoleonem*). Przytaczam ten ciekawy ustęp; cesarz czytając w głębiach duszy swojéj, tak mówił o wyprawie na Rosyę: „Cała trudność téj wojny mieści się w sferze moralnéj. Posługując się materyalną siłą powiększoną przez rewolucyę, nienależy pozwalać wybuchu namiętności; przywrócić Polskę, bez usamowolnienia jéj, zapewnić niepodległość Eu-

*) Souvenirs de Mr. Villemain.

ropy zachodniéj, bez rozdmuchania zarżewia republikańskiego.

W tém cała zagadka.... Wojna była w ręku mojém lekarstwem na anarchią; i teraz jeszcze chcę jéj użyć na zapewnienie niezależności zachodowi; wojna niepowinna tego podniecać, com stłumił, to jest ducha wolności republikańskiéj. Posłuchaj Bassana, będzie ci dużo gadał o moich trudnościach z Polską; będzie ci prawił o trzech podziałach, o planach Vergenna.... Zresztą Bassano ma literackie marzenia.... Kocham Polaków na polu bitwy; dzielne to plemie; ale za nic w świecie niechcę ich sejmikowania, ich *liberum veto*, ich zbrojnych zjazdów. — Czy niedosyć że mamy na stałym lądzie te szalone kortezy w Kadyxie?.... Utworzenie Polski republikańskiéj byłoby prawdziwym kłopotem.... Dla tego chcę mieć w niéj obóz, a nie forum. Jednakże w Warszawie niech sobie będzie coś na kształt sejmu, aby tém łatwiéj udał się pobór żołnierza. Szlachetną bronią będę walczył z cesarzem Aleksandrem — dwa tysiące dział i pięćkroć stotysięcy żołnierza obejdzie się bez kup powstańczych. Zdobędę na nim Moskwę, wyprę go w głąb Azyi; lecz przytém nie ścierpię żadnego klubu ani w Warszawie, ani w Krakowie,

ani nigdzie..... wcale niemam zamiaru wskrzeszać ognisk republikańskich w Europie, do tego w dwódziesto-milionowym narodzie, wojennym, bez przemysłu, położonym w sąsiedztwie Czech, téj staréj kolebce Husytów i Taborytów, w narodzie, co gotów dopuścić się Bóg wie jakiego wybryku mistycznego lub demagogicznego, któryby wcale niebył mi na rękę.«

Lecz jak marszałek Bassano, tak i pan de Narbonne, inaczéj rozumiał tę kwestyę. — Villemain przytacza odpowiedź tego ostatniego męża stanu, który przewidywał jakie niebezpieczeństwa zagrażać mogą wyprawie w głąb Rosyi. „Nie — Naj. Panie! — mówił p. de Narbonne — Niepotrzeba rewolucyonować, lecz zorganizować w duchu narodowym prowincye dawnéj Rzeczypospolitéj; zakryć armią francuzką cały bieg Wisły i Niemna, i za tym szańcem naród przywołać do życia, który wystawi najmniej dwakroć sto tysięcy żołnierza; ty zaś Naj. Panie z środkowego punktu, czyli z dzisiejszego Ks. Warszawskiego kierować będziesz tém odrodzeniem, i stanąwszy na krańcach dawnéj Rzeczypospolitéj możesz oczekiwać nieprzyjaciela. Jeżeli nieprzyjdzie, to jakby wygrana bitwa; tym bowiem sposobem uwolnisz ogromny obszar kraju

i wiele milionów ludzi. Podług mnie ten, a nie inny powinien być cel kampanii 1812 r. A daléj: Z Rosyanami mierzyliśmy się we Włoszech, Prusiech, Niemczech, i wszędzie mieliśmy nad nimi przewagę; wszakże niewiemy czém mogą być na własnych śmieciach, silni swoim klimatem, dzikością i fanatyczną rozpaczą.“

Przytoczyłem umyślnie tę ciekawą rozmowę ażeby rzucić jasne światło na główne źródło klęski, która przyprawiła o zgubę, nietylko ogromne zastępy armii podbójczéj, ale.... i człowieka, co losami świata potrząsał. Poznał się i Napoleon na swoim błędzie — lecz zapóźno. Było to w roku 1813 po bitwie Lipskiéj, kiedy wojska jego pobite cofały się ku Francyi. Jednego dnia, w marszu, stanął cesarz na wzgórku w bliskości Fuldy, i zawezwawszy do siebie na rozmowę starszych oficerów korpusu polskiego, długo tłumaczył im konieczność pozostania pod jego chorągwią; w końcu robił wyrzuty, że w czasie powrotu z Moskwy nieznalazł gotowych sto tysięcy żołnierza. — Na co odpowiedział mu były adjutant Ks. Józefa, Hr. Artur Potocki, że naród niemógł robić nowych wysileń, kiedy mu niezrobiono nawet obietnicy przyszłéj exystencyi. Po téj trafnéj odpowiedzi, która była

oraz gorzkim wyrzutem, odparł Napoleon, że będąc zmuszonym do oszczędzania swych sprzymierzeńców działał półśrodkami, a te nigdy nic niewarte *(j'ai âgi par demi-mesures, et celles-ci ne valent jamais rien, et chez vous moins qu'ailleurs).*

Półśrodki, jak sam się przyznał Napoleon, zgubiły wyprawę do Rosyi; co więcéj, była to czysta komedya, którą kazał odgrywać w Warszawie za pośrednictwem złego księdza i lichego dyplomaty, jakim był Pradt, arcybiskup Mechliński. Zwołany sejm odrazu idzie drogą nielegalną, i zawiązuje się w konfederacyą, wzywającą do łączenia się nawet takie prowincye, których całość zagwarantowaną była sprzymierzonym przez Napoleona. Ile tu sprzeczności! ile złéj wiary! Hasło łączenia się wychodzi z łona reprezentacyi narodu, a siły jakiemiby należało dokonać tego, pociągnęły z Księciem Józefem daleko na północ. Została tylko na bruku sama rada jeneralnéj konfederacyi, niemająca żadnéj władzy, niemogąca nic zrobić bez pozwolenia księdza Pradta, i ograniczona tylko do ćwiczeń krasomówczych. Trafnie zdefiniował rolę tych skonfederowanych krasomówców hr. Skarbek, gdy mówi „Pewne uczucie smutku i politowania ogarnia umysł, czytając dzisiaj dziennik konfederacyi, który poda-

wał do wiadomości publicznéj wszelkie czynności rady jeneralnéj; bo to jest uwłaczające godności narodowéj, gdy namiestnicza jego władza, lub ci, co w jego imieniu działać mają, martwą wyrazów siłę, siłą rzeczywistą zastąpić usiłują, lub gdy z zarozumiałością lub przechwalstwem zapowiadają czyny i ich skutki, do których wykonania siły i możności nie mają." — Wysłana deputacya do Napoleona, który był w Wilnie, nic innego nie przyniosła w odpowiedzi, tylko zachętę do usiłowań i poświęceń się; przyjęto ją jednak z entuzyazmem, niepytając czy po tych wysileniach i poświęceniach się będzie jakaś dla narodu pewność, czy téż ma on służyć za narzędzie postrachu dla nieprzyjaciół? — Ks. Adam Czartoryski jenerał ziem Podolskich przewodniczący konfederacyi, prędko poznał się na całéj farsie i na początku września opuścił Warszawę dowcipnie charakteryzując czynności téj władzy bez władzy: *les graves inutilités de la Confederation*, od którego momentu, ustała nawet retoryczna jéj czynność. Wszystko miało oczy zwrócone na północ gdzie się rozstrzygały losy, wszystko trwoźliwie oczekiwało wypadków.....

Stan ten niepewności, a raczéj płonnych nadziei, utrzymywał się bardzo długo, — kłamliwe

bowiem buletyny Napoleona, chociaż niedobitki jego przerzucono nawet za Wisłę, nieprzestawały ogłaszać coraz nowych zwycięztw nad Rosyą. — W końcu, kiedy i gazety oficyalnie kłamać już nie śmiały, rada konfederacyjna wydała dnia 8 stycznia 1813 r. odezwę do wojska zagrzewając do męztwa i wytrwałości... a za nią w trop rada ministrów ogłosiła uchwałę zwołującą pospolite ruszenie! Jeszcze raz retoryka miała pole pięknego popisu...

W pogoń za armią Napoleońską wojska rosyjskie wstąpiły w granice Księstwa Warszawskiego... Były to chwile między życiem a śmiercią — wojsko z Księciem Józefem poszło do Czech i Saksonii... Ministerya w początkach lutego opuściły Warszawę i coraz usuwając się dalej, rozwiązały się w Czechach. — Rosyjski jenerał Miłoradowicz odebrał klucze Warszawy, złożone mu od deputacyi miasta — i odtąd wszystkie rozkazy i rozporządzenia krajowe wychodziły w imieniu Feldmarszałka Księcia Kutuzowa, naczelnego wodza rosyjskiego. — Pierwsza odezwa uspokoiła obawy mieszkańców; bo przyrzekano kraj zabezpieczyć od klęsk wojennych i wzywano urzędy, aby funkcyonowały jak dawniéj. —

Władza wojskowa, jaką zrazu zaprowadzili

Rosyanie przy zajęciu Ks. Warszawskiego, zmieniła się niebawem na władzę cywilną, którą objął tajny radzca i senator Łanskoj, tymczasowy naczelnik rządu Księstwa. Odezwa wydana przezeń jeszcze bardziéj uspokoiła umysły, gdy została ustanowioną rada najwyższa, do któréj powołano kilka osób, znanych z zacnego charakteru, jak książe Adam Czartoryski (syn), osobisty przyjaciel cesarza, Wawrzecki i książe Lubecki. Gdy przytem nastąpiło wiele zmian na lepsze, jak zmniejszenie ogromnych podatków, zaprzestanie poboru rekruta, a nakoniec zachowanie dotychczasowego rządu cywilnego i wszystkich władz miejscowych, kraj nieuczuł żadnego wstrząśnienia, owszem dopiero po tych bezowocnych wysileniach, oddychać zaczął, lubo z drugiéj strony nieprędko oswajał się z myślą żeby ten, który dotąd był panem losów świata, z którym łączyło go tyle gorących nadziei, miał zostać tylko wspomnieniem znikającego meteoru. — Nic téż dziwnego, że przejście w umysłach było powolne, zwłaszcza gdy po twierdzach stały jeszcze francuzkie i polskie załogi, a wojsko narodowe do ostatka wierne, znaczyło krwią swoją każdy krok broniącego się bohatyra na polach niemieckich i francuzkich. Po wnijściu sprzymierzo-

nych do Paryża i abdykacyi Napoleona, resztki armii polskiéj otrzymały pozwolenie powrotu do ojczyzny — ogółem wróciło około 20,000 ludzi.

W obejściu się cesarza Aleksandra z wojskiem polskiem to najwięcéj ujmowało, że umiał uszanować jego męztwo i wszystkiego unikał, coby ubliżało godności żołnierza. — Zachowanie znaków i barw narodowych było niejako zarodem przyszłego politycznego życia, do którego ta cząstka kraju powołaną być miała. Jak dalece ujmował postępowaniem swojem monarcha rosyjski serca narodu, dowodzi że i Kościuszko widział w nim zbawcę, gdy w zaufaniu prosił go o trzy łaski: aby dał amnestyą ogólną; aby się ogłosił królem i konstytucyę nadał znosząc pańszczyznę, — nakoniec żeby dał urząd jego przyjacielowi Zeltnerowi. — Oprócz pańszczyzny, któréj niezniesiono, a tylko zatrzymano ten sam stan włościan jaki był za Napoleona, reszta życzeń bohatyra spełnioną została...

Zwołany kongres w Wiedniu miał ostatecznie ustanowić porządek w zamieszanych stosunkach państw. Ks. Warszawskie niemogące się niczego już spodziewać od Francyi ani od żadnego innego mocarstwa, zwracało się z pełną nadzieją do cesarza Aleksandra, który delikatnem i wyrozumiałem

postępowaniem swojem utorował był sobie drogę w opinii publicznéj. Przejazd jego przez Polskę, pobyt w Puławach, gdzie się swobodnie wynurzał z najprzychylniejszemi uczuciami dla narodu, jeszcze bardziéj zwróciły umysły ku niemu i kazały się spodziewać przychylnych dla kraju postanowień na zbliżającym się kongresie.

Dalsze wypadki należą już do dziejów Królestwa Kongresowego, które w tém szczególniéj zawiodło oczekiwania, że było w rozmiarach swoich szczuplejsze niż ów polityczny poród Napoleona, Księstwo Warszawskie. Spodziewać się, że autor, co z taką ścisłą znajomością stanu rzeczy, zbadaniem przyczyn i skutków, zestawieniem stosunków skreślił sześcioletnie dzieje Księstwa, — skreśli i dzieje Królestwa Kongresowego przez ciąg piętnastoletniego życia, co zapewne tem łatwiéj mu przyjdzie, że urzędując na wyższéj posadzie, miał sposobność poznać cały skład machiny rządowéj, chociaż z drugiéj strony spotkają go niemałe trudności tak w ocenieniu osób jak wypadków. Zwolennik konserwatywnego kierunku, przychylający się do powolnego lecz pewnego rozwijania się żywiołów narodowych, musiałby przy wypowiedzeniu bezstronnego sądu, wiele żywych wspomnień zadra-

snąć, a może i potępić jawne objawy publicznego ducha, co mając i wzniosłą swoją stronę, miały i ujemną, co parte młodzieńczą niecierpliwością, prześcigały dążność spokojną: bo wyrachowaną dojrzałych polityków i samsoniemi siły zatrząsły sklepieniem.... Bliskość téj epoki utrudnia dziś zadanie bezstronnego historyka, atoli tylko o tyle, o ile piszący badacz napadłby na niezbite dowody i nabył głębokiego przekonania, że polityczna dojrzałość systematycznie czuwała nad losem narodu i że byli mężowie świadomi środków i celów, nad namiętności wyżsi, czyści sumieniem, w tém tylko nieszczęśliwi, że niepoddano się ich powadze moralnéj i lekkomyślnie inną zatknięto chorągiew....

Co do niniejszego dzieła, tyle jeszcze wypada o niem powiedzieć, że należy do rzędu pism gruntownych, świadczących o nauce i doświadczeniu pisarza; czytelnik oświeca się na każdéj karcie; bo rzeczywistość ujęta i oceniona podług zdrowéj życia praktyki, nie mgli się ani złudnemi barwami, ani rozdęta namiętnem tchnieniem traci na wyrazie prawdy.... Na jedno tylko możnaby się uskarżać, że autor mało ożywił swoje opowiadanie temi barwami życia, które acz stanowią główną pamiętników zasługę, niemniéj jednak użyte w pe-

wnéj proporcyi, wiele dodają wdzięku nawet najpoważniejszéj historyi. Tymczasem w dziejach Ks. Warszawskiego daje się czuć niejaka suchość połączona z rozwlekłością pochodzącą z powtarzania jednych i tych samych uwag. Być może, że szanowny autor chciał zbawienne swoje uwagi i prawdy tem mocniéj wrazić w pamięć i przekonanie czytelników, dla tego wracał się do nich, — lecz zdaniem mojem raz a dobitnie rzecz wyrażona, robi swój skutek — powtarzanie, niecierpliwi częstokroć czytelnika.

DYPLOMACYA.

Baron Bignon i jego Pamiętniki o Xięstwie Warszawskiem. — Odraza do dyplomacyi. — Nigdy nieznano u nas téj sztuki. Poselstwo Działyńskiego do królowéj Angielskiéj. — Dyplomaci z czasu sejmu cztéroletniego. — Dzisiejszy postęp téj sztuki.

Ludwig baron Bignon, którego Pamiętniki o Polsce w roku 1811 i 1813 świeżo ogłosiło czasopismo *Revue Contemporaine**), był jednym ze znakomitych francuzkich dyplomatów, publicystów i historyków. Urodzony w roku 1771 w Guerbaville (w dep. niższéj Sekwany) odbył nauki w Lisieux i w Paryżu. Gdy zaś wybuchła rewolucya w roku 1789, a cudzoziemskie wojska zagroziły wkroczeniem w granice Francyi, zaciągnął się w szeregi ochotników. Zawód wojskowy nie odpowiadał je-

*) Przekład polski tych pamiętników wydałem w Krakowie pod tytułem: *Pamiętnik Dyplomaty.*

dnak usposobieniu młodzieńca; marząc o właściwszéj dla siebie karyerze, napisał wiersz do Talleyranda prosząc go o pomieszczenie w dyplomacyi dyrektoryatu. Niezwykły ten krok stał się początkiem jego wyniesienia. Jakoż niebawem mianowano go sekretarzem legacyi francuzkiéj w Szwajcaryi, a następnie w tym samym stopniu przy Rzeczypospolitéj Cysalpińskiéj. Za rządów konsularnych był przy poselstwie w Berlinie, następnie ministrem pełnomocnikiem przy elektorze Hessen-Kaselskim.

Odtąd Bignon brał udział we wszystkich niemal olbrzymich zamiarach polityki cesarskiéj. Po bitwie pod Jeną, Napoleon mianował go jeneralnym administratorem dóbr i skarbu w Prusiech, na któréj to posadzie odznaczył się uczciwością i talentami dobrego administratora. W roku 1808 wrócił do dyplomacyi i miał sobie dane poselstwo przy dworze Badeńskim; w 1809 roku znowu poszedł na administratora w krajach zdobytych na Austryi. W przewidywaniu wojny z Rosyą, Napoleon potrzebował człowieka, któremuby mógł ważne stanowisko powierzyć w Księstwie Warszawskiém; wybór jego padł na Bignona, który w początku 1811 roku na urząd rezydenta francuzkiego

przybył do Warszawy; w 1812 był komisarzem przy rządzie francuzkim w Wilnie; a w 1813 po oddaleniu Pradta z niedołężnie sprawowanéj ambasady warszawskiéj, wrócił na tę trudną posadę wtenczas, kiedy nieprzyjaciel wojskami zalewał Księstwo, a panowanie Francyi tylko tam sięgało, gdzie powiewały sztandary pułków polskich. Wstrzymywać pospiesznie cofanie się posiłkowego austryackiego korpusu, opóźniać wyjście polskiego wojska za granicę, a tém samém rosyjski korpus Sakena zatrudnić, aby się nie mógł z wielką armią połączyć na polach walnéj bitwy pod Bautzen — winien był Napoleon zręcznéj dyplomacyi Bignona, popartéj nieugiętością charakteru księcia Józefa Poniatowskiego.

Z upadkiem cesarstwa Bignon oddał się pracy naukowéj. Dzieło jego pod tytułem: *Porównanie stanu finansowego, wojskowego, politycznego i moralnego Francyi z innemi mocarstwami*, *wydane w roku 1815* sprawiło mocne wrażenie w Europie, a Francyi wróciło uczucie wyższości jéj nad innemi państwami.

Za restauracyi, lubo od funkcyi rządowych odsunięty, żył w pamięci prawych obywateli i w 1817 wybrany został do izby deputowanych, gdzie zaw-

sze stawał po stronie obrońców swobód publicznych. Wtedy wyszła na widok książka jego o *Proskrypcyach*. Był to głos sumienia i wielkiéj odwagi, osobliwie wśród okoliczności ówczesnych, kiedy wygnanie było chlebem powszednim.

Napoleon umierając przekazał Bignowi testamentem summę stu tysięcy franków za napisanie *Historyi dyplomacyi francuzkiéj od roku 1792 do 1815.* Przyjął to i sumiennie wywiązał się z zadania, ogłaszając tę obszerną pracę w dziesięciu tomach od roku 1829 do 1840. Dzieło to lubo ściągające krytykę na niektóre części, lecz szlachetnem uczuciem natchnione, jest zarazem utworem prawdziwego statysty, biegłego pisarza i prawego obywatela. W rewolucyi lipcowéj znalazł się Bignon po stronie najznakomitszych ludzi zwycięzkiego stronnictwa; mianowano go téż natychmiast tymczasowym komisarzem rządowym do spraw zagranicznych a następnie ministrem oświecenia publicznego. Z tem wszystkiem tekę tego ministerstwa piastował tylko do 27 października 1830 roku. Zostawszy prostym deputowanym do izby, zajął miejsce w szeregach opozycyi, i dzielnie stawał w obronie sprawy polskiéj, nikczemnie opuszczonéj przez gabinet pana

Périer. Na tém się kończą zapasy parlamentarne Bignona.

Wyniesiony w roku 1837 na godność para Francyi, przepędził resztę dni życia w milczeniu i rozczarowaniu. Towarzysząc w roku 1840 karawanowi wiozącemu zwłoki Napoleona do kościoła Inwalidów, zachorował, i w parę tygodni, to jest 6 stycznia 1841 roku rozstał się z tym światem.

Oto jest krótki żywot męża nieobojętnego nam jako doświadczonego i rozumnego przyjaciela sprawy naszéj. Szczególniéj pośmiertne jego dzieło: *Pamiętniki dyplomaty* poświęcone wyłącznie rzeczom polskim, z chwili tak stanowczéj jak ostatnich lat dwa bytu Księstwa Warszawskiego, daje go poznać nietylko ze strony szlachetnego sposobu myślenia, lecz i z dokładnéj znajomości naszych stosunków publicznych i domowych, znajomości również dalekiéj od nienawistnych uprzedzeń zarozumiałego w swéj wyższości cudzoziemca, jak od pochlebstw nie szczerych bo interesownych.

Pamiętniki te rzucając niemałe światło na ówczesne wypadki i stosunki znane nam więcéj ze strony militarnéj i oficyalnéj, niż w tajnych sprężynach poruszanych w gabinetach notami i oświadczeniami dyplomatycznémi, budzą uwagę czytelnika

i wymuszają na nim, że tak powiem, uznanie téj wyższości jaka się należy dyplomacyi, ilekroć takowa nie kłamstwami i przewrotnością, lecz mocą do rozumu trafiających przedstawień, zręcznych insynuacyi, przenikliwych wyrachowań, do celu zdąża. Zwycięztwa na tém papierowém polu nieustępują tryumfom na polu bitew, a chociaż najłatwiejsze bywa zadanie dyplomacyi, jeśli jéj notom towarzyszy kula działowa, to przecież zła dyplomacya, choćby grozą armat poparta, może zamierzonego nieosięgnąć celu. Dyplomacya napoleońska namiętna i zarozumiała osobliwie w r. 1813, kiedy wypadało menażować sprzymierzeńców na słabéj nitce trzymających się Francyi, przekonała jakie mogłaby oddać usługi przywięzując Austryą do sprawy napoleońskiéj, Austryą niedowierzającą rosnącéj przewadze Rosyi i Prus stojących na czele powstania Rzeszy niemieckiéj. Ta osobliwa część Pamiętników Bignona, co rozbiera szczegółowo wszystkie te czynności wyższych sfer dyplomacyi i łączy je z ostatniemi scenami dramatu odgrywającego się na ziemi polskiéj, a mającémi rozstrzygnąć o politycznym bycie Księstwa Warszawskiego — niezmiernie jest pouczającą, bo nową stronę odkrywa stronę dość lekceważoną przez tych, co pisali téj

epoki historyę. Zapewne rzadko komu dostępnémi były tajne archiwa ministerstwa spraw zagranicznych, rzadko téż odpowiedna znajomość gabinetowych sprężyn kierowała piórem; nieidzie zatém, żeby nieuznawać wpływu działań dyplomatycznych i obrzucając je sarkazmem, potępiać sztukę starą jak świat i w dziejach wszystkich narodów odgrywającą niezmierną rolę.

Opinia rozszerzona u nas, niewątpliwie w skutek ciężkich krzywd zadanych nam przez przewrotną i korsarską politykę ze szkoły Fryderyka II., wszystko złe przypisuje dyplomacyi gabinetów i z góry nagania cokolwiek mogłoby się robić w drodze negocyacyi. Czuł to i wytknął znany z obywatelskich zasług wojewoda Antoni Ostrowski pisząc żywot swego ojca Tomasza, żywot spleciony z dziejami ostatnich dni istnienia, upadku i dźwigania się narodu; gdy mu bowiem przyszło zastanowić się nad dyplomacyą usiłującą oderwać Szwecyą od sprawy napoleońskiéj, co się jéj nadpodziw powiodło — zatrzymał się, i te godne pamięci wypowiedział słowa: „Niechże kto teraz powie, że dy„plomacya nie jest sztuką, że bez jéj znajomości „obejść się może człowiek stanu?... Właśnie że „dyplomatycznéj sztuki mało się uczyli Polacy, że

„ona nie była w charakterze narodowym, dlatego właśnie, tylekroć jéj dobroduszną stawaliśmy się „ofiarą. Wierzyliśmy każdemu: gwarancyom Mo„skwy, aliansowi pruskiemu, obietnicom innych mo„carstw.... aż nareszcie oszukani od dyplomacyi, „stanęliśmy tak nizko, że niżéj trudno. Deklamuj„myż więc na dyplomacyę; jest to zwykła oszuka„nych rola i słaba ich pociecha! Wypada raczéj „uczyć się téj sztuki, nie aby drugich, jak ona „czyni, zwodzić; lecz aby bliżéj znając jéj kręte „drogi, podejrzane słowa, nadal nie być zwodzo„nymi."

Słuszny ten wyrazt nabiera tém większéj słuszności, im obficiéj tajne archiwa dostarczają dziś dokumentów objaśniających czynności gabinetów w sprawach dotyczących Polski, z których nieraz się pokazuje, żeśmy zostawali w niewiadomości, co do przebiegu tych spraw w sferze dyplomatycznéj; a chociaż los w szczęśliwszych momentach robił nas panami sytuacyi, pozwalaliśmy się zepchnąć ze stanowiska, lub mimowiednie stawaliśmy się narzędziem lepiéj obrachowanych kombinacyi.

Nietrudno o przykłady nieudolności naszéj w negocyacyach w dawnéj jak w nowszéj historyi. Przypomnijmy sobie ową delikatną misyę Pawła Dzia-

łyńskiego do stanów holenderskich i do Elżbiety, królowéj angielskiéj, misyę, mającą na celu bezpieczeństwo handlu polskiego na morzu. Z jakąż niezręcznością urodziwy ów poseł stając w obec królowéj mórz, groził jéj potęgą swego pana, jeżeliby jeszcze i nadal odważyła się przeszkadzać handlowi polskiemu z Hiszpanią! Podobna groźba w ustach reprezentanta monarchy pozbawionego Szwecyi,— a ufnego tylko w przymierzę z Austryą, potencyę tak samo kontynentalną jak Polską, wzbudziła politowanie w Anglikach, w Elżbiecie gromką odpowiedź: „Spodziewałam się ambasadora, a widzę „przed sobą herolda.... Jeżeli z podobnem polę„leceniem przybywasz Waszmość od Króla Imci, „o czém bardzo wątpię, to mogłabym mniemać, „że niewiadomy mu sposób, w jaki poprzednicy „jego traktowali z Anglią. Co sięząś Waszmości „tyczy, snać żeś więcéj zabawiał się książkami, niż „polityką i t. d.“ — Skonfundowany ambasador tłumaczył się potem przed ministrami królowéj, że gotową mowę dano mu, kiedy wyjeżdżał i kazano tylko powtórzyć... Ambasada nie udała się, chociaż polityka nakazywała przeciw niebezpieczeństwom od Szwecyi szukać sojuszu z Anglią.*)...

*) Wicquefort, plenipotencyaryusz polski do Stanów

Nielepiéj dyplomatyzowano u nas i nowszemi czasy ze sejmu konstytucyjnego, kiedy wszystkim pozawracał głowy alians z królem pruskim tak zręcznie podsuwany przez jego ministra przy dworze warszawskim, Lucchesiniego, a z naszéj strony na seryo wzięty przez Ignacego Potockiego. Pełnomocnik Rzeczypospolitéj przy dworze wiedeńskim, Wojna, przysłał depeszę donoszącą o chęciach gabinetu austryackiego wejścia w przymierze z Polską. Niepotrzeba było wielkiéj filozofii, żeby nie postrzedz od razu jaka otwierała się sposobność działania przez wyzyskiwanie rywalizujących ze sobą mocarstw, a mających rzeczywisty interes w powstrzymaniu zaborczych dążeń Rosyi, szczególniéj od strony Turcyi; lecz namiętne uprzedzenie przemogło. Ignacy Potocki zawiadujący wtenczas sprawami zagranicznémi, nabiwszy sobie głowę aliansem pruskim, pogardliwie odrzucił tę insynuacyę, wyrażając się, że ponieważ w Warszawie jest tylko ze strony austryackiéj pan Decaché prosty chargé d'affaires, więc nie ma z kim traktować. Był to krok wcale niedyplomatyczny; po-

---

holenderskich za Jana Kazimiérza w swém sławnem dziele: *L'ambassadeur* (à la Haye 1681) poselstwo Działyńskiego zamieścił w kategoryi nieoględnego mówienia.

ufna insynuacya niebyła jeszcze otwartem wystąpieniem; należało zatem zostawić rzeczy zwykłemu porządkowi przyjętemu w dypłomacyi i czekać na wyraźniejsze oświadczenie, które już przygotowało się w gabinecie Kaunica. Thugut, jeden z pierwszych dypłomatów austryackich, był wyznaczony na posła do Warszawy. — Wojna nieotrzymał żadnéj odpowiedzi; a tak ów alians wpadł w wodę, nieprzyczyniając się w niczem do utrwalenia aliansu pruskiego, z którym po niedługim czasie osiedliśmy jak na lodzie, nagromadziwszy na siebie nie mało zemst Katarzyny, drażnionéj zawcześnie; jakby to projekt stutysięcznéj armii na papierze, mógł był upoważniać do przyjęcia tak groźnéj postawy?

Przypuściwszy nawet, żeby czynność i czujność naszéj dyplomacyi nie była w stanie zapobiedz katastrofom, jakie na naród jedne po drugich spadały, o czém jednak możnaby wątpić — to przecież niezmiernie u nas rozszerzone wyobrażenie o małem znaczeniu dyplomacyi w obec faktów dokonanych orężem, potrzebuje zaprzeczenia a raczéj sprostowania. Nieidzie tu o zdanie pospolitéj opinii *), zwykle nie sięgającéj daleko, ile

*) Jak dalece opinia ta u nas zawsze się przeciw dy-

o zdanie ludzi chcących nam tłumaczyć jakie przyczyny i sprężyny poruszały wypadkami osobliwie w końcu przeszłego i w początkach bieżącego wieku. Zazwyczaj bowiem w homerycznéj prostocie widzą oni przeciwnika tylko na polu bitwy, kiedy już przychodzi do rozprawy, a nie raczą go pokazać w zabiegach przygotywujących krok stanowczy, — zabiegach, przeciw którym rozum polityczny narodu nakazywał działać, ażeby zbliżającą się katastrofę zakląć, odroczyć, lub nakoniec mniéj dotkliwą uczynić. Winą tu jest zapewne, żeśmy się trzymali a raczéj że nas trzymano po za obrębem działań dyplomatycznych; lecz właśnie ta nieumiejętność w zajęciu stanowiska dyplomatycznego, to ciche zgadzanie się na radzenie o sobie, bez siebie, powinno było dawno być podniesionem i wytkniętem, jako jeden z niedostatków naszych mężów stanu. Tymczasem owe niewłaściwe uprzedzenie do dyplomacyi jeszcze bardziéj wzrosło za ostatniéj wojny, 1831 r., gdy w negocyacye z nie-

---

plomacyi oświadczała, za dowód posłuży, że śp. Adam Czartoryski, jedyny prawie z naszych mężów stanu, zdolny o dyplomacyi napisać dobrą książkę, skoro takową rzeczywiście napisał, nie ośmielił się jéj wydać w kraju, tylko za granicą, po francusku i pod pseudonimem.

pobitym nieprzyjacielem wchodzono wtedy, kiedy wprzód pobić należało. Historycy powstania listopadowego potępiali ten krok i słusznie, ale w ten sposób, że klątwą obrzucili całą umiejętność dyplomatyczną, czém większą moc nadali staremu uprzedzeniu.

Historya jednak na licznych kartach wręcz temu zaprzecza i pokazuje, że państwa nietylko niemogły się obejść bez dyplomacyi, ale że nawet zawdzięczały jéj większe nieraz korzyści, niż te, jakie szczęśliwy oręż odnosił. Dowód na Hiszpanii wojującéj z Ludwikiem XIV. Bita prawie wszędzie, nigdy jednak nie podpisała żadnego traktatu, nawet najbardziéj zgnębiona, któryby jéj korzyści nieprzyniósł, i tym sposobem jedném pióra pociągiem umiała wynagrodzić sobie straty w kilku poniesione kampaniach. Przeciwnie znowu dyplomacya napoleońska, acz oparta na zwycięstwach, a używająca w negocyacyach tonu szorstkiéj impozycyi wyniesionego z czasów rewolucyi, pozwalała się często wywieść w pole przez dyplomacyę państw pobitych, gładką w słowach, cierpliwą i wyczekującą. —

Jak wszystko, tak i ciało dyplomatyczne przeszło w nowszych czasach przez pewne przemiany.

W wieku ubiegłym służyło zwykle polityce osobistéj panującego lub dworskiéj, żyjąc prawie z dnia na dzień; — dziś zmuszone jest brać za podstawę szersze widoki, głębsze pojęcia i stałe zasady. — Widocznie uprościło się powołanie dyplomaty, raz że polityka mniéj się dziś zajmuje wyłącznemi sprawami panującego lub dworu, powtóre, że jawność opinii i parlamentarne instytucye o wiele podkopywały tajemnicę dawniejszych sztuczek. Z drugiéj strony umiejętność sama stała się trudniejszą. — Oprócz znajomości prawa publicznego narodów, zbadania ducha mieszkańców, wewnętrznego położenia państwa, a głównie taktu odgadywania opinii, potrzeba jeszcze niepośledniéj biegłości w ekonomii politycznéj, w statystyce i innych naukach socyalnych; a przytem utrzymania się na wysokości postępu umysłowego we wszystkich jego gałęziach. —

Jest to więc umiejętność niepozwalająca się lekceważyć, ani zapoznawać, jeśli przez kogo, to najmniéj przez nas, cośmy nieraz padali jéj ofiarą, a poszkodowani miotali przeciw niéj niedołężne pociski.

Oby tych kilka przedwstępnych uwag, — natchnionych Pamiętnikami Dyplomaty, tak znako-

mitego jak Bignon, posłużyło do sprawiedliwszego ocenienia umiejętności dyplomatycznéj, mianowicie przez badających dzieje ojczyste. Zwrócenie baczności w tę stronę mogłoby niejeden taki fakt objaśnić, co uchodzi jakby za dzieło fatalizmu, — a w gruncie jest tylko wynikiem sprężyn poruszanych w tajnikach gabinetów.

FILOZOFIA MORALNA.

Stary *Orbis pictus* i *Nowy Komeniusz*. — Literatura moralno-polityczna. — W rodzaju tym mamy znakomitych pisarzy. — Autor *Nowego Komeniusza* powiększył ten zastęp. — Jego definicye. — Filozofia muzyki. — Dobra książka służy nie na jeden raz.

Bardzoby się pomylił, ktoby sądząc z tytułu, wziął *Nowy Komeniusz**) za dalszy ciąg lub przerobienie owego *Orbis pictus* sławnego pedagoga Amosa Komeniusza, który wyemigrowawszy z Czech w XVII. wieku, przytułek znalazł w Lesznie, i tam pisał swoje książki edukacyjne i religijno-polemiczne. Bezimienny autor Komeniusza, pożyczył tylko dla swych moralno-filozoficznych aforyzmów, tego, zbyt głośnego w pokoleniu uczącem się nazwiska; i jeżeli ma jakie z nim powinowactwo, to

*) Nowy Komeniusz, w Wiedniu.

nie inne, jak że Stary i Nowy Komeniusz oba świat malują; aczkolwiek pierwszy malował go ze zwierzchniéj, czysto realnéj powłoki jak się najpospolitszemu przedstawia oku, a drugi zajrzał w głąb' duszy i odmalował świat wewnętrzny człowieka, przymioty i własności jego serca i głowy, złe i dobre, z wszystkiém tém, co rozum działa, wyobraźnia tworzy, uczucie ożywia — zgoła ów świat moralny, w jakim się obraca wykształcona społeczność.

Jest to moralista z rodziny Montaignów, Pascalów, Labruyerów, a przedewszystkiem z bliższéj nam rodziny Rejów, Fredrów, Lubomirskich, Leszczyńskich, Wiśniewskich, których pisma liczą się do ozdób naszéj literatury niezmiernie w téj gałęzi bogatéj, zwłaszcza gdy w ten poczet wliczymy naszych pisarzy religijnych, będących wybornémi moralistami nawet z czysto humanitarnych względów.

Było więc podwójnie niebezpieczném to przedsięwzięcie Nowego Komeniusza, wkraczać w tę krainę tak uprawną, że zdawałoby się iżby nic nie dało się powiedzieć, coby już przez kogoś powiedzianem nie było. Zaiste zastraszającą mogła być ta falanga moralistów obcych i ojczystych,

lecz nie dla umysłu oryginalnego myśliciela, który chciał snuć ze siebie, z doświadczenia długich lat, i obserwacye zdjęte bystrym wzrokiem, odnosić do medytacyi i rozważania samego siebie, wiedząc, że każdy człowiek to prawdziwy mikrokosmos, w którym fotografuje się w drobniutkich rozmiarach obszar namiętności ludzkich. W téj to księdze niezawodzącéj nigdy, tylu myślicieli robiło już swoje badania nad światem, i w odosobnieniu poznało go równie, jak ów co przeżył wiek cały.

W najoklepańszym, najbardziéj zużytym przedmiocie, jak filozofia moralna, można tedy być nowym, czyli nadać mu połysk nowości, byle o serwator miał własny swój sposób widzenia, zwłaszcza gdy „jeden i ten sam pomysł przez inną przedystylowany głowę w inną się przeradza substancyę."

Nowy nasz Komeniusz miał to przekonanie, kiedy pisał tę książkę, że serce ludzkie z tysiącem swych namiętności, z mnóstwem najróżnorodniejszych i najsprzeczniejszych uczuć i wrażeń, z swojemi wielkościami i słabościami, z niedostępnemi tajnikami zawiłych labiryntów, w których gubi się wszelka mądrość i najcierpliwsza analiza, że serce ludzkie jest zbyt szerokiem państwem, aby po tylu a tylu badaniach w rozmaitym kie-

runku, nie miało się znaleść co w niém zapomnianego, lub przedstawiającego się inaczéj w pryzmacie dzisiejszych pojęć. Tego rodzaju przedmioty nie chorują na przedawnienie; każda epoka inaczéj je widzi różniąc się nie tyle co do gruntu rzeczy, ile w sposobie plastycznego odmalowania. Autor w przedmowie przywięzuje wagę do tych obserwacyi i radzi, żeby każdy wiek, właściwym charakterem nacechowany, miał swego Teofrasta, Maksymiliana Fredrę; zapiski ich posłużyłyby za materyał do historyi ducha ludzkiego. Byłoby to coś nakształt pamiętników duszy społeczeństwa. Lecz w tém wyręczają już owi fizyologowie, anatomowie społeczeństw dając to pod innemi formami: — obrazków z życia, które aczkolwiek często przechodzą w karykaturę, niemniéj dostarczają wiernych kopij. Wszakże dla filozofa zajmującego się człowiekiem w ogólnem znaczeniu, niebezpiecznie bywa niekiedy badać jego naturę na złym egzemplarzu, podobnie jak się to zdarzyło sławnemu księciu de la Rochefoucauld w jego Maksymach, który obrócił się w mizantropa poznawszy ludzi w téj dziecinnéj wojnie Frondy i mazarinad, gdzie ze stronnictwa do stronnictwa przechodzono tak lekkomyślnie jak od kochanki do ko-

chanki, gdzie przywodzcy mieli się za ludzi ambitnych, a byli tylko prostego gatunku zawieruchami. Przypatrzywszy się z blizka płaskim i drobnym namiętnostkom, komerażom, zazdrościom, intrygom pokojowym, labusiom udającym głębokich polityków, pięknym paniom mdlejącym na widok żaby, a rwącym się hetmanić zastępom — przypatrzywszy się tym nędzom współczesnym, jakżeż nie miał z góry traktować tę biedną ludzkość występującą przed nim w tak śmiesznéj, jeżeli nie pogardliwéj roli. Taki stan jednego stronnictwa wziął on za całą społeczność, i zaczął z dziwną przenikliwością w najniedostępniejszych kniejach serca ludzkiego polować na najdrobniejsze poszlaki występku lub słabości. — Jego Maxymy dzięki Bogu, są tylko ujemną stroną natury człowieczéj a nie samym człowiekiem.

Autor Nowego Kameniusza, aczkolwiek żyjący w epoce niebardzo budującéj, nie zatrzymał się na saméj powierzchni, ani to wziął za regułę, coby obywatelski sposób myślenia raziło; uważając naturę i ducha człowieka jak grunt dziewiczy, więc jakie plony może wydać słowo religii objawionéj, wsparte miłością szukania prawdy w sprawach ziemskich. Dla tego téż dzieło jego utrzymuje się

w pogodnych wyżynach postrzeżeń ogólnych i czystéj filozofii; nie goniąc za innémi środkami zainteresowania prócz przez żywość i obrazowość stylu i postrzeżeń, pozwala sobie od czasu do czasu uciąć dowcipnym epigramem, zaprawnym wyborną solą attycką, w czém poznać człowieka wyższéj sfery, przywdziewającego maskę satyrycznego obserwatora.

W książce téj traktującéj o takich przedmiotach jak: niebo, ziemia, człowiek, kobiéta, żywioły, pory życia, wieczność, nieśmiertelność, los, piękność, harmonia, zmysły, rozum, pamięć, wyobraźnia, rozsądek, geniusz, uczucie, miłość własna, sumienie, radość i smutek, mowa, religia, fanatyzm, tolerancya, filozofia, literatura, matematyka, nauki przyrodnicze, estetyka, narodowość, arystokracya, szlachectwo, komunizm, rólnictwo, rzemiosła, wojskowość, małżeństwo, czystość, szczerość, gościnność, rezygnacya, zbytek, pochlebstwo itd. z ogarnięciem wszystkich tych własności, doskonałéj i ułomnéj natury, jakich tu z katalogować niepodobna, spotkać się można z mnóstwem pomysłów nienależących w prawdzie do niego; lecz niemniéj będących jego własnością, dla téj formy niezwykłéj, szczęśliwego zestawienia, obrazków trafnie schwyconych i niezró-

wnanéj jędrności stylu. — Te przymioty pisarskie, należące do wyższego rzędu, nieprzeszkadzają mu zajmować się przedewszystkim prawdą i trafnem jéj zastósowaniem; zamiast ustawnie ubiegać się za nowością, woli bydź ścisłym w tém, co już znane, pomnąc, że w dziele poświęconem filozofii moralnéj, gonienie za czém nowém może najłatwiéj na niebezpieczeństwo narazić; od nowości do paradoxu droga nader śliska. Nowy Komeniusz nie wpadł na szczęście w manię paradoxu, dziś grasującą u nas jak zaraza.

Aczkolwiek Nowy Komeniusz składa się z oderwanych na oko aforystycznych artykułów prozą i rymem, niemniéj jednak znać w nich pewną całość tworzącą dzieło filozoficzne, rodzaj encyklopedyi moralnéj. Nie można powiedzieć, żeby wyczerpywał przedmiot każdy o jakim mówi; niektóre są ledwo kilku dotknięciami odprawione; rys wybitny, dowcipne słówko, zastępuje banalną gadaninę o rzeczy wiadoméj. Inaczéj trzebaby się było nieraz spotkać z Manualikiem poczciwego człowieka, a tego właśnie autor sobie nieżyczył.

Pragnąc choć w drobnéj części dać wyobrażenie czytelnikom, o sposobie pisania autora, a raczéj o talencie definiowania każdéj rzeczy z trafno-

ścią poglądu i głęboką nieraz znajomością natury człowieczéj, przytoczymy niektóre definicye i szczęśliwe powiedzenia. Szczególniéj w definicyi, bez któréj w ocenieniu moralnych własności i objawów, obejść się nie można, celuje Nowy Komeniusz; znać nawet, że na to wytęża swój umysł, że mu na tém najwięcéj zależy, co téż sam mówi w przedmowie: „Rozkiełznana ideologia z dzikiemi systematami, pyszną filozofią, zagnały na mieliznę negacyi. Długie bezkrólewie wywołuje i zapowiada restauracyę prawowitego rządu. W tém przewidzeniu, co przydatniejsze na powszedni użytek doświadczenia objawy, w ścisłe ramy definicyi ująć przedsięwziąłem, pomnąc jak ludzkość drogo orzeczenia fałszywe przepłaca.“ I słusznie. Z pomięszaniem rozumów, wikła się i definicya, a raczéj przychodzą takie momenta, że na definicyą braknie odwagi, bo zdefiniować jest to samo, co osądzić.

Weźmy niektóre spotykane za lada otwarciem książki:

Rozpacz, — obłąkanie boleści. — *Nadzieja*, czém powietrze dla organu pulmonicznego, tém ona dla ducha; żywotnym zasiłkiem, ochłodą. Nadzieja, która żądzą strapionego kołysze, snem jest na jawie. Owa zamki na lodzie buduje, które ją i dru-

gich jeszcze przywalają. Różna, niedorzeczna, głupiemu radość. Więcéj pożałowania godzien przesycony: nie ma się czego spodziewać, a boi się wszystko utracić. — *Przyjaźń.* Najwyższy stopień miłości. Kto pojął myśl Stwórcy litującego się nad upadłym człowiekiem, ten może zostać prawdziwym brata swego przyjacielem — a znajdzie drogę do świątyni bezinteresownéj miłości. — Zamiast jednego fenomenalnego, rozumniéj podobno, o ile można zjednywać sobie przyjaciół. — *Namiętność.* Wyskok uczucia z ogniska czystéj miłości, albo z krateru niecnych pożądań wynikający. *Emulacya.* Szlachetny ducha popęd nie dozwalający mu w tyle za innémi pozostać. U nas współzawodnictwo często próżny cel sobie obiera. Biada szlachcicowi, którego sąsiadem pan możny! — *Pamięć* doznaną obrazę zapisuje na stali, dobrodziejstwo na piasku. Lokalnéj pamięci potrzebują szczególniéj nomenklatorowie i łgarze. — *Geniusz:* talent rozumu. Wolałbym definicyą innego moralisty: *geniusz* — rozum natchniony. — *Encyklopedya* rozkłada przed tobą próbki wszystkiego co chcesz; zapytaj o towar — niema.

Prawda — nić z boskiéj wyprzędzona substancyi. — Prawdy absolutnéj w tém życiu nie znamy,

bo ta, jako wynik doskonałości nie może być od naszego rozumu ogarnioną, zgłębioną. Każdy z jéj promieni pod różnym padając kątem inaczéj w oku naszem się reflektuje. Pryzma: młodość, miłość: wszystko upięknia; starość i nienawiść oszpeca; duch partyi wszystko przeistacza. — Jakżeż trafić do niéj? Na to takim wierszykiem odpowiada Komeniusz:

„Chcesz wiedzieć jaką drogę obrać ci należy?
Rozumowi nie wierzyć, a rozum niech wierzy."

Piękność. Jak siostrzyca jéj prawda, piękność abstrakcyjnie zważana jedną jest i bezwzględną. Jéj wiara nie w niéj ale w nas samych. *Harmonia*: Jawna, lecz niepojęta kombinacya wszelkich rozmiarów i kształtów; równowaga sprowadzająca do zgody różnorodnych ciał i substancyi naturę, potęgę, własność i znamię; łańcuch misterny przyczyn i skutków, ostateczności kończyny wiążący, który wszechświata koło opisuje. Wyższa intuicya, objawienia słowem wzmożona, widzi w niéj impuls światu nadany na drogę doskonałego porządku — jednem słowem: Zarząd Ducha Świętego.

„Przeznaczenia swego sam człowiek sprawcą."
„O wegetującem stworzeniu Bóg myśli; człowiek o sobie i na siebie pamiętać musi."

Duch: Mieszkaniec innego świata; z Bożego umiłowania w człowieczéj lepiance przebywający.

Od takich definicyi i wywodów z nich wyciągnionych, lubi przechodzić nasz Nowy Komeniusz do jakiego apologu, lub wierszyka dowcipnie charakteryzującego dzisiejsze nasze wyobrażenia. Dopiero mówił o istocie ducha, teraz jakby chcąc wynagrodzić czytelnikowi suchość definicyi filozoficznéj, opowiada rymem powiastkę: *Magiczna latarka.* Widzimy w niéj nowego Guślarza, jak nie zwyczajném zaklęciem, lecz przez potarcie ręką czoła wywołuje gromadę duchów:

Cóż to bydź może ta postać olbrzyma,
Co się tak bardzo napusza, nadyma?
Mój hierofant na to: Duch to czasu,
Co tyle robi na świecie hałasu,
Jak wiatr zawieje, odmiennego zdania
Wielki absolut — i świat mu się kłania.
Odkądże duchem stał się czas? spytałem,
Pan Bóg go nawet nieutworzył ciałem;
Przez nas duchową przyodziany szatą,
Niebardzo wdzięczny zdaje się być za to.
Co zacz znów tamten, któremu na szyje
Spadają niby padalce i żmije;
Żar w około zionie, a tak niespokojny?
— To duch stronnictwa; ludzki, bogobojny
Szermierz wolności, którą bierze w kluby,

A własne pod nią podszywa rachuby.
Za nim tuż oto duch prześladowania;
Biada tym, którzy niedzielą z nim zdania.
Korporacyjny duch po tamtéj stronie,
Kraj, świat i ludzkość, zamyka w swém gronie.
— A ten tak lichéj odmiennéj postaci,
Co od swych dusznych odsuwa się braci?
— O ten się duchem koteryjnym zowie.
Mało u niego i w sercu i w głowie;
Dla swoich tylko szczery, zrozumiały;
Że wszystkich szydzi, a z niego świat cały.

Wyborna satyra! Nowy Komeniusz, umie zadawać razy, bolesne lecz nie obraźliwe — bo mierzy w rzecz nie w osobę. Takich słówek u niego pełno; przelatują one co chwila jak race oświecające okolicę. Posłuchajmy:

„Jest pewien kraj tak szczęśliwy, gdzie wszyscy z natury do wszystkiego usposobieni. Przesądne wymaganie szkólnych poświadczeń, zamyka im drogę.

„W polityce ostrożność ma swoją miarę. Kontroler kontrolera, nadkontrolery i najwyższa kontrola. — Cóż ztąd? ciężkie zawikłanie, a koszt dozorowania przenosi szkodę jakiéjby się można obawiać przy naturalnym dozorze. — Nieufność w powszechności na złą myśl naprowadza, wywołuje reakcyę; systematyczna, wyzywa do walki przebie-

głość.“ — Czyż to nie najwierniejszy wizerunek rządów biórokratycznych?

„Jeżeli przywiązanie do ziemi rodzinnéj ma być cynizmem, wszyscyśmy patryoci. Jakżeż nazwiemy tego, który się narodowi zasłużył?“

„Heraldyk klejnotem szlacheckim handluje. Jeżeli niemasz się czém pieczętować do niego udać się życzę.“

„Wy, którzy się zrzekacie klejnotu niepożyczonym blaskiem świecącego, napróżno usiłujecie stać się odrodnymi; pochodzenie wasze po duchu niezgodne widocznie. Ongi dobrém sercem słuchali panowie bracia poczciwéj, sumiennéj rady; lecz broić nieprzestawali; dzisiaj gniewają się i swoje robią.“ —

Odbieranie języka narodowi, wybornie porównywa do średniowiecznéj kary, gdy język wywlekano; podobnież o antykwaryuszu powiada, „że dla niego miodem rdza wieków; wdzięk starości go rozpala.“

Jakżeż znowu głęboka mieści się uwaga w tém powiedzeniu: „Rozwiozłość niemocą ciała karana; nierządnych chłostą lichwa.“

Albo: „Lenistwo, które ci się uśmiecha jakby reminiscencya rajskiego bytu w życiu, przyprawia

cię o niemoc, nędzę, spodlenie. Niesytyś spoczynku, wiecznego się boisz.

Próżniak to kamień na drodze przeszkodny,
Kamień, co wiecznie poziewa i głodny.

Są to wszystko strzały, więznące głęboko w celu. Dodajmy do nich jeszcze ten pocisk: „Schodzące z pola wdziękinie, szukacie kosmetyku na odświeżenie oblicza; potrzebniejszym byłby na wewnątrz.“

„Erudycya kobiécie bardziéj ujmuje wdzięków, niż nos czerwony.“

Nierzadko obok tych iskier dowcipu niewyszukanego, bo sam w ciągu przedmiotu nawija się na pióro autorowi, natrafiamy na złote ziarna pomysłów więcéj jak oryginalnych: bo mających grunt prawdy, i własność, że tak powiem zapładniającą: Czy może być szczęśliwsza uwaga, jak gdy mówiąc o sztuce, wyraża się: „Jako między niebem a ziemią przewodniczką religia, tak między człowiekiem a religią, sztuka pośredniczką usłużną.“ W kilku słowach skreślone tu pochodzenie, źródło sztuk pięknych, z którego dopóki czerpią, mają znamię prawdziwéj wielkości.

Jednakże jako nieprzyjaciel wszelkiéj bezwzględności na ziemi, rozszerza zaraz tę myśl, która-

by się dziś wydawała zbyt wyłączną i ciasną i dodaje: „Nie idzie za tém, abyśmy za poświęconym obwodem niemieli miłościwym Stwórcy cieszyć się upominkiem; inaczéj należałoby kwiaty wszystkie na ołtarzu niepomieszczone wyplenić.“

Wyższość i zasługa mowy mówionéj nad pisaną, najlepszą jest krytyką tegoczesnéj książkomanii. „Są, którzy w ślepym zarozumieniu surogat stenograficzny nad mowę oralną wynoszą. Słówko myślą brzemienne, nie szuka, nie maca, na uczynku chwyta, wkrada się, wnika, owładnie. Żaden jéj zarys jakby w malowaniu *al fresco* nie może być poprawionym, pokrytym. Papier cierpliwy, słówko nie cofnione. Sąd zdrowy pisarza przekreśla, prostuje, gładzi, dopóki nie będzie dobrze; do zwerbowania pomysłów czasu téż nie brak. Jaki stosunek między mową a pismem, taki zachodzi między pisarzem a mowcą. Ów siłą umysłu porywa — tamten, bodaj czytaną książkę wysmarzy. Temu, co więcéj rozważał i czytał, niż pisał, snadniéj o jeden posunąć się stopień i dopiąć sztuki działania.“

Co mówi o filozofii Heglowskiéj, nieoszacowane; krytykę jéj dał w kilkunastu wierszach i od razu w to uderzył, co jéj cały fundament stanowi.

Wprawdzie Hegel sam się zasłaniał, że tylko jeden z jego uczniów rozumiał go, a jednak niezrozumiał. Jeżeli to prawdziwa mądrość — mówi Komeniusz — powinnaby swe dobrodziejstwo na cały świat rozlać. Mamyż jéj szukać w niemieckiéj szkole, jak niegdyś w Memfis u Izydy? Tymczasem widzimy, iż narody czynu, poświęcenia się, moralnie wielkie, mniéj się zatapiały w badaniach co jest cnota, a cnotą się wzmagały, ograniczając się na jéj pełnieniu. Głęboka spekulacya filozoficzna z niemocą zwykle w parze chodzą. Rozumujących Greków opanowali praktyezni Rzymianie; a mądre Niemcy politycznéj nawet jedności niezdołały osiągnąć. Francuzi, Anglicy, Polacy w wynajdywaniu systematów filozoficznych mniéj szczęśliwi, w pokoju i wojnie publicznémi celowali cnotami.

Rzuciwszy wybornych kilka myśli o Historyi, sprowadził ją do tych trzech kategoryi:

„W starożytności ogół negował indywidua. Rzym wszystkie narody.

„W średnich wiekach szczegóły negowały ogół i sobie nawzajem. Narody negowały jedne drugie.

„W nowéj historyi indywidua, szczegóły i ogół, szukają harmonii. Narody między sobą zgody i pokoju. A dzisiejsza epoka zapowiadać się zdaje

panowanie prawa narodów, które dotąd do zbożnych życzeń tylko należało.“ Na to powinno się zanosić; ale jakże jeszcze do tego daleko! Jak Rosya szanuje prawo narodów, mamy przykład na nas samych. — ...

Pod artykułem o Zarządzie publicznym, napotykamy na śliczne marzenie przyjaciela wiecznego pokoju, które jest najtrafniejszą krytyką dzisiejszych rządów. Nowy Komeniusz radzi wyrozumieć wolę samego Boga w rozporządzeniu natury, co do narodów. Każda z jéj (natury) dzielnic zakreślone sobie mając granicę charakter swój zachowuje — a wszystkie w ścisłéj harmonii ze sobą zostają, rada być sama dla się ukonstytuowaną, czemużby narodowość jakowa na drugą nastawać miała? Połączenie mniejszych z większymi, własny interes i sympatyeby dokonały. Wziąwszy za przewodnika naturę, zważać należy na ducha czasu. Jak w świecie fizycznym ruch materyi, tak w moralnym duch jego nieprzestannie rotacyę odbywa. Duch w swym pochodzie coraz inną wyradza ideę, która w pewnéj epoce absolutnie panuje. Opierać się idei na nic się nie przyda. Gdyby się téj drogi trzymano, to jest żeby chciano iść za duchem czasu, powiada Komeniusz, wojna stałaby się niepodobną chyba

między dzikiemi. Prawo publiczne narodów i wojny, zostałyby polityki niepolitycznéj tradycyą. Jakie to wielkie Wszechmocnego królestwo, — a prawa swe w dziesięciu zamknął paragrafach! Do rozwinięcia ich i przestrzegania niebędzie potrzebnym ów zastęp, rzesza pasożytna, a tak znarowiona, że się wynosi nad tych, którymby służyć miała. Do Pana Boga wysoko, do monarchy daleko; pośredniki postanowione ażeby nam drogi oszczędzić, stokroć ją przedłużają; falanga na ubezpieczenie różnorodnéj posiadłości, zrekrutowana, siłę żywotną wycieńcza. Polityka, skarb i kredyt publiczny nie będą w ręku żydowskim. Cały kraj byłby skarbem, polityki tryumfem, dzięki zasadzie narodowości.«

Słowa te widocznie pod wpływem obecnéj chwili pisane, niemniéj zawierają fundamentalną prawdę, która niedawno znalazła tak wymownego apostoła w księciu Gratrym marzącym również o pokoju dla ludów europejskich, w chwili, kiedy cztéry miliony żołnierza stoi pod bronią, zapewne nie dla bratniego uścisku.

Żeby zacząć nową erę, potrzebaby kilkowiekowe krzywdy naprawić, i dać głos tym, którzy go niemają — wtenczas sprawa wytoczyłaby się

przed trybunał opinii, — stanęliby atleci słowa — a któż zaręczy, czy od argumentów nie przyszłoby do szabel? Jak tu pogodzić tę wróżbę pogody, z tą duszącą atmosferą nabitą jak butelka łejdejska. Czyż w każdéj piersi nie nagromadziło się tyle nienawiści, tyle tłumionych zemst, że prędzéj, późniéj iskry wypadną, i nie zagasną aż we krwi? Nieprzeczę, w czerwonéj kąpieli obmyta Europa wydelikatnić może, jak owa okrutna kokietka Elżbieta Batorówna, co podług pieśni gminnéj myła się krwią ludzką żeby być piękniejszą. Najbliższa to przyszłość dla marzycieli wiecznego pokoju, którzy dodawszy do swego dzieła epitet wieczności, może kiedyś kosztować będą jego owoców.

Ze wszystkich kwiatów dających się uszczknąć w tém dziele, możnaby zrobić zupełną antologię, i dać ją za wzór szczęśliwych wyrażeń się, w stylu zwięzłym, przejrzystym, choć nieraz dla swojej lakoniczności utrudzającym, zwłaszcza dla tych, co przywykli żeby im wszystko autor wypisywał, i nienarażał na łamanie głowy. Wodnistość ma swoich nielubiących myśleć admiratorów; lecz jędrny lakonizm, biorący sobie za przestrogę słowa Pisma Ś.: „Pomnijcie, że z każdego słowa liczbę zdać będziecie musieli,“ poleca się admiracyi wieków.

Rzadko dziś, kiedy wszystko się śpieszy, spotykamy książki pisane z taką dystynkcyą, takim obmyślanym wyborem, z takim atycyzmem w najlepszym smaku, i wstrzemięźliwością daleką od suchości, a będącą znamieniem bogatych zasobów myśli. Przymioty te zewnętrzne ujmują; a sama rzecz zawsze prosta i prawdziwa, aż do najsubtelniejszych postrzeżeń, trafia do przekonania i oświeca. Nie można jednak powiedzieć żeby Nowy Komeniusz wszędzie był równy; jedne bowiem przedmioty krótko odprawia, nad innémi szerzej się rozwodzi, i w takich to natrafić można na całe nowe widoki. Rozumiem tu artykuły o sztukach pięknych, a mianowicie całą dedukcyę o filozofii muzyki, nie w ogólnikach, lecz w ścisłych formach rozumowania i przykładów zamkniętą. Nieśmiemy sądzić, nieznając muzyki, jak dalece autor jest wynalazcą swego systematu; lecz czytając ten ustęp, czuje się że wszystko co powiedział, wysnuł ze siebie.

Zresztą bogaty materyał w téj książce zawarty, nieda się ani streścić, ani opowiedzieć; czytelnik tylko przebiegając codziennie choćby po parę kartek, znajdzie pobudkę do rozmyślań, jaką nie zawsze spotka w dzisiejszych książkach, które raz przeczytane, nietylko nieprzyciągają do siebie, ale

ulegają zapomnieniu. Słuszne więc Nowy Komeniusz może mieć prawo znaleźć się w każdéj bibliotece obok Żywota Reja, Fredry Przysłów i Wiszniewskiego Charakterów, jako płód umysłu głębokiego, poważnego, znającego świat i człowieka w teoryi i praktyce.

HISTORYO-ROMANS.

Romantyczna rewolucya. — Brak kompozycyi w utworach literatury. — Historya Wilczka i pięciu jego synów. — Anegdota o Józefie Potockim Hetmanie W. K. i o Piramowiczu. — Napoleon w rejteradzie z pod Moskwy i poświęcenie się polskiego szlachcica.

Od czasu szkoły romantycznéj nastała wyraźna rewolucya w rodzajach literatury. Ten i ów usiłując być oryginalnym, a nie mogąc inaczéj tego dopiąć, wynajdywał jaką nową formę dla swojéj nie nowéj myśli, i ztądto powstały rozliczne rodzaje poematów dramatycznych, romansów dramatyzowanych, liryk dydaktycznych, aż do historyi, która zazdroszcząc fantazyi i życia romansowi, znalazła sobie rodzaj nie będący ani historyą, ani romansem.

Ponieważ dawne rodzaje literatury, czy to od Greków i Rzymian wzięte, czy w średnich wiekach

powstałe, czy pożyczone ze wschodu, mają swoje nieśmiertelne wzory, a oraz obowiązujące prawidła — nasz wiek siląсy się aby coś nowego stworzyć, na tém poprzestał, że te rodzaje pomięszał ze sobą, podobnie jak dziecko miesza powycinane z kartonu drzewa, domki, krówki, góry i wody, i z nich sobie układa widoki, ale tak fantastycznie, iż z dachu wyrasta sosna, na szczycie góry widać morze i pływające okręty, a konie i woły pokazują się w obłokach. Porównanie to zbyt może jaskrawe, oddaje jednakże ten rys zmysłowego lenistwa dostrzegany w niedołęstwie formy dzisiejszych pisarzy. Jakby umyślnie ten i ów obiera sobie rodzaj, mający coś pożyczonego z kilku odrębnych rodzajów, i płodzi dzieło niekształtne, dla tego, że niechciało mu się dobrze przetrawić materyału, że żałował uronić cokolwiek z téj surowizny, jaką nagromadził. Skwapliwość do pisania książek ma w tém wielki udział; a że książka im grubsza tém pokupniejsza, więc autor pakuje w nią co się zmieści, chociażby mozajka ta niczém nie trzymała się ze sobą. Przeciwnie materyał dobrze przetrawiony, przybiera kształt jednolity, objęty w znanych już i uświęconych rodzajach literatury. I tak jeżeli materyały nadają się do historyi, powstanie

dzieło czysto historyczne; jeżeli należą do codziennych objawów życia towarzyskiego a przytem rozbudzają poetyczną fantazyę, powstanie poemat lub romans — jeżeli nakoniec katastrofa jakaś znajdzie się, co naprowadzi na charaktery pełne i niepospolite, a przytém potrąci o idee interesujące żywotnie dzisiejszą rzeczywistość — powstanie dramat, lub tragedya. — To pewna, że surowy materyał kiedy się dobrze strawi i przejdzie w organizm autora, zawsze wyda organicznie rozumne dzieło — jak znowu wszelka surowizna nieprzetrawiona, niestrawne daje wypadki. Jest obowiązkiem najświętszym krytyki upominać się o to u piszących, którzy płodząc bezkarnie, przyzwyczajają czytelników do przestawania na tém fuszerstwie sztuki. Spojrzyjmy tylko na sztuki Korzeniowskiego przedstawione na scenie. Znakomity ten z wielu względów pisarz dramatyczny, rzucił się w jakiś rodzaj pośredni, co nie jest ani ściśle dramatycznym, ani ściśle powieściowym. W każdéj jego sztuce spotkamy się z jakiemiś ustępami nic a nic nie mającémi związku dramatycznego z całością, a tylko przyczepionémi na pajęczéj nitce analogii moralnéj z główną treścią. Lecz i to mniéjby wadziło, bo co niepotrzebne, łatwo daje się wyrzucić; wszakże

daleko więcéj grzeszy brakiem wewnętrznego organizmu w scenach, które idą po sobie jak coraz inne obrazki zakładane w tereoskopie. Wszędzie panuje przypadkowość, a nie konieczność, ta żelazna konieczność będąca warunkiem utworu dramatycznego. Dla tego wielka część jego sztuk jest zbiorem obrazków wybornie nieraz zdjętych ze społeczeństwa, a nie głęboko przemyślaną i przetrawioną kompozycyą dramatyczną. Fredro aczkolwiek niema świeżości Korzeniowskiego: bo czasy, które przedstawiał straciły dla nas w części swą świeżość, ale zato jakiż to mistrz tak w kreśleniu charakterów i typów, jak niemniéj w tworzeniu organicznéj całości! Wszystkie sceny jak tam obmyślone, jak powiązane ze sobą loiką konieczności; jak jedna sytuacya wypływa z drugiéj, jak każda rola zmierza do ostatecznego celu, niepozwalając sobie żadnych wyskoków na manowce, które uchodzą w powieści, ale na deskach teatralnych pobudzają widza do największéj niecierpliwości.

Z tego przynajmniéj względu, literatura nasza bynajmniéj nie jest w postępie; czuć w niéj pośpiech, chwilowość, gorączkową chęć produkcyi, a nie wytrawność długotrwałą. Publiczność przyzwyczajona już do czytania wszystkiego co się

drukuje, czyta, ale nic prawie nie zatrzymuje w sobie; bo i cóż może zatrzymać, kiedy tylko jedna ciekawość bywa drażniona, a inne władze umysłu i serca niebiorą udziału. Utwory silnego organizmu, mają wyłączny ten przymiot, że całkiem opanowują, podbijają czytelnika; ułamkowa klejonka nigdy nie zdoła tego dokazać. Ależ zato — nieraz słyszałem to tłumaczenie — ależ zato — dzisiejsi pisarze, przynoszą nowe myśli, nowego ducha, nowe studya brane z natury. Nieprzeczę temu, trafiają się te nowości, cóż po tem, kiedy ujęte w formy tak wątłe, kiedy taki w nich brak organizmu i harmonii, dwóch wielkich przymiotów twórczości, że się ulatniają jak para.

Rewolucya romantyczna, jak mówiłem, ułatwiła niezmiernie zawód autorski: bo go zwolniła od obowiązków kompozycyi, od pilnowania ścisłego prawideł przywiązanych do różnych rodzajów literatury. Każdy chce być swoim prawodawcą, niesłuchać innéj powagi prócz swojéj własnéj. Niepodległość ta może być bardzo zaletną, ale tylko w pewnym względzie, kiedy jéj towarzyszy rzadki geniusz, twórczy talent; zresztą niepodległość ta bardzo chwalebna w zdaniach, w zapatrywaniu się na wypadki i ludzi, zastósowywaniu pojęć pewnych

do potrzeb społeczeństwa, zgoła w tém, co płynie z nas samych, z głębin ducha; lecz nigdy w tém, co wyłącznie należy do dziedziny sztuki. Pomysłów nie brak wielu ludziom wykształconym i prostym, tak jak im nie brak uczuć najgłębszych i najsilniejszych — a dla czegoż nie wszyscy są i mogą być pisarzami? Oto dla tego, że nieposiadają tajemnicy wydania ich w takim doskonałym kształcie, aby drudzy z przyjemnością i z zapałem mogli się z ich myślami i uczuciami zespolić. A więc jest jakiś tajemniczy dar osobny, bądź z przyrodzenia dany, bądź zdobyty nauką, a najlepszy gdy łącząc jedno i drugie, każdą myśl, uczucie, całość, odlewać umie w kształtach tak skończonych, tak harmonijnych, tak wyczerpujących swój obszar wyobrażeń, że nie tylko czujemy się zaspokojeni, ale tak podbici, tak oczarowani dziełem wysokiego kunsztu, iż zniewoleni jesteśmy przyznać, jako ten lub ów pomysł, nie mógł znaleźć szczęśliwego wyrazu na ziemi.

Jakżeż od tych wymagań, starych jak świat, dalekim jest dzisiejsze księgoróbstwa, które napisało sobie kodex nadzwyczaj łagodny, wziąwszy za godło: *pro publico bono!* Pod tém to godłem produkować można najnudniejsze i najniestrawniejsze

tomy, zawsze pełne intencyi szerzenia zdrowych, moralnych rad; zaszczepiania uczuć i wyobrażeń rodzinnych, słowem powtarzania rzeczy najoklepańszych. Trzeba jeszcze wiedzieć, że ogólna potrzeba książek popularnych, otworzyła szerokie pole gadułom wszelkiego rodzaju do nawodniania naszéj niwy literackiéj, z jakiegokolwiek rodzaju; biorą kilka szczegółów, zdań, obrazów i te rozpuściwszy w morzu słów niepotrzebnych, podają ludowi — zapominając, że lud smakuje tylko w treści, podniesionéj, ubarwionéj fantazyą, jemu właściwą, nie zaś prozaicznym nudnym morałem, o który tak łatwo.

Owa to chęć popularyzowania literatury przyczyniła się także niemało do ciosów jakie literatura ponosi. Wielu sobie wyobraża że chcąc być popularnym, trzeba być innym jak wzorowi pisarze starożytni i nowożytni. A jakże się wziąść do tego! najłatwiéj — oto pisać od niechcenia, bez wielkiego kłopotu o plan, o wykonanie, o rozumny wybór rzeczy, krytyczny przesiew materyału nagromadzonego, o ugrupowanie szczegółów, aby ważniejsze naprzód wyszły, podrzędne ustąpiły w cień — słowem nikt się nie troszczy o pożytek i przyjemność czytających, z téj przyczyny, że większość

przywykła już do téj strawy, połyka ją bez korzyści, ale nic nie mówi, wierząc na ślepo w kodex nowego Parnasu.

Wytknięte powyżéj niedostatki naszego piśmiennictwa odbiły się częścią w nowéj książce pseudonima: Bonawentury z Kochanowa, wydanéj pod tytułem: *Wincenty Wilczek i pięciu jego synów*, czyli: Wspomnienia z drugiéj połowy osiemnastego wieku i początku dziewiętnastego stólecia. Niedostatki te są jednak mniéj rażące w tém dziele, z tego powodu, że autor usiłował nadać mu formę pamiętnikową, wielce dziś wziętą dla niezależności od żadnych prawideł; w miarę bowiem jak się cisną wspomnienia, można je spisywać, i przelatywać z jednego do drugiego przedmiotu. Wszakże zastanowiwszy się nad naturą tych wspomnień po większéj części nie osobistych, tylko wyszukanych z dokumentów i książek, można zapytać autora dla czego nie napisał trzech osobnych utworów? I tak jeden mógł zawierać opowiadanie, potoczne i szczegółowe dziejów od początku panowania Augusta III. aż do epoki upadku Napoleona — drugi, wspomnienia osobistych zdarzeń, których autor był świadkiem — a nakoniec powieść z historyi Wilczka i jego pięciu synów. — Tymczasem

wszystko znalazło się razem zmięszane i historya wygląda na bladą powieść, a powieść i pamiętnik na niepoważną historyę. Zachowanie linii granicznéj między témi rodzajami, byłoby pracy autora użyczyło rzetelnéj wartości szczególniéj co do prawdziwéj historyi o Wilczku, która podniesiona fantazyą, rozgrzana uczuciem, dałaby przepyszny obraz starca znoszącego z religijnem poddaniem się śmierć pięciu synów. — Tymczasem zdarzenie to wzięte z rzeczywistości, utopione zostało w mnóstwie szczegółów z historyi naszéj, po większéj części znanych, a do tego opowiedzianych mianowicie w opisach festynów dworskich i narodowych, sposobem oficyalnéj relacyi gazeciarskiéj, z wszelką dokładnością afiszową. Jeżeli autor miał zamiar podać historyczne wspomnienia w kształcie pamiętnika, mógł był to inaczéj zrobić i miał ku temu wszelką łatwość, a to wprowadzając starego Wilczka na świadka, albo aktora zdarzeń. Téj wolności niktby mu nie miał za złe, jak za złe nie można brać autorowi Pamiętników Michałowskiego, że wynalazł takiego pana Bartłomieja, i przyciął go zupełnie do miary wyobrażeń, jakie chciał w nim upersonifikować. Właśnie wybornie nadawał się Wilczek, ażeby w nim odbiły się wyobrażenia większości

narodu: szlachetne, pełne trudu, i silnych ofiar z mienia i najdroższéj krwi. Charakter niezłamany nieszczęściami domowémi i publicznémi byłby zajaśniał w całéj wielkości i obudzał w czytających to głębokie uczucie moralne, że prawdziwa nieskalana cnota niesięga tutaj po ziemskie nagrody, ale w saméj sobie znajduje zapłatę. Wilczek pięciu synów poświęcił, umierał — nie widząc owoców poświęcenia się — a jednak dusza jego czuła się spokojną; czyjeś winy okupywał tą ofiarą i spełnił powinność chrześcianina powtarzając: Boże, bądź wola twoja! za każdym ciosem, który ranił serce ojca, gdy go dolatywała wieść o śmierci którego syna.

Cała ta powieść o Wilczku rozsypana między opisami historycznémi, przygniecioną została ich ogromem, i wcale zdaje się niepotrzebnie przerywać tok opowiadania. Streszczę ją w niewielu słowach. Wilczek młodym chłopcem dostał się na dwór Hieronima Wielopolskiego, starosty krakowskiego, który był ożeniony z Potocką. Oddany do szkół w Krakowie, uciekł z nich i przystał do konfederatów barskich, po skończonéj zaś ruchawce wrócił znowu na dwór Wielopolskiego starosty, ożenił się i miał pięciu synów i córkę. Wszakże nad

życiem jego zawisła tajemnicza przepowiednia zrobiona mu, gdy jeszcze będąc konfederatem, dawał jałmużnę jakiéjś żebrzącéj cygance w Częstochowie; ona to przepowiedziała Wilczkowi: Biédny, pięciu będziesz miał synów — wszyscy od kuli polegną!

I spełniło się. Jeden z synów służący w legionach ginie od kuli murzyńskiéj na San Domingo; drugi, w pruskim wojsku pod Jeną; trzeci, na polu Raszyńskiem; czwarty, w przeprawie na Berezynie; a ostatni sam sobie odbiera życie w Warszawie. Matka tych synów napisała wiersz, w którym zamknęła ich dzieje:

Szczęśliwą jestem choć w późnéj siwiźnie
Żem pięciu synów oddała ojczyźnie,
Adam pod Jeną, Jakób w Berezynie,
Felix w Domingo, Franciszek w Raszynie
Michał czując się do hańby nie zdolny
Sam się zabija. . . . . .

Rozdzierający to ustęp o tym Michale. Młodo wstąpiwszy w szeregi robił kampanię hiszpańską, rosyjską i francuzką, powróciwszy z resztkami niedobitków wstąpił w nowoorganizujące się szeregi Królestwa Kongresowego. Surowe i dzikie postępowanie W. Księcia przechodzące zwykle granice karności wojskowéj, niemogło się zgodzić z uczu-

ciami mężów, dla których honor wojskowy był prawie wyznaniem; ciągłe obelgi i poniżania uzbroiły niejednę rękę, że w rozpaczy sama targnęła się na swoje życie. Z téj liczby był i ostatni syn starego Wilczka, służący w randze rotmistrza. Autor tak opowiada tę scenę: „W maju 1816 roku, poranek był piękny, świeciło słońce, na niebie pogoda, ale na ziemi gotowała się burza. Na placu Saskim wojsko stało pod bronią. Uderzono w bębny, muzyka zagrała, pokazał się W. Książę z licznym sztabem; przebiegł szeregi w milczeniu, poczém stanąwszy na boku rozpoczął się defil. Z początku wszystko szło dobrze; w tém wprawne oko wodza ujrzało pomyłkę w chodzie; zatrzymał kolumny, przywołał jenerała i pułkownika, i gdy słów nieszczędząc zaczął ich łajać, a pierwszy chciał się usprawiedliwić, drugiemu łzy w oczach stanęły, jednego odepchnął, drugiego porwał za szlifę. W téj chwili spostrzegł bladą twarz stojącego na boku Wilczka, a w oczach jego upatrzywszy wyraz nienawiści, a może i groźby, postąpił kilka kroków ku niemu i chrapliwym głosem zawołał: „Co dziś ich spotkało, to cię jutro czeka.“

„Michał Wilczek przez cały dzień w gorączkowym był stanie, wieczór z ojcem przepędził u ma-

tki: smutny, mało mówiący, na zapytanie: co mu jest? odpowiadał, że chory, że go głowa boli. Powróciwszy do domu zastał swoich kolegów, z którymi razem mieszkał, już rozebranych; oni się wnet pokładli, on zasiadł do stolika, i długo w noc pisał; gdy skończył, koledzy jego od dawna spali. Nad rankiem przebudził ich strzał, i ujrzeli Wilczka całego krwią zbroczonego, leżał na ziemi; już nieżył — odebrał sobie życie!

„Przed domem, w którym czyn samobójczy co tylko dokonanym został, zatrzymał się starzec, spojrzał w górę: „Okiennice zamknięte, śpi — pomyślał — niechcę go budzić.“ I usiadł na kamieniu, a dobywszy z kieszeni różaniec zaczął odmawiać paciorki. Otworzyły się drzwi od kamienicy, wyszedł z nich młody wojskowy, poznał starca, byłby może chciał ujść niepostrzeżony, ale się z nim Wincenty Wilczek przywitał, pytając: „Czy Michaś śpi jeszcze?“ — „Śpi,“ — odpowiedział młodzieniec; serce mu się ścisnęło, podał rękę nieszczęśliwemu ojcu, poczém niemogąc więcéj wymówić słowa, oddalił się czemprędzéj. Mijały kwadranse, coraz się większy pomnażał ruch na ulicy, a w domu panowała cisza, nieodmykały się okiennice. Długiem czeka-

niem znużony Wilczek, wstał z miejsca i poszedł na górę.

„W niewielkim pokoju złożono trupa na łóżku, miał głowę przykrytą chustką, i w koło niego stało kilkunastu towarzyszów broni, obok łóżka klęczał starzec. Oczy jakby mgłą zaszłe; zda się iż nic niewidziały, łez w nich niebyło: bo źródło wyschło oddawna. Lekkie poruszenie ust świadczyło, że odmawiał modlitwę i siwą głowę korzył przed Panem Zastępów; a kiedy po niejakim czasie powstał o własnéj sile: bo silny jest ten, który oderwany od ziemi, żyje tylko w Bogu: „Spełniło się przeznaczenie moje — rzekł stłumionym głosem — Boże bądź wola Twoja!“

To zdarzenie o Wilczku i jego pięciu synach wsnute w dwutomowe historyczne opowiadanie, zajmuje w niem zbyt szczupłe miejsce, zwłaszcza będąc skreślone zbyt ogólnémi rysami i dość zimno, jak gazeciarskie doniesienie. Ma jednak być podstawą całéj książki, podstawą tak mało usprawiedliwioną, że i sam autor tłumaczy się w przedmowie w tych słowach: „Może niejeden zapyta dla czego wspomnienia moje pod nazwą Wincentego Wilczka wydałem? Odpowiem, iż on mi najwięcéj do nich materyałów udzielił, a ponieważ w naj-

ważniejszych wypadkach chwalebny miał udział, czynnie do nich należał, nikt mi za złe nie weźmie, iż imię jego z ukrycia skromności utajone wydobędę i potomności oddam.“ Zapewne że nikt niemiałby za złe autorowi, gdyby był pokazał nam Wilczka działającym i wmięszanym w wypadki opowiedziane w książce, jakto robią nieraz pisarze powieści lub pamiętników, wkładający w usta głównéj osoby relacyą zdarzeń, w których brała udział lub była ich świadkiem, a nawet i takich, o których przypuścić można że mogła wiedzieć. Lecz tu innéj metody trzymał się autor; opowiada bowiem historyę narodu tak jak ją zebrał z dokumentów i książek, mięsza własne uwagi i zdania, a zstępując niekiedy z wyżyn dziejowych, wprowadza ustępy o starościnie Wielopolskiéj i jéj dworze, gdzie się z Wilczkiem spotyka. Dla tego osoba zacnego starca i jego synów znika w tym ogromie zdarzeń, odnoszących się do wyższego rzeczy porządku. — Jestto zatem niemała wada w kompozycyi dzieła, gdy to, co ma być głównym jego punktem, staje się podrzędnym. Mimo tego uchybienia, część czysto pamiętnikowa mieści wiele ciekawych szczegółów zebranych przez autora bądź z opowiadań Wilczka, bądź z innych podań, a nawet z wła-

snych wspomnień. Szczególniéj co do czasów Pruskich i Księstwa Warszawskiego spotkać się można z zajmującémi ustępami; tego zaś powiedzieć trudno o ustępach z epoki Sasa i Stanisława Poniatowskiego, albowiem co przytacza jest tylko powtórzeniem znanych opisów w pamiętnikach, a jeżeli trafiają się jakie anegdoty nieznane, to niewydają się prawdopodobnémi jak owa o Józefie Potockim, który będąc u Augusta III. na balu, gdy dawano wieczerzę po północy, nieprzyjął jéj z kilkoma innymi panami mimo zaprosin królewskich. — Dla czego Ichmościowie niechcecie z nami wieczerzać? zapytał monarcha. — Naj. Panie odpowiedział Potocki — już jest po północy, piątek zaszedł, w którym to dniu kościół zakazuje mięsnych potraw używać. — Poczém ukłoniwszy się, wyszli. — Nieprzeczę, niepodległość i buta naszych panów była wielka, ale z drugiéj strony wiadomo jak etykieta dworu saskiego była wymagającą i ścisłą, jak wreszcie ton panujący na tym dworze, trzymał zawsze w pewnych karbach winnego poszanowania i oddalenia najzuchwalszych nawet możnowładzców. Zdaje się więc niepodobieństwem, aby króla spotkała podobna niegrzeczność połączona z reprymendą o niezachowanie postu.

W pierwszéj części bardzo zajmujący i świeży obrazek znajdujemy w opisie osób składających towarzystwo warszawskie bawiące się rozmową i rozpamiętywaniem dawnych czasów. Są tu ciekawe anegdoty o księciu Józefie, o Krasickim, o Piramowiczu, o Karpińskim, Kopczyńskim, Staszicu itd. Szczególniéj zdarzenie Piramowicza, maluje piękną duszę chrześciańskiego kapłana. Ksiądz Piramowicz będąc proboszczem w Kurowie, poszedł na przechadzkę. Zatopiony w myślach daleko gdzieś zaszedł, gdy napotkał ubogą niewiastę, niosącą małe dziecko na ręku, w tak nędznym i opłakanym stanie, że mu łzy w oczach stanęły. Chciał ją do probostwa wziąść z sobą, ale pomiarkował, że odległość była wielka, a wieś do któréj dążyła tuż spostrzegać się dawała. Miał kilka złotych przy sobie, te ubogiéj oddał; ale ona była prawie obnażoną, a chłód wieczora coraz się bardziéj czuć dawał. Co w takim razie począć? Poszedł w zarośla zdjął z siebie koszulę i okrywszy nią biédną matkę; zawstydzony, jakby zły popełnił uczynek, czemprędzéj do probostwa kroki swoje obrócił. — Nieuwierzycie panowie, mówił dobrodusznie Piramowicz, w jakim byłem ambarasie, w zapiętéj sutannie nikt dorozumieć się niemógł, że pod nią ko-

szuli nie masz, ale że jéj nie masz jakże mojéj gospodyni powiedzieć? a u niéj od wszystkiego klucze. Na szczęście spostrzegłem w koszu bieliznę świeżo przyniesioną z prania; daléj więc do niéj się skradać, a gdy nikogo niebyło w izbie, porwałem za koszulę, włożyłem na siebie i odetchnąłem. Nie koniec na tém; nazajutrz rwetes w domu, gospodyni krzyczy że jéj z kosza ukradziono koszulę, i hałas wielki, szukają złodzieja; cała rzecz wydać się musiała.

Żałować należy, że autor więcéj oficyalną i buletynową pisał historyę, niż dawał rysy towarzystwa ówczesnego; historya bowiem wymagałaby czegoś więcéj jak kronikarskiego notowania faktów, lub opisywania wjazdów i ceremonij publicznych, dlatego każdy ustęp mniéj ogólnikowy a trafiający się tu i ówdzie, jedyną ma wartość. W opisie zbyt powierzchownym wyprawy Napoleońskiéj na Moskwę, bardzo miłą była niespodzianką scena z rejterady. — O milę od Smorgoń — powiada autor — w bok gościńca mieszkał w dziedzicznéj wiosce szlachcic, nazwiskiem Szymon Falkowski. Była pora ranna, dzień mroźny, ale pogodny, kiedy chłopskie sanie zajechały przed dwór, wysiadł z nich wojskowy, a spotkawszy się na ganku z samym go-

spodarzem: „Jest pan Fałkowski w domu?“ zapytał. — „Ja nim jestem, odpowiedziano — proszę do środka — z kim mam honor mówić?“ — „Z Wąsowiczem, oficerem służbowym z orszaku cesarza Napoleona, odrzekł na to nieznajomy; — chwała Bogu że pana w domu zastaję.“ — Niebyłbyś mię pan w domu zastał, odezwał się na to Falkowski, gdyby mi odniesione rany nieprzeszkadzały wsiąść na koń; ale proszę się rozgościć, czém mam panu służyć?“ — Przedewszystkiem przystąpmy do rzeczy — przerwał Wąsowicz — wiem kto pan jesteś; wiem że twój ojciec zginął na Pradze; a jakim był ojciec, takim i syn być musi. Mówmy bez ogródki: niedobitki nasze cofają się, cesarz dziś jeszcze do Wilna wyjeżdża; wielkim jednak gościńcem napchanym naszémi maroderami i napastowanym od Kozactwa niepodobna mu jechać; pan jesteś miejscowym, udaję się więc do niego abyś nam dał przewodnika, któryby Naj. Pana bocznémi drogami mógł przeprowadzić.“ — Falkowski zamyślał się trochę; poczém otworzył drzwi do drugiéj izby: „Kasiu! zawołał — dajcieno wódkę i zakąskę — a wyszedłszy na ganek: „Jurek! krzyknął na całe gardło, przygotować budę i trójkę do niéj z duchą; pójdą dwa szpaki i gniada.“ Niebawem weszła

sama pani, za nią przyniesiono tacę z wódką i zakąskami — i w czasie gdy gospodyni domu z Wąsowiczem rozmawia, gospodarz co chwila wchodzi do izby i wychodzi — aż sanki zajeżdżają przed ganek. Wtedy ukazał się Szymon Falkowski w prostym kożuchu i czapce baraniéj, z borsuczą torbą przez plecy i rzekł do zdziwionego Wąsowicza: „Kolego, prosiłeś o przewodnika, w tak ważnym razie na nikogo spuścić się nie mogę, sam przewiozę i na miejsce dostawię.“ Zerwał się Wąsowicz, ścisnął go za rękę — tymczasem żona rzuciwszy się mężowi na szyję zaczęła płakać, dzieci wbiegły do izby, poczepiały się do ojca, a widząc płaczącą matkę same się rozpłakały. Uściskawszy i pobłogosławiwszy żonę i dzieci, wybiegł na ganek: „Jurek dawaj konie, zawołał siadając z przodu na sanie, ty zostaniesz, ja sam powiozę. — A gdy Wąsowicz już był w budzie, gwizdnął i tęgim kłusem ku Smorgoniom pojechał.

Noc była ciemna, kiedy troje sań ujechawszy z pół ćwierci mili gościńcem wileńskim zwróciły się na prawo i zapuściły w gęste bory ciągnące się prawie bez przerwy, aż ku samemu Wilnowi. Ktoby je był napotkał, czyżby odgadnął, iż pod tą prostą budą okrytą rohożą znajduje się pierwszy

władzca świata — siedział w niéj jednak Napoleon mając przy sobie Duroka; Falkowski wiózł cesarza, a obok niego na koźle Rustan mameluk. W drugich odkrytych saniach jechał Caulincourt z hrabią de Lobau, w trzecich jenerał Lefebre Desnouettes z szefem szwadronu Wąsowiczem. Falkowski znając w lasach najmniejsze drożyny, wywijał się pomiędzy niemi jak wąż, zatrzymywał na mały wypoczynek w małych wioszczynach, a dobywszy nieraz z torby wódkę i kawał wędliny, posilał niemi cesarza i dwór jego. Nazajutrz nie spotkawszy nikogo po drodze, wjechał do Wilna około południa przez Ostrą bramę, a przejechawszy miasto, stanął na Pohulance przed domem Frolanda, gdzie książę Bassano z jenerałem Hogendorpem oczekiwali już na cesarza.

Gdy Napoleon wydaje rozporządzenia do armii, a przygotowują dla niego pojazdy do dalszéj podróży, Falkowski przy swoich koniach stoi na mrozie i sam niewie co daléj począć. Wtém ujrzał przechodzącego przez dziedziniec Wąsowicza, zawołał nań i przypomniał, że czeka dalszych rozkazów. Wąsowicz pobiegł do cesarza i wnet potem wprowadził do niego Falkowskiego. Napoleon kazał mu podziękować przez Wąsowicza; zapytał

jak się nazywa i czy ma synów? Gdy odpowiedział że ma dwóch, cesarz zapisawszy jego nazwisko w pularesie oświadczył mu, aby po skończonéj wojnie przyjeżdżał z synami do Paryża, a on o całéj rodzinie niezapomni i los jéj zabezpieczy. Poczém kazał mu wypłacić dziesięć napoleondorów. Falkowski przyjąć niechciał pieniężnego daru, ale gdy mu Wąsowicz wytłómaczył, że się niegodzi łaski monarszéj odmawiać, zgodził się z wolą cesarską. Oddano mu przytem kartę bezpieczeństwa aby nie był turbowany po drodze: „Zda mi się ona, ale od Francuzów, odezwał się Falkowski — co się zaś tyczy Rosyan, mam na sobie lepszą kartę bezpieczeństwa, która mię od nich ochroni. — A rozpiąwszy kożuch, ujrzano pod nim mundur oficera rosyjskiego z dwoma krzyżami. Trzeba bowiem wiedzieć, iż Falkowski służył dawniéj w pułku tatarskim formowanym na Litwie i robił kampanię włoską pod Suwarowem a pod Friedlandem ciężko ranny, wziął dymisyę i wrócił gospodarować w domu."

Wieleby się znalazło podobnych anegdot przechowujących się w podaniach różnych stron naszego kraju. Autor mógł był z nich więcéj korzystać, a w takim razie byłby uniknął potrzeby uciekania się do źródeł powszechnie znanych. Niemożna je-

dnak powiedzieć, żeby między dokumentami przytaczanémi przez autora nieznalazły się ciekawe kawałki — owszem bardzo dobrze są zestawione i zebrane, — lub téż zachowane w przypisach — tylko, niedość wyrozumowany plan książki, odbiera im rzetelną wartość. Jeżeli czytelnik spodziewa się podług tytułu znaleźć powieść, tedy się omyli, znajdując historyę — a znowu z pierwszych kart postrzegłszy że ma do czynienia z historyą, także się omyli gdy się zetknie z powieścią. — Koniec końców pomięszanie wyobrażeń o rodzajach literatury, pozbawia niejeden utwór téj wartości, na jakąby zasłużył, pilnując się wprawdzie starych, trudnych ale rozumnych prawideł.

HISTORYA POLSKA.

Co zrobił Lelewel dla historyi? Encyklopedya wiadomości historycznych. — Polacy w cudzych krajach. — Dla czego dawniéj uczeni nasi dzieła swoje wydawali za granicą? — Autobiografia Lelewela. — Postęp nauk historycznych.

Od lat kilku księgarz Żupański w Poznaniu dobrze pojmujący jakie zadanie ma księgarstwo w literaturze, stał się wydawcą pism historycznych Joachima Lelewela, który od lat pięćdziesięciu z górą uprawia niwę historyi ojczystéj; niezmordowany badacz, rozgmatwujący tyle niepewności i faktów, dat i osób, i nierzadko rzucający pełne światło na zamierzchłe stosunki i życie przeszłości. Najgłówniejsza publikacya, nosząca tytuł: *Polska dzieje i rzeczy jéj*, obejmować będzie siedem sporych tomów, mieszczących w sobie nietylko przedruki pism Lelewela dawniejszych, ale i wiele prac nowych, lub dotąd nieogłoszonych drukiem.

Ze zbioru tego wyszedł teraz trzeci i czwarty tom, mieszczący wiele rozpraw wyświecających dzieje nasze, tak pod względem wewnętrznego ustroju, jak obyczajów, gospodarstwa, toż archeologicznych zabytków. Oderwane te na pozór traktaty nowością postrzeżeń i poszukiwań budząc interes, nieprzestają spływać się w jedną całość narodowego życia, przez co nadają ogromniejszy zakres i znaczenie nauce historyi, po któréj wymagamy dziś czegoś więcéj niż suchych dat, oficyalnych relacyi, lub ograniczania się na samem rozpowiadaniu dzieł panującego księcia; jakby życie narodu zewnętrzne i umysłowe należało do jakiéj innéj kategoryi lub tylko w jednéj zamykało się osobie?

Za przewodnictwem tego znakomitego badacza widokrąg historyi naszéj rozszerzył się u nas znakomicie, i zaczynamy ją pojmować i obrabiać na sposób historyków Niemiec, Francyi i Anglii. Ztąd postrzegamy jak zamiast ogólnych historyi lub historyi pewnych epok i osobnych panowań, zazwyczaj dotąd dotykających jednéj tylko strony polityczną narodu, i to w sposób dość ciasny, bo najczęściéj nieuwzględniający relacyi zagranicznych, kierunków i gry polityki europejskiéj — powstaje u nas częściowe poszukiwanie rozdzielające się na

osobne gałęzie mające związek z historyą. Kościół, prawo, polityka, sztuka wojenna, geografia, numizmatyka, archeologia, szkoły, gospodarstwo, zwyczaje i obyczaje, wszystkie te gałęzie jednego drzewa znachodzą powoli osobnych badaczów, poświęcających swoje usiłowania na odgrzebywanie i odgadywanie dawnego świata, — co choć należy do minionéj i przerwanéj przeszłości, mimo tego nieprzestaje pociągać ku sobie i przyświecać dalszym kolejom. Na téj to nauce kształci się i wyrabia duch narodu, a głównie utrzymuje się na wysokościach, z których mu schodzić niewolno.

W dwóch powyżéj wspomnionych tomach czytaliśmy rozprawy: Uwagi nad dziejami Polski i ludu jéj; Paralellę Hiszpanii z Polską; Dostojność i Urzędy; Herby w Polsce. — Najnowszy zaś tom świeżo wydany, o którym właśnie zamierzam pomówić, jest pierwszym w całym tym zbiorze i tworzy niejako małą encyklopedyę wiadomości podręcznych i najpotrzebniejszych dla każdego, ktokolwiek pracuje w ojczystéj historyi, lub w téj nauce rozpatrzyć się pragnie. Suche daty, lakonicznie zebrane i ugrupowane fakta, gołe nazwiska, tablice genealogiczne dostarczają materyałów do grubego tomu. Są to dawniejsze notaty naszego hi-

storyka, dopełniane wprawdzie; lecz nietyle wzbogacone nowémi poszukiwaniami, żeby już nic nie zostawiały do życzenia. Sam on w chwalebnéj sumienności swojéj ostrzega o tém w ciekawym wstępie zdającym sprawę z jego półwiekowego autorskiego zawodu, gdy mówi:

„W powszechności mając głównie na celu gromadzić i dostarczać jak największą ilość dat, nadmieniać one dla przypomnienia świadomych rzeczy, a dla mniéj świadomych rzeczy, aby służyć mogły za przewodnika i skazówkę do rozpatrywania dziejów. — Tym końcem została uporządkowana zbieranka wyciągów z Jana Bielskiego, z Lengnicha, z kalendarzy, z Niesieckiego i różnych kompedjów, pożyczanémi czasem słowami powtórzona, zimno, obojętnie, byle rzecz i datę wskazać. Na to zbytniego mozołu, zdawałoby się, nie było potrzeba; a jeźli w rozkładzie abecadłowym ludzi znamienitych dostrzeże kto łatwe Niesieckiego przewodnictwo, niech raczy zweryfikować wymienione daty i sprostować gdzie zaszły w nich uchybienia lub omyłki: bo takowych pewnie nie braknie.“

Następnie dodaje autor, że artykuły tomu pierwszego w wielkiéj części umieszczone były w Atlasie historycznym panny Reginy Korzeniowskiéj, —

który pozostał nieuzupełniony i wydany przed laty dwudziestą ósmiu, dziś do rzadkości należy.

Kto wie, jaki jest u nas niedostatek podręcznych słowników i encyklopedyi, mianowicie w zakresie nauk historycznych, ten z radością powita tom pierwszy *Polski, dziejów i rzeczy jéj* Joachima Lelewela, w nim bowiem znajdzie zgromadzone niezbędne daty i fakta, podług których oryentować się może w wielkiéj massie historycznego materyału, a nawet pomagać pamięci, nieliczący najpowszechniejszego użytku, przez to ułatwienie: że kto nieposiada drogich i rzadkich kronik i herbarzów, książka Lelewela dostarczy mu daty, fakta, a nawet głównych rysów dawnéj organizacyi Rzeczypospolitéj.

W téj myśli spotykamy w tym tomie następujące oddziały: 1) *Dziejopisarstwo polskie.* Autor trafnemi uwagami zagaja ten ustęp powiadając, że na ruskich kronikarzy wpływali bizantyńscy kronikarze, na polskich niemieccy, co odpowiadało duchowi cywilizacyi idącemu to od wschodu, to od zachodu. W pierwiastkach kroniki nasze przepełnione były poezyą i sentencyami — późniéj zredukowały się do suchych, jałowych rocznych zapisów czyli annałów. Peryod ten trwał do XIV. wieku.

Założenie akademii krakowskiéj ściągnęło uczonych i piśmiennictwo ożywiło się, jednakże dziejopisarstwo ojczyste, aż prawie do końca XV. wieku (1470.) nieprzychodziło do życia. Dopiero stosunki z Włochami, jak mówi autor, ulepszyły łacinę i płynność kronikarskiego pióra rozwinęły. Zapewne, lecz nie tu jest główna przyczyna, bo przecież stosunki z Włochami były dawniejsze i nieprzerwane — dla tego sądziłbym, że raczéj nagłemu ruchowi odrodzenia się, który i same Włochy owionął, przypisaćby można, że i Polska drgnęła nowém światłem, a jeżeli nie równocześnie, to jedynie z powodu, że promienie wychodzące z ogniska głównego ruchu, późniéj dochodziły do niéj. Również jeżeli mi wolno zrobić uwagę, język łaciński nie dla tego, że był „dyplomatycznym i naukowym," wstrzymał przez wiek cały (od 1450—1550.) język polski od wystąpienia na pole historyczne, ale dla tego, że był głównie językiem kościoła, który jak wiadomo w duchowieństwie skupiał wszystkie promienie światła cywilizacyi. Odkąd umiejętność stała się świecką, a taką zaczyna być od połowy XVI. wieku, odtąd i piśmiennictwo przez używanie języka narodowego chce okazać swoją niezawisłość.

Po krótkim tym wstępie przychodzi chronologiczny spis dziejopisów polskich i obcych o Polsce piszących; podzieleni są na peryody, odpowiedne powstaniu, kwitnieniu lub upadkowi sztuki historycznéj. — Wielce to dogodny obraz dla każdego poświęcającego się porządnym studiom; przy każdym bowiem historyku umieszczona jest krótka wiadomość, o czém głównie dzieło jego traktuje i jaka wartość onegoż. Kilkanaście kart tego opisu niezaprzeczoną ma wyższość pod względem dokładności i znajomości rzeczy, nad książką Łuk. Gołębiowskiego: O dziejopisach polskich. Idąc tą wskazówką, łatwiéj będzie dopełnić opuszczenia niektóre, mianowicie co do bibliograficznéj ścisłości. — To pewna, że wskazawszy historyczne źródła i oceniwszy takowe krytycznie, wiele można się przyczynić do obudzenia zamiłowania w nauce historyi ojczystéj — jakżeż bowiem często spotyka się zakłopotaną młodzież niewiedzącą od czego zacząć i jak się pokierować w wyborze i studiowaniu historycznych źródeł.

2) *Dziesięć upłynionych wieków dawnéj Polski* czyli chronologia do obrazów dziejów. Oddział ten podzielił autor na: polityczny i naukowo-piśmienny zawód. W pierwszym, od początku do

końca exystencyi Rzeczypospolitéj zapisane są ważniejsze zdarzenia porządkiem panowań; w drugim, przychodzą wymienieni znaczniejsi uczeni, wszelkiego rodzaju pisarze i mężowie w rozmaitych zawodach wsławieni, ze wzmianką roku ich urodzenia i śmierci. Ustęp ten lubo mniéj zdawałby się potrzebny, zwłaszcza gdy w następnych oddziałach wyliczeni są obszerniéj wszyscy uczeni i ludzie znakomici, jednakowoż ma to za sobą, że uczący się historyi może z łatwością obejmować ile każda epoka i jakich wydawała mężów.

3) *Obraz dziejów polskich.* Jest to treściwie opowiedziana historya naszego narodu, podzielona na peryody i panowania. Szczegółów wiele, wniosków a mianowicie konkluzyi stanowczych skąpiéj. Zdawałoby się, że w miejscu téj suchéj opowieści, potrzebniejszy byłby pogląd, na ducha każdéj epoki, na stan cywilizacyi, a mianowicie jakim wpływom winno było to państwo, że w swoim czasie wzniosło się tak wysoko. Rzucając tego rodzaju światło na minione wieki, tłumacząc to, co przy dzisiejszych wyobrażeniach zdaje się nieraz tak trudném do pojęcia, to jest działanie kościoła na władzę i możnowładzców, tak silne, że przy braku ścisłego praw czuwania i policyi, summa

zbrodni i nadużyć niebyła może większą jak dzisiaj, słowem, rozwikłując jasnémi poglądami te przeszłości tajemnice, grupując obok tego stan polityki, wyobrażeń, dążeń innych państw europejskich, byłby autor rzeczywistéj odpowiedział potrzebie, i nakreślił niejako plan prawdziwych wyobrażeń o naszéj przeszłości, rozumie się nie z punktu dzisiejszych namiętności lub uprzedzeń; lecz z faktów badanych sumiennie, których on jeden z naszych historyków posiada największy obszar. Ucząca się młodzież znalazłaby w takim rysie jedyny klucz, jedynego przewodnika; fakta mniéj więcéj oderwane, bez przyczyn głębszych i dalszych skutków wyliczone, ubogacają wprawdzie pamięć, ale niekształcą jeszcze moralnie, niedają kierunku całemu życiu. Możnaby tu odpowiedzieć, że wprzód potrzeba się uczyć faktów, aby z nich dopiero uczący się tworzył ogólne pojęcia o duchu epoki, znaczeniu ludzi i o całym pochodzie dziejowym; lecz gdy téj wysokości myśli i szerokiego poglądu trudno wymagać po uczącym się, słuszna jest by go wymagać po najpierwszym historyku narodu.

4) *Opisanie krajów Polskich.* Rozdział ten najznamienitszą i najlepiéj skreśloną część tego dzieła stanowi; widać że autor wpadł na przed-

miot przez który zyskał sobie europejskie imie; wiadomo bowiem, jaką wagę w świecie uczonym ma jego jeografia średniowieczna. Pierwszy raz znajdujemy w podręcznéj książce wyliczone najdawniejsze karty jeograficzne polskie, niemniéj cały szereg pisarzy jeografii; następnie przechodzi autor do krain z jakich się Polska składała, wykazując historycznémi datami, kiedy które prowincye przybywały lub odpadały, niemniéj w skutek jakich wojen, koligacyi lub traktatów powiększały się lub zmniejszały granice Rzeczypospolitéj. Wartoby aby odtąd do wszystkich opisów Polski, a raczéj do jeografii elementarnych wcielony został ten wywód, który najczęściéj pomijano. Również wyborna jest tabela rzek polskich.

Dalsze ustępy tego opisu zawierają niezmiernie potrzebne szczegóły razem zebrane, a traktujące o zamożności i produktach kraju, o ludności, duchowieństwie, skarbie, sile zbrojnéj, o dystynkcyach, czyli tytułach i orderach. Trudniéj być bardziéj szczegółowym i dokładnym w tak szczupłych ramach. Czytelnik znajdzie tu nietylko organizacyę dawnego wojska Rzeczypospolitéj, ale i opis mundurów, tak wojskowych jak cywilnych, czyli obywatelskich.

5) *Stan i urządzenie Rzeczypospolitéj.* Tu przychodzą artykuły o Rzeczypospolitéj i jéj konstytucyi, o królu, szlachcie, dostojnościach i urzędach, sądach i sądownictwie, obradach narodowych, senacie, izbie poselskiéj, o liczbie senatorów i posłów; szereg ten zamyka tabelaryczny wykaz wszystkich sejmów, gdzie się takowe odbywały, pod czyjem marszałkowstwem, co na nich uchwalono, i przez kogo bywały zrywane. Z wielką dogodnością tych czytelników, którym obcą jest terminologia i organizacya Staropolska, wytłumaczone jest tu znaczenie takich np. sądów grodzkich, ziemskich, podkomorskich, sądów wojskowych, marszałkowskich, referendarskich, nadwornych, kapturowych i t. d., sejmy extraordynaryjne, konwokacyjne, koronacyjne, konfederackie, dokładnie są zdefiniowane i odróżnione. Szkoda, że do uzupełnienia tych nieocenionych wiadomości, niema jeszcze dodanych spisów wszystkich biskupów, wojewodów i kasztelanów, niemniéj starostw, wiele to bowiem wyjaśnia czytanie dawnych dokumentów, gdzie tak często tytuł tylko bywa wymieniony, zamiast nazwiska rodowego.

6) *Nauki i światło-piśmiennictwo.* Ta część dzieła także niepośledniéj wagi. Autor kreśląc stan

oświaty, zaczyna naprzód od wyliczenia pisarzy i dzieł dających wiadomość o naszéj literaturze, następnie mówi o szkołach, bibliotekach, drukarniach — niemniéj o języku polskim, gdzie wskazuje wszystkie najdawniejsze zabytki piśmienne, z przytoczeniem źródeł; szczupłość bowiem miejsca niepozwoliła wypisywać je w całości. Oddział ten kończy tak nazwany przez autora Nekrolog piszących, czyli Chronologiczny słownik polskich pisarzy, z dodaniem dzieł, jakie wydali. Podziękować i za to, lecz krótkość tych notatek sprawia, że nikt niepoweźmie dokładnéj i obszernéj wiadomości o dziełach jakiego autora i o miejscu ich wydania. Dla tego jak powiedziałem, niniejsze dzieło może służyć za pierwszy plan wybornéj encyklopedyi polskiéj; rubryki raz porobione, należy tylko wypełniać. To samo stosuje się do ostatniego rozdziału: *Abecadłowy* rozkład znamienitych ludzi, — jest to słowniczek znakomitych Polaków, bardzo niedostateczny, ale mimo tego arcy pomocny: bo ułatwia długie szperanie po książkach.

W dodanych na końcu *Rozmaitościach* spotykamy bardzo zajmującą rzecz o Polakach w cudzych krajach. Lelewel zastanawia się nad tém, że ledwie druk rozpowszechniać się zaczął, płody piśmienne

Polaków szły w cudze kraje: bo w domu niemiały miru.

Marcin Strepa, Mikołaj z Błonia, Vitelion, Brudzewski, Struś, Kopernik i inni w obcych ziemiach ogłaszali pisma swoje, jakby nie dla rodaków pisali. Nasi budowniczowie stawiali gmachy w Wiedniu i Pradze, Stwosz najlepsze dzieła rzeźbiarskie poświęcił Norymberdze; wyborni rytownicy i malarze jak Falk, Lubieniecki, Chodowiecki zasiali pracami swemi Niemcy. Kluwerius badania jeograficzne i podróże ogłaszał dla obcych; Jabłoński o pomnikach egipskich pisał nie dla swoich. — Johnson naturalista drukował pełne wziętości dzieła po za granicami, toż samo Boim, lwowianin, dawał poznać medycynę i Florę chińską, późniéj towarzyszył podróżom kapitana Kooka, i ogłaszał Florę australską. Uczone te trudy przechodziły u nas obojętnie, kiedy za granicą oddawano im cześć przynależną; stan ogólnéj oświaty nieodpowiadał wysokościom podobnych nauk i badań, dla tego były straconémi dla kraju, który zaprzątnięty sejmikowémi zjazdami i konfederacyami wiele rozprawiał o dobru i zbawieniu ojczyzny, a nader mało przykładał się do istotnego dobra i zbawienia. — Niemożna jednak powiedzieć, żeby domatorstwo

przyczyniło się do upadku kultury; Polacy od najdawniejszych czasów lubili podróże, i niepoślednie położyli zasługi w dziejach cywilizacyi powszechnéj. Lelewel wymienia takich kilku podróżników, między innymi braciszka Benedykta, który w r. 1254 jeździł do złotéj ordy i pisał relacyę podróży: podobnież Jan z Kolna dotarł r. 1476 ku biegunowi północnéj Ameryki na norwegskich okrętach, a zatém o wiele wyprzedził odkrycia Kolumbowe. — Bez żydka z Poznania po Judei krążącego, a zwanego na chrzcie Gaspard da Gama, niemiałby ani Vasco de Gama, ani Kabral tego powodzenia w swoich późniejszych wyprawach jakie on im zjednał. — Amerigo Vespucci podał opis opowiadań tego Gasparda. — Osobliwsza i to rzecz, prawie podziw wywołująca, dla czego nasi pisarze, co traktowali o przedmiotach jedynie Polskę mogących zainteresować, nie śmieli pism swoich ogłaszać w ojczyznie, tylko po Bazylejach, Wenecyach, Amsterdamach, Insprukach, Koloniach. Tak było z Kromerem, Michajłem, Wapowskim, Gwagninem, Długoszem, Kadłubkiem, Grondzkim. — Odpowiedzią na to pytanie, jest drugie zapytanie; dla czego Herburt we własnéj drukarni Dobromilskiéj niemógł dokończyć druku Długosza; dla czego i Dogiel przerwał swój

kodex dyplomatyczny? — Z obu tych zapytań można wyprowadzić ten wniosek, że tylko wpływ rodzin znaczniejszych przeszkadzał swobodnie przemawiać historyi, zwłaszcza jeżeli jedno lub drugie imię nienajświetniéj zapisane było na karcie. Wprawdzie składano to na ostrożność, żeby arkanów Rzeczypospolitéj nie zdradzać przed obcymi; lecz rzeczywiście, kto zna naturę ludzką, inne pobudki dostrzeże. Dziś jeszcze kiedy historya wyprowadzi na widownię jaką postać nacechowaną wiarołomstwem lub podłością, dąsają się możne potomki, twierdząc, że tym sposobem urok pięknych imion szwankuje. Lecz zdaniem mojém, najpiękniejsze to imię, co własną rozświecone zasługą, a komuż łatwiéj zasłużyć się, jak tym, co przychodzą na świat z urokiem historycznego nazwiska dającego się dobrze utrzymać odziedziczoną fortuną?!

Badając bliżéj fakta, ten pewnik można wytłómaczyć, że w ogóle umiejętności nie najlepszéj opieki używały od możnowładzców: bo ta jaką pisarzom dawali ograniczyła się najwięcéj do błachych płodów chwilowéj wartości, — ostatnie dopiero lata upadającéj Rzeczypospolitéj pokazują niektórych wielkich panów, jak Czartoryskich, Ja-

błonowskich, Załuskich, wspierających gorliwie naukowe usiłowania.

Obowiązek mi nakazywał podać treść téj Lelewelowskiéj encyklopedyi, która niemając pretensyi do nowych odkryć, ani do oryginalnych pomysłów, ani oryginalniejszych domysłów, daje narodowi wiadomości, że tak powiem, elementarne o jego przeszłym bycie. Tego rodzaju prace zalecające się użytecznością swoją, powinny być w ręku wszystkich i żałować tylko przychodzi, że cena dość wysoka jednego tomu, (co się da usprawiedliwić ozdobnością wydania, licznémi tabelami i mapami), nie może być tak dla ogółu przystępną, jakby tego życzyć należało. Z drugiéj strony gruby ten tom ścisłego druku, śmiało może się równać z sześcioma i ośmioma tomami zwykłych warszawskich lub wileńskich tomów, kosztujących dwa razy tyle, co jeden tom wydania p. Żupańskiego. Nabywając go, nabywa się małą biblioteczkę.

Ależ rozwiódłszy się o saméj treści dzieła, niemogę pominąć Wstępu, który jest niczém innėm, tylko arcyciekawą i zajmującą autobiografią Lelewela. W literaturze naszéj niezwykłe to zjawisko; albowiem pisarze nasi, i dawniejsi i nowsi, w ogóle bardzo rzadko i to mimojazdem zajmowali się hi-

storyą własnego kształcenia się i przygód literackich. Pamiętniki jakie zostawili po sobie znamienitości nasze autorskie, malują najwięcéj świat zdarzeń publicznych, których byli świadkami lub czynnymi uczestnikami; — o swojém zaś łamaniu się z nauką, o trudach badań, o przeciwnościach w osiągnieniu celu zamierzonego, o kłopotach z księgarzami i wydawcami, — o całém tém gospodarstwie książkowém pełném zawodów i drobnych nędz, żaden tak się szeroko nierozpisał, tyle naiwnych wyznań nie zrobił, co Lelewel.

Mogłoby to naprowadzić na wniosek, że autorowie, co zostawili po sobie pamiętniki, jak: Karpiński, Niemcewicz, Brodziński, Koźmian, niepoświęcali się tak wyłącznie naukowemu i książkowemu zawodowi, żeby ich tenże zupełnie oderwał od świata i od spółeczeństwa. U nas bowiem tak zwanych książkowych molów niespotykamy często, chociaż zapał do nauki bywa wielki i szczere przywiązanie do poszukiwań czy to historycznych, czy dociekań w przedmiotach przyrodniczych nierzadkie. — W narodzie naszym siła jest żywotności, rzadko téż dla sławy przewertowania całych bibliotek i archiwów poświęcono obowiązki i właściwe cele życia, a jednak niemożną powiedzieć, abyśmy

nie mieli ludzi wielkiéj nauki, a co lepsza głów otwartych ogarniających jednym rzutem oka więcéj, niż mól ślęczący zdołał ogarnąć i zdobyć w długich latach szperania.

Weźmy tylko przykład z naszego Lelewela i spojrzyjmy na lat pięćdziesiąt jego naukowych trudów. Co za ogrom poszukiwań w historyi, numizmatyce, bibliografii, jeografii, — jakie drogi odkryte, ile przysług oddanych nauce nietylko w Polsce ale w całym uczonym świecie. Zważając to mnóstwo dzieł i rozpraw wydanych przez całe życie, te kilkaset map własną ręką wyrytowanych, te wreszcie koleje przez jakie przechodził w życiu niezacieśnionem czteréma ścianami pracowni, — przypuścić by należało, że uczony ten mąż nic innego nie robił, tylko zamknięty od rana do nocy w jakiéj bibliotece czytał, pisał, rytował i uciekał od ludzi. Tymczasem każdy, kto go miał szczęście poznać, wie, jaki to człek towarzyski, łatwy w pożyciu, wesoły, lubiący z każdym choćby najniższego wykształcenia rozmawiać; uczonym udzielający się, — w korespondencyach pilny, a dla spraw świata wcale nieobojętny. Wytrwałość i mądre użycie czasu zdolne jest tworzyć zadziwiające rzeczy. Są ludzie, którzy wszystkiemu podołać i na wszystko wystar-

czyć mogą, — innym przeciwnie zawsze brakuje czasu, i nigdy nic zrobić nie są w stanie, choć zdają się być ciągle zatrudnieni. Pierwszych nazwałbym: natury płodne, drugich jałowe — albo, ściśléj rzecz biorąc, pierwsi dla tego produkują, że produkować umieją; drudzy chociaż bardzo pięknie i mądrze mówią o planach do swoich dzieł, o wielkich zamiarach literackich, nic nieprzyprowadzają do skutku z braku produkcyjnego talentu i woli.

Czytając ten Wstęp, mający tytuł: *Przygody w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich*, w którym sam Lelewel opisuje swój żywot naukowy, od lat najmłodszych — możnaby wyobrazić sobie, że oprócz ksiąg, manuskryptów, numizmatów, monet i map, mąż ten nieznał nikogo, o niczém innémnie myślał, nic innego nie robił. A jednak imię jego znane i na inném polu, nie jednę kartę nowéj historyi sobą może zapełnić.

Sądu potomności nie uprzedzam, która zawód jego publiczny i polityczny oceni; — do tego tylko rzecz kieruję, że Lelewel w z wyż wspomnianéj autobiografii dał nam poznać jedną połowę swego życia, to jest autorską. Strona to najważniejsza, bo tą najwięcéj i może jedynie zasłużył się krajowi, a i najoryginalniejsza: bo nikt jeszcze z taką

dokładną ścisłością nieopisał dróg kształcenia się swego, niemniéj kłopotów *zdzielstwa*, czyli autorstwa, jak Lelewel przepolszcza. Wyznania te napisane są z właściwym mu humorem, tym samym, jak niegdyś w dziele szerokiéj uczoności: *Bibliograficznych ksiąg dwoje*, wytryskał żywem źródłem otrzeźwiającém na téj Saharze dat i roztrząsań bibliograficznych. Co więcéj, sposób jego opowiadania pełen wyrzutni, pełen samotnych urwanych słówek, każących się zawsze czegoś domyślać, maluje go najlepiéj; — zawsze bowiem, nawet w rzeczach literackich, ma pewien pociąg do tajemniczości, zwłaszcza tam, gdzieby należało spodziewać się konkludującéj decyzyi. Woli on zostawić czytelnika w niepewności domysłów i podejrzeń, niż go uspokoić stanowczém zdaniem, które poważnemu i doświadczonemu mężowi tak bardzo przystoi, że choćby je wypowiedział bez ogródki i apodyktycznie, niktby nie śmiał pomówić go o nieskromną zarozumiałość.

Z całych tych *Przygód* naukowego zawodu to najwięcéj uderza, że już od najmłodszych lat czuł pociąg do badań historycznych. W dziecięciu objawiał się przyszły dziejopisarz narodu. „Pociąg do zatrudnienia — powiada on — wcześno się

pojawił w moich dziecinnych zabawach, a z czasem stał się wielce użytecznym i potrzebnym, gdym postrzegł, że bez przysiedzenia fałdów i wysilenia, niczego nie dokażę. Cacek nam nie dawano, nie miałem ich, a śmiano się, że majstruję, że coś koncypuję. Z tych majsterstw niejedne, wywołały żarty, drwiny, co mię zasępiło a nie odstręczyło: kryłem się, swojém płatał, a rozmyślał nad czemś nowem.“ — To usposobienie do zdziełstwa, rozwinęło się w dziecięciu, gdy mu jeden z krewnych podarował kilkanaście książek, w téj liczbie była mała encyklopedyjka. „Podobała mi się bardzo — pisze Lelewel — alem znalazł ją niedostateczną, zamierzyłem tedy coś lepszego wygotować. Było to w r. 1796, miałem lat dziesięć. Mając pod ręką arytmetykę, gramatyki języków, Ładowskiego gramatykę jeograficzną, z nich do zamierzonego dzieła wyciągi tabliczkowe przyrządziłem po cichu, skrycie, bom się krył, aby nie żartowano z wszystkowiedza. — Co dzień od owego czasu zwrastał pociąg do autorstwa.“ — Pokazuje się jak ostrożnemi powinni być rodzic i nauczyciele w wyszydzaniu u dzieci podobnych skłonności. Bo jeśli uśmiech szyderczy nie stłumi tego pociągu, to zrodzi w nich pewną nieśmiałość, jakby nieufność na-

wet ku późniejszym prawdom i przekonaniom, mającym tworzyć charakter męża. Ztąd obawa aby moim pojęciom, sposobom widzenia, opiniom, nie zadał kto nierozmyślności — sprawia, że sąd i zdanie nie objawi się stanowczo, i z wiarą w prawdę poślubioną, ale zawsze tak będzie postawione, że się dwojako da tłumaczyć, i do odwrotu małe drzwiczki zostaną.

Nieprzebiegam dalszego zawodu Lelewela podług jego opowieści — w streszczeniu straciłyby wiele te pamiętniki — to tylko dołożę, że dał nam w nich wizerunek człowieka pióra, czyli zdziełcy, który o bardzo szczupłych środkach przedsiębrał i wykonywał prace, jakie przedsiębiorą nieraz różne ciała naukowe połączonémi siłami i — najczęściéj nigdy nie kończą. Po drugie, pisma jego pełne ścisłych naukowych badań wydawane były nie kosztem towarzystw naukowych, ale szły na ręce księgarzy, którzy, albo mu nic za to nie płacili, albo płacili exemplarzami, tłumacząc się zupełną niemożnością wynagrodzenia pism mających bardzo szczupłą liczbę czytelników. Wymówka ta miała pewną słuszność za sobą w początkach zawodu autorskiego naszego historyka, kiedy w narodzie dzieła poważniejszéj i mozolniejszéj treści,

nie znajdowały wziętości — lecz im dalej, a bliżéj naszego czasu, ukształcenie ogółu czytelników, do tyla wzrosło, że dziś pierwsze wydania pism Lelewela stały się rzadkiemi — te zaś, co obecnie publikuje doczekały się chwil pomyślniejszych dla zdziełców mających żyć z własnéj pracy. Kraj czyta Lelewela, a co lepsza uczy się z niego, i niejeden już z młodszych pisarzy, biorąc znakomitego historyka za wzór życia i nauki, usiłuje dowieść, że nie na nim jednym skończy się szereg tych uczonych, którzy pokazali światu że mogąc sami pisać o sobie, niepotrzebujemy u cudzoziemców szukać historyografów.

Sam ten zwrot ku badaniom historycznym reprezentowany tak zaszczytnie przez nowszych pisarzy, jak: Malinowski, Bielowski, Łukaszewicz, Dzieduszycki, Helcel, Baliński, Szajnocha, Bartoszewicz i t. d. jużby powinien sędziwego historyka pocieszyć i ukrzepić w duchu. Są to bowiem że tak rzeknę, uczniowie jego, nie w tém rozumieniu iżby zawsze szli wytkniętémi przezeń tory, i hołdowali tym samym wyobrażeniom — lecz w téj myśli: że on im otworzył najszersze drzwi do świątyni przeszłości, w któréj teraz spokojnie, głęboko i bez uprzedzeń rozglądać się mogą. Gdyby

ta jedna uwaga przyszła była na myśl sędziwemu starcowi oddalonemu od ziemi rodzinnéj, nie byłby gorzkim wyrzutem zakończył swojéj autorskiéj autobiografii: „Od pięćdziesięciu i sześćdziesięciu lat, gryzmoliłem i zrzędziłem rozpatrując: chronologię, genealogię, geografię, politykę, prawodawstwo, urzędy, dzieje w powszechności i osobno Litwy i Rusi i narodów: bałwochwalstwo, monumenta, monety, grobowce; budowy, herby, pieczęcie, dyplomata; pismo, ubiory, obyczaje i zabytki starożytne. Z tym, co z tego dorywczo w druk szło, mało kto się oswoił, mało kto o tém wiedział. Sprawiłem się pospolicie, niepowabnie, niepoczytnie. Nic dziwnego tedy, że powszechnie inni dowiadywali się odgłosem że jest coś, czego nie widzieli sami, a wyobrażali sobie kiedy owe coś tak głośne, w wymiarach wielkich. Zdarzyło się tedy, uprzejmie odwiedzający zacny gość pochlebnie wspomina o mych pracach. Gdybyś na tem przestał zagajeniu, gładkoby poszło: bo skromny autor zwykle w inną stronę rozmówkę zwraca. Ale gość chwali, wyzywa do objaśnień; plączą się słówka, z mętnego octu wysuwają się oczka autorskiéj oliwy i ciężkie wywołują wyznanie i utyskiwanie: ale bo nas twe dzieła nie dochodzą. — Zdarza się téż w gawędce

usłyszeć; co mówisz, czemuś nie pisał, nie ogłosił? a mnie na myśli: czemuś nie ciekawy, czemu nie czytujesz? a niekiedy wybuchnąć przychodzi z wyrzutem: Czemuś nie czytał? A są tacy, co wykrzykują, wymawiają: bo nie gadasz, nie mówisz w czasie; a mnie im odrzec: za coście w czasie nie słuchali, uszy zątykali? Zbytęczna nadmienić te ostatnie o żywym głosie wymówki: bo się sprawiam jedynie z piśmiennictwa... „Nie przeczę, mógł dostojny historyk natrafić na różnego kalibru gości, a nierzadko i na takich, co go nawiedzali jak się nawiedza zagraniczne osobliwości — przez ciekawość i chełpliwą żądzę, aby się w domu pochwalić: widziałem beczkę hejdelberską, byłem na wierzchołku wieży Strasburgskiéj, w trupiarni (la Morgue) paryskiéj, widziałem Mauneken Piss, plac Męczenników i Lelewela... nieidzie jednak zatém, aby nauka historyi tak dzielnie zaszczepiona przez niego, nie była dziś szerzéj uprawianą przez ogół czytelników, najlepszym dowodem jest liczba pracujących w téj gałęzi piśmiennictwa, niemniéj żywy udział w publiczności dla dzieł pojawiających się w téj materyi. — Być może, że nie każdy kierunek podoba się i zyskuje wziętość, nie każda zasada odpowiada duchowi narodu; ale to pe-

wna, że interes dla historyi o wiele kroć większy, niż za czasów, kiedy sędziwy nasz historyk ogłaszał rozprawy swoje: „Oświecenie i nauki w Polszcze. — Zdobycze Bolesława — Winulską Słowiańszczyznę“ i t. d. Wtenczas styl raził i suchy wykład odstręczał, — dziś nauka o tyle postąpiła, że więcéj o rzecz chodzi, niż o zewnętrzną okrasę.

LEGENDA I RODOWÓD.

Podanie i krytyka w historyi. — Szkopuł dla krytyki z Tacyta. Żywot Św. Wojciecha X. Pękalskiego. — Lechicki początek Polski Karola Szajnochy.

W dawnych wiekach przyjmowano każde podanie za prawdę historyczną, i nietroszczono się o ścisłe, dokumentne dowody. — Podania te utrzymujące się zazwyczaj w pewnéj części społeczeństwa przewodniczącéj narodowi, miały tem samem niezaprzeczoną powagę, i wzbudzały wiarę w ich rzetelność. Wiadoma rzecz, jak od czasów reformacyi, zmieniły się punkta widzenia i ocenienia prawdy. — Wielkie tradycye kościoła i narodów poszły pod rozbiór, wyśmiane lub zaprzeczone zostały.

Dzisiejsi pisarze dziejów idą tą ostatnią drogą, to jest drogą krytyki — a to dla tego, że nie zawsze chcą szukać tradycyi tam gdzie jest; po-

wtóre, że niezmiernie posunięta badawczość źródeł dziejowych, dozwala im pochodnią rozumu i nauki rozwidnić mroki przeszłości najodleglejszéj....

Zdrowy rozsądek, kombinacya rozumowa, mogą być w takim razie najwyższym trybunałem w ocenieniu zdarzeń i poznaniu prawdziwéj prawdy. Zapewne są to potężne czynniki i rozczynniki — ale trzeba pamiętać iż nie wszystkie wieki dają się mierzyć jedną piędzią; że sama natura faktów opiera się częstokroć badawczości historyka. Zarozumiała więc pewność krytyki historycznéj, że ona jedynie może być tylko w posiadaniu najprawdziwszéj prawdy, że co ona przesieje przez sito — to jedynie jest ziarnem czystem, reszta plewą fałszu i ułudy — znajduje w historyku prawdziwie krytycznym jak Tacyt swoje najlepsze ocenienie. Opowiadając śmierć Germanika, podaje, jako powszechne było mniemanie, że Germanikus otrutym był przez Pizona. Senat zarządza śledztwo — a Pizo uprzedzając śledztwo zabija się. Tacyt posępnemi farbami malując to zdarzenie, niepomija obiegających wieści: że Pizo był do téj zbrodni pobudzony przez Tyberyusza, i że nie sam się zabił tylko zginął na rozkaz cesarza, aby prawda nie wyszła na jaw; — poczém dodaje te godne uwagi

wyrazy: „I najważniéjsze zdarzenia bywają wątpliwe; ponieważ jedni, cokolwiek zasłyszeli, podają bez ogródki za prawdę; drudzy wręcz kłamią. A oboje to, tak umyślne jak nieumyślne fałszowanie prawdy, tém bardziéj rośnie, im zdarzenie dawniejsze.“ — Jeżeli bezwzględna prawda nieosiąga się krytycznością badań, tedy tradycye narodu nie są tak bardzo do wzgardzenia, zwłaszcza gdy wiara w nie żyje choć w części między nami. Ażeby zrozumieć te tradycye, częstokroć na pozór niegodne krytycznego noża wysokiéj uczoności książkowéj, potrzeba złać się z narodem, być wykarmionym mlékiem wspomnień, a nadewszystko żyć pośród niego życiem czynném: bo nie historya jest szkołą życia jak utrzymują pedanci, ale życie jest szkołą dla historyi. — Im kto więcéj miał sposobności poznać ludzi i ich sprawy, im kto głębiéj potrafił wżyć się w teraźniejszość, ale rzeczywistą, nie urojoną, ten staje się zdolnym najlepiéj zrozumieć przeszłość. Natura bowiem ludzka, potrzeby jéj duchowe i cielesne, równie jak wszystkie węzły utrzymujące społeczeństwo, były prawie po wszystkie czasy jedne i też same. Poznać tę główną osnowę, więcéj znaczy, niż mierzyć i śledzić każdy ścieg zdarzeń dzierzganych na niéj.

wet ku późniejszym prawdom i przekonaniom, mającym tworzyć charakter męża. Ztąd obawa aby moim pojęciom, sposobom widzenia, opiniom, nie zadał kto nierozmyślności — sprawia, że sąd i zdanie nie objawi się stanowczo, i z wiarą w prawdę poślubioną, ale zawsze tak będzie postawione, że się dwojako da tłumaczyć, i do odwrotu małe drzwiczki zostaną.

Nieprzebiegam dalszego zawodu Lelewela podług jego opowieści — w streszczeniu straciłyby wiele te pamiętniki — to tylko dołożę, że dał nam w nich wizerunek człowieka pióra, czyli zdziełcy, który o bardzo szczupłych środkach przedsiębrał i wykonywał prace, jakie przedsiębiorą nieraz różne ciała naukowe połączonémi siłami i — najczęściéj nigdy nie kończą. Po drugie, pisma jego pełne ścisłych naukowych badań wydawane były nie kosztem towarzystw naukowych, ale szły na ręce księgarzy, którzy, albo mu nic za to nie płacili, albo płacili exemplarzami, tłumacząc się zupełną niemożnością wynagrodzenia pism mających bardzo szczupłą liczbę czytelników. Wymówka ta miała pewną słuszność za sobą w początkach zawodu autorskiego naszego historyka, kiedy w narodzie dzieła poważniejszéj i mozolniejszéj treści,

nie znajdowały wziętości — lecz im dalej, a bliżej naszego czasu, ukształcenie ogółu czytelników, do tyla wzrosło, że dziś pierwsze wydania pism Lelewela stały się rzadkiemi — te zaś, co obecnie publikuje doczekały się chwil pomyślniejszych dla zdziełców mających żyć z własnéj pracy. Kraj czyta Lelewela, a co lepsza uczy się z niego, i niejeden już z młodszych pisarzy, biorąc znakomitego historyka za wzór życia i nauki, usiłuje dowieść, że nie na nim jednym skończy się szereg tych uczonych, którzy pokazali światu że mogąc sami pisać o sobie, niepotrzebujemy u cudzoziemców szukać historyografów.

Sam ten zwrot ku badaniom historycznym reprezentowany tak zaszczytnie przez nowszych pisarzy, jak: Malinowski, Bielowski, Łukaszewicz, Dzieduszycki, Helcel, Baliński, Szajnocha, Bartoszewicz i t. d. jużby powinien sędziwego historyka pocieszyć i ukrzepić w duchu. Są to bowiem że tak rzeknę, ucznie jego, nie w tém rozumieniu iżby zawsze szli wytkniętémi przezeń tory, i hołdowali tym samym wyobrażeniom — lecz w téj myśli: że on im otworzył najszersze drzwi do świątyni przeszłości, w któréj teraz spokojnie, głęboko i bez uprzedzeń rozglądać się mogą. Gdyby

ta jedna uwaga przyszła była na myśl sędziwemu starcowi oddalonemu od ziemi rodzinnéj, nie byłby gorzkim wyrzutem zakończył swojéj autorskiéj autobiografii: „Od pięćdziesięciu i sześćdziesięciu lat, gryzmoliłem i zrzędziłem rozpatrując: chronologię, genealogię, geografię, politykę, prawodawstwo, urzędy, dzieje w powszechności i osobno Litwy i Rusi i narodów: bałwochwalstwo, monumenta, monety, grobowce; budowy, herby, pieczęcie, dyplomata; pismo, ubiory, obyczaje i zabytki starożytne. Z tym, co z tego dorywczo w druk szło, mało kto się oswoił, mało kto o tém wiedział. Sprawiłem się pospolicie, niepowabnie, niepoczytnie. Nic dziwnego tedy, że powszechnie inni dowiadywali się odgłosem że jest coś, czego nie widzieli sami, a wyobrażali sobie kiedy owe coś tak głośne, w wymiarach wielkich. Zdarzyło się tedy, uprzejmie odwiedzający zacny gość pochlebnie wspomina o mych pracach. Gdybyś na tem przestał zagajeniu, gładkoby poszło: bo skromny autor zwykle w inną stronę rozmówkę zwraca. Ale gość chwali, wyzywa do objaśnień; plączą się słówka, z mętnego octu wysuwają się oczka autorskiéj oliwy i ciężkie wywołują wyznanie i utyskiwanie: ale bo nas twe dzieła nie dochodzą. — Zdarza się téż w gawędce

usłyszeć; co mówisz, czemuś nie pisał, nie ogłosił? a mnie na myśli: czemuś nie ciekawy, czemu nie czytujesz? a niekiedy wybuchnąć przychodzi z wyrzutem: Czemuś nie czytał? A są tacy, co wykrzykują, wymawiają: bo nie gadasz, nie mówisz w czasie; a mnie im odrzec: za coście w czasie nie słuchali, uszy zatykali? Zbyteczna nadmienić te ostatnie o żywym głosie wymówki: bo się sprawiam jedynie z piśmiennictwa... „Nie przeczę, mógł dostojny historyk natrafić na różnego kalibru gości, a nierzadko i na takich, co go nawiedzali jak się nawiedza zagraniczne osobliwości — przez ciekawość i chełpliwą żądzę, aby się w domu pochwalić: widziałem beczkę hejdelberską, byłem na wierzchołku wieży Strasburgskiéj, w trupiarni (la Morgue) paryskiéj, widziałem Mauneken Piss, plac Męczenników i Lelewela... nieidzie jednak zatém, aby nauka historyi tak dzielnie zaszczepiona przez niego, nie była dziś szerzéj uprawianą przez ogół czytelników, najlepszym dowodem jest liczba pracujących w téj gałęzi piśmiennictwa, niemniéj żywy udział w publiczności dla dzieł pojawiających się w téj materyi. — Być może, że nie każdy kierunek podoba się i zyskuje wziętość, nie każda zasada odpowiada duchowi narodu; ale to pe-

wna, że interes dla historyi o wiele kroć większy, niż za czasów, kiedy sędziwy nasz historyk ogłaszał rozprawy swoje: „Oświecenie i nauki w Polszcze. — Zdobycze Bolesława — Winulską Słowiańszczyznę" i t. d. Wtenczas styl raził i suchy wykład odstręczał, — dziś nauka o tyle postąpiła, że więcéj o rzecz chodzi, niż o zewnętrzną okrasę.

LEGENDA I RODOWÓD.

Podanie i krytyka w historyi. — Szkopuł dla krytyki z Tacyta. Żywot Św. Wojciecha X. Pękalskiego. — Lechicki początek Polski Karola Szajnochy.

W dawnych wiekach przyjmowano każde podanie za prawdę historyczną, i nietroszczono się o ścisłe, dokumentne dowody. — Podania te utrzymujące się zazwyczaj w pewnéj części społeczeństwa przewodniczącéj narodowi, miały tem samem niezaprzeczoną powagę, i wzbudzały wiarę w ich rzetelność. Wiadoma rzecz, jak od czasów reformacyi, zmieniły się punkta widzenia i ocenienia prawdy. — Wielkie tradycye kościoła i narodów poszły pod rozbiór, wyśmiane lub zaprzeczone zostały.

Dzisiejsi pisarze dziejów idą tą ostatnią drogą, to jest drogą krytyki — a to dla tego, że nie zawsze chcą szukać tradycyi tam gdzie jest; po-

wtóre, że niezmiernie posunięta badawczość źródeł dziejowych, dozwala im pochodnią rozumu i nauki rozwidnić mroki przeszłości najodleglejszéj....

Zdrowy rozsądek, kombinacya rozumowa, mogą być w takim razie najwyższym trybunałem w ocenieniu zdarzeń i poznaniu prawdziwéj prawdy. Zapewne są to potężne czynniki i rozczynniki — ale trzeba pamiętać iż nie wszystkie wieki dają się mierzyć jedną piędzią; że sama natura faktów opiera się częstokroć badawczości historyka. Zarozumiała więc pewność krytyki historycznéj, że ona jedynie może być tylko w posiadaniu najprawdziwszéj prawdy, że co ona przesieje przez sito — to jedynie jest ziarnem czystem, reszta plewą fałszu i ułudy — znajduje w historyku prawdziwie krytycznym jak Tacyt swoje najlepsze ocenienie. Opowiadając śmierć Germanika, podaje, jako powszechne było mniemanie, że Germanikus otrutym był przez Pizona. Senat zarządza śledztwo — a Pizo uprzedzając śledztwo zabija się. Tacyt posępnemi farbami malując to zdarzenie, niepomija obiegających wieści: że Pizo był do téj zbrodni pobudzony przez Tyberyusza, i że nie sam się zabił tylko zginął na rozkaz cesarza, aby prawda nie wyszła na jaw; — poczém dodaje te godne uwagi

wyrazy: „I najważniéjsze zdarzenia bywają wątpliwe; ponieważ jedni, cokolwiek zasłyszeli, podają bez ogródki za prawdę; drudzy wręcz kłamią. A oboje to, tak umyślne jak nieumyślne fałszowanie prawdy, tém bardziéj rośnie, im zdarzenie dawniejsze.“ — Jeżeli bezwzględna prawda nieosiąga się krytycznością badań, tedy tradycye narodu nie są tak bardzo do wzgardzenia, zwłaszcza gdy wiara w nie żyje choć w części między nami. Ażeby zrozumieć te tradycye, częstokroć na pozór niegodne krytycznego noża wysokiéj uczoności książkowéj, potrzeba zlać się z narodem, być wykarmionym mlékiem wspomnień, a nadewszystko żyć pośród niego życiem czynném: bo nie historya jest szkołą życia jak utrzymują pedanci, ale życie jest szkołą dla historyi. — Im kto więcéj miał sposobności poznać ludzi i ich sprawy, im kto głębiéj potrafił wżyć się w teraźniejszość, ale rzeczywistą, nie urojoną, ten staje się zdolnym najlepiéj zrozumieć przeszłość. Natura bowiem ludzka, potrzeby jéj duchowe i cielesne, równie jak wszystkie węzły utrzymujące społeczeństwo, były prawie po wszystkie czasy jedne i też same. Poznać tę główną osnowę, więcéj znaczy, niż mierzyć i śledzić każdy ścieg zdarzeń dzierzganych na niéj.

Jak tedy badawczość w dochodzeniu zdarzeń odległéj starożytności, powinna mieć się bardzo na baczeniu, aby przypuszczeń i zdradnych podobieństw nie stawiała wyżéj nad tradycyę uświęconą dawnością i wiarą narodu, tak z drugiéj strony krytyka historyczna nieocenione oddaje usługi gdy zasycona szeroką nauką, drogą analogii i uzasadnionych wniosków umie rzucać światło na epoki ciemnych dotąd początków. — U nas można powiedzieć dziejopisarska krytyka zaczęła się dopiero z Naruszewiczem, i odtąd postęp na téj drodze zrobiono niemały, i przez badanie źródeł i licznych gałęzi należących do nauki historyi. Właściwie więc jesteśmy w epoce przygotowawczéj, w epoce zbierania materyałów, ocenienia ich, a razem wyświecenia szczegółów dziejowych, bez czego niemożna dojść do pragmatyki. Błąd to był historyków naszych, osobliwie z czasów Tow. Przyj. Nauk., że gwałtem chcieli być pragmatyczni, czyli więcéj chcieli wiedzieć o historycznych zdarzeniach i wewnętrznym ich związku, niż wiedzieć byli w stanie, — z tego to względu dowolnych przypuszczeń i przeobrażeń tyle się namnożyło, że prawie każdy fakt musi być źródłowie zbadany na nowo, aby się mógł

przedstawić w rysach zbliżających go do prawdy z rzeczywistością świadectw poważnych zgodnéj.

W ostatnich czasach wyszły dwa pisma noszące cechę znamienitéj historycznéj krytyki — oba poświęcone rozwiązaniu dwóch dziejowych zagadek. Pierwsze: *Żywot Św. Wojciecha z uwagami nad podaniem Czechów, jakoby zwłoki jego w Pradze spoczywały*, napisane jest przez X. Piotra Pękalskiego; — drugie: *Lechicki początek Polski*, skreślił Karol Szajnocha, znany tak zaszczytnie z tylu historycznych prac. W sprawozdaniu z pierwszego dziełka pójdziemy porządkiem jakiego trzymał się autor. Zaczyna on od skreślenia żywota Św. Wojciecha, podług najautentyczniejszego źródła, to jest, podług podania Jana Kanaparza, benedyktyna klasztoru ŚŚ. Alexego i Bonifacyusza w Rzymie, gdzie ś. Apostoł wiódł życie zakonne. Zdaniem Pertza jest to najstarożytniejszy zabytek. — Święty Wojciech pochodził z możnego czeskiego rodu Sławników, spowinowaconego z domem cesarskim. W szesnastym roku życia swego opuścił dom rodzicielski, udając się na naukę do Magdeburga, gdzie celujący między współuczniami pilnością i pobożnością, po ośmiu latach wrócił do rodziny do Czech i tam pod koniec r. 981 przyjął kapłańskie

święcenie od Thetarata pragskiego biskupa. Śmierć tego pasterza zdarzona r. 983 i straszne na żywot nie dosyć chrześcjański wyrzekania umierającego, zbawienny wpływ wywarły na młodym kapłanie; albowiem wiodąc pod ten czas cokolwiek wolniejsze życie, uczuł wewnątrz zgryzotę a razem pragnienie poprawy. Wskutek tego przywdział zaraz włosiennicę, popiołem głowę potrząsnął, a rozdawszy majątek między ubogich, stał się prawdziwym bojownikiem Chrystusa. Po śmierci onego biskupa, oczy wiernych zwróciły się na młodego pokutnika, którego cnota, zacność i możność rodu, a nadewszystko surowa poprawa życia, stały się pobudką dla panującego księcia Bolesława II. i ludu, iż go wezwano na biskupstwo pragskie, na którą to godność d. 29 Czerwca 983 r. przez arcypasterza moguckiego Willigisa wyświęcony został. Na stolicy biskupiéj sześć lat siedząc, a niemogąc ani przykładem świątobliwego, w zaprzaniu siebie samego, życia, ani słowem rozwiozłéj, zatwardziałego serca i zatyłego karku owczarni swojéj, od wszeteczeństw najbrzydszych odprowadzić, by duszy swéj niestracił, złożył w ręce Ojca św. władzę biskupią, a sam jął kija pielgrzymiego do grobu Zbawiciela. W pielgrzymce téj zatrzymał

się w pewnym klasztorze benedyktyńskim, gdzie upodobawszy sobie życie klasztorne przywdział u ŚŚ. Alexego i Bonifacyusza w Rzymie sukienkę Ś. Benedykta wraz z bratem swym Radzynem.

Czasu nieobecności Ś. Wojciecha dyecezya pragska zostawała pod zarządem Arcybiskupa Moguncкiego, który litując się nad jéj sieroctwém zaniósł do Rzymu prośbę o zwrócenie Ś. Wojciecha do Pragi — co Papież Jan XV. uczynił, przeznaczając go na osierocony stolec biskupi w Pradze. Całe miasto uradowane z powrotu świętego męża, wyszło naprzeciw niego, przyrzekając stateczną poprawę. Lecz przyrzeczenia prędko wyszły z pamięci ludzi nieumiejących powściągać najdzikszych namiętności. Zdarzyło się, iż gdy żonę jednego z Wrzeszowców magnatów czeskich ze Sławnikami na równi możnowładztwa stojących, zemsta za cudzołostwo aż za ołtarz ścigała, kędy ją biskup przed mieczem zemsty ukrył, — zbroczenie miejsca świętego krwią owéj niewiasty — taką zgrozą duszę świątobliwego pasterza przejęło, iż postanowił po raz drugi owczarnię swoją opuścić. Zanim atoli wrócił w zacisze klasztorne, udał się na początku r. 995 do Węgier dla opowiadania religii, gdzie prócz mnóstwa ludu ochrzcił był syna króla wę-

gierskiego Gejzy, a późniejszego króla i sługę Bożego Ś. Stefana. — Z otwartem a radośném sercem od ojców zakonnych przyjęty, rok tylko lubował się w osamotnieniu klasztorném, albowiem na gorące nalegania arcybiskupa moguńckiego, stolica apostolska po raz drugi zawezwała zakonnika by zasiadł na urzędzie biskupim. Posłuszny władzy, gdy stanął na granicy Czeskiéj, doszło go, iż naród zbrodniczy do którego śpieszył, zbroczył swe ręce krwią jego własnéj rodziny. Czesi w szaleństwie swojem, braci jego wraz z ich rodzinami wymordowali, krewnych i mnogo szlachty pokaleczyli, a wszystkie włości ogniem i mieczem zniszczyli. Krwawe te zdarzenia zagrodziły dalszą drogę Wojciechowi; nieobiecując on sobie żadnego pożytku z rozbestwionych owieczek, zwrócił kroki swe ku Polsce, gdzie panował Bolesław Chrobry. Jakoż przez Węgry idąc, stanął w Krakowie z bratem Radzynem nieodstępnym towarzyszem, i niejaki czas kazywał na rynku krakowskim, na którą to pamiątkę stanął późniéj kościołek Ś. Wojciecha, po dziś dzień w części utrzymujący się. Niedługo bawiąc w tém mieście, przy końcu 996 r. przeniósł się do Gniezna, ówczesnéj stolicy Polski, zkąd wysłał do prażanów poselstwo z zapytaniem, czy

zechcą go przyjąć, i czy obyczaje swe poprawią? Odebrawszy odmowną odpowiedź, postanowił sąsiadującym z Polską Prusakom naukę Chrystusa opowiadać, i w tym celu na wiosnę r. 997 z bratem Radzynem i Benedyktem kapłanem popłynął Wisłą do ziemi Prusaków, gdzie, jak wiadomo tego roku d. 23 Kwietnia, z powodu przekroczenia gaju, poświęconego pogańskiemu bożyszczu, został siedmią włóczniami przebity; dwaj zaś jego towarzysze z rąk pogańskich uszedłszy, przynieśli tę smutną wiadomość do Polski. Bolesław zawiadomiony o śmierci Wojciecha, postanowił wykupić jego zwłoki, przyczem jak wiadomo stał się cud, który wypadł na niekorzyść łakomych pogan — ciało bowiem ś. męczennika stało się tak lekkiem, iż ilość złota odpowiedna ciężkości ciała, zredukowała się do nieznacznéj summy. Zwłoki sprowadzone do Polski, złożone były naprzód w Trzemesznie, a następnie dla większego bezpieczeństwa w Gnieźnie, zkąd szerzące się łaski i cuda doszły nawet do cesarza Ottona III.

W r. 1000 Otto udał się z Włoch na pielgrzymkę w zamiarze odwiedzenia grobu Ś. Wojciecha. Wspaniałe są opisy kronikarzy ówczesnych tego zjazdu dwóch monarchów; lecz to mniéj do

rzeczy należy — najważniejszy punkt z powodu którego ta książka napisaną została, odnosi się do wypadku zdarzonego w 38 lat późniéj, tj. w r. 1038. Brzetysław Książe czeski najechał Polskę i grabieże swoje rozpostarł aż do Gniezna. Oddział Czechów z polecenia przywódzcy swego biskupa Sewera, chciał zabrać szczątki Ś. Wojciecha — lecz kapłani miejscowi usunęli takowe i w skrytém miejscu schowali, podłożywszy natomiast zwłoki Radzyna, które téż Czesi uwieźli z sobą wraz z mnóstwem skarbów złupionych.

Ta jest tradycya miejscowa poświadczona od naszych kronikarzy i wielu dowodami poparta. Tymczasem Czesi utrzymują, że u nich znajduje się ciało Ś. Wojciecha. Spór ten trwa od wielu bardzo wieków, a nawet niedawno został wznowiony z powodu, że w r. 1854 kardynał X. Jan Scitowski, prymas węgierski i arcybiskup Ostryhońskiego, zażądał był od X. Leona Przyłuskiego arcybiskupa Gnieźnieńskiego, aby do bazyliki Ostryhońskiéj raczył udzielić relikwie Ś. Wojciecha, albowiem jak się wyraża: jest tu wprawdzie mała cząstka czaszki dawniéj udzielona z Pragi, *gdzie spoczywającego ciała prawdziwość nader jest wątpliwa.* — Na to wezwanie X. Arcybiskup Gnieźnieński wydobywszy z trumny znaczną część reli-

kwii, zawiózł je sam w r. 1856 do Ostryhonia, i złożył w świątyni poświęconéj pod wezwaniem Ś. Wojciecha. — Z téj to okoliczności uczony czeski X. Wacław Sztulc arcyb. notaryusz i prof. akad. gimn. w Pradze, wystąpił w piśmie wydawaném przez siebie *Blahovest*, i w artykule: *Grób Ś. Wojciecha*, starał się polegając jedynie na podaniu Kozmasa dowodzić, że ciało Ś. Wojciecha nie w Gnieźnie lecz w Pradze spoczywa. — Wystąpienie to wywołało uczoną i wielce przekonywającą książkę X. Pękalskiego, gdzie umiejętnie i krytycznie zestawione dowody, tę na pozór tak zagadkową sprawę rozstrzygają najjaśniéj, chociaż od pamiętnego napadu Czechów do dziś z górą 800 lat nas przedziela.

Główny argument Czechów opierał się zawsze, ilekroć spór ten wznawiano, a wznawiano go nieraz, na powieści Kozmasowéj. Trzeba więc było podkopać wiarogodność tego świadectwa, okazując przeciwieństwa w jego podaniu. Jakoż w rzeczy saméj mówi on raz, że zwłoki święte tak były przy ścianie za ołtarzem (w Gnieźnie) umieszczone, że bez zburzenia go, wydobyte być niemogły; drugi raz mówiąc o zabranych ze świątyni skarbach dodaje, iż niesiono trzy szczérozłote tablice zdjęte

z ołtarza, w którym leżały zwłoki męczennika; wreszcie opowiedziawszy, iż biskup pragski Sewerus towarzyszący księciu Brzetysławowi w napadzie na Gniezno, zburzył młotem grobowiec od szczytu do spodu, nadmienia, jako otworzono trumnę, z którój książe i biskup bez trudności wydobyli ś. zwłoki i obwinięte w materyę jedwabną na ołtarzu złożyli. Najgłówniejsza zaś sprzeczność co do stanu, w jakim się znalazły zwłoki świętego; albowiem mówi, iż takowe w niczem niebyły uszkodzone, *jak gdyby w tym dniu mszę ś. odprawiał;* zapomniawszy, iż sam za spółczesnemi świadectwami powtórzył, że poganie biskupa pokłóli i porąbali. Przeciwnie Radzyn brat Ś. Wojciecha, arcybiskup gnieźnieński, umarł był śmiercią zwyczajną r. 1006 i wedle swéj godności w ubiorze pontyfikalnym pochowany. — Lubo stolica apostolska jeszcze nie była ogłosiła Radzyna świętym przed zabraniem zwłok jego przez Czechów, którym, jak pisze Długosz, kapłani podsunęli te zwłoki w miejsce zwłok Ś. Wojciecha, to zważywszy, że kanonizacya nie czyni świętymi sług Bożych, jedno je za święte ogłasza na zasadzie nieskażonego ich żywota i cudów, które Bóg przez nich czyni — można śmiało twierdzić, że znamiona opisane przez Kozmasa jakoto: jasność twarzy i biskupiego ubioru, nienaru-

szona całość wszystkich członków ciała i grobowca, jedynie do Ś. Radzyna zastósowaną być może. Wiadome bowiem ze świadectw pięciu spółczesnych żywociarzów szczegóły zamordowania Ś. Wojciecha; poganie zakłówszy go włoczniami, ciało jego rozćwiartowali, a uciętą głowę na żerdź zatknąwszy, przez kilka dni tak znieważone i opuszczone zostawały zwłoki, dopiero od Chrobrego wyprawieni mężowie wykupili je i ze czcią do Polski przyprowadzili. Również i sam Kozmas mówiąc o Radzynie wspomina wyraźnie, iż ciężko było zranione serce jego widokiem rozsiekanego ciała brata. Zwłoki te więc ciężko uszkodzone przez samo męczeństwo, tém więcéj ucierpiały w swojéj całości, gdy dodamy ten szczegół zapisany u współczesnych analistów, że Bolesław podarował Ottonowi III. ramię Ś. Wojciecha, a Radzyn będąc arcybiskupem gnieźnieńskim udzielił klasztorowi kanoników Ś. Augustyna w Trzemesznie kilka ułamków drogich szczętów po dziś dzień tamże przechowywanych. — Długosz, który pewnie miał dowody jeśli nie pisane to przechowujące się w żywéj tradycyi, wyraźnie powiada o napadzie Brzetysława: W ciągu onych trzech dni, podczas których Wielkiego Boga potęga ślepotą i letargiczną chorobą Czechów rażąc,

niedopuszczała im wniścia do kościoła, kilku miejscowych kapłanów spodziewając się, iż napastnicy będą się kusić o ciało swego biskupa, zwłoki jego wydobyło z miejsca, w którem dotąd z powszechną czcią spoczywały (wedle Thietmara złożone były w wystawionym przez Ottona III. ołtarzu) i przeniosło je w miejsce ustronne, pospolitym piaskiem zasypawszy. W tém utajonem ukryciu zostawały te relikwie do r. 1127 i d. 23 lutego, za arcypasterza Jakuba ze Żnina podniesione i ku czci wiernych wystawione zostały. W trzy lata póżniéj (1130) zanosił u ich stóp modły swe Bolesław Krzywousty dla przebłagania gniewu Bożego za zabicie brata swego Zbigniewa.

Przeciw Kozmasowemu podaniu, który się urodził w sześć lat po mniemanem uwiezieniu ciała ś. męczennika do Pragi, a w ośmdziesiąt lat kronikę swą pisał, świadczą pisarze więcéj zasługujący na wiarę, jak to Jan Kanaparz osobiście znający Ś. Wojciecha, biskup Bruno współuczeń apostoła naszego i sam ginący śmiercią męczennika w Prusach r. 1009 — również piszący około roku 1028 Ademar i wielu innych. Na tych świadectwach oparty autor, nie drogą naciągań; lecz najprostszych kombinacyi, ugruntował to, co podał Długosz, i tym sposobem odparł uroszczenia

Czechów, którzy prześladując świętego za życia, i nieoddając mu i po śmierci także czci żywéj, jakiéj doznawał w Polsce, gdzie nawet pieniądze bito z wizerunkiem Ś. Wojciecha — niejednokrotnie toczyli polemikę o rzetelność posiadanych przez siebie relikwii. Uczona ta praca wielce zajmująca jest z powodu trafnie zestawionych źródłowych dowodów; a wszelkie zarzuty czeskich pisarzy, często bardzo zręczne i uwodzące, odparte są dokumentami niepodejrzanéj wiarogodności. Mnie zaś ta jedna uwaga przychodzi, którą tu dorzucić za potrzebne uważam. Jeżeli zważymy, sądząc duchem owych wieków, jak wielką wartość przywiązywały narody do ciał swoich męczenników, tedy pojmiemy łatwo, iż w czasie owego napadu Brzetysława na Gniezno, miejscowe duchowieństwo niemogło mieć większego zadania, jak najpilniejsze przechowanie zwłok Ś. Wojciecha; gdy przeciwnie Czesi pałający tylko żądzą łupów, szukali złota i srebra i drogich tkanin, a o ciało prześladowanego przez nich wygnańca nie tyle im zapewne chodziło, aby aż w tym celu podejmowali wojenną wyprawę. Obecność tylko biskupa Sewera, mogła zwrócić uwagę na zwłoki męczennika, aby tym płaszczykiem pobożnego celu pokryć zbrodniczy najazd, za który i tak mieli się nie z pyszna od Stolicy

Apostolskiéj, trzymającéj wówczas tak nad królami jak ludami wagę najwyższéj sprawiedliwości.

Drugą ważną a jeszcze trudniejszą zagadkę historyczną usiłuje rozwikłać Karol Szajnocha w rozprawie: *Lechicki początek Polski.* Wdzięczne to pióro nie od dziś już rozszerza ramy naszéj historyi dotąd zbyt ścieśnione przez odłączenie studiów nad historyą ojczystą, od niezbędnego poznania stanu krajów postronnych a mianowicie źródeł, co choć ściśle nieodnoszą się do Polski; lecz mimo tego mają z nią konieczne powinowactwo. Życie bowiem jednego kraju górującego cywilizacyą nad innémi, bywa jak wiadomo najwymowniejszym komentarzem do zdarzeń, często niezrozumiałych, bo dokonanych pośród społeczeństwa, które nie przyszło jeszcze do samopoznania czyli nie stanęło na stopniu, od którego naród się zaczyna, i usiłuje mieć swoją historyę. Jeżeli tego szerokiego ogarnięcia historycznych stosunków wymaga badanie dziejów w epokach mających obfitość źródeł pisanych, tém bardziéj potrzebne to jest, kiedy przychodzi odgmatwywać mroki i niepewności początków jakiego narodu. Początek Słowian śledzono po Greckich i Rzymskich pisarzach. Początek dziejów plemion składających Polskę, wy-

grzebywano z tych samych źródeł, przywołując w pomoc najdawniejsze zabytki i podania innych słowiańskich plemion; lecz najmniéj może uciekano się do objaśnień starogermańskich, a właściwie Skandynawskich. Z tego względu dzieło Szajnochy, *Lechicki początek Polski*, jako oparte na źródłach dotąd nietykanych przez naszych badaczów historycznych, to jest na Skandynawskich podaniach, i na kronikach słynnych w odmianach państw, Normandów, — zasługuje na uwagę, jeźli nie jako rozwiązanie ostateczne ciemnych początków Lechickich, to zawsze jako arcydowcipne przedstawienie prawdopodobnych, możebnych przypuszczeń analogii. Blisko brzmiące wyrazy, etymologiczne wywody, ułamki podań, zagów, mitologii, praw, instytucyi, zgoła massa szczegółów poznoszonych ze wszystkich kątów Europy, gdziekolwiek zapędził się zdobywczy Norman, wszystko to składa się na tysiączne argumenta pokazujące: że towarzysze Lecha, mieli być ci sami rabusie i wygnańcy Skandynawscy, których imię wymawiano z śmiertelnym strachem na pobrzeżach mórz odśnieżnych skał Norwegskich po ukwiecone brzegi Sycylii.

Początek ten niepowinienby wstydzić Lechi-

tów: bo tak dobry, jeżeli nie lepszy, jak pierwotnych założycieli Romy.

Autor, ile widać z słów początkowych pierwszego rozdziału, przywięzuje wielką wagę do odkrycia znaczenia Lechitów — podług niego będzie tym sposobem wyjaśniona pierwotna historya Polski. — Potwierdzenie to słuszne — od Lecha bowiem i kronikarze nasi wskazują nam tworzące się państwo z plemion, dotąd bez znaczenia i nazwiska zostających. Zapewne, że dowiedzenie się o początku swoim zawsze jest rzeczą ciekawą; lubo mam to przekonanie, że niema narodu, któryby o swoim początku niemiał żadnego podania. Podanie to może być zmącone, spoetyzowane mitycznością; ale zawsze utrzymywać się będzie po wielu wiekach jako instynktowe powinowactwo między narodem w ostatniem przeobrażeniu, a jego pierwotną kolebką. Pamięć o zburzonéj ojczyźnie nad brzegiem Skamandru, nawet bez odświeżającéj to podanie Eneidy, zawsze utrzymywała się między Kwirytami, którzy w pewnym względzie byli takimi samymi założycielami państwa, śród plemion etruskich, jakimi byli Lechici śród Słowian. Dla czego nasi Lechici nie śnili nigdy o skałach ojczyzny Odina i Thora, dla czego ani krwa-

wy obyczaj, ani wyobrażenia i zagi północne nieprzeniosły się do nas z tymi zdobywcami, którzy mieli bez wątpienia niepospolity fundusz cywilizacyjny, kiedy tworzyć umieli państwa? — Autor odpowiada dowodami opartymi na etymologii, a razem twierdzi, że Normandowie zazwyczaj tak prędko zespolili się z podbitym ludem, iż ich cechy rodowe zniknęły bez śladu, i na dowód stawia Normandów we Francyi, również znikających w podbitéj ludności. Wszakże co mogło się stać z Normandami we Francyi, i co w istocie się stało, to trudniéj byłoby zastósować do Słowian niemogących się mierzyć z tą Galią, przez którą przesunęła się cała cywilizacya Rzymu, i tak wcześnie rozkrzewione chrześciaństwo. Dla tego sądziłbym, że cechy rodowe przybyszów Skandynawskich, czyli podług p. Szajnochy tak zwanych Lechitów, niezlałyby się tak rychło z podbitemi plemionami Słowian — wielkie różnice pochodzeń i charakterów niezacierają się i w najdłuższe wieki, — a tymczasem niema może narodu w Europie, gdzieby podobieństwo charakterów i wszelkich usposobień wewnętrznych było większe między rasą zdobywczą a podbitą, jak w Polsce. Cudzoziemiec sądzący nas powierzchownie mógłby widzieć tylko zewnętrzną

różnicę, jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzyć na twarze, a typ słowiański jest jeden i tenże sam; dość popatrzyć w życie, a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki, więcéj jest przybliżenia niż gdzieindziéj.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy, badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że o czém naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniéj wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do paradoxu, że pewne epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stóleci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jenialnéj w swoim rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jéj treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tém historyczném odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe Skandynawów, zestawiwszy świadectwa kronikarzy polskich, skan-

dynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiéj Skandynawii, którzy wysypując się na cały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV. wieku po Chrystusie, daléj kraje nad Odrą i Wisłą czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak późniéj Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami — dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzecza północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiéj i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-Lacha*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucya jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucyą zachowaną na północy najdłużéj. — Lachy Jamscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *lache*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy

Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacniając się po drodze rozmaitego szczepu mężami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się: bo tego wszystkiego we własnym domu mieć niemogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, późniéj w IX. wieku przybyli; — skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d., iż z północy od Baltyku rozszerzali się ku Adryatykowi — więc nad brzegiem Baltyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnemi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiach, nazwiskach miejsc; 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa; różnych słów, mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; nareszcie 3) iż Słowiańskie narody, ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym

Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czém arabskie świadectwo, iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, a to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia, założona przez Normandów między VI. a VII. wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód, nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek niemiał tyle żywotnéj wagi dla polskich kronikarzy piszących przed VIIImiu wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć żywotniejszą? — Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniéj niż cienia pozoru, aby na nim budować jakieś odwieczne prawa lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a niedopieroż jaka woda na młyn dla takich piór, jak owe co piszą dziś: „dem Volke (den Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wahre Lust ist.“ — *Blätter für lit. Unt.* Nr. 23). Pokazuje się, że w ten zlewek Normanów

z autochtonami jeszcze mniéj będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskiem pochodzeniu Lechów, jak te, które uczony nasz badacz tak umiejętnie zestawił. — W każdym razie praca ta, lubo każe się dziwić wytrwałości autora w tak mozolnych dociekach, jednakowoż rezultat jaki sobie założyła osięgnąć, w niczem nieprzyczynia się ani do ukrzepienia ducha narodowego, ani do bliższego poznania się w swojem jestestwie, ani nawet do podniesienia się w ambicyę — za to — a tego zapewne sam sobie nieżyczył — nieprzyjaciele czychający na wytępienie polskiego elementu, chwycą się rękami i nogami jego dowodów, aby codzień powtarzać: jesteście emigrantami na téj ziemi.

Tradycya początków jest polityczną świętością, a zarazem najstarszą wiedzą narodu; lepiéj zostawić ją nietykalną, niż podkopywać dla marnéj uciechy zaimponowania erudycyą książkową i stosem hipotez dających się tak samo wywrócić, jak powstały. —

WIEK ŚWIETNOŚCI
I WIEK UPADKU.

Obraz polityczny piętnastego wieku. — Rzym, Krzyżacy i Polska. — Jan Ostroróg i jego pamiętnik. — Kościół i narodowość w średnich wiekach. — Kronika Podhorecka i hetman Wacław Rzewuski. — Stronnictwo Konstytucyjne i konserwatyzm. — Maska Targowicka. —

Piętnasty wiek więcéj niż każdy z minionych wieków przedstawia u nas szerokie pole do badań i rozpamiętywań. Gdzie indziéj był on wiekiem wewnętrznych zamieszań, rozkładu i przekształcenia się — u nas przeciwnie, odznaczał się żywiołami organicznémi, z których powstał fundament utrzymujący budowę przez cztéry stólecia: w nim nareszcie Polska Jagiełłów wyszła zwycięzko z największego niebezpieczeństwa, jakie jéj groziło: złamała zakon Krzyżacki, tę wysuniętą zbrojną czatę rozpierającego się i wszystko pochłaniającego

germanizmu. — Walkę zaczętą przez Chrobrego, skończył Kazimierz Jagiellończyk, a lubo chybił półśrodkiem pozostawiając Prusy książęce w lennictwie przy Krzyżackim mistrzu, rozwiązał narodowi ręce, że się mógł siłą swéj prawdziwie chrześciańskiéj cywilizacyi ku wschodowi obrócić.

Gdy wielkość każdego wieku ma swoją przyczynę we wielkości ludzi — więc można powiedzieć, jako w żadnym nie pojawiło się tyle zadziwiających mężów światłem i charakterem, co u nas w wieku XV. Byli to statyści-politycy w całem słowa znaczeniu samodzielni, znający naród a nadewszystko sprawy jego; głowy organiczne, sterownicze i przewidujące. W takim Janie z Rytwian, Zbigniewie Oleśnickim, Długoszu, Janie Ostrorogu, Grzegorzu z Sanoka, Kalimachu, skupiało się wielostronne światło, zdrowa rada i nieposzlakowana miłość kraju; w nich mieści się téż psychologiczna historya narodu, pod wieloma względami ciekawsza od historyi zdarzeń, a przynajmniéj mniéj dotąd badana.

Cząstkowe jednak prace wykonane ze skrzętną pilnością, zaczynają rozjaśniać, przyćmione świetnym szesnastym wiekiem, tło téj epoki. — I tak: Grzegorza z Sanoka podniósł Wiszniewski

w swéj Historyi Literatury; Zbigniewa Oleśnickiego odmalował M. Dzieduszycki z całem rozmiłowaniem się w tym wielkim mężu; Długosz dopiero pokaże się czém był, gdy przejrzane podług kodexów nastąpi wydanie jego historyi, i innych pism, a zwłaszcza listów; nakoniec przybywa praca pana Leona Wegnera o Janie Ostrorogu zawołanym prawniku i niepospolitym statyście. — O niéj zamierzam powiedzieć.

Autor skreśla obraz Europy za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Ostroroga; obraz prawdziwy lecz okropny w porównaniu ze stanem ówczesnéj Polski. Szczególniéj sąsiednie Niemcy przedstawiały najwyższą anarchię w państwie i towarzystwie, w polityce i kościele. Powaga cesarza w zastósowaniu niema tam żadnego znaczenia; występuje liczna ciżba narodów, chaotyczna federacya duchownych, feodalnych i miejskich udzielności. Wszystko działa na swoją rękę, nieodnosząc się do ogólnéj potrzeby. Stosunek prawny części Rzeszy do całego państwa zaciera się zupełnie; toż samo dzieje się w pojedyńczych księstwach, gdzie rycerstwo szamoce się z władzą panującego; zgoła mocniejszy słabszego gnębi. — W państwach duchownych nie lepiéj: biskupi

w ustawnéj waśni z kapitułami; w wolnych miastach Rzeszy uliczny gmin często rzuca się na starszyznę. Wszędzie brak myśli przewodniczącéj, błotnista mieszanina sobkostwa i samowoli. Kościół posiadający dotąd wyłączne kierownictwo duchowe, rozdwojony; duchowieństwo popadło w ostatni stopień zepsucia i zobojętnienia; niebyło komu prowadzić spółeczności; nigdzie ani świeckiéj, ani kapłańskiéj powagi; a że ludziom zawsze tęskno za czemś nieograniczonem i niepojętem, więc jak błędne snuły się tłumy biczowników i braci milczących, a z dusz zrozpaczanych wychodziło wołanie o *lux et dux mundi!*

Największa z katastrof historycznych, zdobycie Carogrodu przez Turków, podniosła powagę papieża, a raczéj on sam się podniósł, gdy stanął na czele chrześcijaństwa, i wezwał go do obrony przeciw nieprzyjaciołom krzyża. Inicyatywa ta wróciła mu w ręce wszystkie pasma polityki europejskiéj. Do podniesienia powagi papiezkiéj przyczyniło się niemniéj światło ówczesnych Włoch; — tam był szczyt kultury. Wykształcenie polityczne, mechanizm administracyjny i rządowy, klasyczna oświata, sztuki piękne, przemysł, rólnictwo, w rękach cały handel wschodu, wszystko to robiło

Włochy ogniskiem, z którego rozchodziły się cywilizacyjne prądy. Ztąd nietylko w rzeczach duchownych, ale i w świeckiéj polityce, ogromna przewaga Italii. — Tymczasem w Niemczech skutkiem oświaty włoskiéj zaczyna się z podobnéj anarchii wyrabiać żywioł dynastyczny: Fryderyk III., Maxymilian, potężnieją zaborami dóbr duchownych, przywłaszczeniem różnych praw tak publicznych jak prywatnych. Siła zaczyna sięześrodkowywać i stawać się osią wypadków. Żywioł germański party przez wyższość romańskiéj rasy, wylewa się na zewnątrz w dziedziny Słowian, i wzmaga się zaborem. Na nieszczęście Zygmunt cesarz, sprzedaje marchię Brandeburską Fryderykowi burgrafowi Norymberskiemu, z warunkiem, aby protegował zakon Krzyżacki w Prusiech. Odtąd Marchia staje się gnębicielką ziem słowiańskich, a przedmurzem Rzeszy; odtąd coraz więcéj zdobyczy zlepia w jedno ciało. Myśl przewodnicząca temu nowemu państwu najlepiéj maluje się w słowach margrafa Albrechta: „Co marchia Brandeburska pozyska, tem się zbogacą całe Niemcy.“ — Był to zresztą najpierwszy centralizator w dzisiejszém pojęciu.

Radził on cesarzowi znieść wszystkie powagi, aby mieć wyłączną i przez się. System absoluty-

różnicę, jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzyć na twarze, a typ słowiański jest jeden i tęn sam; dość popatrzyć w życie, a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki, więcéj jest przybliżenia niż gdzieindziéj.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy, badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że o czém naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniéj wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do paradoxu, że pewne epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stółeci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jenialnéj w swojm rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jéj treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tém historyczném odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe Skandynawów, zestawiwszy świadectwa kronikarzy polskich, skan-

dynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiéj Skandynawii, którzy wysypując się na cały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV. wieku po Chrystusie, daléj kraje nad Odrą i Wisłą czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak późniéj Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami — dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzecza północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiéj i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-Lacha*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucya jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucyą zachowaną na północy najdłużéj. — Lachy Jamscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *lache*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy

Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacniając się po drodze rozmaitego szczepu mężami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się: bo tego wszystkiego we własnym domu mieć niemogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, późniéj w IX. wieku przybyli; — skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d., iż z północy od Baltyku rozszerzali się ku Adryatykowi — więc nad brzegiem Baltyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnemi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiach, nazwiskach miejsc; 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa; różnych słów, mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; nareszcie 3) iż Słowiańskie narody, ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym

Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czém arabskie świadectwo, iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, a to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia, założona przez Normandów między VI. a VII. wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód, nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek niemiał tyle żywotnéj wagi dla polskich kronikarzy piszących przed VIIImiu wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć żywotniejszą? — Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniéj niż cienia pozoru, aby na nim budować jakieś odwieczne prawa lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a niedopieroż jaka woda na młyn dla takich piór, jak owe co piszą dziś: „dem Volke (den Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wahre Lust ist.“ — *Blätter für lit. Unt.* Nr. 23). Pokazuje się, że w ten zlewek Normanów

z autochtonami jeszcze mniéj będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskiem pochodzeniu Lechów, jak te, które uczony nasz badacz tak umiejętnie zestawił. — W każdym razie praca ta, lubo każe się dziwić wytrwałości autora w tak mozolnych dociekach, jednakowoż rezultat jaki sobie założyła osięgnąć, w niczem nieprzyczynia się ani do ukrzepienia ducha narodowego, ani do bliższego poznania się w swojem jestestwie, ani nawet do podniesienia się w ambicyę — za to — a tego zapewne sam sobie nieżyczył — nieprzyjaciele czychający na wytępienie polskiego elementu, chwycą się rękami i nogami jego dowodów, aby codzień powtarzać: jesteście emigrantami na téj ziemi.

Tradycya początków jest polityczną świętością, a zarazem najstarszą wiedzą narodu; lepiéj zostawić ją nietykalną, niż podkopywać dla marnéj uciechy zaimponowania erudycyą książkową i stosem hipotez dających się tak samo wywrócić, jak powstały. —

WIEK ŚWIETNOŚCI
I WIEK UPADKU.

Obraz polityczny piętnastego wieku. — Rzym, Krzyżacy i Polska. — Jan Ostroróg i jego pamiętnik. — Kościół i narodowość w średnich wiekach. — Kronika Podhorecka i hetman Wacław Rzewuski. — Stronnictwo Konstytucyjne i konserwatyzm. — Maska Targowicka. —

Piętnasty wiek więcéj niż każdy z minionych wieków przedstawia u nas szerokie pole do badań i rozpamiętywań. Gdzie indziéj był on wiekiem wewnętrznych zamieszań, rozkładu i przekształcenia się — u nas przeciwnie, odznaczał się żywiołami organicznémi, z których powstał fundament utrzymujący budowę przez cztéry stólecia: w nim nareszcie Polska Jagiełłów wyszła zwycięzko z największego niebezpieczeństwa jakie jéj groziło: złamała zakon Krzyżacki, tę wysuniętą zbrojną czatę rozpierającego się i wszystko pochłaniającego

germanizmu. — Walkę zaczętą przez Chrobrego, skończył Kazimierz Jagiellończyk, a lubo chybił półśrodkiem pozostawiając Prusy książęce w lennictwie przy Krzyżackim mistrzu, rozwiązał narodowi ręce, że się mógł siłą swéj prawdziwie chrześciańskiéj cywilizacyi ku wschodowi obrócić.

Gdy wielkość każdego wieku ma swoją przyczynę we wielkości ludzi — więc można powiedzieć, jako w żadnym nie pojawiło się tyle zadziwiających mężów światłem i charakterem, co u nas w wieku XV. Byli to statyści-politycy w całem słowa znaczeniu samodzielni, znający naród a nadewszystko sprawy jego; głowy organiczne, sterownicze i przewidujące. W takim Janie z Rytwian, Zbigniewie Oleśnickim, Długoszu, Janie Ostrorogu, Grzegorzu z Sanoka, Kalimachu, skupiało się wielostronne światło, zdrowa rada i nieposzlakowana miłość kraju; w nich mieści się téż psychologiczna historya narodu, pod wieloma względami ciekawsza od historyi zdarzeń, a przynajmniéj mniéj dotąd badana.

Cząstkowe jednak prace wykonane ze skrzętną pilnością, zaczynają rozjaśniać, przyćmione świetnym szesnastym wiekiem, tło téj epoki. — I tak: Grzegorza z Sanoka podniósł Wiszniewski

w swéj Historyi Literatury; Zbigniewa Oleśnickiego odmalował M. Dzieduszycki z całem rozmiłowaniem się w tym wielkim mężu; Długosz dopiero pokaże się czém był, gdy przejrzane podług kodexów nastąpi wydanie jego historyi, i innych pism, a zwłaszcza listów; nakoniec przybywa praca pana Leona Wegnera o Janie Ostrorogu zawołanym prawniku i niepospolitym statyście. — O niéj zamierzam powiedzieć.

Autor skreśla obraz Europy za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Ostroroga; obraz prawdziwy lecz okropny w porównaniu ze stanem ówczesnéj Polski. Szczególniéj sąsiednie Niemcy przedstawiały najwyższą anarchię w państwie i towarzystwie, w polityce i kościele. Powaga cesarza w zastósowaniu niema tam żadnego znaczenia; występuje liczna ciżba narodów, chaotyczna federacya duchownych, feodalnych i miejskich udzielności. Wszystko działa na swoją rękę, nieodnosząc się do ogólnéj potrzeby. Stosunek prawny części Rzeszy do całego państwa zaciera się zupełnie; toż samo dzieje się w pojedyńczych księstwach, gdzie rycerstwo szamoce się z władzą panującego; zgoła mocniejszy słabszego gnębi. — W państwach duchownych nie lepiéj: biskupi

różnicę, jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzyć na twarze, a typ słowiański jest jeden i ten sam; dość popatrzyć w życie, a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki, więcéj jest przybliżenia niż gdzieindziéj.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy, badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że o czém naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniéj wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do paradoxu, że pewne epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stółeci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jenialnéj w swoim rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jéj treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tém historyczném odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe Skandynawów, zestawiwszy świadectwa kronikarzy polskich, skan-

dynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiéj Skandynawii, którzy wysypując się na cały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV. wieku po Chrystusie, daléj kraje nad Odrą i Wisłą czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak późniéj Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami — dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzecza północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiéj i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-Lacha*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucya jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucyą zachowaną na północy najdłużéj. — Lachy Jamscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *lache*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy

Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacniając się po drodze rozmaitego szczepu mężami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się: bo tego wszystkiego we własnym domu mieć niemogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, późniéj w IX. wieku przybyli; — skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d., iż z północy od Baltyku rozszerzali się ku Adryatykowi — więc nad brzegiem Baltyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnemi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiach, nazwiskach miejsc; 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa; różnych słów, mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; nareszcie 3) iż Słowiańskie narody, ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym

Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czém arabskie świadectwo, iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, a to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia, założona przez Normandów między VI. a VII. wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód, nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek niemiał tyle żywotnéj wagi dla polskich kronikarzy piszących przed VIIImiu wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć żywotniejszą? — Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniéj niż cienia pozoru, aby na nim budować jakieś odwieczne prawa lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a niedopieroż jaka woda na młyn dla takich piór, jak owe co piszą dziś: „dem Volke (den Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wahre Lust ist.“ — *Blätter für lit. Unt.* Nr. 23). Pokazuje się, że w ten zlewek Normanów

z autochtonami jeszcze mniéj będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskiem pochodzeniu Lechów, jak te, które uczony nasz badacz tak umiejętnie zestawił. — W każdym razie praca ta, lubo każe się dziwić wytrwałości autora w tak mozolnych dociekach, jednakowoż rezultat jaki sobie założyła osięgnąć, w niczem nieprzyczynia się ani do ukrzepienia ducha narodowego, ani do bliższego poznania się w swojem jestestwie, ani nawet do podniesienia się w ambicyę — za to — a tego zapewne sam sobie nieżyczył — nieprzyjaciele czychający na wytępienie polskiego elementu, chwycą się rękami i nogami jego dowodów, aby codzień powtarzać: jesteście emigrantami na téj ziemi.

Tradycya początków jest polityczną świętością, a zarazem najstarszą wiedzą narodu; lepiéj zostawić ją nietykalną, niż podkopywać dla marnéj uciechy zaimponowania erudycyą książkową i stosem hipotez dających się tak samo wywrócić, jak powstały. —

WIEK ŚWIETNOŚCI
I WIEK UPADKU.

Obraz polityczny piętnastego wieku. — Rzym, Krzyżacy i Polska. — Jan Ostroróg i jego pamiętnik. — Kościół i narodowość w średnich wiekach. — Kronika Podhorecka i hetman Wacław Rzewuski. — Stronnictwo Konstytucyjne i konserwatyzm. — Maska Targowicka. —

Piętnasty wiek więcéj niż każdy z minionych wieków przedstawia u nas szerokie pole do badań i rozpamiętywań. Gdzie indziéj był on wiekiem wewnętrznych zamieszań, rozkładu i przekształcenia się — u nas przeciwnie, odznaczał się żywiołami organicznémi, z których powstał fundament utrzymujący budowę przez cztéry stólecia: w nim nareszcie Polska Jagiełłów wyszła zwycięzko z największego niebezpieczeństwa jakie jéj groziło: złamała zakon Krzyżacki, tę wysuniętą zbrojną czatę rozpierającego się i wszystko pochłaniającego

germanizmu. — Walkę zaczętą przez Chrobrego, skończył Kazimierz Jagiellończyk, a lubo chybił półśrodkiem pozostawiając Prusy książęce w lennictwie przy Krzyżackim mistrzu, rozwiązał narodowi ręce, że się mógł siłą swéj prawdziwie chrześciańskiéj cywilizacyi ku wschodowi obrócić.

Gdy wielkość każdego wieku ma swoją przyczynę we wielkości ludzi — więc można powiedzieć, jako w żadnym nie pojawiło się tyle zadziwiających mężów światłem i charakterem, co u nas w wieku XV. Byli to statyści-politycy w całem słowa znaczeniu samodzielni, znający naród a nadewszystko sprawy jego; głowy organiczne, sterownicze i przewidujące. W takim Janie z Rytwian, Zbigniewie Oleśnickim, Długoszu, Janie Ostrorogu, Grzegorzu z Sanoka, Kalimachu, skupiało się wielostronne światło, zdrowa rada i nieposzlakowana miłość kraju; w nich mieści się téż psychologiczna historya narodu, pod wieloma względami ciekawsza od historyi zdarzeń, a przynajmniéj mniéj dotąd badana.

Cząstkowe jednak prace wykonane ze skrzętną pilnością, zaczynają rozjaśniać, przyćmione świetnym szesnastym wiekiem, tło téj epoki. — I tak: Grzegorza z Sanoka podniósł Wiszniewski

w swéj Historyi Literatury; Zbigniewa Oleśnickiego odmalował M. Dzieduszycki z całem rozmiłowaniem się w tym wielkim mężu; Długosz dopiero pokaże się czém był, gdy przejrzane podług kodexów nastąpi wydanie jego historyi, i innych pism, a zwłaszcza listów; nakoniec przybywa praca pana Leona Wegnera o Janie Ostrorogu zawołanym prawniku i niepospolitym statyście. — O niéj zamierzam powiedzieć.

Autor skreśla obraz Europy za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Ostroroga; obraz prawdziwy lecz okropny w porównaniu ze stanem ówczesnéj Polski. Szczególniéj sąsiednie Niemcy przedstawiały najwyższą anarchię w państwie i towarzystwie, w polityce i kościele. Powaga cesarza w zastósowaniu niema tam żadnego znaczenia; występuje liczna ciżba narodów, chaotyczna federacya duchownych, feodalnych i miejskich udzielności. Wszystko działa na swoją rękę, nieodnosząc się do ogólnéj potrzeby. Stosunek prawny części Rzeszy do całego państwa zaciera się zupełnie; toż samo dzieje się w pojedyńczych księstwach, gdzie rycerstwo szamoce się z władzą panującego; zgoła mocniejszy słabszego gnębi. — W państwach duchownych nie lepiéj: biskupi

różnicę, jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzyć na twarze, a typ słowiański jest jeden i tęn sam; dość popatrzyć w życie, a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki, więcéj jest przybliżenia niż gdzieindziéj.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy, badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że o czém naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniéj wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do paradoxu, że pewne epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stólеci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jenialnéj w swoim rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jéj treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tém historyczném odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe Skandynawów, zestawiwszy świadectwa kronikarzy polskich, skan-

dynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiéj Skandynawii, którzy wysypując się na cały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV. wieku po Chrystusie, daléj kraje nad Odrą i Wisłą czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak później Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami —, dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzecza północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiéj i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-Lacha*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucya jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucyą zachowaną na północy najdłużéj. — Lachy Jamscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *lache*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy

Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacniając się po drodze rozmaitego szczepu mężami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się: bo tego wszystkiego we własnym domu mieć niemogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, późniéj w IX. wieku przybyli; — skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d., iż z północy od Baltyku rozszerzali się ku Adryatykowi — więc nad brzegiem Baltyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnemi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiach, nazwiskach miejsc; 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa; różnych słów, mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; nareszcie 3) iż Słowiańskie narody, ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym

Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czém arabskie świadectwo, iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, a to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia, założona przez Normandów między VI. a VII. wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód, nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek niemiał tyle żywotnéj wagi dla polskich kronikarzy piszących przed VIIImiu wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć żywotniejszą? — Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniéj niż cienia pozoru, aby na nim budować jakieś odwieczne prawa lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a niedopieroż jaka woda na młyn dla takich piór, jak owe co piszą dziś: „dem Volke (den Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wahre Lust ist.“ — *Blätter für lit. Unt.* Nr. 23). Pokazuje się, że w ten zlewek Normanów

z autochtonami jeszcze mniéj będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskiem pochodzeniu Lechów, jak te, które uczony nasz badacz tak umiejętnie zestawił. — W każdym razie praca ta, lubo każe się dziwić wytrwałości autora w tak mozolnych dociekach, jednakowoż rezultat jaki sobie założyła osięgnąć, w niczem nieprzyczynia się ani do ukrzepienia ducha narodowego, ani do bliższego poznania się w swojem jestestwie, ani nawet do podniesienia się w ambicyę — za to — a tego zapewne sam sobie nieżyczył — nieprzyjaciele czychający na wytępienie polskiego elementu, chwycą się rękami i nogami jego dowodów, aby codzień powtarzać: jesteście emigrantami na téj ziemi.

Tradycya początków jest polityczną świętością, a zarazem najstarszą wiedzą narodu; lepiéj zostawić ją nietykalną, niż podkopywać dla marnéj uciechy zaimponowania erudycyą książkową i stosem hipotez dających się tak samo wywrócić, jak powstały. —

WIEK ŚWIETNOŚCI
I WIEK UPADKU.

Obraz polityczny piętnastego wieku. — Rzym, Krzyżacy i Polska. — Jan Ostroróg i jego pamiętnik. — Kościół i narodowość w średnich wiekach. — Kronika Podhorecka i hetman Wacław Rzewuski. — Stronnictwo Konstytucyjne i konserwatyzm. — Maska Targowicka. —

Piętnasty wiek więcéj niż każdy z minionych wieków przedstawia u nas szerokie pole do badań i rozpamiętywań. Gdzie indziéj był on wiekiem wewnętrznych zamieszań, rozkładu i przekształcenia się — u nas przeciwnie, odznaczał się żywiołami organicznémi, z których powstał fundament utrzymujący budowę przez cztéry stólecia: w nim nareszcie Polska Jagiełłów wyszła zwycięzko z największego niebezpieczeństwa jakie jéj groziło: złamała zakon Krzyżacki, tę wysuniętą zbrojną czatę rozpierającego się i wszystko pochłaniającego

germanizmu. — Walkę zaczętą przez Chrobrego, skończył Kazimierz Jagiellończyk, a lubo chybił półśrodkiem pozostawiając Prusy książęce w lennictwie przy Krzyżackim mistrzu, rozwiązał narodowi ręce, że się mógł siłą swéj prawdziwie chrześciańskiéj cywilizacyi ku wschodowi obrócić.

Gdy wielkość każdego wieku ma swoją przyczynę we wielkości ludzi -- więc można powiedzieć, jako w żadnym nie pojawiło się tyle zadziwiających mężów światłem i charakterem, co u nas w wieku XV. Byli to statyści-politycy w całem słowa znaczeniu samodzielni, znający naród a nadewszystko sprawy jego; głowy organiczne, sterownicze i przewidujące. W takim Janie z Rytwian, Zbigniewie Oleśnickim, Długoszu, Janie Ostrorogu, Grzegorzu z Sanoka, Kalimachu, skupiało się wielostronne światło, zdrowa rada i nieposzlakowana miłość kraju; w nich mieści się téż psychologiczna historya narodu, pod wieloma względami ciekawsza od historyi zdarzeń, a przynajmniéj mniéj dotąd badana.

Cząstkowe jednak prace wykonane ze skrzętną pilnością, zaczynają rozjaśniać, przyćmione świetnym szesnastym wiekiem, tło téj epoki. — I tak: Grzegorza z Sanoka podniósł Wiszniewski

w swéj Historyi Literatury; Zbigniewa Oleśnickiego odmalował M. Dzieduszycki z całem rozmiłowaniem się w tym wielkim mężu; Długosz dopiero pokaże się czém był, gdy przejrzane podług kodexów nastąpi wydanie jego historyi, i innych pism, a zwłaszcza listów; nakoniec przybywa praca pana Leona Wegnera o Janie Ostrorogu zawołanym prawniku i niepospolitym statyście. — O niéj zamierzam powiedzieć.

Autor skreśla obraz Europy za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Ostroroga; obraz prawdziwy lecz okropny w porównaniu ze stanem ówczesnéj Polski. Szczególniéj sąsiednie Niemcy przedstawiały najwyższą anarchię w państwie i towarzystwie, w polityce i kościele. Powaga cesarza w zastósowaniu niema tam żadnego znaczenia; występuje liczna ciżba narodów, chaotyczna federacya duchownych, feodalnych i miejskich udzielności. Wszystko działa na swoją rękę, nieodnosząc się do ogólnéj potrzeby. Stosunek prawny części Rzeszy do całego państwa zaciera się zupełnie; toż samo dzieje się w pojedyńczych księstwach, gdzie rycerstwo szamoce się z władzą panującego; zgoła mocniejszy słabszego gnębi. — W państwach duchownych nie lepiéj: biskupi

różnicę, jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzyć na twarze, a typ słowiański jest jeden i ten sam; dość popatrzyć w życie, a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki, więcéj jest przybliżenia niż gdzieindziéj.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy, badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że o czém naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniéj wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do paradoxu, że pewne epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stóleci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jenialnéj w swoim rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jéj treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tém historyczném odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe Skandynawów, zestawiwszy świadectwa kronikarzy polskich, skan-

dynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiéj Skandynawii, którzy wysypując się na cały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV. wieku po Chrystusie, daléj kraje nad Odrą i Wisłą czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak późniéj Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami — dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzecza północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiéj i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-Lacha*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucya jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucyą zachowaną na północy najdłużéj. — Lachy Jamscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *laghe*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy

Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacniając się po drodze rozmaitego szczepu mężami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się: bo tego wszystkiego we własnym domu mieć niemogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, późniéj w IX. wieku przybyli; — skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d., iż z północy od Baltyku rozszerzali się ku Adryatykowi — więc nad brzegiem Baltyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnemi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiach, nazwiskach miejsc; 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa; różnych słów, mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; nareszcie 3) iż Słowiańskie narody, ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym

Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czém arabskie świadectwo, iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, à to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia, założona przez Normandów między VI. a VII. wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód, nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek niemiał tyle żywotnéj wagi dla polskich kronikarzy piszących przed VIIImiu wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć żywotniejszą? — Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniéj niż cienia pozoru, aby na nim budować jakieś odwieczne prawa lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a niedopieroż jaka woda na młyn dla takich piór, jak owe co piszą dziś: „dem Volke (den Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wahre Lust ist.“ — *Blätter für lit. Unt.* Nr. 23). Pokazuje się, że w ten zlewek Normanów

z autochtonami jeszcze mniéj będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskiem pochodzeniu Lechów, jak te, które uczony nasz badacz tak umiejętnie zestawił. — W każdym razie praca ta, lubo każe się dziwić wytrwałości autora w tak mozolnych dociekach, jednakowoż rezultat jaki sobie założyła osięgnąć, w niczem nieprzyczynia się ani do ukrzepienia ducha narodowego, ani do bliższego poznania się w swojem jestestwie, ani nawet do podniesienia się w ambicyę — za to — a tego zapewne sam sobie nieżyczył — nieprzyjaciele czychający na wytępienie polskiego elementu, chwycą się rękami i nogami jego dowodów, aby codzień powtarzać: jesteście emigrantami na téj ziemi.

Tradycya początków jest polityczną świętością, a zarazem najstarszą wiedzą narodu; lepiéj zostawić ją nietykalną, niż podkopywać dla marnéj uciechy zaimponowania erudycyą książkową i stosem hipotez dających się tak samo wywrócić, jak powstały. —

WIEK ŚWIETNOŚCI
I WIEK UPADKU.

Obraz polityczny piętnastego wieku. — Rzym, Krzyżacy i Polska. — Jan Ostroróg i jego pamiętnik. — Kościół i narodowość w średnich wiekach. — Kronika Podhorecka i hetman Wacław Rzewuski. — Stronnictwo Konstytucyjne i konserwatyzm. — Maska Targowicka. —

Piętnasty wiek więcéj niż każdy z minionych wieków przedstawia u nas szerokie pole do badań i rozpamiętywań. Gdzie indziéj był on wiekiem wewnętrznych zamieszań, rozkładu i przekształcenia się — u nas przeciwnie, odznaczał się żywiołami organicznémi, z których powstał fundament utrzymujący budowę przez cztéry stólecia: w nim nareszcie Polska Jagiełłów wyszła zwycięzko z największego niebezpieczeństwa jakie jéj groziło: złamała zakon Krzyżacki, tę wysuniętą zbrojną czatę rozpierającego się i wszystko pochłaniającego

germanizmu. — Walkę zaczętą przez Chrobrego, skończył Kazimierz Jagiellończyk, a lubo chybił półśrodkiem pozostawiając Prusy książęce w lennictwie przy Krzyżackim mistrzu, rozwiązał narodowi ręce, że się mógł siłą swéj prawdziwie chrześciańskiéj cywilizacyi ku wschodowi obrócić.

Gdy wielkość każdego wieku ma swoją przyczynę we wielkości ludzi — więc można powiedzieć, jako w żadnym nie pojawiło się tyle zadziwiających mężów światłem i charakterem, co u nas w wieku XV. Byli to statyści-politycy w całem słowa znaczeniu samodzielni, znający naród a nadewszystko sprawy jego; głowy organiczne, sterownicze i przewidujące. W takim Janie z Rytwian, Zbigniewie Oleśnickim, Długoszu, Janie Ostrorogu, Grzegorzu z Sanoka, Kalimachu, skupiało się wielostronne światło, zdrowa rada i nieposzlakowana miłość kraju; w nich mieści się téż psychologiczna historya narodu, pod wieloma względami ciekawsza od historyi zdarzeń, a przynajmniéj mniéj dotąd badana.

Cząstkowe jednak prace wykonane ze skrzętną pilnością, zaczynają rozjaśniać, przyćmione świetnym szesnastym wiekiem, tło téj epoki. — I tak: Grzegorza z Sanoka podniósł Wiszniewski

w swéj Historyi Literatury; Zbigniewa Oleśnickiego odmalował M. Dzieduszycki z całem rozmiłowaniem się w tym wielkim mężu; Długosz dopiero pokaże się czém był, gdy przejrzane podług kodexów nastąpi wydanie jego historyi, i innych pism, a zwłaszcza listów; nakoniec przybywa praca pana Leona Wegnera o Janie Ostrorogu zawołanym prawniku i niepospolitym statyście. — O niéj zamierzam powiedzieć.

Autor skreśla obraz Europy za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Ostroroga; obraz prawdziwy lecz okropny w porównaniu ze stanem ówczesnéj Polski. Szczególniéj sąsiednie Niemcy przedstawiały najwyższą anarchię w państwie i towarzystwie, w polityce i kościele. Powaga cesarza w zastósowaniu niema tam żadnego znaczenia; występuje liczna ciżba narodów, chaotyczna federacya duchownych, feodalnych i miejskich udzielności. Wszystko działa na swoją rękę, nieodnosząc się do ogólnéj potrzeby. Stosunek prawny części Rzeszy do całego państwa zaciera się zupełnie; toż samo dzieje się w pojedyńczych księstwach, gdzie rycerstwo szamoce się z władzą panującego; zgoła mocniejszy słabszego gnębi. — W państwach duchownych nie lepiéj: biskupi

w ustawnéj waśni z kapitułami; w wolnych miastach Rzeszy uliczny gmin często rzuca się na starszyznę. Wszędzie brak myśli przewodniczącéj, błotnista mieszanina sobkostwa i samowoli. Kościół posiadający dotąd wyłączne kierownictwo duchowe, rozdwojony; duchowieństwo popadło w ostatni stopień zepsucia i zobojętnienia; niebyło komu prowadzić spółeczności; nigdzie ani świeckiéj, ani kapłańskiéj powagi; a że ludziom zawsze tęskno za czemś nieograniczonem i niepojętem, więc jak błędne snuły się tłumy biczowników i braci milczących, a z dusz zrozpaczanych wychodziło wołanie o *lux et dux mundi!*

Największa z katastrof historycznych, zdobycie Carogrodu przez Turków, podniosła powagę papieża, a raczéj on sam się podniósł, gdy stanął na czele chrześcijaństwa, i wezwał go do obrony przeciw nieprzyjaciołom krzyża. Inicyatywa ta wróciła mu w ręce wszystkie pasma polityki europejskiéj. Do podniesienia powagi papiezkiéj przyczyniło się niemniéj światło ówczesnych Włoch; — tam był szczyt kultury. Wykształcenie polityczne, mechanizm administracyjny i rządowy, klasyczna oświata, sztuki piękne, przemysł, rólnictwo, w rękach cały handel wschodu, wszystko to robiło

Włochy ogniskiem, z którego rozchodziły się cywilizacyjne prądy. Ztąd nietylko w rzeczach duchownych, ale i w świeckiéj polityce, ogromna przewaga Italii. — Tymczasem w Niemczech skutkiem oświaty włoskiéj zaczyna się z podobnéj anarchii wyrabiać żywioł dynastyczny: Fryderyk III., Maxymilian, potężnieją zaborami dóbr duchownych, przywłaszczeniem różnych praw tak publicznych jak prywatnych. Siła zaczyna się ześrodkowywać i stawać się osią wypadków. Żywioł germański party przez wyższość romańskiéj rasy, wylewa się na zewnątrz w dziedziny Słowian, i wzmaga się zaborem. Na nieszczęście Zygmunt cesarz, sprzedaje marchię Brandeburską Fryderykowi burgrafowi Norymberskiemu, z warunkiem, aby protegował zakon Krzyżacki w Prusiech. Odtąd Marchia staje się gnębicielką ziem słowiańskich, a przedmurzem Rzeszy; odtąd coraz więcéj zdobyczy zlepia w jedno ciało. Myśl przewodnicząca temu nowemu państwu najlepiéj maluje się w słowach margrafa Albrechta: „Co marchia Brandeburska pozyska, tem się zbogacą całe Niemcy.“ — Był to zresztą najpierwszy centralizator w dzisiejszém pojęciu.

Radził on cesarzowi znieść wszystkie powagi, aby mieć wyłączną i przez się. System absoluty-

różnicę, jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzyć na twarze, a typ słowiański jest jeden i tęn sam; dość popatrzyć w życie, a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki, więcéj jest przybliżenia niż gdzieindziéj.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy, badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że o czém naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniéj wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do paradoxu, że pewne epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stółeci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jenialnéj w swoim rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jéj treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tém historycznem odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe Skandynawów, zestawiwszy świadectwa kronikarzy polskich, skan-

dynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiéj Skandynawii, którzy wysypując się na cały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV. wieku po Chrystusie, daléj kraje nad Odrą i Wisłą czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak późniéj Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami — dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzecza północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiéj i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-Lacha*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucya jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucyą zachowaną na północy najdłużéj. — Lachy Jamscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *laghe*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy

Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacniając się po drodze rozmaitego szczepu mężami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się: bo tego wszystkiego we własnym domu mieć niemogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, późniéj w IX. wieku przybyli; — skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d., iż z północy od Baltyku rozszerzali się ku Adryatykowi — więc nad brzegiem Baltyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnemi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiach, nazwiskach miejsc; 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa; różnych słów, mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; nareszcie 3) iż Słowiańskie narody, ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym

Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czém arabskie świadectwo, iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, a to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia, założona przez Normandów między VI. a VII. wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód, nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek niemiał tyle żywotnéj wagi dla polskich kronikarzy piszących przed VIIImiu wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć żywotniejszą? — Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniéj niż cienia pozoru, aby na nim budować jakieś odwieczne prawa lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a niedopieroż jaka woda na młyn dla takich piór, jak owe co piszą dziś: „dem Volke (den Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wahre Lust ist.“ — *Blätter für lit. Unt.* Nr. 23). Pokazuje się, że w ten zlewek Normanów

z autochtonami jeszcze mniéj będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskiem pochodzeniu Lechów, jak te, które uczony nasz badacz tak umiejętnie zestawił. — W każdym razie praca ta, lubo każe się dziwić wytrwałości autora w tak mozolnych dociékach, jednakowoż rezultat jaki sobie założyła osięgnąć, w niczem nieprzyczynia się ani do ukrzepienia ducha narodowego, ani do bliższego poznania się w swojem jestestwie, ani nawet do podniesienia się w ambicyę — za to — a tego zapewne sam sobie nieżyczył — nieprzyjaciele czychający na wytępienie polskiego elementu, chwycą się rękami i nogami jego dowodów, aby codzień powtarzać: jesteście emigrantami na téj ziemi.

Tradycya początków jest polityczną świętością, a zarazem najstarszą wiedzą narodu; lepiéj zostawić ją nietykalną, niż podkopywać dla marnéj uciechy zaimponowania erudycyą książkową i stosem hipotez dających się tak samo wywrócić, jak powstały. —

WIEK ŚWIETNOŚCI
I WIEK UPADKU.

Obraz polityczny piętnastego wieku. — Rzym, Krzyżacy i Polska. — Jan Ostroróg i jego pamiętnik. — Kościół i narodowość w średnich wiekach. — Kronika Podhorecka i hetman Wacław Rzewuski. — Stronnictwo Konstytucyjne i konserwatyzm. — Maska Targowicka. —

Piętnasty wiek więcéj niż każdy z minionych wieków przedstawia u nas szerokie pole do badań i rozpamiętywań. Gdzie indziéj był on wiekiem wewnętrznych zamieszań, rozkładu i przekształcenia się — u nas przeciwnie, odznaczał się żywiołami organiczn émi, z których powstał fundament utrzymujący budowę przez cztéry stólecia: w nim nareszcie Polska Jagiełłów wyszła zwycięzko z największego niebezpieczeństwa jakie jéj groziło: złamała zakon Krzyżacki, tę wysuniętą zbrojną czatę rozpierającego się i wszystko pochłaniającego

germanizmu. — Walkę zaczętą przez Chrobrego, skończył Kazimierz Jagiellończyk, a lubo chybił półśrodkiem pozostawiając Prusy książęce w lennictwie przy Krzyżackim mistrzu, rozwiązał narodowi ręce, że się mógł siłą swéj prawdziwie chrześciańskiéj cywilizacyi ku wschodowi obrócić.

Gdy wielkość każdego wieku ma swoją przyczynę we wielkości ludzi — więc można powiedzieć, jako w żadnym nie pojawiło się tyle zadziwiających mężów światłem i charakterem, co u nas w wieku XV. Byli to statyści-politycy w całem słowa znaczeniu samodzielni, znający naród a nadewszystko sprawy jego; głowy organiczne, sterownicze i przewidujące. W takim Janie z Rytwian, Zbigniewie Oleśnickim, Długoszu, Janie Ostrorogu, Grzegorzu z Sanoka, Kalimachu, skupiało się wielostronne światło, zdrowa rada i nieposzlakowana miłość kraju; w nich mieści się téż psychologiczna historya narodu, pod wieloma względami ciekawsza od historyi zdarzeń, a przynajmniéj mniéj dotąd badana.

Cząstkowe jednak prace wykonane ze skrzętną pilnością, zaczynają rozjaśniać, przyćmione świetnym szesnastym wiekiem, tło téj epoki. — I tak: Grzegorza z Sanoka podniósł Wiszniewski

w swéj Historyi Literatury; Zbigniewa Oleśnickiego odmalował M. Dzieduszycki z całem rozmiłowaniem się w tym wielkim mężu; Długosz dopiero pokaże się czém był, gdy przejrzane podług kodexów nastąpi wydanie jego historyi, i innych pism, a zwłaszcza listów; nakoniec przybywa praca pana Leona Wegnera o Janie Ostrorogu zawołanym prawniku i niepospolitym statyście. — O niéj zamierzam powiedzieć.

Autor skreśla obraz Europy za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Ostroroga; obraz prawdziwy lecz okropny w porównaniu ze stanem ówczesnéj Polski. Szczególniéj sąsiednie Niemcy przedstawiały najwyższą anarchię w państwie i towarzystwie, w polityce i kościele. Powaga cesarza w zastósowaniu niema tam żadnego znaczenia; występuje liczna ciżba narodów, chaotyczna federacya duchownych, feodalnych i miejskich udzielności. Wszystko działa na swoją rękę, nieodnosząc się do ogólnéj potrzeby. Stosunek prawny części Rzeszy do całego państwa zaciera się zupełnie; toż samo dzieje się w pojedyńczych księstwach, gdzie rycerstwo szamoce się z władzą panującego; zgoła mocniejszy słabszego gnębi. — W państwach duchownych nie lepiéj: biskupi

w ustawnéj waśni z kapitułami; w wolnych miastach Rzeszy uliczny gmin często rzuca się na starszyznę. Wszędzie brak myśli przewodniczącéj, błotnista mieszanina sobkostwa i samowoli. Kościół posiadający dotąd wyłączne kierownictwo duchowe, rozdwojony; duchowieństwo popadło w ostatni stopień zepsucia i zobojętnienia; niebyło komu prowadzić społeczności; nigdzie ani świeckiéj, ani kapłańskiéj powagi; a że ludziom zawsze tęskno za czemś nieograniczonem i niepojętem, więc jak błędne snuły się tłumy biczowników i braci milczących, a z dusz zrozpaczanych wychodziło wołanie o *lux et dux mundi!*

Największa z katastrof historycznych, zdobycie Carogrodu przez Turków, podniosła powagę papieża, a raczéj on sam się podniósł, gdy stanął na czele chrześcijaństwa, i wezwał go do obrony przeciw nieprzyjaciołom krzyża. Inicyatywa ta wróciła mu w ręce wszystkie pasma polityki europejskiéj. Do podniesienia powagi papiezkiéj przyczyniło się niemniéj światło ówczesnych Włoch; — tam był szczyt kultury. Wykształcenie polityczne, mechanizm administracyjny i rządowy, klasyczna oświata, sztuki piękne, przemysł, rólnictwo, w rękach cały handel wschodu, wszystko to robiło

Włochy ogniskiem, z którego rozchodziły się cywilizacyjne prądy. Ztąd nietylko w rzeczach duchownych, ale i w świeckiéj polityce, ogromna przewaga Italii. — Tymczasem w Niemczech skutkiem oświaty włoskiéj zaczyna się z podobnéj anarchii wyrabiać żywioł dynastyczny: Fryderyk III., Maxymilian, potężnieją zaborami dóbr duchownych, przywłaszczeniem różnych praw tak publicznych jak prywatnych. Siła zaczyna sięześrodkowywać i stawać się osią wypadków. Żywioł germański party przez wyższość romańskiéj rasy, wylewa się na zewnątrz w dziedziny Słowian, i wzmaga się zaborem. Na nieszczęście Zygmunt cesarz, sprzedaje marchię Brandeburską Fryderykowi burgrafowi Norymberskiemu, z warunkiem, aby protegował zakon Krzyżacki w Prusiech. Odtąd Marchia staje się gnębicielką ziem słowiańskich, a przedmurzem Rzeszy; odtąd coraz więcéj zdobyczy zlepia w jedno ciało. Myśl przewodnicząca temu nowemu państwu najlepiéj maluje się w słowach margrafa Albrechta: „Co marchia Brandeburska pozyska, tem się zbogacą całe Niemcy.“ — Był to zresztą najpierwszy centralizator w dzisiejszém pojęciu.

Radził on cesarzowi znieść wszystkie powagi, aby mieć wyłączną i przez się. System absoluty-

różnicę, jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzyć na twarze, a typ słowiański jest jeden i tęn sam; dość popatrzyć w życie, a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki, więcéj jest przybliżenia niż gdzieindziéj.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy, badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że o czém naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniéj wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do paradoxu, że pewne epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stóleci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jenialnéj w swoim rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jéj treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tém historyczném odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe Skandynawów, zestawiwszy świadectwa kronikarzy polskich, skan-

dynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiéj Skandynawii, którzy wysypując się na cały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV. wieku po Chrystusie, daléj kraje nad Odrą i Wisłą czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak późniéj Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami — dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzecza północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiéj i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-Lacha*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucya jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucyą zachowaną na północy najdłużéj. — Lachy Jamscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *lache*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy

Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacniając się po drodze rozmaitego szczepu mężami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się: bo tego wszystkiego we własnym domu mieć niemogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, późniéj w IX. wieku przybyli; — skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d., iż z północy od Baltyku rozszerzali się ku Adryatykowi — więc nad brzegiem Baltyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnemi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiach, nazwiskach miejsc; 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa; różnych słów, mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; nareszcie 3) iż Słowiańskie narody, ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym

Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czém arabskie świadectwo, iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, a to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia, założona przez Normandów między VI. a VII. wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód, nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek niemiał tyle żywotnéj wagi dla polskich kronikarzy piszących przed VIIImiu wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć żywotniejszą? — Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniéj niż cienia pozoru, aby na nim budować jakieś odwieczne prawa lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a niedopieroż jaka woda na młyn dla takich piór, jak owe co piszą dziś: „dem Volke (den Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wahre Lust ist.“ — *Blätter für lit. Unt.* Nr. 23). Pokazuje się, że w ten zlewek Normanów

z autochtonami jeszcze mniéj będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskiem pochodzeniu Lechów, jak te, które uczony nasz badacz tak umiejętnie zestawił. — W każdym razie praca ta, lubo każe się dziwić wytrwałości autora w tak mozolnych dociekach, jednakowoż rezultat jaki sobie założyła osięgnąć, w niczem nieprzyczynia się ani do ukrzepienia ducha narodowego, ani do bliższego poznania się w swojem jestestwie, ani nawet do podniesienia się w ambicyę — za to — a tego zapewne sam sobie nieżyczył — nieprzyjaciele czychający na wytępienie polskiego elementu, chwycą się rękami i nogami jego dowodów, aby codzień powtarzać: jesteście emigrantami na téj ziemi.

Tradycya początków jest polityczną świętością, a zarazem najstarszą wiedzą narodu; lepiéj zostawić ją nietykalną, niż podkopywać dla marnéj uciechy zaimponowania erudycyą książkową i stosem hipotez dających się tak samo wywrócić, jak powstały. —

WIEK ŚWIETNOŚCI
I WIEK UPADKU.

Obraz polityczny piętnastego wieku. — Rzym, Krzyżacy i Polska. — Jan Ostroróg i jego pamiętnik. — Kościół i narodowość w średnich wiekach. — Kronika Podhorecka i hetman Wacław Rzewuski. — Stronnictwo Konstytucyjne i konserwatyzm. — Maska Targowicka. —

Piętnasty wiek więcéj niż każdy z minionych wieków przedstawia u nas szerokie pole do badań i rozpamiętywań. Gdzie indziéj był on wiekiem wewnętrznych zamieszań, rozkładu i przekształcenia się — u nas przeciwnie, odznaczał się żywiołami organicznémi, z których powstał fundament utrzymujący budowę przez cztéry stólecia: w nim nareszcie Polska Jagiełłów wyszła zwycięzko z największego niebezpieczeństwa jakie jéj groziło: złamała zakon Krzyżacki, tę wysuniętą zbrojną czatę rozpierającego się i wszystko pochłaniającego

germanizmu. — Walkę zaczętą przez Chrobrego, skończył Kazimierz Jagiellończyk, a lubo chybił półśrodkiem pozostawiając Prusy książęce w lennictwie przy Krzyżackim mistrzu, rozwiązał narodowi ręce, że się mógł siłą swéj prawdziwie chrześciańskiéj cywilizacyi ku wschodowi obrócić.

Gdy wielkość każdego wieku ma swoją przyczynę we wielkości ludzi — więc można powiedzieć, jako w żadnym nie pojawiło się tyle zadziwiających mężów światłem i charakterem, co u nas w wieku XV. Byli to statyści-politycy w całem słowa znaczeniu samodzielni, znający naród a nadewszystko sprawy jego; głowy organiczne, sterownicze i przewidujące. W takim Janie z Rytwian, Zbigniewie Oleśnickim, Długoszu, Janie Ostrorogu, Grzegorzu z Sanoka, Kalimachu, skupiało się wielostronne światło, zdrowa rada i nieposzlakowana miłość kraju; w nich mieści się też psychologiczna historya narodu, pod wieloma względami ciekawsza od historyi zdarzeń, a przynajmniéj mniéj dotąd badana.

Cząstkowe jednak prace wykonane ze skrzętną pilnością, zaczynają rozjaśniać, przyćmione świetnym szesnastym wiekiem, tło téj epoki. — I tak: Grzegorza z Sanoka podniósł Wiszniewski

w swéj Historyi Literatury; Zbigniewa Oleśnickiego odmalował M. Dzieduszycki z całem rozmiłowaniem się w tym wielkim mężu; Długosz dopiero pokaże się czém był, gdy przejrzane podług kodexów nastąpi wydanie jego historyi, i innych pism, a zwłaszcza listów; nakoniec przybywa praca pana Leona Wegnera o Janie Ostrorogu zawołanym prawniku i niepospolitym statyście. — O niéj zamierzam powiedzieć.

Autor skreśla obraz Europy za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Ostroroga; obraz prawdziwy lecz okropny w porównaniu ze stanem ówczesnéj Polski. Szczególniéj sąsiednie Niemcy przedstawiały najwyższą anarchię w państwie i towarzystwie, w polityce i kościele. Powaga cesarza w zastósowaniu niema tam żadnego znaczenia; występuje liczna ciżba narodów, chaotyczna federacya duchownych, feodalnych i miejskich udzielności. Wszystko działa na swoją rękę, nieodnosząc się do ogólnéj potrzeby. Stosunek prawny części Rzeszy do całego państwa zaciera się zupełnie; toż samo dzieje się w pojedyńczych księstwach, gdzie rycerstwo szamoce się z władzą panującego; zgoła mocniejszy słabszego gnębi. — W państwach duchownych nie lepiéj: biskupi

w ustawnéj waśni z kapitułami; w wolnych miastach Rzeszy uliczny gmin często rzuca się na starszyznę. Wszędzie brak myśli przewodniczącéj, błotnista mieszanina sobkostwa i samowoli. Kościół posiadający dotąd wyłączne kierownictwo duchowe, rozdwojony; duchowieństwo popadło w ostatni stopień zepsucia i zobojętnienia; niebyło komu prowadzić spółeczności; nigdzie ani świeckiéj, ani kapłańskiéj powagi; a że ludziom zawsze tęskno za czemś nieograniczonem i niepojętem, więc jak błędne snuły się tłumy biczowników i braci milczących, a z dusz zrozpaczanych wychodziło wołanie o *lux et dux mundi!*

Największa z katastrof historycznych, zdobycie Carogrodu przez Turków, podniosła powagę papieża, a raczéj on sam się podniósł, gdy stanął na czele chrześcijaństwa, i wezwał go do obrony przeciw nieprzyjaciołom krzyża. Inicyatywa ta wróciła mu w ręce wszystkie pasma polityki europejskiéj. Do podniesienia powagi papiezkiéj przyczyniło się niemniéj światło ówczesnych Włoch; — tam był szczyt kultury. Wykształcenie polityczne, mechanizm administracyjny i rządowy, klasyczna oświata, sztuki piękne, przemysł, rólnictwo, w rękach cały handel wschodu, wszystko to robiło

Włochy ogniskiem, z którego rozchodziły się cywilizacyjne prądy. Ztąd nietylko w rzeczach duchownych, ale i w świeckiéj polityce, ogromna przewaga Italii. — Tymczasem w Niemczech skutkiem oświaty włoskiéj zaczyna się z podobnéj anarchii wyrabiać żywioł dynastyczny: Fryderyk III., Maxymilian, potężnieją zaborami dóbr duchownych, przywłaszczeniem różnych praw tak publicznych jak prywatnych. Siła zaczyna sięześrodkowywać i stawać się osią wypadków. Żywioł germański party przez wyższość romańskiéj rasy, wylewa się na zewnątrz w dziedziny Słowian, i wzmaga się zaborem. Na nieszczęście Zygmunt cesarz, sprzedaje marchię Brandeburską Fryderykowi burgrafowi Norymberskiemu, z warunkiem, aby protegował zakon Krzyżacki w Prusiech. Odtąd Marchia staje się gnębicielką ziem słowiańskich, a przedmurzem Rzeszy; odtąd coraz więcéj zdobyczy zlepia w jedno ciało. Myśl przewodnicząca temu nowemu państwu najlepiéj maluje się w słowach margrafa Albrechta: „Co marchia Brandeburska pozyska, tem się zbogacą całe Niemcy.“ — Był to zresztą najpierwszy centralizator w dzisiejszém pojęciu.

Radził on cesarzowi znieść wszystkie powagi, aby mieć wyłączną i przez się. System absoluty-

różnicę, jaka bywa wszędzie między panem a poddanym, lecz dość spojrzyć na twarze, a typ słowiański jest jeden i tęn sam; dość popatrzyć w życie, a jedne i te same wady i przymioty, w obyczajach nawet, odrzuciwszy obce nabytki, więcéj jest przybliżenia niż gdzieindziéj.

Te uwagi tak mało zawadzające badaniom Szajnochy, badaniom otwierającym przed nami całkiem nowy świat dziwnie przykrojony do dotychczasowych wiadomości o naszych początkach — są tylko cichem przypomnieniem: że o czém naród i historycy jego niezdawali się wiedzieć przez ośm najmniéj wieków — dowiadujemy się dzisiaj; co doprowadziłoby nas do paradoxu, że pewne epoki dopiero bywają zrozumiałe i jasne, jeżeli się po nich kilkanaście stółeci przesunie.

Zostawiając badaczom początków dziejowych szczegółowe roztrząśnienie jenialnéj w swoim rodzaju książki Szajnochy, pragnę podać w krótkości jéj treść, aby dać czytelnikom wyobrażenie, jak dalece silne prawdopodobieństwa przemawiają za tém historyczném odkryciem.

Wezwawszy w pomoc etymologiczne wywody, rysy obyczajowe, mityczne, dziejowe Skandynawów, zestawiwszy świadectwa kronikarzy polskich, skan-

dynawskich, niemieckich, nadaje autor wiele cechy prawdziwości wnioskowi swemu, że Lachy są wychodźcami ubogiéj Skandynawii, którzy wysypując się na cały ląd od czasu do czasu, naprzód Pomorze w IV. wieku po Chrystusie, daléj kraje nad Odrą i Wisłą czyli siedziby Słowian opanowali — słowem, że podobnie jak późniéj Waregi i oni przyszli z północy. — Etymologia, dość śliska podstawa, odkąd upatrzono ogromne powinowactwo między językami — dzielnie pomaga autorowi. Lacha wyprowadza zatem od słowa *lage-lag*, a na podstawie własności narzecza północnego germańskiego, średniowiecznych zabytków pisowni niemieckiéj i języka skandynawskiego, poznaje w wyrazie *lag-Lacha*. *Lage* oznaczało stowarzyszenie — bractwo zbrojne. Takowa instytucya jest germańską wedle Tacyta — a podług odpowiednich kronikarzy instytucyą zachowaną na północy najdłużéj. — Lachy Jamscy, ich styczność z Polską za Piasta, Lachy Kanuta służą autorowi do poparcia i objaśnienia, że stowarzyszenia germańskie, względnie Skandynawskie, nazywały się *lage*, a wymawiane były *lache*. Istnienie takowych jest faktem historycznym stwierdzonym świadectwami. Z odpowiednich kronik przytacza fakt, że Skandynawscy

Normani od IV. wieku ery Chr. aż po Hiszpanią robili wycieczki zbrojne, zaborcze, wychodząc z ojczyzny jako banici losem, lub za karę i wzmacniając się po drodze rozmaitego szczepu mężami, szukali siedziby, władzy i ustalenia się: bo tego wszystkiego we własnym domu mieć niemogli.

Skoro tedy tak daleko zabiegali Normanowie, skoro do Słowian północno-wschodnich, gdzie dzisiejsza Rosya, późniéj w IX. wieku przybyli; — skoro kronikarze: Porfirogenita, Jornandes i inni poniekąd świadczą o Chrobatach, Serbach, Duńczykach, Gotach i t. d., iż z północy od Baltyku rozszerzali się ku Adryatykowi — więc nad brzegiem Baltyku mieszkające owe plemiona niezawodnie przybyły z za morza, to jest ze Skandynawskiego gniazda.

Wniosek ten potwierdza: 1) Zabytkami wspólnemi w obyczajach Leszków, Popielów, w mowie, przysłowiach, nazwiskach miejsc; 2) łatwością wyjaśnienia po przyjęciu tego pomysłu dziejów Wandy i Krakusa; charakteru Mateusza herbu Cholewa; różnych słów, mianych dotąd za słowiańskie, gdy tymczasem są Skandynawskiego pochodzenia; nareszcie 3) iż Słowiańskie narody, ujarzmione przez Normandów, stawały się towarem sprzedawanym

Arabom w Hiszpanii i na Wschodzie, o czém arabskie świadectwo, iż Słowianie byli niewolnikami wybieranymi z ich siedlisk i przedawanymi, a to przez nikogo tylko przez Normanów.

Autor jak widać czuł pewne skrupuły pod koniec swych badań, kiedy w przewidywaniu mogących mu być zrobionych zarzutów, co do rozdwojenia narodu na dwie odrębne rasy, uspokaja, zapewniając, że dziś Lachy czyli szlachta jak lud, zarówno jest słowiańską, gdyż nasza nadgoplańska Lechia, założona przez Normandów między VI. a VII. wiekiem straciła wszelką pamięć swego pochodzenia wprzód, nim się zjawili u nas kronikarze. Jeżeli ten wypadek niemiał tyle żywotnéj wagi dla polskich kronikarzy piszących przed VIIImiu wiekami, żeby o nim wzmiankę wyraźną zrobili, czyżby dla nas miał mieć żywotniejszą? — Kto wie? nieraz bardzo mało potrzeba, mniéj niż cienia pozoru, aby na nim budować jakieś odwieczne prawa lub teorye, potrzebujące tego oparcia; a niedopieroż jaka woda na młyn dla takich piór, jak owe co piszą dziś: „dem Volke (den Slaven) die Verwüstung der Schlösser seiner Peiniger, der *Lechi*, eine wahre Lust ist.“ — *Blätter für lit. Unt.* Nr. 23). Pokazuje się, że w ten zlewek Normanów

z autochtonami jeszcze mniéj będzie wiary, zwłaszcza kiedy im przybędą tak mocne dowody o normańskiem pochodzeniu Lechów, jak te, które uczony nasz badacz tak umiejętnie zestawił. — W każdym razie praca ta, lubo każe się dziwić wytrwałości autora w tak mozolnych dociekach, jednakowoż rezultat jaki sobie założyła osięgnąć, w niczem nieprzyczynia się ani do ukrzepienia ducha narodowego, ani do bliższego poznania się w swojem jestestwie, ani nawet do podniesienia się w ambicyę — za to — a tego zapewne sam sobie nieżyczył — nieprzyjaciele czychający na wytępienie polskiego elementu, chwycą się rękami i nogami jego dowodów, aby codzień powtarzać: jesteście emigrantami na téj ziemi.

Tradycya początków jest polityczną świętością, a zarazem najstarszą wiedzą narodu; lepiéj zostawić ją nietykalną, niż podkopywać dla marnéj uciechy zaimponowania erudycyą książkową i stosem hipotez dających się tak samo wywrócić, jak powstały. —

WIEK ŚWIETNOŚCI I WIEK UPADKU.

Obraz polityczny piętnastego wieku. — Rzym, Krzyżacy i Polska. — Jan Ostroróg i jego pamiętnik. — Kościół i narodowość w średnich wiekach. — Kronika Podhorecka i hetman Wacław Rzewuski. — Stronnictwo Konstytucyjne i konserwatyzm. — Maska Targowicka. —

Piętnasty wiek więcéj niż każdy z minionych wieków przedstawia u nas szerokie pole do badań i rozpamiętywań. Gdzie indziéj był on wiekiem wewnętrznych zamieszań, rozkładu i przekształcenia się — u nas przeciwnie, odznaczał się żywiołami organicznémi, z których powstał fundament utrzymujący budowę przez cztéry stólecia: w nim nareszcie Polska Jagiełłów wyszła zwycięzko z największego niebezpieczeństwa jakie jéj groziło: złamała zakon Krzyżacki, tę wysuniętą zbrojną czatę rozpierającego się i wszystko pochłaniającego

germanizmu. — Walkę zaczętą przez Chrobrego, skończył Kazimierz Jagiellończyk, a lubo chybił półśrodkiem pozostawiając Prusy książęce w lennictwie przy Krzyżackim mistrzu, rozwiązał narodowi ręce, że się mógł siłą swéj prawdziwie chrześciańskiéj cywilizacyi ku wschodowi obrócić.

Gdy wielkość każdego wieku ma swoją przyczynę we wielkości ludzi — więc można powiedzieć, jako w żadnym nie pojawiło się tyle zadziwiających mężów światłem i charakterem, co u nas w wieku XV. Byli to statyści-politycy w całem słowa znaczeniu samodzielni, znający naród a nadewszystko sprawy jego; głowy organiczne, sterownicze i przewidujące. W takim Janie z Rytwian, Zbigniewie Oleśnickim, Długoszu, Janie Ostrorogu, Grzegorzu z Sanoka, Kalimachu, skupiało się wielostronne światło, zdrowa rada i nieposzlakowana miłość kraju; w nich mieści się téż psychologiczna historya narodu, pod wieloma względami ciekawsza od historyi zdarzeń, a przynajmniéj mniéj dotąd badana.

Cząstkowe jednak prace wykonane ze skrzętną pilnością, zaczynają rozjaśniać, przyćmione świetnym szesnastym wiekiem, tło téj epoki. — I tak: Grzegorza z Sanoka podniósł Wiszniewski

w swéj Historyi Literatury; Zbigniewa Oleśnickiego odmalował M. Dzieduszycki z całem rozmiłowaniem się w tym wielkim mężu; Długosz dopiero pokaże się czém był, gdy przejrzane podług kodexów nastąpi wydanie jego historyi, i innych pism, a zwłaszcza listów; nakoniec przybywa praca pana Leona Wegnera o Janie Ostrorogu zawołanym prawniku i niepospolitym statyście. — O niéj zamierzam powiedzieć.

Autor skreśla obraz Europy za czasów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Ostroroga; obraz prawdziwy lecz okropny w porównaniu ze stanem ówczesnéj Polski. Szczególniéj sąsiednie Niemcy przedstawiały najwyższą anarchię w państwie i towarzystwie, w polityce i kościele. Powaga cesarza w zastósowaniu niema tam żadnego znaczenia; występuje liczna ciżba narodów, chaotyczna federacya duchownych, feodalnych i miejskich udzielności. Wszystko działa na swoją rękę, nieodnosząc się do ogólnéj potrzeby. Stosunek prawny części Rzeszy do całego państwa zaciera się zupełnie; toż samo dzieje się w pojedyńczych księstwach, gdzie rycerstwo szamoce się z władzą panującego; zgoła mocniejszy słabszego gnębi. — W państwach duchownych nie lepiéj: biskupi

w ustawnéj waśni z kapitułami; w wolnych miastach Rzeszy uliczny gmin często rzuca się na starszyznę. Wszędzie brak myśli przewodniczącéj, błotnista mieszanina sobkostwa i samowoli. Kościół posiadający dotąd wyłączne kierownictwo duchowe, rozdwojony; duchowieństwo popadło w ostatni stopień zepsucia i zobojętnienia; niebyło komu prowadzić społeczności; nigdzie ani świeckiéj, ani kapłańskiéj powagi; a że ludziom zawsze tęskno za czemś nieograniczonem i niepojętem, więc jak błędne snuły się tłumy biczowników i braci milczących, a z dusz zrozpaczanych wychodziło wołanie o *lux et dux mundi!*

Największa z katastrof historycznych, zdobycie Carogrodu przez Turków, podniosła powagę papieża, a raczéj on sam się podniósł, gdy stanął na czele chrześcijaństwa, i wezwał go do obrony przeciw nieprzyjaciołom krzyża. Inicyatywa ta wróciła mu w ręce wszystkie pasma polityki europejskiéj. Do podniesienia powagi papiezkiéj przyczyniło się niemniéj światło ówczesnych Włoch; — tam był szczyt kultury. Wykształcenie polityczne, mechanizm administracyjny i rządowy, klasyczna oświata, sztuki piękne, przemysł, rólnictwo, w rękach cały handel wschodu, wszystko to robiło

Włochy ogniskiem, z którego rozchodziły się cywilizacyjne prądy. Ztąd nietylko w rzeczach duchownych, ale i w świeckiéj polityce, ogromna przewaga Italii. — Tymczasem w Niemczech skutkiem oświaty włoskiéj zaczyna się z podobnéj anarchii wyrabiać żywioł dynastyczny: Fryderyk III., Maxymilian, potężnieją zaborami dóbr duchownych, przywłaszczeniem różnych praw tak publicznych jak prywatnych. Siła zaczyna się ześrodkowywać i stawać się osią wypadków. Żywioł germański party przez wyższość romańskiéj rasy, wylewa się na zewnątrz w dziedziny Słowian, i wzmaga się zaborem. Na nieszczęście Zygmunt cesarz, sprzedaje marchię Brandeburską Fryderykowi burgrafowi Norymberskiemu, z warunkiem, aby protegował zakon Krzyżacki w Prusiech. Odtąd Marchia staje się gnębicielką ziem słowiańskich, a przedmurzem Rzeszy; odtąd coraz więcéj zdobyczy zlepia w jedno ciało. Myśl przewodnicząca temu nowemu państwu najlepiéj maluje się w słowach margrafa Albrechta: „Co marchia Brandeburska pozyska, tem się zbogacą całe Niemcy.“ — Był to zresztą najpierwszy centralizator w dzisiejszém pojęciu.

Radził on cesarzowi znieść wszystkie powagi, aby mieć wyłączną i przez się. System absoluty-

zmu przeprowadzony w krajach zdobytych na Słowianach nadbaltyckich, miał służyć za normę urządzenia się wewnętrznego feodalnych Niemiec. Lecz widokom zaborczym stawały oporem dwa narody: Czeski i Polski. Pierwszy najoświeceńszy wówczas z ludów północnych, pojął rolę obrońcy samodzielności, żywota i myśli rodowéj. Długoletnie wojny Husyckie świadczą o tém; nie tyle w nich szło o religię, ile o oswobodzenie od obcego ucisku i wdzierania się. Czechowie żalą się na stolicę Rzymską, że na nich podbudza nieprzyjaciół; a jacy to byli? dość przypomnieć słowa cesarza Zygmunta, który podług świadectwa niemieckiego kronikarza Windecka, zwykł mawiać: „Oddałbym całe królestwo węgierskie, żeby w Czechach niebyło ani jednego Czecha.“ — O nic tu nieszło tylko o wytępienie pierwotnego plemienia, aby nowe jego miejsce zajęło. — Polska tę samą politykę przybiera względem krzyżackiego ciśnienia, i oba narody posiłkują się. Pod Grunwaldem walczyły zastępy Czeskie; polscy wodzowie, między tymi Zygmunt Korybut, stawali na czele wojsk czeskich. Zjazd Podjebrackiego z Kazimierzem w Głogowie, utwierdza między tymi ludami przymierze, skutkiem

czego trzynastoletni Władysław Jagiellończyk królem Czeskim obrany.

Można powiedzieć, że w Polsce z piętnastym wiekiem zaczęło się wyrabiać poczucie pierwiastku plemiennego; był to skutek oddziaływania na uroszczenia i łakomstwo krzyżackie. Tyloletnia walka z potężnym zakonem zmuszała naród do wydobycia wszystkich sił żywotnych, do ponoszenia największych ofiar nietylko z krwi i mienia; lecz nawet z skarbów kościelnych. Duchowieństwo polskie niedało się uwieść żadnemi pozorami, o działanie niezgodne z interesem Rzymskiego Kościoła, i oddało naczynia święte na wojnę przeciw Krzyżakom, mającym misyę rozszerzania wiary na północy i protegowanym przez potężne wpływy Stolicy Rzymskiéj. Kwestya ta łatwo dająca się zagmatwać na drodze doktryny religijnéj, była zdrowo pojętą przez polityków ówczesnych, dalekich od téj zarozumiałości, co swoje oderwane teorye wyżéj kładzie nad zdrowy zmysł polityczny i wielkie instynkta narodu. Pojmowali oni, że religia była tylko maską pokrywającą krzywy dziób i drapieżne pazury zbrojnych zastępów Rzeszy, dla tego w obronie prawdziwego katolicyzmu i niepodległości narodowéj, wystąpili przeciw hipokryzyi zabor-

czéj, tém prawniéj, że posłowie pruscy znękani jarzmem krzyżackiem zaklinali Kazimierza Jagiellończyka, aby ich przyjął w swoją opiekę, tém wytrwaléj, że królestwo tak dla własnego bezpieczeństwa, jak dla handlu, powinno było obwarować się granicami dwóch mórz: Baltyku i Euxynu.

Jak mądrzy, jak daleko widzący mężowie kierowali wówczas sprawami kraju, przekonywamy się z zręcznie pozawieranych sojuszów, to z Tatarami krymskiemi aby mieć ich w potrzebie na Krzyżaki buntujące Litwę, a razem na Wołoszę, to z Tatarami zawolskiemi na wzrastającą potęgę Iwana Wasylewicza. — W rozum polityczny ufano więcéj niż w szablę, którą u nas zazwyczaj prędko chowano do pochew. Zdanie Grzegorza z Sanoka: „Dla ocalenia kraju więcéj jest sił w rozumie, niż w ciele“ — daje najlepszą miarę jaką przywiązywano wagę do rozumu mężów stanu.

Wszakże nietylko w zewnętrznych stosunkach rospierała się czynność ówczesnéj Polski — wewnątrz panuje ruch i ustalają się ściśle formy. To, co było zwyczajem w prawodawstwie, sądownictwie, administracyi, zamienia się w wyraźne prawo, i daje społeczeństwu silne rękojmie. W pracy téj zachodzą nieuniknione starcia się przeciwnych

dążności, odmiennych sposobów widzenia, choć z celem jednym, którym była wielkość i potęga królestwa. Jedno stronnictwo widziało przyszłość w ustaleniu powagi i umocnieniu władzy królewskiéj; drugie pragnęło rozdzielić władzę pomiędzy przewodniczące stany w narodzie. Król był na czele pierwszego, a z nim dwaj Ostrorogowie, Grzegorz z Sanoka, Jan z Czyżewa i późniéj osławiony Kalimach. W drugiem stawali: Zbigniew Oleśnicki, Jan z Rytwian, Jan z Tarnowa i Jan z Melsztyna, jako obrońcy i popieracze średniowiecznych swobód i przywilejów. Pierwsze stronnictwo było odbiciem się tych pojęć dynastycznych, które na zachodzie wydały prawdziwych fundatorów państw, jak: Ludwik XI., Ferdynand i Izabela, Henryk VII., Maxymilian I. — Drugie więcéj sprzyjające usposobieniu narodu, zabiło go późniéj nadmiarem swobód, zlanych na jeden stan. Już za Kazimierza zmienia się fizyonomia zjazdów; dotąd powoływano na nie prałatów, możnych panów i niektórych tylko urzędników ziemskich, — teraz sejmikuje liczna reprezentacya i sama radzi o swoich prawach, sądach, administracyi, skarbie. — Stan rycerski zagarnia wszystko dla siebie, i przypra-

wia o upadek miasta, a dolę stanu kmiecego pogarsza, pozbawiając go swobód, jakich dotąd używał.

Na tém polu historyczném, które jakby wyzłocone i misterną rzeźbą okryte tło w średniowiecznych malowidłach, ukazuje się nam postać Jana Ostroroga. Ród to wielkopolski, piastujący najpierwsze urzędy; we wszystkich czynnościach sejmowych czy w traktatach, czy na wojnie, czy na poselstwach, wszędzie świeci imie Ostrorogów, szczególniéj w XV. wieku. Bywały u nas domy, co jak dynastye panowały w swoich ziemiach i prowincyach, a następnie tak malały, że nazwisk ich nigdzie niespotkasz, nie już w historyi, ale nawet w konstytucyach sejmowych. Jan, o którym mowa, był synem Stanisława wojewody poznańskiego; kiedy się urodził — niewiadomo: bo i tak archiwa grodu poznańskiego zaledwo kilka szczegółów dostarczyły p. Wegnerowi, aby mógł złożyć jego żywot. — To pewna, że około roku 1450 uczył się w Bononii, i otrzymał stopień doktora obojga prawa.

Po powrocie do ojczyzny poszedł na dwór Kazimierza Jagiel., i tam wprawiał się do usług publicznych. Jakoż niebawem przypuszczono go do poufnéj rady królewskiéj, na którym to urzędzie, nietylko radą pracował nad odzyskaniem Prus, ale

nawet orężnie stawał przeciw Krzyżakom. Czynności jego dzieliły się między dworem a obozem. On to, gdy skarb był wycieńczony, podaje myśl zasilenia go sposobem pożyczki skarbami kościelnemi, na co zgadzają się biskupi; a gdy i to się przebrało, radzi nałożyć podatek na bogatsze stany królestwa, tak duchowne jak świeckie. — Gdy zaś w przewlekającéj się wojnie z Krzyżaki dzieją się w kraju łotrowstwa możnych, a król ograniczony w swéj władzy często opuszcza ręce, obruszają się Małopolanie i zapaleni mową Jana z Rytwian, mianą na zjeździe r. 1459, grożą odmówieniem posiłków na pruską wyprawę, i król dla złagodzenia wzburzonych wyznacza powtórny zjazd do Piotrkowa tegoż roku. W przekonaniu, że nie z jego winy wypływa wszystko złe, przemyśliwa o naprawie i poleca Ostrorogowi wygotować pamiętnik, w którymby podał sposoby zaradzenia nieładowi Rzeczypospolitéj. — Otóż pismo to kilkanaście kart zawierające uczyniło imię Ostroroga sławnem i zjednało mu pierwsze miejsce w rzędzie naszych polityko-statystów, a co ważniejsza, rady i ulepszenia tam podane, zamieniły się częściowo w obowiązujące uchwały. Rozbiór tego pamiętnika

wywołał całą rozprawę historyczną, którą się p. Wegner literaturze naszéj przysłużył.

Widzimy w innych Ostroroga jeszcze czynnościach, to jest w traktowaniach o wcielenie ziemi Bełzkiéj, a następnie Mazowsza do Korony, — a ledwo to ukończył, jedzie w charakterze posła załatwiać stosunki dyplomatyczne Rzeczypospolitéj z Rzymem. Tam on przekonał się o niechętnem usposobieniu Piusa II. dla Polski, wiedział o jego liście do Zbigniewa Oleśnickiego utyskującym na Polaków, że z ich przyczyny Niemcy nie posiedli Czech i Węgier, a nawet saméj Polski, przez wypędzenie Wilhelma; wiedział jak się przeciwił przeniesieniu Krzyżaków na wyspę Tenedos, aby tam obrócili oręż swój przeciw Turkom; wiedział nareszcie z jakiem upodobaniem słuchał w Mantui mowy prokuratora krzyżackiego krzywdzącéj króla i Polskę. — Poznawszy on, że na pośrednictwo Rzymu liczyć nie można, radził dobyć wszystkich sił na pokonanie orężem wiarołomnego zakonu. — Po latach 14 uporczywéj walki skończonéj ze szkodą Krzyżaków, spisano traktat toruński, w którym ojciec i syn Ostrorogowie rozwinęli czynność i przezorność dyplomatyczną. Z gotowym traktatem został Jan wyprawiony do Stolicy Apostolskiéj

po ratyfikacyą onegoż. — Już wtedy siedział na stolicy Paweł II.; który niezmienił niechęci swéj dla Polski, będąc pod wpływem wyłącznie niemieckim; Ostroróg powiedział mowę, zapisaną przez naszych historyków, a którą autor w polskim przekładzie przytacza. Nie wiele zmieniła usposobienie Rzymu wyborna mowa Ostroroga; owszem jak za Piusa II., tak i za jego następcy polityka papiezka wbrew interesowi kościoła przynosiła uszczerbek Rzeczypospolitéj, gdy dopomagała Iwanowi Wasilewiczowi do zawarcia związków małżeńskich z Zofią Paleologo i korzystnych sojuszów. Tutaj wszakże autor pomylił się (karta 47) mięszając Iwana Groźnego z Iwanem Wasilewiczem, co stanowi różnicę lat kilkudziesięciu, i na inne naprowadza stosunki. Ostroróg, po powrocie z poselstwa pojmuje w małżeństwo Helenę, księżnę Raciborską a następnie widzimy go ciągle zajętego sprawami kraju w zawodzie sądowniczym. Archiwum grodu poznańskiego dostarczyło dat do tych jego czynności obywatelskich. W przewidywaniu smutnych następstw z ograniczenia władzy królewskiéj ciągle pracuje nad powiększeniem jéj, tak przy Kazimierzu, jak przy Janie Olbrachcie; usiłowania te jednak nie mogły powstrzymać narodu rozmiłowa-

nego w swoich swobodach. Zgon Ostroroga przypada około r. 1501, na niewiele miesięcy przed zgonem Olbrachta ruszonego paraliżem w Toruniu. O nim wyraża się jeden ze współczesnych w tych słowach: „Był to mąż obdarzony umysłem bystrym, ujmującym, wszechstronnym; a co najważniejszą w wymowie stanowi zaletę, w téj mierze podniosłym, iż trudno rozpoznać, czyli kto był ozdobniejszym w mówieniu, lub potężniejszym w przekonywaniu.“

Autor skreśliwszy w tém okoleniu dziejowem postać Jana Ostroroga, poświęca kilka kart uwag nad samymże pamiętnikiem. — Był on ułożony po łacinie i cztéry wieki zostawał w rękopiśmie pisanym przez Stanisławą Górskiego, pisarza Piotra Tomickiego kanc. kor. — Biblioteka Jagiellońska posiadała 17 tomów zbioru: *Actionum regiarum* Górskiego, w ostatnim mieściła się praca Ostroroga. Załuski pożyczył go był niegdyś do przekopiowania, lecz go niezwrócił: bo rękopism z biblioteką Załuskich dostał się do Petersburga. Inny exemplarz rękopisu posiadała bib. Willanowska, i z tego to Hipolit Kownacki porobił wyciągi w przekładzie umieszczonym w Pamiętniku Warszawskim Bentkowskiego. Następnie wydał text

z wolnym polskim przekładem J. W. Bandtkie w Warszawie 1831 r. Autorowi do pracy jego służyły dwa odpisy, mianowicie kopia ze zbioru Górskiego w bibliotece Petersburskiéj.

Pamiętnik Ostroroga, który Michał Wiszniewski mieni najważniejszem dziełem wieku XV. po Kronice Długosza, a Czacki stawia wyżéj nad wszystkie prace naukowe ówczesnych akademików krakowskich mały wpływ wywierające na stosunki i życie narodu, — mieści w rzeczy saméj pomysły wytrawne o sprawach i rzeczach publicznych, i to we wszystkich gałęziach i kierunkach, jest tam bowiem dotknięta i polityka zewnętrzna i stosunki międzynarodowe i dyplomatyczne; stosunek kościoła do państwa z uwzględnieniem władzy sądowniczéj i karności duchownéj; niemniéj prawodawstwo ogólne; wewnętrzny układ Rzeczypospolitéj, właściwości jéj władz w obec rządu; administracya; sądownictwo cywilne i karne; policya; obrona kraju; skarb i podatki; przemysł i handel; wychowanie i obyczaje — wreszcie pamięć o pielęgnowaniu narodowego języka. To wszystko zamknięte w zwięzłych artykułach.

Przeciw świeckiéj polityce Rzymu występuje otwarcie, z przekonania i z świadomości stanu

rzeczy, a nie z pociągu do religijnego nowatorstwa, podobnie jak odzywa się Długosz, kanonik krakowski, mąż wielce pobożny, który choć był kapłanem katolickim nie przestał być obywatelem.

Między innémi upomina się aby Polska wolną była od opłat wnoszonych do Rzymu, a to z téj przyczyny, że jest wystawioną na ciągłą wojnę z Turkami, Moskwą i Wołoszą. Ona zasłania swemi piersiami Niemcy — słuszno tedy żeby annaty wnoszone po śmierci biskupów do skarbu papiezkiego, zostawały w skarbie królestwa i służyły na koszta obrony. — Było to bardzo sprawiedliwe żądanie — wiadomo bowiem jak wówczas chciwość włoska wysysała pieniądz ze wszystkich krajów, co może było jedną z głównych przyczyn lutrowego odstępstwa od Kościoła. Zdrowa rada Ostroroga zapobiegała temu, i przypominała owszem, że królestwo postawione w przedniéj straży chrześciaństwa, należało raczéj wspomagać, niż ogałacać ze środków. Niemniéj trafne są jego pomysły o stósunku kościoła do państwa, a tak świeże jakby za naszych dni powiedziane. Utrzymuje on, że każda z nich zgodnie z drugą, lecz samodzielnie, podług własnéj natury, i za pomocą własnych środków, udzielny na życie wpływ wywierać po-

winna. Ta myśl zapewniająca kościołowi, a zarazem wyzwalająca z pod jego przewagi państwo: bo w ówczas Kościoł miał tę przewagę, wystarcza do ocenienia tego męża stanu. Okrzyczana niesłusznie ciemnota średnich wieków, świeciła takiem światłem, z jakiego chlubią się dzisiejsi politycy, myśląc, że co nowego odkryli. Pełno tu w każdym ustępie zdrowych postrzeżeń. Co do prawa, jakiem się w kraju sądzą, nagania, że inne służy szlachcie, inne plebejuszom; że jedno zowie się polskiém, drugie niemieckiem. Najbardziéj gorszy go udawanie się po sprawiedliwość do Magdeburga; chociaż Kazimierz W. dawno zniósł ten rodzaj sądu, widać że zwyczaj utrzymywał się za jego czasu. Monarchiczne centralizacyjne wyobrażenia Ostroroga, niechciały mieć urzędników wybieralnych, lecz płatnych; Kalimach za tém samém obstawał. Podobnież o wiele wieków wyprzedził państwa europejskie w pomyśle obrony kraju, gdy wszystkie stany powołuje pod broń w razie niebezpieczeństwa. Jak zaś czuł potrzebę używania ojczystego języka, ciekawym jest ustęp, w którym powstaje na kaznodziejów niemieckich w świątyniach wzniosłych i okazałych, gdzie jedna lub dwie baby kazania słuchają; gdy tymczasem wielka liczba pol-

skiego ludu tłoczy się w jakiem zakątku ze swoim kaznodzieją. — Można powiedzieć, że Ostroróg nosił w piersi zdrowie całego narodu, że widział jasno jakich mu odmian i popraw było potrzeba, aby się zorganizował na trwałych podstawach. — Pomysłów, jak widzimy, nigdy nam nie brakło: — do wykonania ich nie było tylko dość energii w panujących i podwładnych.

Ucząca ta monografia zaleca się jasnym, dobrze obmyślanym układem; słowem, jest to książka zrobiona przez myślącego i kombinującego człowieka, a nie jak wielka część naszych historycznych prac, nieprzetrawioną zbieraniną. W języku tylko czuć niekiedy zwroty trącące niemczyzną, jakiś tok wysłowienia nieswojski, co zawdzięczamy początkowym naukom wpływającym na zwichnięcie rodzinnego tonu.

Praca historyczna nie mniejszéj wagi, lubo malująca postać o czterysta lat późniejszą niż Jan Ostroróg, ukazała się w książce pod tytułem: *Kronika Podhorecka.* Jest to właściwie żywot Wacława Rzewuskiego, Het. W. Koronnego, ułożony z dokumentów znajdujących się w archiwum hetmańskiem w Podhorcach, przez jegoż prawnuka, hr. Leona Rzewuskiego. Niegdyś Caraccioli, domownik hetmański wydał był żywot Wacława, —

lecz w oratorskiéj, często ckliwéj i pustéj gadaninie cudzoziemca, niewiele treści ułowić, niewiele się o ówczesnych wypadkach oświecić.

Wielką zatém oddał autor dziejom przysługę, że tyle nowych materyałów wywiódł na widok; większą, że je umiejętnie powiązał i krytyczném zdaniem ważności im dodał.

W przedmowie autor nie tuszy sobie ani pochwał, ani pobłażania, z téj miary, jak mówi, że go w szkole wojskowéj polskiéj nieuczono stylu. Zbyteczna obawa: Dzisiejsza krytyka o styl niewytoczy procesu; treść mówić będzie za siebie; zresztą stylu w żadnéj nienauczą szkole, chociaż języka zawsze w szkołach uczono. Co się zaś tyczy wyznania, że autor pracując nad współczesnemi świadectwami przyszedł do poglądów wcale innych, jak te, co są w obiegu — temci lepiéj! Na to właśnie są źródła dziejowe, aby z nich wydobywać jaknajmniéj zabałamucóną prawdę; aby na ludzi i wypadki patrzeć okiem nieuprzedzoném; ani je robić wspólnikami naszych późniejszych wyobrażeń lub namiętności.

Piękną myśl powziął autor, gdy przedsięwziął kreślić żywot Wacława Rzewuskiego, godny Plutarcha. Był to można powiedzieć ostatni z mężów

starėj Rzeczypospolitėj, której wielkie cnoty w sobie połączył, a wad nie miał; który do upadłego trzymał się przy Leszczyńskim obranym wolnemi głosami; który acz nieprzychylny elekcyi Poniatowskiego pod bagnetowym wpływem Rosyi, jeden z pierwszych zrobił recess „dla uprzątnienia tego wszystkiego, coby najmniejszą różnicę uczynić mogło między synami ojczyzny" — który nakoniec, stając mocno w obronie wiary ś. porwany został i wywieziony do Kaługi na pięcioletnie cierpienie.

Oto główniejsze rysy publicznego zawodu Wacława: moc charakteru w przeciwnościach niezłomna, w nieszczęściu wierność, miłość zgody i jedności większa niż osobiste przeświadczenie, niż ambicya postawienia na swojem w polityce stronnictw; za to w sprawie Kościoła gotowość do poświęceń się męczennicza. . . . .

Jest tu i żywot jego domowy dotknięty; ale ściśle wziąwszy pod rozwagę, u takich stróżów Rzeczypospolitėj jakiemi byli hetmani, nie było domowego żywota w tém znaczeniu, jakie dziś przywięzujemy do odstawnego lub pensyonowanego feldmarszałka. . . . .

W pokojowych, wylegających się w czasach saskich hetmani siedzieli w swoich rezydencyach.

Jan Klemens Branicki, Hetm. W. K. w Białymstoku a Rzewuski Hetm. polny w dziedzicznych Podhorcach. Główny kierunek spraw wojskowych i dyplomatycznych nie wychodził z ich ręki. — Rzewuski organizował i reformował stojące pod swoją komendą pułki jazdy i piechoty; korespondował z dworami; rozstrzygał pograniczne zatargi z sąsiednim Krymem, Turcyą i Wołoszą; co wszystko opierało się o kancelaryą hetmańską; a krom tego jeszcze w sprawach wewnętrznych kraju brał ścisły udział. Niepojmowano wówczas jak to żyć w obojętności do rzeczy publicznéj, gdy same nawet rozrywki i tryb codzienny nosiły cechę szlachetnego zajęcia. Kronika Podhorecka podaje w tym względzie kilka rysów, jak hetman polny zabawiał się upiększeniem Podhoreckiego zamku należącego do najcenniejszych ozdób naszego kraju; jak wzniósł piękny kościół, jak Smuglewicza i Czechowicza sprowadził aby go przyozdobili; jak wreszcie w swobodnych chwilach pisał rymy i tragedye, które w teatrze zamkowym przedstawiała trupa dramatyczna, — przytem jaka staranność, jaka pamięć o najdrobniejszych szczegółach domowego gospodarstwa!... Świadczą o tém księgi zamkowe pełne dowodów czynności a i miłosiernych uczynków. —

Dodajmy do tego pilność około wychowania synów, skrupulatną gorliwość w wypełnianiu praktyk religijnych — a będziemy mieli doskonały wizerunek staropolskiéj cnoty.

Wdzięczna to praca, którą podjął prawnuk, mogący się poszczycić takim pradziadem; i wykonana téż z ścisłością godną przedmiotu. Mnóstwo napotykamy w niéj ciekawych dat i szczegółów nieznanych nam z téj epoki saskiéj, co choć tak niedawna, a tak w materyały obfita, nie ma dotąd swojéj historyi. A przecież okres ten lubo wcale nieświetny i upokarzający dla dumy narodowéj, że od siebie pióra odstręczał, zasługiwałby na pilniejsze badanie niż inne czasy obrabiane kilkakrotnie z zapałem. W téj to właśnie rozstrajającéj ciszy saskiego panowania, staroświecki duch narodu wietrzał, obojętniał powoli, a natomiast wykluwał się inny, co w sam raz przypadał do form nowożytnych. Poniatowski zastał już grunt przygotowany, dla tego słabą była walka starego ducha z nowemi pojęciami, których był wyobrazicielem, można rzec, w nienajlepszym gatunku. — Porwanie senatorów z jego natchnienia i rozkazu, choć Repnin był narzędziem, uważam za ostatni cios zadany staréj Rzeczypospolitéj; konfederacya

Barska była tylko zbrojną protestacyą przeciw temu zamachowi. — Odtąd wszystko już poszło nową fazą; reformy po reformach w każdéj gałęzi wewnętrznego organizmu, aż do obyczajów i zwyczajów. Dawne wyobrażenia zacierały się, a z niemi formy i instytucye. Sejm konstytucyjny do reszty wszystko przetworzył i usankcyonował, a choć nic nie umocnił, miał za sobą większość narodu, mianowicie oświeceńszą, chciwie lgnącą do tych reform mających stworzyć silne państwo. Że to nie było na rękę sąsiadom północnym, dowód najlepszy w popieraniu przeciwników reformy, którzy byli zwolennikami anarchii republikańskiéj, z jakiéj naród pragnął się wyzwolić.

Autor Kroniki Podhoreckiéj kilkakrotnie w uwagach swoich pokazuje nam dwa stronnictwa ścierające się ze sobą. Jedno pragnące utrzymania dawnéj konstytucyi, a mianowicie cztérech kardynalnych podstaw Rzeczypospolitéj, jako to: Obrony wiary ś., wolności elekcyi, całości władzy hetmańskiéj i *liberum veto*; drugie dążące do reform monarchicznych, do scentralizowania władzy w ręku króla; na czele pierwszéj stali hetmani, na czele drugiéj książęta Czartoryscy. Ci ostatni będąc słabsi w początkach, uciekli się o pomoc do Rosyi

i przemogli; z ich ramienia wstąpił na tron Stanisław Poniatowski. Owoż nie można winować Targowiczan jak mówi autor, że będąc obrońcami i wyznawcami starych praw kardynalnych Rzeczypospolitéj, uciekli się o pomoc do téj saméj potencyi, co pomagała stronnictwu monarchicznéj reformy: „Ostatecznemi — mówi on — tych dwóch partyi wysileniami były: Konstytucya 3go maja i téjże oddziaływanie w konfederacyi Targowickiéj. Ani partyi monarchicznéj, ani republikańskiéj zamiarów samolubnych i podłych niegodzi się podsuwać itd.“ A na inném miejscu: „Polityka Hetmanów ostatnich (Targowickich) miała koniec najsmutniejszy. Czyli przecie środki przez nich użyte były przyczyną upadku ojczyzny, czy podział kraju po konwokacyi (1764) nie mógł nastąpić zupełny, jaki nastąpił po Targowicy — o tém bezstronna kiedyś zawyrokuje historya.“

Jak kiedyś osądzi to historya, nie wiemy; ale to pewna, że naród, jedynie kompetentny w téj sprawie sędzia, dawno swój wyrok ogłosił; ten, kto odbiera ciosy czuje najlepiéj, która ręka zadaje śmiertelny. . . . .

Postawienie na jednéj linii stronnictwa monarchicznego Czartoryskich, ze stronnictwem repu-

blikańskiém Targowiczan, ma za sobą pozorne podobieństwo, w tém, że jak jedni tak drudzy uciekali się do obcych wojsk pomocy: lecz niezapominajmy o różnicy celu: Czartoryscy bowiem usiłowali zgnieść bezrząd, który Polskę robił najsłabszą z europejskich potencyi; gdy Targowicka konfederacya stawała w obronie nierządu, i to nie na przeciw żadnemu stronnictwu, ale przeciw większości narodu z królem na czele... Czartoryskich działania należały do epoki, w któréj jeszcze nie zabierało się na podział kraju; Targowiczanie mieli już żywy przykład pierwszego zaboru. Czartoryscy, August i Michał zbyt zaufani w swoją przebiegłość polityczną, chcieli Rosyi użyć za narzędzie swych planów reformy, w czém się zawiedli, trafiwszy późniéj na rządy zręczniejszéj od nich Katarzyny. Targowiczanie przeciwnie: od razu zrobili się jéj narzędziem. Potrzeba nam tu przypomnieć sobie jak się działo, aby nie popadać w bezzasadne pewniki.

Kiedy sejm cztéroletni ogłaszał swoją konstytucyę, całą władzę przelał na króla — najniedołężniejszego; hetmanów usunął, wojsko poddał królowi, który bić się nie chciał, i kazał ustępować dzielnemu wojsku..... Sejm srodze zbłądził, że

się wyzuł z władzy i oddał ją w ręce najmniéj zasługujące na ufność. Bystry wzrok Imperatorowéj od razu pojął całą sytuacyę. — Zawiesza wojnę z Turcyą; sprzymierza się z królem pruskim, w jeden szaniec obronny przeciw duchowi i wpływom rewolucyi francuzkiéj. Wielkie środki, a i najmniejsze, wszystkie jéj służą; zna ludzi, czerpie naukę z doświadczenia, znajomości praw polskich i przeszłych wypadków. Mało jéj mieć silną armią z Suwarowem na czele; trzeba jéj rozdwoić umysły w Polsce, spojone, źle czy dobrze, ale zawsze zjednoczone w konstytucyi i królu; przemyśliwa tedy jakby drugą władzę postawić. — Przypomniała więc sobie, że istniała partya starych republikanów, konfederatów Barskich, zgnieciona przez partyę królewską. Postanowiła tedy wzbudzić ten żywioł konfederacki, aby z jego pomocą prędzéj uprzątnąć się z Polską, a mieć ręce rozwiązane do wystąpienia przeciw rewolucyi zachodniéj; długo bowiem przeciągniona wojna z konstytucyonistami, mogła była nieskończenie powikłać jéj dalsze plany. Otóż nowa konfederacya, ta druga władza, była jéj potrzebną. Raz, że król, jaki on był, to był, ale nie wypadało, aby się sam przyłączył do obcego wojska wchodzącego w jego kraj — trzeba było znając

jego słabość, ułatwić mu to przejście przez podstawienie jakiegoś związku, do któregoby zrobił akces i zerwał z konstytucyą. W tym celu wezwano bawiącego w Wiedniu Szczęsnego, który skwapliwie dążył drogą na Jassy, gdzie był Potemkin, i przyjechawszy na Ukrainę w Targowicy ogłosił akt konfederacyi wydany wspólnie z manifestem wojny. — Złączony z Hetmanami niby na podobieństwo konfederacyi Sandomierskiéj, zaprzysięga całość granic Rzeczypospolitéj — formuje nowe pułki — a jednocześnie odbiera znaki honorowe wojsku konstytucyjnemu, odpycha je od sprawy; doświadczonych jenerałów, jak książe Józef i Kościuszko nie stara się użyć; słowem Targowiczanie nic nie robią, aby opanować najwyższą władzę w kraju, tém bardziéj, kiedy król dobrowolnie chce abdykować, idzie im tylko o zabicie konstytucyi przez rozdwojenie narodu. Zemsta obrażonych osobistości!..... Gdyby ogromowi ich pychy wyrównywał był rozum obywatelski i szczera chęć ocalenia ojczyzny, mieli porę zbawić ją nawet na drodze zasad starorepublikańskich, — lecz oni sami mało w ich moc wierzyli.

Godłem ich: bożyszcze pogańskie, wolność, złota wolność; o świętéj wierze ojców tém naj-

pierwszém prawie kardynalnem, nigdzie w ich manifestach i protestacyach ani wspominku.... Ślepe, posłuszne narzędzia, niezdobyli się na więcéj energii jak na to, co w manifestach i dekretach spisali. — Ztąd téż choćby z największem wyrozumieniem, możnaż ten historyczny proces przed potomnością obronić? gdy im więcéj wchodzi się w szczegóły, tém więcéj przed kratkami staje potępiających świadków. Mogą znaleźć się pisma, dokumenta, rzecz modyfikujące na korzyść indywiduów, lecz żadna obrona niezmodyfikuje téj prawdy: że konfederacya Targowicka nie wystąpiła w charakterze stronnictwa przeciw stronnictwu; lecz jako spisek uknuty przeciw ukonstytuowanéj większości, mającéj monarchę na czele. Przy któréj stronie była żywotność, a zatem i prawowitość, najlepiéj to przekona: że duch sejmu czteroletniego wywoływał tyle późniejszych objawów życia w narodzie — gdy pseudolegmizm Targowicki niezostawił żadnego krom literackiego potomstwa — przebrzmiał w niesławie i służy za przykład pychy nie umiejącéj z siebie zrobić ofiary. Powie kto: mieli takie przekonanie i w niem dotrwali? — lecz przecież byli i inni zwolennicy praw kardynalnych Republiki, co tworzyli w sejmie opozycyę, a nie-

opuszczali stanowisk, aby knuć pokątne zmowy, a kiedy wzywano ich do przysięgi na nową ustawę, odzywali się jak między innemi Sapieha: „Przekonanie moje jest inne, ale ja tam, gdzie król, gdzie inni prawi obywatele.“ Nie miłość praw kardynalnych, lecz obrażona miłość własna zaprowadziła do Targowicy..... a w rzeczy publicznéj to więcéj niż błąd.

Autor o ile zauważałem, kładzie w kilku miejscach nacisk na korpus kadetów, założony przez Stanisława Augusta, w skutek położonego mu warunku w paktach konwentach. Pomysł to był Czartoryskich, już dawniéj podawany królom, lecz niedotrzymany. Powiada autor że, „przez założenie téj szkoły młodzież miała pobierać publiczne wychowanie, zamiast dawnego w szkołach duchownych, w ojcowskim domu, lub przy dworach możnowładzców. Potrafili oni tym sposobem oderwać synów od staroszlacheckich tradycyi domowego wychowania, od konserwacyjnego wpływu sędziwego duchowieństwa, i duch rycerski dawnego Towarzystwa, na *ésprit de corps* militarny zamienić.“

Zdaje mi się, że zbyt wiele przyznał autor téj szkole, która zresztą była najpraktyczniejszą co do posuniętych w niéj nauk. Jakaż to bowiem szczupła

liczba kształciła się kadetów w porównaniu do mnóstwa uczniów innych szkół! Wprawdzie król się zobowiązał wychowywać 200 elewów kosztem Rzeczypospolitéj, lecz jak wiadomo z ustanowieniem jéj było ich tylko 60, a w najświetniejszych czasach nigdy nad 80, co było drobnostką w porównaniu tylu wychowańców wychodzących ze szkół duchownych i akademiów. Zresztą niewiem, jak rozumieć ten *konserwacyjny wpływ sędziwego duchowieństwa*; chyba, że konserwowało grubą ciemnotę, jak o tém przekonać się można ze stanu akademii krakowskiéj, zamojskiéj, wileńskiéj i licznych akademickich kolonii po całym kraju rozsianych. Jedni Pijarzy i Jezuici, co byli zaprowadzali w konwiktach tryb naukowy zastósowany do potrzeb kraju; a ci ostatni przez rywalizacyę z pierwszymi. — Mniemam przeto, że nacisk na zwrot w wychowaniu publicznem, *odrywającem synów od staroszlacheckich tradycyi*, mógłby raczéj dosięgnąć reformy Konarskiego, która umysły młode przerzucała nagle w świat filozoficzno-liberalnych teoryi. Kierunek, duch wykładu naukowego, mógł być fałszywy — nie przeczę; lecz z drugiéj strony trzeba przyznać, że z reformą szkół zaczęto dopiero korzystać z postępu, jaki zrobiły nauki i umie-

jętności w Europie; gdy u nas przedtem i długo potém, a nie jest to wymysłem, trzymano się tych samych systematów i metod, jakie były używane w wieku XV. Czyż w wydziale filozoficznym nie dyktowano fizyki Alberta W. i Arystotelesa *de sensu et sensibili*; o systemacie Kopernika nikt nie gadał: bo w wydziale matematycznym główną figurą był *regius astrologus*, wydający kalendarze z prognostykami.

Gdyby się jaki naród chiński murem od innych narodów odgrodził, możeby poprzestał na tym uświęconym dawnością konserwatyzmie ciemnoty, wystarczającym dla jego potrzeb duchowych i materyalnych; — lecz nasza Rzeczpospolita ocucająca się z letargu, dążąca do reform, nie mogła grzeszyć zbytkiem nauki, ani téż można mieć za złe Czartoryskim i królowi Stanisławowi, że w téj jednéj gałęzi zrobili wielki krok naprzód, chociaż nie w kierunku konserwatywnym dawnego trybu uczenia, to pod względem praktycznym: bo dostarczyli krajowi ludzi usposobionych do publicznych posług.

Pozwoliłem sobie tych kilka postrzeżeń nad książką, która powinna znaleźć ogólne przyjęcie; raz, że daje obfitą korzyść z zawartego w niéj ma-

teryału dziejowego, po drugie, że bez względu, jakie autor obrał sobie stanowisko, zawsze myślącego czytelnika do pracy wewnętrznéj pobudzi — co za jednę z największych poczytuję zalet; — książka bowiem, o któréj się nie myśli po zamknięciu, potrzebną nie jest. —

AUSTRALIA.

Podróże z przyjemności i podróże z musu. — Zmyślone opisy przygód. — Towarzystwo okrętu: *Gread Britain.* — Wyspa Ś. Heleny. — Longwood. — Przybycie do Australii. — Drożyzna. — Obrazki z kopalń. — Dzicy. — Zawiedzione nadzieje. — Powrót do Europy.

Jeżeli u nas panowała moda podróżowania po cudzych krajach, nie tyle dla kształcenia się i badania dróg prowadzących do nabytków cywilizacyi, ile dla uprzyjemnienia sobie życia w wykwintach wielkich stolic, co przyprawiało najczęściéj o stratę fortun powierzanych rządzcom i ekonomom bez kontroli oka pańskiego — jeżeli zawsze pędziło coś możniejszą część narodu za granice własnego kraju — tedy dogodziła nam Opatrzność i chcący nie chcący wysypało się kilka tysięcy ludzi, po większéj części bez grosza w kieszeni — idących szukać na szerokiéj kuli ziemskiéj — nie

już wykwintów zbytkowego życia, ale po prostu powszedniego chleba...

Za lekkomyślne grzechy ojców spełnia się pokuta, tém sroższa, że tym podróżom mimowolnym i bezkreśnym towarzyszy najczęściéj serdeczna tęsknota za domem i rodziną, mająca znowu tę korzyść, że w piękniejszém świetle pokazuje nasze ubóstwo i prostotę i uczy wyżéj szanować cnoty moralne i obyczajowe nad świetne zdobycze cywilizacyi materyalnéj lub polor zepsucia.

Ależ nietylko ta jedna korzyść doświadczenia; są jeszcze inne mogące spłynąć z tylu dobrych i pożytecznych rzeczy, jakich się napatrzono i wyuczono w cudzych krajach, aby zastósować u siebie; co nim nastąpi, tyle przynajmniéj zyskujemy, że niejeden, co zwiedził dalekie lądy i morza i jak Ulisses różnych miast poznał obyczaje, stara się to opowiedzieć ziomkom swoim domatorom, a byle się dobrze i z prawdą wywiązał, każdemu miléj będzie go słuchać lub czytać, niż samemu gonić wiatry po pięciu częściach świata.

Podług przyjętego dzisiaj zwyczaju pierwszym skutkiem podróży bywają opisy wrażeń i przygód doznanych w cudzych krajach; ztąd téż i nasza literatura dopiero od nie dawna pomnożyła się

podróżami. Dawniéj bowiem podróżujący magnaci nielubili dzielić się wrażeniami swemi, może dla tego, że nieudawali się za granicę po wrażenia, tylko w interesach kraju lub dla własnéj korzyści lub przyjemności; przytem niepochopni do pióra myśleli sobie: Kto chce wiedzieć jak to wygląda, niech sam jedzie i gołem okiem zobaczy.

Jeżeli zaś trafem gmin szlachecki chcieli przypuścić do relacyi swych przygód, tedy spisywał takowe jaki dworzanin lub sekretarz, jak to zrobił Treter towarzyszący Radziwiłłowi Sierotce do Ziemi Świętéj. Z tych tedy powodów choć zawsze podróże u nas były w modzie, opisów podróży dawniejszych tak skąpo. Ostatni lat dziesiątek dostarczył ich najwięcéj. Trypplin, niewyczerpany Trypplin, od razu opanował ten rodzaj piśmiennictwa, i od razu zamącił go w ten sposób, jak zamącone zostały wszystkie rodzaje literatury; to jest, że podróżom odjął właściwy charakter rzetelnego i ścisłego opisania rzeczy widzianych, a natomiast wprowadził do nich romans — przez co wprawił nas w powątpiewanie, ażali to, co czytamy, należy brać za prawdę lub fikcyę? Dość było téj lekkomyślności, ażeby zdyskredytować podróże, nawet takie, na których grzech romansowości nie

cięży. Obowiązkiem krytyki pokazać tę różnicę między opisem zgodnym z prawdą, zdejmowanym na miejscu przez zwiedzającego te miejsca podróżnika, a zmyśleniem, czerpaném z obcych opisów i przykrojonem do awanturniczéj fantazyi mniemanego peregrynanta, który się od autorskiego bióra na krok nie ruszył. Ażeby się poznać na fałszu, rzecz wcale nie trudna; sam bowiem język podróżnika, co widział opisywane przez siebie kraje, co doświadczał prawdziwych przygód na morzu i lądzie, brzmi zupełnie inaczéj; niewymuszoność, prostota wyrażeń malujących rzecz dokładnie, bez niepotrzebnych retorycznych ozdób i amplifikacyi, usuwa wszelkie podejrzenie; każdy taki opis zdejmowany z natury, każde zdarzenie, w którém miałeś rzeczywisty udział, ma całkiem inny rysunek i kolor i ruch dramatyczny, od opisów i zdarzeń płodzonych wyobraźnią podkarmioną naczytaniem się wojażów.

W rzędzie najlepszych opisów podróży, zrobionych nie z książek, ale z własnego doświadczenia i widzenia, możemy śmiało zamieścić świeżo wydany w Krakowie w dwóch tomach: *Opis podróży po Australii* przez Seweryna Korzelińskiego.

Co zapędziło rodaka naszego aż do piątéj czę-

ści świata? znajdujemy odpowiedź w samej przedmowie. Dostawszy się z Azyi, gdzie go los wojny był rzucił, do Anglii, niewyganiającéj wprawdzie wychodźców, lecz niedającéj im środków utrzymania się, nieumiejąc przytem języka angielskiego, ani żadnego ręcznego rzemiosła, znudzony nareszcie życiem bez celu, postanowił w porozumieniu z innymi rodakami puścić się do Australii, gdzie sława kopalń złota, walczących o pierwszeństwo z Kalifornijskiemi, wabiła nadzieją, jeśli nie zrobienia fortuny, to przynajmniéj przyzwoitego zarobku na życie. Dwunastu tedy rodaków znalazło się w Liverpol, którzy jedną myślą pędzeni wsiedli na pokład parowca „Great Britain" na d. 21 sierpnia 1852. Był to największy podówczas śrubowy okręt o sile 500 koni, który miał powieźć o 15,000 mil nowych Jazonów po złote runo. — Opis pobytu na okręcie w liczném gronie sześciuset z górą pasażerów do 14 różnych narodowości należących, i charakterystyka niektórych oryginałów, wielce zajmująca; trafność i niewymuszoność rysunku zaprawna humorem, ożywia te figury małéj wartości wewnętrznéj.

Ciekawe w swoim rodzaju jest to zgromadzenie osób na wielkim okręcie i w tak długiéj po-

dróży; między pasażerami byli żydki nasze (gdzież ich nie ma?!), rzemieślnicy różnego rodzaju z Nowego Yorku, z Kanady przybyły kupiec z budulcem do Anglii, golibroda, murzyn; Amerykanin, który się pułkownikiem nazywać kazał; członek jakiéjś Kompanii chcący z Australii wypróbować przejazd do Panamy, i ułożyć projekt linii okrętów parowych dla krótszéj komunikacyi Australii z Europą. Państwo F. z jedenaściorgiem dzieci, zamyślający osiedlić się w Australii, bo jak on mówił, trudno było małym kapitałem wyżywić w Anglii liczną familię; syn bogatego fabrykanta z Yorkshire wysłany przez ojca na deportacyę pod dozorem zaufanego służącego, z powodu serdecznego przywiązania, jakie okazywał do każdego rodzaju płynu. — Był tam i turysta, co wyślizgawszy wszystkie kamienie w starożytnych ruinach Rzymu, co się drapał na Montblanc, leci teraz szukać specymenów złota w Australii — była i para nowożeńców, uciekająca na ocean dla używania chwil miodowych; — byli różnego rodzaju awanturnicy, spekulanci, oszuści i nieszczęśliwi — tysiąc żywych tematów do dramatu, którego ostatni akt pokazuje niekiedy autor, gdy w kopalniach Australii spotka którego z tych towarzyszy okrętowych dążących do celu z rojenia-

mi złotych nadziei, a w starciu się z rzeczywistością złamanych i od samobójstwa broniących się powolném samobójstwem — butelką.

Można oddać p. Korzelińskiemu słuszność, że w krótkich słowach, kilkoma rysami, doskonale chwyta te rozmaite typy z jakiemi miał styczność — zdaje się nam, że spotkawszy je gdziekolwiek, powitalibyśmy je tytułem dawnéj znajomości — a jednak są to figury zupełnie nam obojętne; cóż je więc tak zajmującémi robi? Oto trafność charakterystyki, oto znajomość człowieka — dwa przymioty, na których najczęściéj zbywa naszym powieściarzom, mającym pretensyę malować społeczeństwo i znać ludzi.

Obok tych postrzeżeń nad pasażerami w ciągu długiéj żeglugi, urozmaica tę część opowiadania wiele zajmujących szczegółów i zdarzeń, jak przebycie równika, zwiedzenie wyspy św. Heleny, Przylądka dobréj Nadziei. Spodziewam się, że opis więzienia i grobu Napoleona zdjęty na miejscu przez potomka tych, którzy mu do ostatnich chwil pozostali wiernymi, nie będzie obojętnym dla naszych czytelników; tém bardziéj, że wartość książki lepiéj da się osądzić z próbek stylu autora, niż z podania treści będącéj niepodobieństwem, tam, gdzie

się przewijają wypadki, widoki, coraz nowi zjawiają ludzie, zwyczajnie jak w życiu, jeszcze do tego wśród zbiegowiska tłumów palonych żądzą zdobycia złota.

Zresztą ta wyspa samotna na oceanie — ten grób wielkiego człowieka — to budzi wznioślejsze uczucia i myśli, niż gorączkowa żądza wydarcia z wnętrza ziemi kilku ziarnek kruszcu — przy téj całéj operacyi najwięcéj cierpi szlachetna strona człowieka; cóż, kiedy obraz prawdziwy, tak melancholicznie upokarzający, iżby niemożna z zimną krwią nań patrzeć, gdyby autor nierozweselał go połyskami rodzinnego humoru, mającego nawet w minach Australii więcéj wartości niż złoto.... Ależ posłuchajmy jego odwiedzin na wyspie Ś. Heleny:

„Zaraz dnia pierwszego odprawiliśmy pielgrzymkę do grobu Napoleona. Dwie godziny szło się wciąż do góry ponad parów, w którym leży miasteczko; potém ponad przepaście głębokie skręcała się droga w lewo i spuszczała nieznacznie do małego jaru; w jego końcu spostrzegłem miejsce edwo 20 kroków w przecięciu mające, otoczone drewnianemi sztachetami, w kilku miejscach uszkodzonemi; — drżenie wzruszenia przebiegło po całem ciele przy przestąpieniu bramki niskiéj, bo tuż przedemną wierzba, pod którą siadywał wielki

człowiek; tu i grób, gdzie długie lata spoczywał pod strażą wart, jak za życia. Do grobu, blisko dwa sążnie głębokiego, schodzi się po stopniach; nad nim daszek z płótna, z jednéj strony rozdarty i kawałkiem deski założony — w koło sztachety żelazne, — te chylą się ku upadkowi, równie jak klasyczna wierzba podstrugana u spodu, z któréj każdy zwiedzający te miejsca, zwykł kawałek kory na pamiątkę unosić z sobą. Naokoło jaru kilka cyprysów i świerków, daléj pojedyńcze rzadkie sosny. — Familia mulatów mieszka w domku o parę staj odległym i bierze od każdego zwiedzającego grób mały podarek. Przybycie *Wielkiéj Brytanii* było żniwem dla biédaków, bo kiedyż to znowu trafi się tyle podróżujących razem! — Chyba przypadkiem zmuszony jaki okręt zawinie do téj samotnéj wyspy, na któréj zawsze spoczywać będzie urok budzący podziwienie a zarazem odrazę, jaką się czuje do miejsc, gdzie ludzie ludziom długie zadali cierpienia.... Na boku w obrębie sztachet rodzaj kapliczki, w niéj złożona księga do zapisywania nazwisk, uwag lub wierszy. Anglicy nieprzestają nigdzie poniżać sławę człowieka, przed którym niegdyś drżeli. Następującą uwagę przeczytałem przypadkiem, przeglądając księgę: „Mó-

wią, że Napoleon był wielkim! — być może — jednak nie tak wielkim jak Wellington, który go tu osadził.“ — Widziałem zapisane nazwiska księcia Joinville i dawnych towarzyszy więzienia Cesarza Napoleona, przybyłych na fregacie *Belle-Poule* po jego zwłoki, równie jak i wielką liczbę innych ze wszystkich prawie narodów.

„Na wzgórku w końcu jaru dom zamieszkały niegdyś przez jenerała Montolon, dziś hotel z napisem: „Fuler,“ hotel odpowiadający samotnemu miejscu urządzeniem, gdyż w nim ani kawałka chleba dostać niemogłem. Przed domem śliczne kamelie. Widząc drzewa 10 do 12 stóp wysokie z kwiatem różowym, niechciałem wierzyć, żeby to były kamelie, choć kwiat zupełnie był podobny do tego, który u nas tylko widzimy w wazonach. — Ztamtąd droga w lewo prowadzi do Longwood, miejsca, w którym przebywał więzień św. Heleny; — po półgodzinie przybyłem tamże. Dom stary, w którym żył i umarł Cesarz, stoi między parowami jakby na połoninie. Znowu za 6 pensów wszedłem przez rodząj ganku wspartego na dwóch słupach do jednego pokoju; był on bilardowym, teraz zastałem go zupełnie pustym; na lewo kominek, ściany zielono malowane, od góry do dołu okryte nazwi-

skálni zwiedzających. W drugim pokoju umarł Cesarz; o parę kroków na prawo, i prawie w połowie pokoju koło okna, ostatnia miejsca cierpienia ziemskiego — deska, na któréj łóżko stało, i kamień w ścianie, o który się opierało, zabrane do Paryża razem z ciałem. W tym pokoju stały żarna, tj. młynek ręczny do mielenia zboża. Drzwi przeciwne wiodły do pokoju jadalnego; — ciemny był zupełnie, okna musiały być skasowane. Na lewo niegdyś biblioteka, dziś tam człowiek jakiś młóci jęczmień. Na prost z jadalnego pokoju wychodziło się na dziedziniec; na prawo musiały być drzwi, zamurowane teraz, do sypialnego pokoju i łazienki, przerobionych na stajnię. — Z tyłu dom, w którym mieszkał Las Cases, a na dole doktór O'Meara, teraz kuchnia i pomieszkanie sługi właściciela Longwoodu. Koło tego domu było źródło wody sławionéj jako najlepsza w świecie; — piłem ją — prawda, że słodka i przyjemna a przytem zimna, wiele jednak źródeł wydaje podobną wodę; niewiem tedy, czy mój zmysł smaku niedosyć delikatny, czy ten, co przypisał własność nieporównaną źródłu temu, przyjechał prosto z Londynu i nieznał wody źródlanéj tylko filtrowaną okrętową.

Przeszedłem jeszcze raz pokoje; — z ganku

o parę set kroków przedemną dom jenerała Bertranda; naprzeciw niego inny nowy, obszerny, przywieziony z Anglii i postawiony dla Napoleona; on sam miał dać rysunek tego domu. Pokoje obszerne, z obiciem gustownèm w kolorach jednostajnych, bladawych, amfilada ładna, wszystko obmyślone do wygodnego życia. Gdyby go byli postawili w pierwszym roku pobytu Cesarza na wyspie, niebyłby cierpiał tyle w ciasnych klatkach starego domu; ten jest bowiem gorszym jak u nas na porządnym folwarku. —

Podumawszy nad znikomością wielkości, nawet takiéj jak była Cesarza Napoleona, wziąłem kawałeczek firanki w szmaty podartéj, i pożegnawszy te sławne miejsca, puściłem się napowrót do St. James-Town, dokąd przemokły dészczem i zmęczony dosyć późno przybyłem.“

Po półtrzecia miesięcznéj żegłudze, zawinął nakoniec okręt „Wielka Brytania“ do zatoki Melbourne — otóż i cel podróży: Australia! Niejeden radby wyskoczyć na tę ziemię, co ma być jego przybraną ojczyzną, a może i grobem, ale porachowawszy się z kieszenią, cofa się i widzi się zmuszonym czekać aż go przewieżą kosztem Kompanii. Pierwsze niemiłe wrażenie jakiego doznają

podróżni, są szalone ceny za najmniejszą potrzebę życia. Licha izdebka, którą dzielić się potrzeba z dwoma lokatorami kosztuje tygodniowo 4 dukaty; funt chleba dwa złote, jedno jajo złoty. Jakiś amator ostryg nowoprzybyły sądząc, że jak w Londynie kilka pensów za tuzin zapłacić mu przyjdzie, zabrał się do połykania specyału po dawnemu. Kupiec miarkując, że taki przybysz najczęściéj nie wiele przywozi pieniędzy ze sobą, przy szóstéj ostrydze zapytał go grzecznie: Pan zapewne niewiesz co tu ostrygi kosztują? — Nie mam potrzeby się pytać — odparł nowoprzybyły — bo jeżeli w Londynie tuzin kosztuje cztéry pensy, to tutaj dla braku rąk więcéj jak szylinga za tuzin, tj. trzy razy tyle, żądać nie będziecie. — Będziemy panie, będziemy, — odpowiedział kupiec. Tu każda sztuka kosztuje szylinga, tuzin zatem 12 szylingów czyli 24 złote. Otworzył usta zdumiały amator i jak mówią szósta ostryga zatrzymała się w drodze na takie *dictum acerbum*.

Można sobie wyobrazić trapiące myśli, jakie opanowały biédnych wychodźców, nieumiejących żadnego rzemiosła i nienawykłych do ręcznéj pracy. Co tu począć? do czego się wziąść?

Autor zachowując porządek w swém opowia-

daniu, poświęca jeden rozdział historyi Australii czyli odkryciom jéj i osadom, niemniéj bardzo ciekawe podaje szczegóły o dzikich plemionach zamieszkujących jéj lasy; z czego pokazuje się, że jest to rasa najniższa, nie już na skali cywilizacyi, ale na skali ludzkiego rodu. Lenistwo przechodzące wszelkie pojęcie; upodobanie w bezczynnem wałęsaniu się po lasach; chytrość i podstęp — oto rysy ich charakteru. Potrzebę życia zaspakajają polowaniem na kanguroo, oposuma, kaczki dzikie, węże itp. i w tem podziwiać należy nadzwyczajną ich zręczność. Kanguroo zabijają dzidą z drzewa twardego rzucając nią nadzwyczaj zręcznie na znaczną odległość, i bardzo rzadko chybiając celu. Do rzucenia dzidą, szczególniejszą przybierają postawę: stojąc na prawéj nodze, lewą podnoszą tak, że kolano, ze spuszczoną na dół niższą częścią nogi, formuje kąt prosty do ciała; na wyższéj części nogi jakby na ławce wspierają dzidę, a mierząc okiem bystrém odległość, prawą ręką posuwają naprzód i w tył dzidę, jakby dla większego rozmachania, poczem oceniwszy przestrzeń, którą ma przebiedz, ostateczny silny rzut nadają, a dzida zrywa się z nogi jak raca z kozła, świśnie w powietrzu i uderza w miejsce upatrzone. Broń

ich i użycie tak opisuje autor: Dzida wojenna, z tego samego drzewa jak dzida do polowania, jest od pierwszéj krótszą i grubszą i nazywa się *Wammara;* w pewnéj odległości od końca znajdują się haczki jakby u wędki, utworzone przez ości rybie, lub twarde kryształki przymocowane do drzewa kiszkami oposumów lub kanguroo. Sposób rzucania jéj jest także odmienny; już niewspierając na nodze nadają lancy wojennéj impet jak to robią z myśliwską, ale koniec tępy stawiają na kiju dwie stopy długim, na którego końcu wyrobiony dołek na lancę. Przeciwny koniec Wammary trzymany w ręku prawym nadaje popęd, na lewym, spoczywa reszta lancy. Tym sposobem rzucona przelatuje 80 do 100 łokci, rzadko jednak trafia daléj jak na 60. Inna broń zwana *boomerange*, najciekawsza ze wszystkich. *Boomerange* jest z twardego drzewa wyrobionego w formie półksiężyca, podobny do ryngrafa oficerów piechoty, niezadziwia kształtem lecz sposobem w jaki go rzucają. Niewiem, który koniec, i jak czarny trzyma w ręku. Rozmachawszy silnie rzuca półksiężyc o kilka kroków od siebie; ten uderza o ziemię, zrywa się jak gdyby popchnięty sprężyną, wznosi w znaczną wysokość, warcząc jak granat, opisuje

w powietrzu na parę set kroków koło nad głową stojącego czarnego akrobaty i wróciwszy pada na miejsce gdzie dotknął był ziemi. Zręczność zadziwiająca, siła rzutu niezwyczajna! Aczkolwiek dzicy ci są podszyci tchórzem, jednakowoż podróżni zapuszczający się w głąb lądów australskich, poginęli z ich rąk, a może téż poumierali z pragnienia w bezwodnych pustyniach. Australia cierpi na brak wody, i to podobno będzie największa trudność w opanowaniu jéj na korzyść kultury europejskiéj.

Rodacy nasi, przychodzący szukać tu fortuny, uczuli zaraz na wstępie, z jakiemi przeciwnościami będą mieli do walczenia. Słabo zaopatrzone kieszenie niepozwalały tu posługiwać się drugiemi — bo ze wszystkiego praca ręczna najdroższa w Australii; — trzeba więc było zrzucić pychę z serca i być sobie wszystkiem: i kucharzem, i lokajem, i furmanem i praczką. Nasz autor z właściwym sobie humorem opisuje jak gniótł i warzył kluski, jak robił zawijane zrazy; było to jeszcze pół biedy! — Lecz gdy wypadło mu być praczką, przeklął to kobiéce rzemiosło, a chociaż użył ułatwiających sposobów, otrzymał ten wypadek, że podarł bieliznę.

Nielepiéj poszło z wyprawą do kopalń w *Forest Kreek*. Mając wóz pod rzeczy przywieziony ze sobą z Anglii, kupili w Melbourne konia, aby go zaciągnął do kopalń: gdy koń nie ciągnął, kupili drugiego; gdy zaś oba niechciały ciągnąć, najęli sobie furmana z jednym dobrym koniem i tak dopiero połamawszy w dodatku osie, przebyli 80 mil ang. do miejsca swoich nadziei, ale zupełnie z pustym workiem.

Zapewne każdy z czytelników chciałby mieć wyobrażenie jak wyglądają te kopalnie nowego świata i jakie fizyonomie tych kopaczy złota? — Obraz ten oryginalny i malowniczy powtórzę słowami p. Korzelińskiego.

„Droga ciągnęła się parowem. Po obydwóch stronach na różnych punktach namioty, na górze i na dole, pod drzewami i na stroméj skale, na lewo i prawo, bez porządku i symetryi, w formie rozmaitéj bieleją się postawione podług fantazyi, gustu lub potrzeby właścicieli. Przed namiotami gdzieniegdzie ognie, a przy ogniach ludzie jednakowo ubrani. Okrągłe kapelusze z szérokimi brzegami, koszula w paski niebieskie, spodnie ze skóry angielskiéj, buty lub ciżemki ciężko kute żelazem, składają ich strój; a wszystkich prawie dłu-

gie brody okazują, że tu albo czasu nie ma do robienia toalety, albo nikt o nią niedba. Stoją zajęci rozmową, siedzą lub leżą na kupach ziemi lub piasku w różnych grupach. W ogorzałych twarzach trudnoby czytać uczucia, usposobienia umysłu lub skłonności. Wszystkie zdają się obojętne, ponure lub zamyślone. Prędzéj możnaby postacie noszące takie znamiona pod jedną wciągnąć rubrykę: *Buszrendzerów* (rozbójników), bo są bardziéj do tych podobnymi, jak do spokojnych ludzi ciężko pracujących pod ziemią.

„Środkiem parowu sączy się strumyk wody — przy niéj w różnych miejscach coś kopią, to znowu mieszają w kadkach lub kołyszą na jakichś kołyskach. — Tam znowu na przykucakach siedzi przy saméj wodzie jeden i huśta széroką okrągłą miednicę z białéj blachy; co on huśta? — co tam mieszają? — Oczywiście musi to być złoto; ale na co je tak niańczyć w kołysce i w rękach huśtać? Wszak czytaliśmy w Europie, że się wyciąga z dołów kawałkami?

„Doły widać wszędzie, okrągłe, czworograniasto-podłużne, szérsze i węższe, przy dołach żurawie jak u nas przy studniach; to znowu windy z korbami postawione przy samych dołach; tamte

spuszczając do dołu powróz opatrzony hakiem, — wyciągają na wierzch kubły z ziemią, te windują okręcając linę na wałku takie same kubły. Niektórzy sypią ziemię na kupy, inni w woreczki długie, a są i tacy, co ją prosto niosą do kadek. — Co to wszystko znaczy? Oczywiście trzeba będzie uczyć się tego; ale to się zdaje takie łatwe! bo cóż wielkiego kopać dół, wyciągać ziemię na wierzch, huśtać kołyską i mieć z téj zabawki złoto."

Tak to sobie rozumowali nasi nowicyusze, ale dość przeczytać ten opis prac i trudów połączonych z tylu przypadkami i zawodami, aby powziąść przekonanie, że cała ta robota zaledwo się wypłaca; jeżeli zaś który górnik był tyle szczęśliwym, że znalazł grubą bryłę, albo trafił na obfite ziarna, to go spotkał podobny traf jakby wygrał terno na loteryi.

Nasz autor i towarzysze jego nienależeli do liczby tych ostatnich; — jeżeli co zebrali, to nietyle przez wydobycie drogiego kruszcu, ile przez inne zatrudnienia. Był czas, że sam autor Opisu podróży znękany pracą i niepowodzeniem, wziął się do innego zarobku; — mając konia, najmował się do transportów i dobrze na tém wychodził, a później, gdy sobie zebrał jaki taki fundusz, zało-

żył sklep korzenny, i sprzedając po szalonéj cenie wino i mocne napoje, a nawet wodę, uzbierał tyle, że mógł wrócić do Europy. Słowem, wielkiéj trzeba było siły duszy i hartu ciała, żeby nieuledz przeciwnościom i zawadom, a najbardziéj żeby módz wytrzymać śród towarzystwa ludzi, złożonego z prawdziwych urwiszów od szubienicy, używających za ostatni argument rewolweru lub noża. Kto przeszedł takie piekło na ziemi, jak kopalnie w Australii i zachował nieskażony umysł i serce, może się za nieskażonego uważać!

Zapewne czytelnicy ciekawi wiedzieć, kto pierwszy podał myśl o istnieniu złota w Australii? — Niejeden ani przypuści, że pytanie to bliżéj nas obchodzi, niż się zdaje na pozór. Otóż rodak nasz Strzelecki, znany w świecie uczonym jako sławny podróżnik i naturalista, wskazał na ślad tych bogactw. Przed kilkunastu laty przechodząc znane miejsca w Nowo-południowéj Walii, równie jak w prowincyi Wiktoryi, robił poszukiwania geologiczne, wyciągając z nich nieomylne wnioski, że przestrzenie ziemi, szczególniéj ostatniéj prowincyi zawierają w sobie kruszec, który już nieraz sprowadził zbawienną kryzys do Anglii. — Strzelecki przeszedł góry Niebieskie, które, jak mówi autor,

nie są ani niebieskie, ani wysokie: bo obok naszych Karpat wyglądałyby jak pagórki. Jeden z wyższych szczytów nazwał Strzelecki górą Kościuszki; ma się on znajdować na pograniczu Nowo-południowéj Walii i prowincyi Wiktoryi o 50 mil od morza. Nazwa ta jest wieczną pamiątką jego odkrycia.

Raport Strzeleckiego o pewności znalezienia złota przesłanym został dnia 2. września 1840 r. do rządu angielskiego na ręce gubernatora Jerzego Gips. Niektórzy Anglicy zazdrośni sławy naszego ziomka utrzymują, że Edward Hargraves równocześnie ze Strzeleckim albo może i wprzódy istnienie złota w Australii objawił. — Tymczasem Strzelecki dotąd pobiera bardzo znaczną pensyę od rządu angielskiego, któryby przecież niebył tak hojnym, żeby się nieczuł w obowiązku wdzięczności. Od r. 1849 i 1850 liczba kopalń zaczęła się powiększać; napływ ludności z całego świata nurtował te lądy na wielu miéjscach. Dziś jest ich kilkanaście, jako to: Balarat, Forest-Kreek, Bendigo, Mount Couron, Mac Ivor, Jim Crow, Maryborough, Alma, i wiele innych. — Górnicy naszukawszy się złota w jednem miejscu, gdy nieznajdują zyskownych żył, przenoszą się na inne. Nasi rodacy również po kilkakroć zmieniali kopal-

nie. Dla tego autor przenosi czytelnika w różne strony i coraz w innem świetle pokazuje życie w kopalniach. Bardzo zajmujące i ożywione komiką są sceny towarzyskie między górnikami, co wyrzuceni z najniższych warstw europejskiéj ludności wyrobniczéj, przychodzą w Australii do bogactw i zaczynają zadzierać nosa, udając dobrze wychowane panięta. Jednę z takich figur pocieszuych pokazał nam w osobie pani Gayer, jakiéjś zapewne szlązaczki czy kaszubki, co najokropniejszym dyalektem polskim opowiadała o swojem wysokiem pochodzeniu i doskonałem wychowaniu. Złośnica, pełna grymasów, pretensyi do elegancyi i niechlujstwa, — zatruwała naszemu podróżnemu niejednę chwilę, zwłaszcza że się był połączył z jéj mężem w exploatowaniu kopalń.

Ileż to scen nieopowiada zabawnych o tym potworze w czepku! — rozweselają one nieraz smutne obrazy cierpień i trudów, doznawanych przy kopaniu złota, kiedy spuszczony w dół na kilkadziesiąt stóp głęboki stał w wodzie po całych dniach, głodny i upadający na siłach, a niewynagrodzony nawet szczęściem odkrycia obfitéj żyły, którąby od razu skończyłą mozoły, — Lecz taki traf spotyka najczęściéj niezasłużonych, jak owych dwóch de-

portowanych, pijaków z profesyi, co wydobyli *noget* wartości 8400 dukatów, i zaraz go w Melbourne przehulali, a powróciwszy w kilka tygodni do kopalń, nie mieli za co sprawić sobie łopaty. — Wszystko, co się tyczy dobywania złota, opisane tu z dokładnością i szczegółami, jakichby żaden zwykły turysta niepotrafił dostarczyć. Jestto więc doskonały przewodnik po Australii dla kogoś, co się nieustraszy czekających go tam przyjemności.

Autor nasz przeszedłszy przykre i lżejsze koleje życia w téj zapadłéj części świata, zatęsknił za Europą, i sprzedawszy swój handel, którym w ostatku się zajmował, odjechał do Melbourne, gdzie czekając na okręt płynący do Anglii, ulokował się tymczasem w domu pod napisem: *Polish Hotel*, trzymał go polski żyd Silberberg. — Jemu i jego rodzinie oddaje pochwałę za uczciwe prowadzenie się i pamięć dla ziemi, z któréj pochodzą. Nakoniec na żaglowym okręcie „Marco Polo" puścił się 27. marca 1856 r., i dla krótszéj drogi, bo miała tylko trwać 76 dni, opływał Cap Horn i mijał się z niebezpieczném sąsiedztwem gór lodowych, które jak olbrzymy zastępowały drogę kruchemu statkowi. Opatrzność dozwoliła mu wyminąć wszystkie okropności téj ogromnie długiéj

podróży, — wysiadł szczęśliwie w Anglii — wrócił na ziemię rodzinną, i teraz obdarzył nas opisem swoich przygód, tém powabniejszych, że pełne najwyższego interesu i niewymarzone. Język w opowiadaniu malowniczy, zdanie o rzeczach wytrawne, o ludziach niekiedy głębokie, jak człowieka co częste miewał z nimi styczności. Zgoła, zacząwszy raz czytać tę dwutomową książkę, trudno się od niéj oderwać — a skończywszy, długo zaprzątają umysł te obrazy australskiego życia, a nawet mogę powiedzieć, nigdy niewyjdą z pamięci. Pokazuje się, że ten tylko może wrażenia swoje przelać, kto je czuł mocno, lub czynny miał udział w tém, co opowiada.

TRAGIEDYE RASYNA.

Protestacya przeciw klątwie romantycznéj. — Rasyn po polsku. — O Kopystyńskim i jego tłumaczeniach. — Jakim trudnościom podlega przekład francuskich Klasyków. — Banicya wyrazów. — Anegdota o Bossuecie i o kurze. — W czém wyższość tragików francuskich nad nowoczesnymi?

Może więcéj jak od trzydziestu lat nazwisko Rasyna zostające pod klątwą rzuconą przez romantyków, nigdzie się u nas nieśmiało pokazać. Jeżeli je czasem wspomniano, to nawiasowo, kiedy było doniesienie o jakim tryumfie teatralnym panny Rachel; jeżeli mu pozwalano ożyć w pamięci, to jak Piotrowinowi, o którymby niewiedziano bez cudu Św. Biskupa. Cud talentu Racheli wskrzesił Rasyna — przynajmniéj we Francyi, gdzie się ujęto za tą sponiewieraną wielkością, i postawiono znowu na piedestale z którego ją były zepchnęły szumne przedmowy Krómweliczne*).

*) Wiktor Hugo w przedmowie do swego Krómwela.

Pokazało się, że gwałtowne reakcye tak w polityce jak w literaturze bywają stanem przechodnym — że zbytnie parcie w jeden punkt lub w jednę stronę, zużywa się i nuży, z czego ta korzyść, że w umysłach powstaje spokojna, głęboka reflexya, oparta na trwalszéj podstawie niż namiętność i szał; ona to zaprowadza porządek i osadza każdą rzecz na właściwém sobie miejscu.

Należało téż pomyśleć i o nieszczęśliwym Rasynie ze wszystkiego wyzutym, i to nie na pożytek żyjących, ale na korzyść angielskiego traika! Że bożyszcza dzienne doznają podobnych względów lub gniewów opinii — łatwo się tłómaczy; lecz za cóż wielkości spoczywające w grobach od kilku wieków wywłóczyć i ucinać im głowy? Nielepiéjże zmierzyć je i zważyć, a tém samém rozwiązać pytanie: Co im dało ten wpływ, co ich robiło wielkimi przez tyle set lat, wreszcie czy wartość ich była względną do czasu, w którym żyli, czy téż zostanie po wszystkie wieki wartością?

Kiedy w nowszych czasach zaczęto uważać literaturę w ścisłym stosunku z historyą — znalazła się sprawiedliwość i dla Rasyna. Wytłómaczono ówczesny stan wyobrażeń, stosunek poety do dworu Ludwika XIV., pokazano przymioty i piękności,

które mu pozostaną; toż strony ujemne, od których byłby się zapewne uwolnił nieżyjąc w okolicznościach, w których żył. Dzisiaj razi nas forma jego, zbyt sztuczna; razi brak akcyi, nudzi wielość słów choć pięknie powiedzianych — ale dlatego postawiony wśród swoich ludzi i w swoim czasie, nieprzestaje być tak wielkim, jak wielkim był Ludwik XIV.

Mimo uszanowania jakie mam dla niepospolitych ludzi każdego narodu i epoki — niewiem zaprawdę, czy kiedy budziła się we mnie żądza skruszenia kopii na cześć francuzkiéj trajedyi i jéj reprezentanta Rasyna. — Walczyć pod jego godłem niebyło dziś przyczyny; nasza literatura przestała od dawna szukać w nim wzoru — i niemyślę o to robić jéj procesu; jak znowu niemiałbym za co przyklaskiwać, że w pewnych momentach krążyła koło niego jak ziemia około słońca. Literatura polska pragnąca dziś trzymać się o własnych siłach — zobojętniała dla Rasyna. Jednakowoż nieidzie za tém, abyśmy przy danéj sposobności niemieli potrzeby zastanowić się bliżéj nad przymiotami i naturą pisarza entuzyazmującego ojców naszych, mającego w świecie moralnym przyczynę bytu; zasługującego wreszcie zawsze być czytanym,

choćby dla zrozumienia czém się różnimy od przeszłości, w czeméśmy postąpili a w czém spadli.

Sposobność tę znalazłem w świeżo wydanym przekładzie *Celniejszych trajedyi Rasyna* przez Wincentego Kopystyńskiego.

Nazwisko tłumacza zmarłego od lat kilkunastu lubo nieznane w świecie piśmiennym, od razu zdobywa sobie wcale zaszczytne miejsce obok Morsztynów, Dmóchowskich, Osińskich, Mierów, Kruszyńskich — a nawet, więcéj powiem: tamci tłumaczyli po jednéj lub dwie trajedyi, kiedy Kopystyński przetłumaczył wszystkie, ma się rozumieć zasługujące na przekład; gdyż o Tebaidę, Alexandra, Esterę, niemamy się co upominać. Krótko mówiąc, literatura nasza wzbogaciła się jednym dobrym przekładem obcego autora.

Kto był Kopystyński? dowiadujemy się z przedmowy napisanéj z rzadką trafnością; z niéj to podaję szczegóły jego żywota.

Wincenty Kopystyński herbu Leliwa, urodził się we wsi Topolnicy pod Samborem r. 1763. — Uczył się pod Jezuitami, potem w szkołach zaprowadzonych przez rząd austryacki; które skończywszy wstąpił do służby publicznéj w urzędzie komornika granicznego. Jedyny to był rząd obywa-

telski. Przez lat ośm do roku 1804 zostając w tym obowiązku, złożył go, szukając dla siebie pomyślniejszych widoków w gospodarstwie rolném.

Zaszczycany przyjaźnią i względami możnych obywateli, którzy w nim cenili charakter i naukę, znalazł środki wzięcia obszernych dóbr w dzierżawę. Szczęście sprzyjało mu, a majątek wzrastał szybko przez wzorowo i spekulacyjnie prowadzone gospodarstwo na wielki rozmiar. Ożenił się najpierw z panną Trzcińską, a gdy ta zmarła, pojął powtórnie Annę hrabiankę Karśnicką. Z nabytkiem majątku rozszérzyło się koło interesów. Kopystyński sam kierował wszystkiem w rozległych dobrach, będących jego własnością; znajomi dziwili się bystrości jego umysłu, i pojąć niemogli jak temu wystarczał. Gdy się dziwiono téj nadzwyczajnéj czynności, miał zwyczaj odpowiadać wierszem z Mitrydata:

„Razem wszędzie potrzebna jest moja przytomność."

Śród tych zajęć oddawał się literaturze w czasach kiedy jéj stan w Galicyi był najsmutniejszym. Wychodziło parę zapomnianych dziś pisemek peryodycznych, a książka wydana we Lwowie liczyła się do osobliwości. Była to epoka przedmickiewiczowa, — żywiono się samemi tłumaczeniami. Dość

było jedną trajedyą Kornela, Rasyna, Crebilona, lub Woltera przełożyć, aby osiąść na Parnasie. Kopystyński, jak się pokazuje więcéj miał woli i energii niż jego współcześni, kiedy postanowił dokonać przekładu całego Rasyna — i dokonał go. W r. 1818 wygotował Andromakę, Atalię, Berenikę i Brytanika, późniéj Ifigenię, Fedrę i Mitrydata. Praca ta, wymagająca starannéj pilności i mozolnéj ogłady, stoi daleko wyżéj niż te na pytel robione tłumaczenia jakiemi księgarze warszawscy częstować zwykli publiczność. Tamto rodzaj spekulacyi, kiedy tu była miłość artysty, rozkochanie się w ulubionym traiku. Zaprzyjaźniony z Janem Nep. Kamieńskim, tłumaczem Szyllera, zasięgał rady jego w trudnościach. Obydwa musieli się zagrzewać do tłumaczeń, utrzymywać w tém powołaniu, sponiewieranêm może przez jaką wątpliwą oryginalność. Wiersz Kamieńskiego zdaje się na tę myśl naprowadzać, gdy mówi:

Jeżeli wieszcze są narodu sławą,
Pierwsze zaszczytów zabierają stopnie;
Tłumacze równe do nich mają prawo,
Że obce skarby niosą w dom pochopnie...

Bardzo słuszna uwaga; trzeba tylko żeby skarby te niebyły sfuszerowane; inaczéj bowiem na liche tłumaczenia szkoda czasu i atłasu.

Autor wiadomości téj o Kopystyńskim, wylicza następnie szereg tłumaczów Rasyna, z tych znaczniejsi: Stanisław Morsztyn, Trembecki, Węgierski, Wojciech Turski, Adam Rzyszczewski, Kruszyński, Wojciech Mier i Stanisław Jaszowski. W téj liczbie jednak niewidzimy dwóch najlepszych tłumaczów: jenerała Morawskiego i Fr. Salezego Dmochowskiego.

Przekłady Kopystyńskiego bywały przedstawiane na teatrze i tak: Fedrę grano w Warszawie roku 1822 — w tymże roku i następnym Fedra i Mitrydat pokazały się na scenie Lwowskiéj — lecz jedna tylko Fedra wyszła drukiem za życia tłumacza w r. 1825. Można przypuszczać, że wtenczas miał zamiar cały przekład ogłosić — alić zdemoralizowany groźném wystąpieniem romantyków, schował rękopis, przekazując go więcéj wyrozumiałéj przeszłości. Namowy i nalegania przyjaciół, aby wydawał przekład, niezachwiały go w postanowieniu. Rozumiał ducha czasu i jako ojciec dbały o swą dziatwę, drżał o szorstkie przyjęcie w świecie opinii literackiéj, albo co gorsza, obawiał się aby praca jego nieprzeszła bez zwrócenia na siebie niczyjéj uwagi.

Dodaje biograf, iż Kopystyński zostawał w cią-

głych stosunkach z ludźmi uprawiającymi literaturę, należąc do różnych towarzystw naukowych jak krakowskie i warszawskie — czy je zasilał swemi pracami? niewiadomo. Wszakże przy fundowaniu zakładu narodowego Ossolińskich we Lwowie złożył i on swoją ofiarę na ołtarzu dobra publicznego, zapisując 500 dukatów na pomnożenie funduszu bibliotecznego, z tém zastrzeżeniem, że gdyby rząd krajowy miał fundusze biblioteki na inny użytek przeznaczyć, lub pod swoją administracyę odebrać, wówczas zapis jego zupełnie upada i przestaje obowiązywać sukcesorów itd.

„Zacny ten mąż przez całe życie oddany pracy, nauce i cichym cnotom obywatelskim, godzien pozostać w pamięci ziomków" — tak kończy biograf — podając datę jego śmierci zaszłéj we Lwowie d. 3go października 1839 r.

Porównywając przekład Kopystyńskiego z tandetnemi tłumaczeniami klasyków zagranicznych w Niemczech, gdzie się pysznią tém, że wszystkie lepsze płody literatur całego świata mają po niemiecku — naszemu tłumaczowi trudno nieprzyznać wyższości sumiennéj pracy i talentu. Rzadkie znajdą się wiersze, w którychby niebyło precyzyi, rzadkie zaniedbanie rymu i wysłowienia — wszędzie wi-

dać, że tłumacz usiłował tak przepolszczyć oryginał, aby nieznać było, że to tłumaczenie. Czyta się téż płynnie, czystością mowy wprawdzie niezawsze zwięzłéj i obrazującéj; lecz zawsze gładkiéj i przyzwoitéj pociągając ku sobie. Niesądźmy jednak żeby tłumaczyć Rasyna, było tak łatwem zadaniem, jak się niejednemu zdaje; są tam cieniowania myśli, delikatności uczuć niezmiernie subtelne, w których oddaniu niemożna ani na włos przesadzić: bo się zrobi szum nadętości — ani na włos niedosadzić, co naraża na płaską prozę.

Trzeba mieć niezmiernie czułe ucho na takt przyzwoitości, aby niepowiedzieć czegoś, coby raziło, — jedno słowo psuje ten efekt najpatetyczniejszéj sceny. Śmiano się z Rasyna, że on nie tém błyszczy co mówi, tylko tém, że wie czego mówić nietrzeba. Jest w tém wiele prawdy; poezya z uniesieniem słuchana na wykwintnym dworze niemogła być inną. Nieprzeszkadza to jednak żeby niebyło w Rasynowskich trajedyach scen pełnych namiętnego ognia — lecz w tych, jakaż powściągliwość słowa, jaki ton zachowany! Owe gromy teatralne, owe krzyki serca, bez których trajedya byłaby niemożebną, tak są u niego przygotowane zdaleka, tak w chwili stanowczéj kontrastują z tém,

co je otacza, że robią nierównie większe wrażenie na widzu, niżeli w nowszych sztukach mogą zrobić tortury, morderstwa, bitwy, otrucia i inne fizyczne gwałty. Rasyn działa tylko na moralną stronę — kiedy romantycy chcą działać na nerwy i zmysły. Otóż w patetycznych zwykle bardzo trudnych scenach, jak mogłem tu i owdzie zauważać, przekład Kopystyńskiego szczęśliwie pokonywa wszystkie trudności — i chyba zbytkiem wierności grzeszy — bo często mógłby sobie pozwolić silniejszych kolorów i treściwszéj mowy. Weźmy między innémi tę scenę gdzie Fedra płomienistymi rysami malując niepohamowaną szaloną miłość dla Hipolita, zapomina w szale namiętnym o obowiązkach, dobréj sławie, a nawet o godności niewieściéj. — Hipolit słucha wyznania i ognistych wyrażeń nie bierze do siebie, ale je stosuje do swego ojca Tezeusza małżonka Fedry. Podaję ten ustęp jako próbę przekładu:

Fedra do Hipolita.

Książę! *pałam czułością!* Kocham Tezeusza!
Zajął mię... o! nie taki, jaki w piekła wchodził,
Co lekkomyślny tylu łatwowiernych zwodził,
Co nawet boga zmarłych chciał znieważyć łoże....
Ale wierny, stateczny, nawet *dziki, może*
Wdzięczny, młody, co serca pociąga do siebie!

Jak nam malują bogów.... lub jak widzę ciebie!
Miał twój głos, twoje oczy, twoją postać całą!
To szlachetne spłonienie w twarzy mu jaśniało,
Gdy przez morze do naszéj przeprawiał się Krety!
Godzien rozczulić córki Minosa... niestety!
Coś czynił wówczas? jaki powód mu przeszkadzał
Wziąść cię z sobą, gdy wybór rycerzy zgromadzał?
Czemużeś wtedy jeszcze niewszedł razem z niemi
W okręt, którym do naszéj przypłynęli ziemi?
Ty byłbyś zgubił tego kreteńskiego smoka,
Chociaż go okrywała jaskinia głęboka!
Od zbłądzenia w niéj byłbyś dla pewnéj obrony,
Nieszczęsną mojéj siostry nicią uzbrojony...
Lecz nie... jabym ci pierwéj w obronie stanęła!
Mnie to, mnie taką myślą miłość by natchnęła,
Jabym to, ja o twoje życie pełna trwogi,
Przywiodła cię z obłędnéj labiryntu drogi!
Dla ciebie czułość jakich środków się niechwyci!
Mogłażby twa kochanka ufać jednéj nici?...
Abyś niebezpieczeństwa twoje dzielił ze mną,
Byłabym nawet poszła w tę przepaść podziemną!
Fedra w niéj zasłaniając ciebie sama sobą
Lub byłaby zginęła, lub z niéj wyszła z tobą!

Hipolit.

O Bogi! co ja słyszę?...; Fedra zapomina
Że Tezeusz w niéj żonę a we mnie ma syna...

Fedra.

Książę! zkądże ten wniosek o téj niepamięci?
Czyliż Fedra tak łatwo swą *chwałę poświęci*?

Hipolit.

Pani! daruj mi.... widzisz ile się rumienię,
Że śmiałem z tak niewinnych słów mieć podejrzenie...
Wstydzę się... wzroku twego znieść niebędę umiał...
Odchodzę...

Fedra.

Ach! okrutny! nadtoś mię zrozumiał!
Dość wyrzekłam, ażebyś niezostawał w błędzie...
Poznaj Fedrę! Szaleństwo jéj niech jawném będzie!
Kocham!.... niesądź że mimo takie zaślepienie,
Zdolnam sumieniu memu nakazać milczenie,
Że tę, która do straty zmysłów mię przywiodła,
Szaloną miłość, we mnie roznieca chęć podła...
Mściwości niebios przedmiot nieszczęśliwy widzisz!
Więcéj ja siebie, niźli ty mnie nienawidzisz.
Wzywam świadectwa bogów, *za których natchnieniem*
Cały ród mój tym samym goreje płomieniem!
Tych bogów co się chełpią okrutną ztąd chwałą,
Że się słabéj kobiéty serce uwieść dało!
Ty sam wiesz... jest ci w świeżéj pamięci rzecz cała...
Niedość było uniknąć, — z kraju-m cię wygnała!
Chcąc zmyśloną ku tobie niechęcią się łudzić
I aby ci się oprzeć — twą nienawiść wzbudzić.
Jakiżem owoc starań daremnych odniosła?
Mój płomień się niezmniejszył — twa nienawiść wzrosła,
Twoje nieszczęścia *nowych wdzięków* tu przydały...
Mnie ogień trawił, oczy z łez nieosychały!

Byłbyś poznał i uczuł moje udręczenie,
Gdybyś mógł zwrócić we mnie choć jedno wejrzenie.
Co mówię! . . . to wyznanie, wyznanie niegodne!
Maszże za dobrowolne, z chęcią moją zgodne?
Drżąca nad losem syna, przyszłam błagać o to,
Ażebyś raczył słuszny sąd mieć nad sierotą!
Próżnom tyle miłości chciała stłumić w sobie;
Z tobą mówić nie mogłam jak tylko o tobie. . .
Mścij się! . . . tak podła miłość niech karę odbiera!
Ukarz mię słusznie godny synu bohatéra!
Oczyść świat z téj poczwary, która gniew twój wzrusza. . .
Hipolita śmie kochać wdowa Tezeusza!
Ta poczwara niech twojéj zemsty nieuchodzi!
Tu serce! . . . ręka twoja niechaj tu ugodzi! i t. d.

Porównywając tę scenę z oryginałem popodkreślałem miejsca słabsze czyli takie, gdzie tłumacz wziął o parę tonów niżéj niż Rasyn: jak np. wiersz: *Szaloną miłość we mnie roznieca chęć podła*, niższa jest od francuzkiego: Ma lâche complaisance ait nourri le poison (de l'amour), albo: *I aby ci się oprzeć twą nienawiść wzbudzić* — o ileż dosadniéj w Rasynie: Pour mieux te résister j'ai recherché ta haine. Na tym języku tak wytwornym, tak wypracowanym: bo zastępującym akcyę, stoi cała trajedya francuzka. Dlatego przekład Rasyna zawsze będzie należał do wielkich trudności; Kopystyński umiał je pokonać, lecz w tak mozol-

néj pracy nie jedno lżéj puścił. — W tłumaczeniach autorów mniej konwencyonalnych, nieuważałoby się na podobne usterki, a więcéj pytałbym czy duch oryginału, koloryt, dykcya, jego odrębne cechy i charakter schwycony; dla téj to przyczyny niemożna tak bardzo powstawać i na krytyków Księstwa Warszawskiego, że w utworach ówczesnych ścigali tylko źle ulane wiersze, niefortunne rymy lub wyrażenia nieszlachetne. Właśnie na tém stała połowa poetyki francuzkiego klasycyzmu. Jeżeli taki Wolter, co był wyrocznią Parnasu w przypisach swoich do Kornela, śmiał skazać przynajmniéj dwie trzecie części wyrazów używanych w poetycznéj mowie na wygnanie — za to, że nieszlachetne, cóż się dziwić późniejszym krytykom, co za przykładem Woltera zastosowywali poetykę Rasyna w praktyce?

Dziwny, sprzeczny z prawdą życia ludzkiego system, podzielił to życie na dwie połowy: w jedną połowę zamknął heroizmy, katastrofy, zbrodnie, w drugą ułomności, śmieszności, dziwactwa, występki, i pierwsza dostała się w podziale trajedyi, druga komedyi. — Jak w etykiecie dworskiéj, była reguła ściśle przestrzegana w trajedyi żeby każdy człowiek był koniecznie poważnym i patetycznym, —

nigdy w niéj nie widziano ani głupca, ani skąpca, ani tchórza, ani żarłoka. Do téj powagi stosował się język — jeżeli na pokojach wersalskich cedzono i dobierano słówka — tém więcéj musiano je dobierać w trajedyi, w któréj największym grzechem było nazywać rzeczy po ich nazwisku. Zasada ta rozciągała się i daléj: bo nawet do wymowy kaznodziejskiéj. Bossuetowi wypadało powiedzieć mowę pogrzebową, na śmierć Anny Gonzagi. Prowadziła ona żywot rozwiązły i bezbożny, gdy senne widzenie nawróciło ją na drogę cnoty. Otóż opowiedzenie tego snu nabawiło Bossueta niezmiernego kłopotu, bo do snu wchodziła kura z kurczętami; a nazwać kurę w obec dworu — to nieprzebaczona śmiałość! Kaznodzieja rad nierad musi wykrztusić zabijający wyraz. — Cóż więc robi? Zdaleka, ostrożnie, przygotowuje się, obchodzi, winę zwala na Pana Boga „który prawdy swoje ogłasza w taki sposób i pod taką figurą, jaka mu się podoba; poczém dopiero zaczyna sen opowiadać: „Wtém pokazuje się jéj...!“ tu znowu uciął — Pan Bóg, to jeszcze niedostateczna dlań powaga; gdy szczęściem przypomina sobie że Chrystus w Ewanielii porównał się do kury... Wzywa więc tego argumentu i mówi: „Wtém pokazuje się jéj to, czém

Jezus Chrystus niewzgardził chcąc nam dać obraz swojéj czułości — pokazuje się jéj *kura*...“

Przytoczyłem umyślnie tę anegdotę, bo ona maluje pod jakiem jarzmem dworskiéj etykiety stali wszyscy, stał i Rasyn poeta obdarzony talentem. Powie kto, czemuż pchał się do dworu? czemu niepisał wolny od tych wpływów? — Zapewne, ale wielkie pytanie, czy dzieła jego zyskałyby jakąkolwiek wziętość; czy kiedykolwiek dostałyby się na deski teatrów? Utwory jego możeby potomność oceniła godnie — ale współczesność przenikniona na wskróś wyobrażeniami dworu, niepoznałaby się na nich — a któryż poeta mógłby wytrwać bez współudziału żyjących? Obojętność zabiłaby w nim wiarę w samego siebie.

Z dworu tylko, ze stopni tronu, wychodził wszelki ruch umysłowy; z tego téż miejsca patrzeć trzeba na Rasyna, aby niepopełnić niesprawiedliwości w sądzie o nim. Człowiek, o którym mówią, że powiedział: *L'Etat c'est moi*, mógł równie powiedzieć: literatura, sztuki piękne, zgoła myśl mojéj epoki — to ja jestem. Niemyślmy wszakże, żeby oświata i kultura ówczesna zupełnie się wyzuła z swojéj samodzielności na karb smaku i osobistych opinii panującego; o tak oryentalny

despotyzm niemożna obwiniać ani Francuzów, ani Ludwika XIV; pojmować tylko trzeba w ten sposób, że w owym królu, w jego świetnéj osobie, najwybitniéj skupiały się opinie, gusta, pragnienia i dążności owego czasu. Była to w pewnym względzie uzurpacya, ale taka, jaka się wyższości należy. Ludwik, dusza dworu, umie natchnąć urokiem i dowcipem kobiéty; męztwem i grzecznością ludzi rycerskich; emulacyą, a nawet jeniuszem artystów. Dworacy żyją i umierają w promieniach jego spojrzenia.

Pod takim panem jakaż mogła być literatura? Przyznawszy, że utwory ówczesnego piśmiennictwa są tylko odbłaskiem wykwintnych obyczajów wersalskiego dworu, gdybyśmy nic nadto przyznać niechcieli — natenczas byłby to przedmiot godny ciekawości historyka i nic więcéj; podobnie jak owa poezya trubadurów zatrudniająca dziś filologów i archeologów — a namniéj poetów: bo ci nieznajdą żadnego dla siebie pożywienia w tych oklepanych myślach, dzierżganych najdzikszemi kombinacyami i igraszkami rymów. Myliłby się, ktoby do tego poziomu chciał sprowadzić literaturę wieku Ludwika czternastego. Przeciwnicy rzucając na nią pioruny, zapomnieli, że dwa potężne wpływy

wykołysały ją na olbrzyma, który przez parę wieków dawał ton całemu światu. Pierwszym z tych wpływów było chrześciaństwo, które wsiąknąwszy w naród w wiekach średnich, pozostawiło w umysłach skłonności, nawyknienia, zgoła całą sferę wyobrażeń. Człowiek zaczynał żyć nie samem zewnętrznem, ale głównie wewnętrznem życiem — badał się, roztrząsał, dochodził przyczyn namiętnych porywów; słowem, czując nad sobą oko sprawiedliwości Bożéj, robił ścisły z sobą rachunek.

Ztąd to widzimy, szczególniéj w Rasynie, ogromną znajomość poruszeń namiętnych, subtelną i głęboką analizę serca; ową uczuciowość i tkliwość ciągle tłumione, a właśnie dla tego tak potężnie, tak burzliwie wyrywające się. Proszę mi w nowszych płodach, czy w dramatach, czy w romansach pokazać choćby jedno nowe motywum szczególniéj z rubryki miłości, któreby się nieznalazło w Rasynie ujęte i wydane w tych delikatnych sytuacyach zamkniętych u niego w niedostrzeżonym geście, w podniesionym lub stłumionym głosie? Dziś nic więcéj niezrobiono, mimo hałaśliwych przechwałek, tylko, że co u Rasyna więziło się w słowie, w pompatycznie utrefionym aleksandrynie — teraz wyraża się przez akcyę, częstokroć tak

nędzną i wyśrubowaną, że mimo pretensyi do Szekspiryzmu, nieobstoi za parę pięknych wierszy klasycznéj trajedyi...

Drugi rodzaj wpływu szedł od starożytności grecko-rzymskiéj. — Mylnie obwiniano wiek Ludwika XIV., że starożytnych niewolniczo naśladował — przeciwnie był to grzech szesnastego a nie siedmnastego wieku; — ostatni ten wziął tylko ze starożytności, co mu potrzeba było do wejścia na tor wielkich tradycyi; trzeba mu było parnaskiego kodeksu i wziął: zdrowy rozsądek, czysty smak, harmonię i jedność w całości. Zastanowiwszy się spokojnym umysłem nad całą tą literaturą, znajdziesz tam naturalność, trafność i dobór cząstek składowych szczelnie spojonych — jest to spuścizna po Grekach i Rzymianach. Prąd religijny, wonny, rozgrzewający, tchnie z tych utworów, a poznasz, że w sercu poety ma źródło i nie jest skutkiem refleksyi. Jedną jeszcze pozwolę sobie uwagę dla tych, co pomiatali Rasynem. Kto go czyta z uwagą, choć może uczuje dziś nudę, bośmy do innéj strawy przywykli, przekona się, że tak Kornel jak on, zarówno szukają źródła swéj potęgi natchnień w naturze moralnéj. Uważajmy jak ich mało obchodzi widok zewnętrznego świata, ruch

materyalny na scenie i ten koloryt jakiego dostarcza historya. Ich obrazy nie są portretami lecz typami; są to pomysły, co z ich rąk dostały ciało i rysy. Trajedya Rasynowska niewciąga w siebie żywiołów surowéj rzeczywistości aby je przerobić na ideał; lecz przeciwnie, chwyta myśl w zarodku i rozgrzewa ją dopóty pod sercem, dopóki nie zadrga życiem. Zapewne z téj zasady wyrodziła się forma dla naszych czasów za nudna, wyrodziły się niepodobieństwa sceniczne — ale sama treść, jądro rzeczy, godne poszanowania — zwłaszcza w epoce jak nasza, co tak się zżyma na materyalizm, a pozwoliła grubemu realizmowi wygodnie rozpierać się w literaturze.

JULIUSZ CEZAR I SZEKSPIR.

Jak tłumaczyć obcych autorów? — Moda przekładów wierszem białym. — Szekspir nieusprawiedliwia morderstwa Cezara. — Tłumacz polski usiłuje podnieść charakter Brutusa. — Stanowisko rzymskie i ludzkie. — Szekspira należy brać jak jest, nieprzypisując mu wyrafinowanych spekulacyi.

Ostatniemi czasy rzucono się u nas pilnie do przekładania Szekspira; przekład bowiem Hołowińskiego, wydany przed lat dziesiątkiem, był ciężki, zawiły i prawie niepodobny do czytania. Jakoż w Warszawie drukuje się przekład Paszkowskiego o wiele przystępniejszy; o kilku gotowych przekładach zostających w rękopisie dochodzą nas posłuchy; a przekłady pojedyńczych dramatów pojawiają się od czasu do czasu. — Usiłowania te różnéj są wartości, odpowiednio do talentu tłumaczów; to jednak pewna, że ze wszystkich teoryi tłumaczenia najlepsza ta będzie, która połączy w sobie głębo-

kie pojęcie oryginału, z oddaniem go w taki sposób, żeby czytelnik niebył rażony ani obcemi zwrotami mowy, ani tą nienaturalnością toku, jaka zazwyczaj cechuje niewolnicze przekłady. Lecz i tu możnaby pewien podział zaprowadzić: Szekspir w polskim języku oddawna już był powinien zająć miejsce w szeregu przekładów z obcéj literatury, a jednak dotąd niemamy całego. Czemuby to przypisać? Oto niewyrobionym pojęciom co do sposobu, jakim obce dzieła przekładane być powinny. Pierwszy warunek, ile sądzę, aby największą liczbę czytających poznajomić z autorem; a to łatwo da się osięgnąć niepretensyonalnem tłumaczeniem prozą, ma się rozumieć dobrą prozą, która może być lepszą od miernych wierszów rymowych czy nierymowych. — Wprawdzie prozaiczna forma zdziera wiele piękności i uroków z szaty poezyi, lecz zawsze zostają w zysku najgłówniejsze rzeczy: osnowa, pomysły, kompozycya całości. Francuzka literatura przyswoiła sobie tym trybem arcydzieła literatur obcych, nietylko samym podrzędnym pisarzom zostawiając ten brak do zapełnienia; lecz częstokroć powołując najjenialniejsze umysły do wywiązania się z zadania. Jeśli Chateaubriand mógł podjąć się tłumaczenia Miltona

Raju Utraconego prozą, a Guizot Szekspira, a Barrante Szyllera, dla czegobyśmy w naszéj literaturze niemieli starać się o uzupełnienie przekładów arcydzieł obcych tą samą metodą? Przez to bardziéjby wzrosła znajomość najlepszych wzorów, — myślby się bogaciła, rozszerzył horyzont wyobrażeń, a co najważniejsza, niebralibyśmy tego za nowość, co przed nami i lepiéj i szykowniéj kto inny wypowiedział. — Ten rodzaj tłumaczeń odpowiada potrzebie oświecania się i kształcenia, jednakże niewyklucza tłumaczeń, które nazwałbym artystycznémi; — takowe mogą być dokonane czy częściowo, czy w zupełności przez wyższe talenta i z tą doskonałością porywającą, z jaką Mickiewicz oddał Giaura, Słowacki: Xięcia Niezłomnego. — Tacy mistrze zwykli wyżsi nad pedantyczne szkólne teorye, sami tworzą metodę. Niepowiadają sobie z góry: Kalderon pisze po hiszpańsku assonancami, więc po polsku trzeba starać się o assonance, choćby takowe w naszéj mowie były prawdziwemi dissonancami; lecz po prostu przejęci wzorem swoim, tak go odlewają w języku ojczystym, że wszystko się znajdzie co w pierwotworze: prąd natchnienia, moc wyrażeń, wdzięk dykcyi, charakter narodowy, prócz jednéj śmiesz-

ności podrzeźniania form i dźwięków, czy to greckich, czy hiszpańskich, czy angielskich, jak to trafia się w przekładach niemieckich szczycących się taką wiernością, że prędzéj przy małéj znajomości jakiego języka można oryginał rozumieć, niż przy dobréj znajomości niemczyzny przełknąć niefortunne tłumaczenia. Dość tu przypomnieć przekład Pana Tadeusza przez Spaciera, a z tego możemy z małym wyjątkiem powziąść wyobrażenie o tłumaczeniach podług metody niemieckiéj, która się zaczyna u nas przyjmować, nieprzynosząc najmniejszéj korzyści literaturze: bo mało znajdzie się odważnych, aby chcieli przełykać koszlawe wiersze, bez żadnéj harmonii, a zawiłe składnią i szykiem godnym najlichszéj prozy. Jeżeli podobne tłumaczenia mają pretensyę do artystyczności, to wolelibyśmy, szczerze mówiąc, zwykłą poczciwą prozę, niż jakieś tam hexametry, jamby, assonance lub parallelizmy, obce uchu naszemu, obce naturze języka. Zwolennikom téj metody uwidziało się, że chociaż dotąd nie były te formy w używaniu, to je można przyswoić literaturze, biorąc je gwałtem z obcych literatur; lecz mylą się wielce: bo stworzenie nowych form nigdy niebyło dziełem miernych tłumaczów, ale oryginalnych twórców, nada-

jących świeżéj myśli świeżą formę, o jakiéj pewno ani się im śniło.

Do uwag powyższych pobudziły mię niektóre nowe próby tłumaczeń tak ze starożytnych jak nowożytnych autorów, wypadłe wcale nieszczęśliwie; szczególniéj zaś nietyle samo tłumaczenie, ile Słowo od tłumacza, umieszczone na wstępie do przekładu Szekspirowskiéj tragiedyi: Juliusz Cezar przez Adama Pajgerta, w którém to słowie spotykamy się z uwagami mającemi dowieść jaki jest najwłaściwszy sposób przekładania obcych autorów, a mianowicie dramatycznych. — Powiada tłumacz, że przedsięwziąwszy na polskie przelać Szekspirowskiego Juliusza Cezara, miał ważne pytanie do rozwiązania, w jakiéj formie zewnętrznéj należało takowe wykonać: czy tłumaczyć prozą, czy wierszem rymowym, czy tak zwanym białym czyli nierymowym?

Co do pierwszego sposobu, powiada p. Pajgert, lubo przekład prozą może być najwierniejszy, jednakowoż idealniejsza treść poezyi, idealniejszéj wymaga formy — zresztą „wiersz dla nowoczesnéj trajedyi stał się rodzajem Koturna." Bardzo słuszna uwaga, tak słuszna, że powinna być wzięta za zasadę. — Czemuż się nietrzymał jéj w swojem

tłumaczeniu p. Pajgert. Oto dla tego, że tłómaczenie rymowe, jak mówi poniżéj, lubo najwięcéj zwyczajowi (powinien był powiedzieć, własnościom) naszego języka odpowiedne, jednakowoż rym staje się „koturnem przesadnie wysokim i psuje przez swoją ogładę prawie koniecznie naturalność i swobodę toku mowy.“ — Zresztą Szekspir niepisał wierszem rymowym.

Pozostał mu więc nierymowy wiersz, chociaż u nas po części istnieje jeszcze przesąd przeciw temu rodzajowi wiersza. Tym sposobem jak twierdzi, dykcya nie staje się ani nadto poziomą jak w prozie, ani nadto napuszoną i deklamatorską jak w wierszu rymowym.

Zrobiwszy sobie tę teoryą dla własnego użytku, nieprzekonał nas mimo tego swoim przekładem Juliusza Cezara, żeby to był sposób najlepszy i z gruntu obalający *przesąd przeciw temu rodzajowi wiersza.* Jeżeli tłumacz nieufał własnym siłom i przeczuwał, że używając rymu popadnie w napuszystość i nienaturalność, nie idzie zatém żeby się nieznalazł talent coby tych niebezpieczeństw niepotrafił uniknąć. Mamy przecież w naszéj literaturze wiele przykładów, gdzie mimo rymowego wiersza panuje najwyższa prostota, naturalność i

dźwięk niewymuszony. Szatą poezyi naszéj jest rym i zawsze rym; żadne teorye nic tu nie pomogą — pomogłyby może przykłady, lecz dotąd nie wiem gdzie ich szukać; to pewna, że nie w oryginalnych próbach tego rodzaju, ani w tłumaczeniach wierszem białym, który niczém nie jest tylko popsutą prozą udającą harmonię poezyi, ale zawodzącą co chwila. Własnością nierymowego wiersza nie jest taka lub inna liczba zgłosek, lecz miara; o téj zaś nasi bezrymowce nie wiele wiedzą, chociażby nawet pilnie uczyli się prozodyi Królikowskiego. Jeden Mickiewicz jak we wszystkiém mistrz, tak i w *powieści Wajdeloty* użył miarowego wiersza; lecz czytając ten ustęp nieśmiertelnéj piękności zachodzi pytanie: czém więcéj porywa, czy samą treścią opowiadania, wnętrzną poezyą, czy harmonią słowa? Ja myślę że jednέm i drugiém; poważna ta forma jednego jest odlewn z samą rzeczą: odpowiadają sobie wzajemnie. Dla czegoż mistrz nieużył tego rodzaju wiersza n. p. w Panu Tadeuszu? Przecież miał wzór w homerycznych epopejach, lub w Hermanie i Dorocie Getègo? Oto, bo trafny jego sąd widział w tém wysił tylko sztuki, a nie przyrodzoną własność języka naszego. Owe miary skombinowane uczenie, nie tkwią w słuchu

narodu. A cóż dopiero powiedzieć o białym wierszu co tylko liczy zgłoski, a o miarę niepyta? Nie przeczę; dogodny on bardzo do zamaskowania lichéj prozy; ułatwia niezmiernie szybkość przekładu, nadaje mu pewien pozór artystycznego wykonania — ale w istocie rzeczy nie przynosi więcéj zysku jak tłumaczenie prozą, zwłaszcza jeżeliby ta proza była tak poetyczną, tak świetnie brylantową jak proza autora Irydiona.

U nas nie publiczność lecz autorowie zasmakowali od pewnego czasu w tym kastrackim rodzaju wiersza, szczególniéj w tłumaczeniach. Przedewszystkiém Poznańskie dawszy już pokój filozofom z nad Sprei, zabrało się teraz do wprowadzenia poetyki z nad Sprei. Gdyby niektóre ich utwory białowierszowe z małemi odmianami punktacyi i porządku wyrazów przedrukować na prozę, odkryłaby się najniestrawniejsza ramota, niepodobna niczém ani do starego języka Zygmuntowskiego, ani do nowego, którym piszą lepsi polscy pisarze. Pozorna szata poetyczna pokrywa tę nędzę, i dla tego nie każdy na tém się pozna; a chociaż czytając uczuje, że go coś męczy jak czkawka, nieśmie nic mówić pamiętny na przysłowie: poetom wszystko wolno.

Tłumaczenie p. Pajgerta mimo białego wiersza, nieśmiałbym kłaść w poczet powyższych niefortunnych tłumaczeń, które nietylko nie bogacą, ale owszem okradają naszą literaturę. Wywiązał się on z zadania swego z sumienną ścisłością; nie stracił przytém na jasności i precyzyi — przeciw duchowi języka popełnia jednak grzechy, jak owe często przychodzące: *co do mnie*, *co do Antoniusza* — które szczególniéj po francuzku bardzo jest zrozumiałe, ale po polsku tak nieużywa się, chyba gdy powiemy: co komu do mnie, albo: co masz do Antoniusza, lecz wtenczas sens zmieniony zostaje. Nie lepiéj powiedziane: połóż ten papier na krześle pretora gdzie Brutus *musi go* znaleźć; albo: nim dzień zaświta *musim* go zbudzić. — Więc *musimy* tak rzecz tłumaczyć! Najgorsze ze wszystkiego jest: „*Zostańmy* słuchać mowy Antoniusza!" — to już nie gallicyzm, ale czysty galicyanizm.

Nie w innym celu dotknąłem tych drobnostek językowych, tylko żeby przekonać p. Pajgerta jak podobny rodzaj tłumaczenia ułatwia drogę wszelkiego rodzaju zaniedbaniom, a głównie jak fałszuje i zmienia naturę naszego języka. Ktoby się uparł, a o takich upartych nie trudno, mógłby białym wierszem słowo w słowo oddawać każdy prawie

oryginał, w przekonaniu, że go najwierniéj przelewa. Tymczasem co komu po téj wierności; chyba jednemu studentowi, jeżli mu się niechce szukać po słownikach i łamać głowy nad przygotowaniem się do lekcyi; — lecz dla czytelnika obeznanego z tokiem i zwrotami ojczystéj dobréj mowy, powstają ztąd tortury dla myśli i ucha; język naginany i gwałcony do form i szyków obcego języka, traci właściwy charakter i brzmienie polskie, lecz sposób oddawania myśli, cudzoziemski, sprawia, że każdy niemal ze wstrętem podobne tłumaczenie odpycha. Mógłbym przytoczyć na dowód liczne przykłady; ale podobne przytoczenia czerpane z żyjących, dotknęłyby niejedną miłość własną i tak już dotkniętą przez najobojętniejsze przyjęcie ich tłumaczeń. — Tłumaczenie rymowe z natury swojéj zmuszone jest myśl oryginału oddawać w sposób właściwszy naszemu językowi, wiem co oryginał chce powiedzieć, czuję całą doniosłość jego wyrażeń, i odpowiednio temu odlewam z polskiem zacięciem wiersz, który powinien w sobie zamykać w równéj objętości, mierze i tonie myśl wyrażoną w tekście. Rymowemi tłumaczeniami Psalmów, Jerozolimy, Owidyuszowych Przemian, bogaciła się literatura, kształcił język — gdy bezrymowemi za-

nieczyszcza się tylko, jakby śniedź padła na łan pszeniczny; tłumacze niezwiązani wymaganiami rymu, z łatwością poddają się obcym formom i przestają myśl po swojemu wyrażać. Możnaby mi zarzucić, że i w prozaiczném tłumaczeniu natrafiłoby się na podobne niedogodności; lecz proza nasza tak samo jak wiersz rymowy ma swoje wymagania, potrzebuje być jasną, łoiczną, płynną, wdzięczną tokiem i harmonią okresów. Wiersz biały obchodzi się bez tego wszystkiego, przynajmniéj z dotychczasowych prób niemógłem się jakoś przekonać, żeby tak bardzo dbał o doskonałość, zwłaszcza w utworach, gdzie artyzm cywilizowanéj poezyi przemaga. W przekładach utworów gminnych, pierwotnych, gdzie mało jest sztuki, a częstokroć wiele zależy na dosłowności ustępów, mających związek z historyą, rodzaj tłumaczenia białym wierszem bardzo stosownie bywa użyty; surowy materyał powinien być oddany surowo.

Zdawało mi się rzeczą potrzebną zaczepić nie tyle samo tłumaczenie Juliusza Cezara, ile teoryę p. Pajgerta, z narażeniem się na wyrzut nowatorów; że jeszcze się niepozbyłem zastarzałego *przesądu* względem białego wiersza. Może być że to przesąd; wszakże niewidzę potrzeby porzucać go;

dopóki teorya białego wiersza nieznajdzie poparcia w jakim dzielnym przekładzie, któryby za wzór doskonałości uznano. Szczególniéj w literaturze teorye powinny być dziećmi przykładów uznanych za wzorowe; wszelkie zaś teorye wyprzedzające przykład, lub na wątpliwéj wartości wzorach oparte, dają więcéj dymu jak światła.

Drugi punkt sporny, który tu zamierzyłem podnieść, tyczy się *krytycznego poglądu* na Juliusza Cezara zamieszczonego na końcu trajedyi.

Zgadzam się bez targu na wszystkie piękności hojnie rozsypane w téj trajedyi, na sceny arcydramatyczne, do których jeden tylko Szekspir umie przygotować publiczność, tworząc dokoła swych osób pewną atmosferę zapowiadającą zwykle jakieś klęski, mordy, wygnanie, zbrodnie, co wstrząsają naturę.... Całość doskonale związana; charaktery pełne, a częstokroć w jedném słowie malujące się do głębi. Któż wypowie wszystkie przymioty i tajemnice tego nieśmiertelnego jeniuszu?! Nie o niego mi téż idzie lecz o sposób w jaki p. Pajgert uważał niektóre charaktery, i co jest, czego ani Gerwinus, ani on niedostrzegli w téj trajedyi, raniącéj tak boleśnie moralne uczucie czytelnika.

Chciałbym widzieć kiedy Juliusza Cezara na scenie, abym się mógł przekonać po wrażeniu jakieby odnieśli widzowie, czy ta moja uwaga słuszna: że morderstwo wykonane na Juliuszu Cezarze w trajedyi Szekspira, niczém nie jest usprawiedliwione w oczach widzów. Jeżeli tyran ma ginąć pod ciosami wyznawców wolności, trzeba nam ukazać tego tyrana w akcyi; trzeba przeciw niemu usposobić umysły i serca, aby morderstwo stanowiące jądro dramatu, niewydało się dziełem hazardu, lub szalonym czynem chorujących na wątrobę ideologów. Tymczasem w trajedyi pomienionéj ów Cezar, tyran wolności rzymskiéj, na którego po nocach ostrzą sztylety, o którym nienajlepiéj gadają, ma się rozumieć spiskowce — przedstawia się w kolorach uroczych, męża przewyższającego sercem i głową swoich politycznych przeciwników; pełnego dobroci, uprzejmości dla wszystkich, a najmniéj dbającego o własną osobę. Słowa, które mówi do Artemidora podającego mu piśmienne ostrzeżenie o zamachu na jego życie w chwili gdy szedł do Kapitolu: „Co się mnie (Cezara) tyczy, będzie ostatniem,“ najlepiéj malują tę wyniosłość ducha unoszącego się ponad wszystkie względy i widoki. Jakiż mi to tyran, co nie

drży o swoje życie, co się nieotacza liktorami i pretoryanami, co tak po bratersku przyjmuje w domu swoim całą bandę spiskowych, i jeszcze częstuje winem — co jeżeli ma cień podejrzenia, to chyba ku Kassyuszowi, który „ma głodne wejrzenie i wklęsłe lica:....“ Cezar nazywa takich ludzi niebezpiecznymi dla wszelkiéj władzy; jest to uwaga; którą rzuca mimochodem w toku rozmowy, uwaga niepociągająca za sobą ani tajnego dozoru, ani proskrypcyi.... I takiego to męża zamordowują spiskowce! Sposób zaś w jaki wykonywują ten czyn, jest tak nikczemny, że w obec niego postać Cezara zdaje się rosnąć w nieskończoność; spiskowi bowiem zanoszą prośbę do stóp Cezara błagając go, aby przyzwolił wrócić z wygnania Publiuszowi Cymbrowi; ci mu skłaniają się do nóg, Brutus całuje mu ręce — lecz Cezar stały „jak północna gwiazda“ niechce cofnąć raz wydanego wyroku — odmowa staje się hasłem dla Kaski do utopienia weń sztyletu, w czém go naśladuje reszta sprzysiężonych. . . . Nikczemni! nieśmią i nieumieją z otwartém czołem wystąpić w obronie praw i wolności Rzeczypospolitéj; co już dostatecznie przekonywa, że tylko osobista pycha pod płaszczykiem dobra ojczyzny ugodziła w pierś wiel-

kiego człowieka, aby wyjść na jaw z cieniów swojéj małości. Cóż innego mówią spiskowce na nocnych zebraniach, tylko że wielkość Cezara staje się dla nich nieznośną.

O! tak! On kroczy po tym wązkim świecie
Jak jaki koloss; a my, ludzie mali,
Pełzamy między olbrzyma nogami,
Sromotnych grobów szukając dla siebie.
Ludzie są czasem panami swych losów;
Nie gwiazdy winne, o! drogi Brutusie!
Ale my sami winni żeśmy karły.

Cóż winien Cezar że go nieba wielkim zrobiły, i dały Rzymowi, aby hydrze stronnictw i wojen domowych koniec położył!.... Republikanie przywykli widzieć ludzi skrojonych na miarę średnioproporcyonalną, niemogą pojąć nawet przyczyn robiących człowieka wielkim. Szekspir cudownie ten rys pochwycił:

Teraz mi powiedz w imie wszystkich bogów!
Jaką się strawą ten nasz Cezar karmi,
Że tak zolbrzymiał? O! hańba ci wielka!
Rzymie! straciłeś wielkich ludzi płodność...
Bo kiedyż wiek był od najdalszych czasów,
Któryby tylko jednym mężem słynął?
I aż do dzisiaj możnaż było wyrzec
Że jeden człowiek cały Rzym zapełnił?

Są to słowa Kassyusza, któremi usiłuje wciągnąć Brutusa do spisku; maluje się w nich prawdziwy typ sprzysiężeńca, zawsze gotowego uderzyć w pierś zrobioną nie na miarę „krawca lecz Fidiasza." — Brutus znowu przypomina tych doktrynerów rewolucyjnych, co to akcyę sztyletu lub gilotyny ograniczają do pewnych głów, co zbrodniczy cel radziby umaić wieńcami filantropii, łagodzić umiarkowaniem..... W téj myśli, kiedy Kassyusz czystéj krwi terrorysta radzi zgładzić wraz z Cezarem i Antoniusza, Brutus reflektuje zapaleńców:

Nazbyt się krwawem wyda nasze dzieło,
Kaju Kassyuszu! gdy uciąwszy głowę
Zechcemy jeszcze odrębywać członki;
Jak gdyby wściekłość wiodła nas do czynu,
A potém zawiść?

A cóżby innego? Szekspir, który Cezara niechciał pokazać w postaci tyrana, zostawił spiskowym właśnie tylko te dwie pobudki do czynu: wściekłość i zawiść; Brutus z charakterem politycznego filozofa i marzyciela czuje i pojmuje tę pobudkę, lecz niechce w nią wierzyć, i hipokryta, parodoxista ubarwia ją celem wyższéj ofiary, gdy nie ciało Cezara ale ducha chce zabić. Bardzo mu

téż idzie o to, aby w opinii ludu nazwano wykonawców mordu nie zabójcami lecz oczyścicielami.

Niepojmuję tedy na jakiéj zasadzie wywiódł p. Pajgert że: „Brutus jest najwznioślejszym, najpię-„kniejszym i największym charakterem, który Szekspir „utworzył, który kiedykolwiek pojawił się na scenie; „— że pobudki jego nie są nigdy osobiste, zawsze naj-„szlachetniejsze, zawsze widzimy go wielkim — na-„tura może powstać i powiedzieć: Oto był mąż!“

Czém mógł pozyskać tę sympatyę charakter Brutusa? wytłumaczyć sobie nie umiem. — Gdybym go widział w zapasach z tyranią Cezara narażającego co chwila siebie, exystencyą rodziny, poświęcającego mienie, szczęście życia, upadającego pod trudem walki na śmierć, a niedającego się niczém ująć ni zachwiać, a krzepiącego się jedną myślą, że tém okupi szczęście milionów — takim Brutusem możnaby się zaentuzyazmować; — lecz nigdy człowiekiem biernym, pokojowym marzycielem, który daje się wciągnąć w krwawy zamach przeciw największemu z Rzymian i przez kogo? przez takiego Kassyusza, tę upersonifikowaną zawiść, co w rozpaczliwéj małości trując się własnym jadem, nosi ludziom na pokaz twarz żółtą i zapadłe policzki.....

Nie pytam historyi, ale w saméj tragiedyi widać jaką myślą kierował się Szekspir, kiedy nie chciał Cezara ukazać tyranem, kiedy mu w usta włożył słowa godne najszlachetniejszych i najcnotliwszych władców; o tyraństwie Cezarowem, o jego zamachu na wolność Rzymu, dowiadujemy się dopiero z pogadanek spiskowców; ludzie ci widocznie upajają się własnemi słowy, lecz koniecznością zagłady Cezara nie są przyciśnięci; całe motywum, że Cezar olbrzym, a oni karły. Ani nawet u Rzymian nieuważano tego za cnotę, za wielkość charakteru, że ktoś niemógł ścierpieć obok siebie wyższości, jeszcze jakiéj wyż zości! Nigdzie także niewidzimy w ciągu dramatu, żeby Rzymianie narzekali na stratę wolności, w któréj obronie stanęli spiskowi.— dla kogoż więc zabity Cezar? — czy tylko dla fantazyi lub korzyści spiskowców?....

Niesłusznie więc naganią p. Pajgert Gerwinussa, że sformułował sobie ogólne prawidło o szekspiroskich tragiedyach, w których nikt bez własnéj przewiny nie upada: bo jeśli do któréj, to do téj tragiedyi stosuje się ta reguła. Brutus i Kassyusz znajdują śmierć na polach Filipińskich z własnych rąk; jest to fakt historyczny, lecz i moralny zarazem w duchu formuły wyłożonéj przez Gerwinusa.

Nie wątpię bynajmniéj, iż Szekspir pragnąc się trzymać ściśle historycznego podania, a przytem chcąc usprawiedliwić smutny koniec Brutusa i Kassyusza, umyślnie ukazał w tak czystem świetle Cezara, żeby przyczyna spisku nie tyle wypływała z rzeczywistego pognębienia Rzymu, ile z zająťrzonego serca i fantazyi fakcyonistów zżymających się na swą małość w obec największego z Rzymian. — Nieinaczéj, Szekspir czyn Brutusa i Kassyusza osądził w sumieniu swojem za zbrodniczy, i wyraźnie potępia go w piątym akcie przez usta Messali:

Ohydny błędzie! czarnych myśli dziecię,
Czemuż wzruszonym umysłom przedstawiasz.
To, czego nie ma? O przeklęty błędzie!
Szybko poczęty, nigdy nieprzychodzisz
Na świat szczęśliwym porodem; lecz zawsze
Zabijasz matkę, która cię poczęła. . .

P. Pajgert żadną miarą niepozwala na to, aby Szekspir te słowa odnosił do zabójstwa Cezara — a do czegóż? przecież Kassyusz przebijając się na mieczu, wyraźnie mówi:

Pomszczonyś Cezarze!
Tym samym mieczem, który ciebie zabił.

Kassyusz był przecież matką, która ten błąd poczęła. . . . Brutus zabijający się po nim, ró-

wnież czuje w sumieniu przewinę i konieczność expijacyi. . . .

Teraz Cezarze, czas by gniew twój mijał!
Ciebiem daleko niechętniéj zabijał!

Jak widzimy, że nawet sprawcy śmierci Cezara niepoczytywali sobie tego za cnotę . . . zwłaszcza gdy patrzeli przed zgonem, jak dzieło ich rozwiało się marnie, a duch Cezaryański tryumfował z tą różnicą, że już nie było genialnego męża, coby myśl swoją szczytniéj i zbawienniéj dla Rzymu przeprowadził, niż spadkobiercy jego, niedołężni tryumwirowie. . . .

Nierozumiem, na jakiéj zasadzie wyexaltował sobie p. Pajgert charakter Brutusa w téj trajedyi? Zarzuca Gerwinusowi, że „niepodnosi się do rzymskiego na rzecz rzymską poglądu“ — zapewne i ja na ten zarzut narażam się: bo także odrzucam rzymski pogląd, a pilnuję tylko samego Szekspira, który na świat rzymski i nierzymski umiał zawsze po ludzku poglądać i czuć z nim po ludzku.

Dlatego to Szekspir niechciał bynajmniéj czynu Brutusa podnieść do apoteozy; jeniusz pełen żelaznych konieczności i ugruntowanych motywów, umyślnie aby spiskowych potępić, niepokazał tyrana, lecz tylko wyższego człowieka padającego

ofiarą ... w oczach widzów niewinną i czystą. — Cała szkarada czynu, mimo pięknych słów, któremi się usprawiedliwiają, jest tylko na stronie zabójców. Tryumf ich téż nie trwa dłużéj, jak kilkanaście wierszy, które Brutus mówi do ludu. ...

Niech mi wolno będzie dorzucić jeszcze jednę uwagę co do czytania i pojmowania Szekspira. — W ogóle mało trzeba zważać na pretensyonalne komentarze jego objaśniaczy lub krytyków; każdy sadzi się, by coś nowego o nim powiedzieć; mojem zdaniem, Szekspir ma wiele staroświeckiéj prostoty; — trzeba go pojmować jak jest, po prostu, ze zdrowém usposobieniem, i niekoniecznie patrzeć przez jakiś „otwór piramidy, aby widzieć błękit i Boga" tam, gdzie jest tylko ziemski padół i biedny jego mieszkaniec — ze wszystkiemi ułomnościami i żądzami.

LORD BYRON.

Złe czasy dla poezyi. — Kreacye Byrońskie. — Don Juan znamionuje epokę przejścia. — Niemoralność Don Juana mniéj szkodliwa od dzisiejszych romansów. — Śmieszni naśladowcy osobistości Byrońskiéj. — Zalety polskiego tłumacza.

W obecnym wirze zdań i zajęć, żywych epopei i żywych trajedyj, najznakomitsze utwory wieszczów głośnych w świecie, stoją na boku, czekając pomyślniejszéj chwili, aby się rozpływano nad niemi. Najjenialniejsze słowa, głuchną przy szczęku broni, spierającéj się o śmierć lub życie. Dla tych przyczyn podwójnie żałuję i autora i przedmiotu, jeśli się zjawiają w takiéj chwili — dla pierwszéj gazety porzuci go czytelnik; a choćby porwany urokiem przeczytał od deski do deski, to myśli, uczucia, obrazy, postacie, odbite w jego duszy zatrą się, zmącą, znikną, jak kolorowa fo-

tografia, przy lada wieści przyniesionéj zkądkolwiek. Kto w takiéj chwili przynosi publiczności swą pracę, okazuje wiele abnegacyi, i wielka miłość swego zawodu nierachującą na oklask dzienny.

Te uwagi nastręczył mi świeżo wydany przekład pierwszéj pieśni Byronowskiego *Don Juana* przez Wiktora z Baworowa, znanego już z przekładu Wielandowego *Oberona*. Jeżeli cały poemat zostanie wytłumaczony w zupełności, będzie to cenny nabytek dla naszéj literatury, mającéj dotąd wyborne przekłady innych poematów angielskiego poety, poematów, których wartość do zbytku podniesiona w epoce kanikuły romantycznéj, spadała potem, wprawdzie nigdy do zera, bo jeniusz na wszystkiem wyciska swój stępel, lecz spadała w miarę jak powszedniały owe ideały Giaurów, Korsarzy i wszelkiego rodzaju ekscentryków i szaleńców. „*Jakich na podsłonecznym nie bywało świecie*," a jacy urodziwszy się w wyobraźni poety, służyli za wzór do niezliczonych wyrobów, aż w końcu cały ten rodzaj stał się manierą. Jeden *Don Juan* wyłączał się od swoich młodszych braci, tém szczególniéj, że poeta wkroczył w świat więcéj rzeczywisty, że się starł z życiem i ludźmi niewymarzonymi, ale takimi, na jakich patrzał co-

dziennie. Była to chwila przejścia z wiru namiętnych rojeń, z półsennych, gorączkowych marzeń, w prawdę życia, w aktualność; ale chwila pełna gniewów i sarkazmów, płacąca światu uśmiechem zjadliwéj ironii, za to, że mu pogruchotał ideały młodości. Zżymał się pod naciskiem konieczności ściągającéj go z obłoków na ziemię; wywiódł na scenę bohatyra przygód erotycznych, i w opowiadanie swoje nadzierzgał złośliwych a często dowcipnych aluzyi do całego społeczeństwa współczesnych mu wielkości militarnych, rządowych, dyplomatycznych, literackich itp. Była to pierwsza zimna kąpiel, pierwsze zanurzenie się w morzu rzeczywistości: dla tego śród najtkliwszych zwrotek i najświetniejszych malowideł, usłyszysz jakby zgrzytanie, jakby dreszcz skeptycyzmu co mrozem przeszywa serce, ale zarazem czujesz, że kąpiel ochłodziła go: bo trafny zmysł krytyczny trzyma się tam na równi z wyobraźnią. W *Don Juanie* wpadł on na trop sobie właściwy; w nim zajaśniał téż bystrością rozumu i talentu — brakło mu tylko czasu, aby mógł był dojść do szczytu doskonałości. „Czasu mu brakło we wszystkiem — powiada tak trafnie Mickiewicz — poruszył zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkiemi trudnościami

dogmatów i tradycyi, klął i dąsał się jak Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nierozwiązał sobie zagadnienia, nieuspokoił duszy,— brakło mu jak jego bohatyrowi czasu.“ Możnaby dodać dla zupełniejszego scharakteryzowania go, że podobny nurkowi spuścił się w tajemnicze głębie ducha, o téj podróży opowiada dziwy; — ale gdyby był dna dosięgnął, niezawodnie słowo jego stałoby się najpotężniejszém i najbardziéj wpływowém w nowożytnym świecie.

Walter-Skott, ów nieporównany praktyczny psycholog i znawca serca ludzkiego, odgadywał Byrona i przeczuwał drogę jego w przyszłości. Pewnego razu w rozmowie, gdy się spierali o zdania religijne, romansista rzekł doń: Sądzę, że każdy dzień zmienisz zdanie.

— Ja mam zmienić?! — ofuknął Byron — czy należysz do tych, co mi wróżą zaciągnienie się pod sztandar metodystów?

— Bynajmniéj — odparł Walter-Skott — alebym się nie dziwił, gdybyś został katolikiem, zakasowałbyś najzagorzalszych surowością i szczerością pokuty.

To samo wróżyli mu ludzie znający się na tworach poezyi. „Jeszcze lat kilka — powiedział je-

den z takich — a wysokiéj doskonałości spodziewać się było można po Byronie, ponieważ z całéj duszy kochał prawdę, więcby się był przekonał, że jego Giaury, Lary i Korsarze daleko od niéj odbiegli.“ Poetycki jeniusz jego potrzebował przetrawić się w rzeczywistości, przerobić zielone i kwaśne soki bujnéj fantazyi, w płyn podobny wonią i smakiem do starego tokaja — słowem zdobyć mędrca dojrzałość.

W *Don Juanie* widzimy pierwszy krok ku téj nowéj pracy i on sam czuł i rozumiał tę poważną chwilę przełomu, ale jeszcze nie śmie rzucić się ku niéj, żartuje sam z siebie, żal mu młodości z wszystkiemi jéj ułudami i rozkoszami:

Dzisiaj w trzydziestym roku me włosy siwieją —
(Co to w czterdziestym będzie? właśnie pomyślałem
Onegdaj o peruczce) już więcéj nie tleją,
Starzejące uczucia dawniejszym zapałem;
Skarby plennego lata wczesny maj rozchwytał,
I duch oporu przestał moim być udziałem;
Strwoniłem życie, procent równie jak kapitał,
Za niezłomnego jużbym siebie niepoczytał!

Nigdy — nigdy — o! nigdy już na mnie niespłynie
Urok serca, jak rosa w pogodnéj godzinie,
Co nam wszystko w około uwdzięcza, przemienia
W jakieś nowe, cudowne nieznane wzruszenia

Nie pytam historyi, ale w saméj tragiedyi widać jaką myślą kierował się Szekspir, kiedy nie chciał Cezara ukazać tyranem, kiedy mu w usta włożył słowa godne najszlachetniejszych i najcnotliwszych władców; o tyraństwie Cezarowem, o jego zamachu na wolność Rzymu, dowiadujemy się dopiero z pogadanek spiskowców; ludzie ci widocznie upajają się własnemi słowy, lecz koniecznością zagłady Cezara nie są przyciśnięci; całe motywum, że Cezar olbrzym, a oni karły. Ani nawet u Rzymian nieuważano tego za cnotę, za wielkość charakteru, że ktoś niemógł ścierpieć obok siebie wyższości, jeszcze jakiéj wyż zości! Nigdzie także niewidzimy w ciągu dramatu, żeby Rzymianie narzekali na stratę wolności, w któréj obronie stanęli spiskowi.— dla kogoż więc zabity Cezar? — czy tylko dla fantazyi lub korzyści spiskowców?....

Niesłusznie więc naganią p. Pajgert Gerwinusa, że sformułował sobie ogólne prawidło o szekspiroskich tragiedyach, w których nikt bez własnéj przewiny nie upada: bo jeśli do któréj, to do téj tragiedyi stosuje się ta reguła. Brutus i Kassyusz znajdują śmierć na polach Filipińskich z własnych rąk; jest to fakt historyczny, lecz i moralny zarazem w duchu formuły wyłożonéj przez Gerwinusa.

Nie wątpię bynajmniéj, iż Szekspir pragnąc się trzymać ściśle historycznego podania, a przytem chcąc usprawiedliwić smutny koniec Brutusa i Kassyusza, umyślnie ukazał w tak czystem świetle Cezara, żeby przyczyna spisku nie tyle wypływała z rzeczywistego pognębienia Rzymu, ile z zajątrzonego serca i fantazyi fakcyonistów zżymających się na swą małość w obec największego z Rzymian. — Nieinaczéj, Szekspir czyn Brutusa i Kassyusza osądził w sumieniu swojem za zbrodniczy, i wyraźnie potępia go w piątym akcie przez usta Messali:

Ohydny błędzie! czarnych myśli dziecię,
Czemuż wzruszonym umysłom przedstawiasz.
To, czego niema? O przeklęty błędzie!
Szybko poczęty, nigdy nieprzychodzisz
Na świat szczęśliwym porodem; lecz zawsze
Zabijasz matkę, która cię poczęła. . .

P. Pajgert żadną miarą niepozwala na to, aby Szekspir te słowa odnosił do zabójstwa Cezara — a do czegóż? przecież Kassyusz przebijając się na mieczu, wyraźnie mówi:

Pomszczonyś Cezarze!
Tym samym mieczem, który ciebie zabił.

Kassyusz był przecież matką, która ten błąd poczęła. . . . Brutus zabijający się po nim, ró-

wnież czuje w sumieniu przewinę i konieczność expijacyi. . . . .

Teraz Cezarze, czas by gniew twój mijał!
Ciebiem daleko niechętniéj zabijał!

Jak widzimy, że nawet sprawcy śmierci Cezara niepoczytywali sobie tego za cnotę . . . zwłaszcza gdy patrzeli przed zgonem, jak dzieło ich rozwiało się marnie, a duch Cezaryański tryumfował z tą różnicą, że już nie było genialnego męża, coby myśl swoją szczytniéj i zbawienniéj dla Rzymu przeprowadził, niż spadkobiercy jego, niedołężni tryumwirowie. . . .

Nierozumiem, na jakiéj zasadzie wyexaltował sobie p. Pajgert charakter Brutusa w téj trajedyi? Zarzuca Gerwinusowi, że „niepodnosi się do rzymskiego na rzecz rzymską poglądu" — zapewne i ja na ten zarzut narażam się: bo także odrzucam rzymski pogląd, a pilnuję tylko samego Szekspira, który na świat rzymski i nierzymski umiał zawsze po ludzku poglądać i czuć z nim po ludzku.

Dlatego to Szekspir niechciał bynajmniéj czynu Brutusa podnieść do apoteozy; jeniusz pełen żelaznych konieczności i ugruntowanych motywów, umyślnie aby spiskowych potępić, niepokazał tyrana, lecz tylko wyższego człowieka padającego

ofiarą ... w oczach widzów niewinną i czystą. — Cała szkarada czynu, mimo pięknych słów, któremi się usprawiedliwiają, jest tylko na stronie zabójców. Tryumf ich téż nie trwa dłużéj, jak kilkanaście wierszy, które Brutus mówi do ludu....

Niech mi wolno będzie dorzucić jeszcze jednę uwagę co do czytania i pojmowania Szekspira. — W ogóle mało trzeba zważać na pretensyonalne komentarze jego objaśniaczy lub krytyków; każdy sadzi się, by coś nowego o nim powiedzieć; mojem zdaniem, Szekspir ma wiele staroświeckiéj prostoty; — trzeba go pojmować jak jest, po prostu, ze zdrowém usposobieniem, i niekoniecznie patrzeć przez jakiś „otwór piramidy, aby widzieć błękit i Boga“ tam, gdzie jest tylko ziemski padół i biedny jego mieszkaniec — ze wszystkiemi ułomnościami i żądzami.

LORD BYRON.

Złe czasy dla poezyi. — Kreacye Byrońskie. — Don Juan znamionuje epokę przejścia. — Niemoralność Don Juana mniéj szkodliwa od dzisiejszych romansów. — Śmieszni naśladowcy osobistości Byrońskiéj. — Zalety polskiego tłumacza.

W obecnym wirze zdań i zajęć, żywych epopei i żywych trajedyj, najznakomitsze utwory wieszczów głośnych w świecie, stoją na boku, czekając pomyślniejszéj chwili, aby się rozpływano nad niemi. Najjenialniejsze słowa, głuchną przy szczęku broni, spierającéj się o śmierć lub życie. Dla tych przyczyn podwójnie żałuję i autora i przedmiotu, jeśli się zjawiają w takiéj chwili — dla pierwszéj gazety porzuci go czytelnik; a choćby porwany urokiem przeczytał od deski do deski, to myśli, uczucia, obrazy, postacie, odbite w jego duszy zatrą się, zmącą, znikną, jak kolorowa fo-

tografia, przy lada wieści przyniesionéj zkądkolwiek. Kto w takiéj chwili przynosi publiczności swą pracę, okazuje wiele abnegacyi, i wielka miłość swego zawodu nierachującą na oklask dzienny.

Te uwagi nastręczył mi świeżo wydany przekład pierwszéj pieśni Byronowskiego *Don Juana* przez Wiktora z Baworowa, znanego już z przekładu Wielandowego *Oberona*. Jeżeli cały poemat zostanie wytłumaczony w zupełności, będzie to cenny nabytek dla naszéj literatury, mającéj dotąd wyborne przekłady innych poematów angielskiego poety, poematów, których wartość do zbytku podniesiona w epoce kanikuły romantycznéj, spadała potem, wprawdzie nigdy do zera, bo jeniusz na wszystkiem wyciska swój stępel, lecz spadała w miarę jak powszedniały owe ideały Giaurów, Korsarzy i wszelkiego rodzaju ekscentryków i szaleńców. „*Jakich na podsłonecznym nie bywało świecie*,“ a jacy urodziwszy się w wyobraźni poety, służyli za wzór do niezliczonych wyrobów, aż w końcu cały ten rodzaj stał się manierą. Jeden *Don Juan* wyłączał się od swoich młodszych braci, tém szczególniéj, że poeta wkroczył w świat więcéj rzeczywisty, że się starł z życiem i ludźmi niewymarzonymi, ale takimi, na jakich patrzał co-

dziennie. Była to chwila przejścia z wiru namiętnych rojeń, z półsennych, gorączkowych marzeń, w prawdę życia, w aktualność; ale chwila pełna gniewów i sarkazmów, płacąca światu uśmiechem zjadliwéj ironii, za to, że mu pogruchotał ideały młodości. Zżymał się pod naciskiem konieczności ściągającéj go z obłoków na ziemię; wywiódł na scenę bohatyra przygód erotycznych, i w opowiadanie swoje nadzierzgał złośliwych a często dowcipnych aluzyi do całego społeczeństwa współczesnych mu wielkości militarnych, rządowych, dyplomatycznych, literackich itp. Była to pierwsza zimna kąpiel, pierwsze zanurzenie się w morzu rzeczywistości: dla tego śród najtkliwszych zwrotek i najświetniejszych malowideł, usłyszysz jakby zgrzytanie, jakby dreszcz skeptycyzmu co mrozem przeszywa serce, ale zarazem czujesz, że kąpiel ochłodziła go: bo trafny zmysł krytyczny trzyma się tam na równi z wyobraźnią. W *Don Juanie* wpadł on na trop sobie właściwy; w nim zajaśniał téż bystrością rozumu i talentu — brakło mu tylko czasu, aby mógł był dojść do szczytu doskonałości. „Czasu mu brakło we wszystkiem — powiada tak trafnie Mickiewicz — poruszył zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkiemi trudnościami

dogmatów i tradycyi, klął i dąsał się jak Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nierozwiązał sobie zagadnienia, nieuspokoił duszy — brakło mu jak jego bohatyrowi czasu.“ Możnaby dodać dla zupełniejszego scharakteryzowania go, że podobny nurkówi spuścił się w tajemnicze głębie ducha, o téj podróży opowiada dziwy; — ale gdyby był dna dosięgnął, niezawodnie słowo jego stałoby się najpotężniejszém i najbardziéj wpływowém w nowożytnym świecie.

Walter-Skott, ów nieporównany praktyczny psycholog i znawca serca ludzkiego, odgadywał Byrona i przeczuwał drogę jego w przyszłości. Pewnego razu w rozmowie, gdy się spierali o zdania religijne, romansista rzekł doń: Sądzę, że żada dzień zmienisz zdanie.

— Ja mam zmienić?! — ofuknął Byron — czy należysz do tych, co mi wróżą zaciągnienie się pod sztandar metodystów?

— Bynajmniéj — odparł Walter-Skott — alebym się nie dziwił, gdybyś został katolikiem, zakasowałbyś najzagorzalszych surowością i szczerością pokuty.

To samo wróżyli mu ludzie znający się na tworach poezyi. „Jeszcze lat kilka — powiedział je-

den z takich — a wysokiéj doskonałości spodziewać się było można po Byronie, ponieważ z całéj duszy kochał prawdę, więcby się był przekonał, że jego Giaury, Lary i Korsarze daleko od niéj odbiegli.“ Poetycki jeniusz jego potrzebował przetrawić się w rzeczywistości, przerobić zielone i kwaśne soki bujnéj fantazyi, w płyn podobny wonią i smakiem do starego tokaja — słowem zdobyć mędrca dojrzałość.

W *Don Juanie* widzimy pierwszy krok ku téj nowéj pracy i on sam czuł i rozumiał tę poważną chwilę przełomu, ale jeszcze nie śmie rzucić się ku niéj, żartuje sam z siebie, żal mu młodości z wszystkiemi jéj ułudami i rozkoszami:

Dzisiaj w trzydziestym roku me włosy siwieją —
(Co to w czterdziestym będzie? właśnie pomyślałem
Onegdaj o peruczce) już więcéj nie tleją,
Starzejące uczucia dawniejszym zapałem;
Skarby plennego lata wczesny maj rozchwytał,
I duch oporu przestał moim być udziałem;
Strwoniłem życie, procent równie jak kapitał,
Za niezłomnego jużbym siebie niepoczytał!

Nigdy — nigdy — o! nigdy już na mnie niespłynie
Urok serca, jak rosa w pogodnéj godzinie,
Co nam wszystko w około uwdzięcza, przemienia
W jakieś nowe, cudowne nieznane wzruszenia

Nie pytam historyi, ale w saméj tragiedyi widać jaką myślą kierował się Szekspir, kiedy nie chciał Cezara ukazać tyranem, kiedy mu w usta włożył słowa godne najszlachetniejszych i najcnotliwszych władców; o tyraństwie Cezarowem, o jego zamachu na wolność Rzymu, dowiadujemy się dopiero z pogadanek spiskowców; ludzie ci widocznie upajają się własnemi słowy, lecz koniecznością zagłady Cezara nie są przyciśnięci; całe motywum, że Cezar olbrzym, a oni karły. Ani nawet u Rzymian nieuważano tego za cnotę, za wielkość charakteru, że ktoś niemógł ścierpieć obok siebie wyższości, jeszcze jakiéj wyż zości! Nigdzie także niewidzimy w ciągu dramatu, żeby Rzymianie narzekali na stratę wolności, w któréj obronie stanęli spiskowi.— dla kogoż więc zabity Cezar? — czy tylko dla fantazyi lub korzyści spiskowców?....

Niesłusznie więc naganią p. Pajgert Gerwinussa, że sformułował sobie ogólne prawidło o szekspiroskich tragiedyach, w których nikt bez własnéj przewiny nie upada: bo jeśli do któréj, to do téj tragiedyi stosuje się ta reguła. Brutus i Kassyusz znajdują śmierć na polach Filipińskich z własnych rąk; jest to fakt historyczny, lecz i moralny zarazem w duchu formuły wyłożonéj przez Gerwinusa.

Nie wątpię bynajmniéj, iż Szekspir pragnąc się trzymać ściśle historycznego podania, a przytem chcąc usprawiedliwić smutny koniec Brutusa i Kassyusza, umyślnie ukazał w tak czystem świetle Cezara, żeby przyczyna spisku nie tyle wypływała z rzeczywistego pognębienia Rzymu, ile z zajątrzonego serca i fantazyi fakcyonistów zżymających się na swą małość w obec największego z Rzymian. — Nieinaczéj, Szekspir czyn Brutusa i Kassyusza osądził w sumieniu swojem za zbrodniczy, i wyraźnie potępia go w piątym akcie przez usta Messali:

Ohydny błędzie! czarnych myśli dziecię,
Czemuż wzruszonym umysłom przedstawiasz.
To, czego nie ma? O przeklęty błędzie!
Szybko poczęty, nigdy nieprzychodzisz
Na świat szczęśliwym porodem; lecz zawsze
Zabijasz matkę, która cię poczęła. . .

P. Pajgert żadną miarą niepozwala na to, aby Szekspir te słowa odnosił do zabójstwa Cezara — a do czegóż? przecież Kassyusz przebijając się na mieczu, wyraźnie mówi:

Pomszczonyś Cezarze!
Tym samym mieczem, który ciebie zabił.

Kassyusz był przecież matką, która ten błąd poczęła. . . . Brutus zabijający się po nim, ró-

wnież czuje w sumieniu przewinę i konieczność expijacyi. . . .

Teraz Cezarze, czas by gniew twój mijał!
Ciebiem daleko niechętniéj zabijał!

Jak widzimy, że nawet sprawcy śmierci Cezara niepoczytywali sobie tego za cnotę . . . zwłaszcza gdy patrzeli przed zgonem, jak dzieło ich rozwiało się marnie, a duch Cezaryański tryumfował z tą różnicą, że już nie było genialnego męża, coby myśl swoją szczytniéj i zbawienniéj dla Rzymu przeprowadził, niż spadkobiercy jego, niedołężni tryumwirowie. . . .

Nierozumiem, na jakiéj zasadzie wyexaltował sobie p. Pajgert charakter Brutusa w téj trajedyi? Zarzuca Gerwinusowi, że „niepodnosi się do rzymskiego na rzecz rzymską poglądu“ — zapewne i ja na ten zarzut narażam się: bo także odrzucam rzymski pogląd, a pilnuję tylko samego Szekspira, który na świat rzymski i nierzymski umiał zawsze po ludzku poglądać i czuć z nim po ludzku.

Dlatego to Szekspir niechciał bynajmniéj czynu Brutusa podnieść do apoteozy; jeniusz pełen żelaznych konieczności i ugruntowanych motywów, umyślnie aby spiskowych potępić, niepokazał tyrana, lecz tylko wyższego człowieka padającego

ofiarą . . . w oczach widzów niewinną i czystą. — Cała szkarada czynu, mimo pięknych słów, któremi się usprawiedliwiają, jest tylko na stronie zabójców. Tryumf ich téż nie trwa dłużéj, jak kilkanaście wierszy, które Brutus mówi do ludu. . . .

Niech mi wolno będzie dorzucić jeszcze jednę uwagę co do czytania i pojmowania Szekspira. — W ogóle mało trzeba zważać na pretensyonalne komentarze jego objaśniaczy lub krytyków; każdy sadzi się, by coś nowego o nim powiedzieć; mojem zdaniem, Szekspir ma wiele staroświeckiéj prostoty; — trzeba go pojmować jak jest, po prostu, ze zdrowém usposobieniem, i niekoniecznie patrzeć przez jakiś „otwór piramidy, aby widzieć błękit i Boga“ tam, gdzie jest tylko ziemski padół i biedny jego mieszkaniec — ze wszystkiemi ułomnościami i żądzami.

LORD BYRON.

Złe czasy dla poezyi. — Kreacye Byrońskie. — Don Juan znamionuje epokę przejścia. — Niemoralność Don Juana mniéj szkodliwa od dzisiejszych romansów. — Śmieszni naśladowcy osobistości Byrońskiéj. — Zalety polskiego tłumacza.

W obecnym wirze zdań i zajęć, żywych epopei i żywych trajedyj, najznakomitsze utwory wieszczów głośnych w świecie, stoją na boku, czekając pomyślniejszéj chwili, aby się rozpływano nad niemi. Najjenialniejsze słowa, głuchną przy szczęku broni, spierającéj się o śmierć lub życie. Dla tych przyczyn podwójnie żałuję i autora i przedmiotu, jeśli się zjawiają w takiéj chwili — dla pierwszéj gazety porzuci go czytelnik; a choćby porwany urokiem przeczytał od deski do deski, to myśli, uczucia, obrazy, postacie, odbite w jego duszy zatrą się, zmącą, znikną, jak kolorowa fo-

tografia, przy lada wieści przyniesionéj zkądkolwiek. Kto w takiéj chwili przynosi publiczności swą pracę, okazuje wiele abnegacyi, i wielka miłość swego zawodu nierachującą na oklask dzienny.

Te uwagi nastręczył mi świeżo wydany przekład pierwszéj pieśni Byronowskiego *Don Juana* przez Wiktora z Baworowa, znanego już z przekładu Wielandowego *Oberona.* Jeżeli cały poemat zostanie wytłumaczony w zupełności, będzie to cenny nabytek dla naszéj literatury, mającéj dotąd wyborne przekłady innych poematów angielskiego poety, poematów, których wartość do zbytku podniesiona w epoce kanikuły romantycznéj, spadała potem, wprawdzie nigdy do zera, bo jeniusz na wszystkiem wyciska swój stępel, lecz spadała w miarę jak powszedniały owe ideały Giaurów, Korsarzy i wszelkiego rodzaju ekscentryków i szaleńców. „*Jakich na podsłonecznym nie bywało świecie,*“ a jacy urodziwszy się w wyobraźni poety, służyli za wzór do niezliczonych wyrobów, aż w końcu cały ten rodzaj stał się manierą. Jeden *Don Juan* wyłączał się od swoich młodszych braci, tém szczególniéj, że poeta wkroczył w świat więcéj rzeczywisty, że się starł z życiem i ludźmi niewymarzonymi, ale takimi, na jakich patrzał co-

dziennie. Była to chwila przejścia z wiru namiętnych rojeń, z półsennych, gorączkowych marzeń, w prawdę życia, w aktualność; ale chwila pełna gniewów i sarkazmów, płacąca światu uśmiechem zjadliwéj ironii, za to, że mu pogruchotał ideały młodości. Zżymał się pod naciskiem konieczności ściągającéj go z obłoków na ziemię; wywiódł na scenę bohatyra przygód erotycznych, i w opowiadanie swoje nadzierzgał złośliwych a często dowcipnych aluzyi do całego społeczeństwa współczesnych mu wielkości militarnych, rządowych, dyplomatycznych, literackich itp. Była to pierwsza zimna kąpiel, pierwsze zanurzenie się w morzu rzeczywistości: dla tego śród najtkliwszych zwrotek i najświetniejszych malowideł, usłyszysz jakby zgrzytanie, jakby dreszcz skeptycyzmu co mrozem przeszywa serce, ale zarazem czujesz, że kąpiel ochłodziła go: bo trafny zmysł krytyczny trzyma się tam na równi z wyobraźnią. W *Don Juanie* wpadł on na trop sobie właściwy; w nim zajaśniał téż bystrością rozumu i talentu — brakło mu tylko czasu, aby mógł był dojść do szczytu doskonałości. „Czasu mu brakło we wszystkiem — powiada tak trafnie Mickiewicz — poruszył zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkiemi trudnościami

dogmatów i tradycyi, klął i dąsał się jak Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nierozwiązał sobie zagadnienia, nieuspokoił duszy — brakło mu jak jego bohatyrowi czasu.“ Możnaby dodać dla zupełniejszego scharakteryzowania go, że podobny nurkowi spuścił się w tajemnicze głębie ducha, o téj podróży opowiada dziwy; — ale gdyby był dna dosięgnął, niezawodnie słowo jego stałoby się najpotężniejszém i najbardziéj wpływowém w nowożytnym świecie.

Walter-Skott, ów nieporównany praktyczny psycholog i znawca serca ludzkiego, odgadywał Byrona i przeczuwał drogę jego w przyszłości. Pewnego razu w rozmowie, gdy się spierali o zdania religijne, romansista rzekł doń: Sądzę, że łada dzień zmienisz zdanie.

— Ja mam zmienić?! — ofuknął Byron — czy należysz do tych, co mi wróżą zaciągnienie się pod sztandar metodystów?

— Bynajmniéj — odparł Walter-Skott — alebym się nie dziwił, gdybyś został katolikiem, zakasowałbyś najzagorzalszych surowością i szczerością pokuty.

To samo wróżyli mu ludzie znający się na tworach poezyi. „Jeszcze lat kilka — powiedział je-

den z takich — a wysokiéj doskonałości spodziewać się było można po Byronie, ponieważ z całéj duszy kochał prawdę, więcby się był przekonał, że jego Giaury, Lary i Korsarze daleko od niéj odbiegli.“ Poetycki jeniusz jego potrzebował przetrawić się w rzeczywistości, przerobić zielone i kwaśne soki bujnéj fantazyi, w płyn podobny wonią i smakiem do starego tokaja — słowem zdobyć mędrca dojrzałość.

W *Don Juanie* widzimy pierwszy krok ku téj nowéj pracy i on sam czuł i rozumiał tę poważną chwilę przełomu, ale jeszcze nie śmie rzucić się ku niéj, żartuje sam z siebie, żal mu młodości z wszystkiemi jéj ułudami i rozkoszami:

Dzisiaj w trzydziestym roku me włosy siwieją —
(Co to w czterdziestym będzie? właśnie pomyślałem
Onegdaj o peruczce) już więcéj nie tleją,
Starzejące uczucia dawniejszym zapałem;
Skarby plennego lata wczesny maj rozchwytał,
I duch oporu przestał moim być udziałem;
Strwoniłem życie, procent równie jak kapitał,
Za niezłomnego jużbym siebie niepoczytał!

Nigdy — nigdy — o! nigdy już na mnie niespłynie
Urok serca, jak rosa w pogodnéj godzinie,
Co nam wszystko w około uwdzięcza, przemienia
W jakieś nowe, cudowne nieznane wzruszenia

Złożone w naszém łonie jako pszczół zdobycze!
Mniemasz, że te przedmioty rodzą te słodycze?
Nie w nich, niestety! w tobie mieściła się władza,
Co aż podwójny nektar z kwiecia wyprowadza.

Nigdy, nigdy — o! nigdy więcéj serce moje!
Niebędziesz mojém życiem, moim światłem, wszystkiém!
Jesteś teraz samotnym na konarze listkiem,
Twych uniesień niepragnę, męczarń się niebóję:
Znikła młoda ułuda, nieczułość uboży
Twoje pierwsze zapasy; lecz z tém mi nie gorzéj,
Bo natomiast nabyłem lepszy sąd i zdanie,
Choć Bóg wie zkąd im we mnie obierać mieszkanie.

Aczkolwiek poeta sam sobie się dziwi, jakim sposobem dojrzałość męzka może zamieszkiwać gmach jego duszy, poświęcony dotąd szałom ognistéj fantazyi zepsutego dziecka, to zawsze znamionuje to nowy zwrot myśli. *Duch oporu* jak sam mówi, *przestał być jego udziałem;* z negacyi bezwzględnéj przechodzi w stan dodatni, porzuca wymarzonych bohatérów, którymi świat biczował. Niepokój i miotanie się namiętnéj pychy ustąpi pokorze mającéj cel inny niż samolubną ambicyę — ale tego peryodu niedożył poeta; zaczął go tylko pieśnią czynu poświęcenia się dla sprawy wybijającéj się na wolność Hellady — i skończył swój zawód doczesny równie sprzeczny ze wszystkiem

co go otaczało, jak niepodobnémi były jego twory do dźwięków spółczesnéj muzy.

Don Juan urodził się tedy w dniach duchowego przesilenia się... nosi téż na sobie piętno téj niezdecydowanéj chwili, bo zdaje się, jakby poeta, zbierając się w nową wstąpić kolej, zgromadził w swéj piersi wszystkie gorycze i jady, jakiemi napawała go od lat dziecinnych nierozumiejąca go spółeczność i opowiadając romansowe dzieje bohatéra-rozpustnika, z humorem towarzyszącym libacyom szampana w dobranem gronie biesiadników, od czasu do czasu, z uśmiechem lub z udaną powagą, puszcza od niechcenia gałeczki trafiające w najpoważniejsze facyaty.... Byłaby to niewinna zemsta, gdyby gałeczki niezostawiały śladu; ale jak od rozpalonego żelaza po każdéj zostaje blizna, tém dotkliwsza, że z takiem lekceważeniem zadana....

Jeżeli co usprawiedliwia poetę, to niesprawiedliwość, jakiéj doznał w swojéj ojczyźnie. Trzeba życie jego przeczytać, aby pojąć, że takie dwie przeciwności, jak prawdziwy poeta i ówczesne spółeczeństwo angielskie, znosić się nawzajem niemogły. Niektórzy mniemali, że owa zawziętość i uraza Anglików do lorda Byrona miała źródło w jego

płodach; lecz cóż jest w Parizynie, w Larze, Beppie, coby się nieznalazło w innych popularnych autorach angielskich? Nie miłostki kazirodne Hugona, nie bluźnierstwa Manfreda i Kaina, nie rozwiązłość Don Juana wywołały potępienie i klątwę rzuconą przez Albion na najwznioślejszego swych synów, ale po prostu wyobrażenia ciasne i kupieckie, suchość serca, niewolniczość opinii i dążeń panujące w Anglii pod ogólną nazwą *metodyzmu*, wskazały Byrona na ofiarę. Odwieczna to walka między pierwiastkiem szlacheckim a gminnym; między swobodną wybujałością rycerskiego duchą, a płaskością codziennéj rutyny; między wybornym dowcipem, a ciężkim ulicznym paszkwilem. Anglia od dawna tocząca się po drodze reform mieszczańskich, srodze obchodzi się z tymi, co występują z utartéj kolei, co przerastają przyzwoitą mierność réj wodząc jeniuszem lub tonem. Ileż to ofiar nieporobił w świecie ów purytanizm ubierający się w różne sukienki moralności, pobożności, równości itp. W imie tych różnych godeł, owe pod sznur do miernéj wysokości wystrzyżone spółeczeństwo, umie niekiedy lepiéj tyranizować, niż najwyrafinowańsze tyrany starożytności. Czém był Knox i Elżbieta dla Maryi Stuart, czém Kromwel dla Ka-

rola Igo, tem angielskie tartinfy były moralnie dla poety....

Sponiewierany w opinie opuścił Anglię, niezostawując w niéj: „nic coby było łez godne." — Jeżeli z jednéj strony społeczność angielska tryumfowała, to z drugiéj strony zdjęła z przeciwnika swego wszelki przymus, i uzbroiła go w podwójną siłę. Nigdy téż jeniusz jego świetniéj niezabłysnął, jak po zerwaniu ze światem ojczystéj wyspy. Zrobiono go niezawisłym od wszelkich skrupułów i względów; podano środki, których w innych, zwyczajnych warunkach niebyłby śmiał użyć. Trudno jest przyznać Byronowi wielki charakter; z natury kapryśny, zmienny, bystro ogarniający, w pewnych chwilach skłonny do najszczytniejszych uniesień, to znowu popadający w otrętwiałość i próżnię przesytu: nie miał w sobie owego punktu ciężkości dającego spokój wewnętrzny i pogodę opromieniającą czoła świętych męczenników. Wszystkie jego czułości, wszystkie szlachetne popędy obarzały się na niesprawiedliwość i chytrość nieprzyjaciół; gryzł się, zżymał, a jeżeli z wyżyn swojéj mizantropii nie zstąpił aż do drobnostkowych nienawiści, to jedynie dla tego, że litość a niekiedy wzgarda broniła go od téj małości. Taki dumny duch, jak Byron-

ski zwykle nie nabiera łagodności w starciu się z przeciwieństwami, owszem zajątrza się coraz bardziéj; jak znowu w pomyślnéj atmosferze sympatyi znachodzi swą wielkość, i miłością obejmuje wszystko co go otacza.

Gdyby Byron znalazł był u ludzi tę wyrozumiałość, do jakiéj miał prawo, niemielibyśmy nigdy Don Jouana. Gdy go nieodwołalnie potępiono, nierozróżniając zasług jego od błędów, zrzucił wszelki przymus, pozabijawszy nieśmiertelnémi strzały ironii i dowcipu swoich przeciwników, — włóczył ich ciało jak Achilles za wozem.

Opowiedzieć treść *Don Jouana*, byłoby cokolwiek za trudno. Treść może być nieprzyzwoitą, zbyt wolną dla skromnych uszu; ale w rzeczy saméj nie jest ona tak niemoralną, jak wielę innych książek, które w najprzyzwoitszéj formie mogą zatruć i zepsuć do gruntu. Don Jouan, to nie panegiryk występku, ale właściwie satyra na społeczeństwo, w formie tłustéj powieści, wziętéj jakby z Dekameronu. Tysiąc dzisiejszych romansów o wiele mogą być szkodliwszémi, niż przygody rozpustnego bohatyra, co chwila przecinane jaką apostrofą niemającą z jego miłośnemi awanturami najmniejszego związku, lub jak Alphej i Ilissus zarosłe tak bujną

wegetacyą, że co chwiła prąd ich ginie ci z oka, to samo przeszkadza już do zawrócenia głowy lub serca malowidłami oddanemi choćby jak lubieżnie i żywo. Całość tu zupełnie robi ten efekt, co przed laty będące w modzie malowania w stylu pompejańskim; w chaosie esów i floresów, syren i satyrów, ptaszków i motylów, splątanych w najosobliwsze girlandy, spotykasz w pewnych odstępach medaliony ze scenami zachwycającemi urokiem prześlicznych nimf i bożków; oko twoje pieści się klasycznemi formami harmonijnym barw doborem, ale jakoś niewchodzi w szczegóły niejednéj dość śliskiéj bukoliki, lub sceny przypominającéj Petroniusza *Satiricon*. Podobnie ma się z *Don Jouanem*. Zresztą, ktoby się obawiał zgorszenia, niech wypuści ów winowajczy ustęp od 136 do 188 zwrotki. Pomimo surowych krytyk obyczajowych i estetycznych, utwór ten zachował harmonijną piękność. Byron znał co może; — prawdziwy kunsztmistrz ukochał dzieło swéj ręki i dla tego na przekor prozaistom pomagającym sobie nierymowym wierszem, napisał je w ariostowych stancach. — Dźwięk melodyjny tych strof potężnie pomaga namiętnéj powieści, bogactwu farb i świeżości ich, podobnéj do skrzydeł motyla, który puszki swoje mógł tylko z kwiatów

i promieni słonecznych pozbierać. W tę fantastyczną formę wcisnął poeta, despotyczny pan języka, mnóstwo kaprysów i wyskoków muzy. Greckie, łacińskie cytaty, wszelkiego rodzaju kalembury, epigramata, dwóznaczniki, tłoczą się w misterną oktawę, póki to umyślne przeładowanie stylu nieprzejdzie w obrazy tchnące prostotą antyku. Niemożna powiedzieć, żeby Byron umiał poruszać całą skalą serca ludzkiego; nigdy on niechciał pojmować cichego szczęścia duszy namiętnéj. Ile jednak zrozumiał życie ludzkie, o tyle je przedstawiał w wysokościach i głębiach jego, jużto z szczytną nagością malując kanibalism zgłodniałych rozbitków, już z cynizmem lubieżnego fauna kreśląc sceny gminnozmysłowe, już porywając czytelnika ze sobą na szczyt jakiéj wielkiéj namiętności, aby ztamtąd wiercić myślą w wiekuistych zagadkach świata. — Czytelnika wprawia to w niecierpliwość, zwłaszcza gdy dumne potwoje jego dumań i satyrycznych wycieczek przerywają pasmo opowiadania, tak, że nawet sam przepych gobelinowych haftów, niepociesza w tych długich przerwach. W końcu to, co gniewało i niecierpliwiło, zapomina się; — wymagania estetyczne wydają się śmieszną pretensyą w obec olbrzymiéj osobistości poety, która narzuca swój

estetyczny kodeks tak samo jak Homer i Sofokl narzucili go Arystotelesowi.

Z tém wszystkiem Byron nie stworzył szkoły w tém znaczeniu, w jakiem pojmujemy szkołę i jéj założyciela; miał on tylko nieszczęśliwych naśladowców, którzy niemogąc mu sprostać osobistością, kłamali samym sobie. Dla tego że osobistość Byrona największéj znaczy w jego tworach, całe pokolenie poetów na widok cudownego Anglika popadło w obłęd, chcąc naśladować to, co się naśladować niedało. Nic tak obrzydliwego, jak to podrzeźnianie cudzéj, a tak ogromnéj osobistości, co stanęła niby Tytan do boju przeciw całemu spółeczeństwu. — Lada też żaczek szkolny roił sobie, że ma płomienną duszę Byrońską, że wulkanem swych namiętności świat spali; lub że fatalność napiętnowała go nieszczęściem: bawił się więc w samotnika i drapował w płaszcz bandycki wyszukując miejsc górzystych, gdzie zwykle obierał zadumaną pozycyą i bolał wszystkiemi bólami ludzkości. W dodatku trzeba było wmówić w siebie jaką niepodobną miłość do osoby, z którą nigdy nawet się nie mówiło; a tak wziąwszy na barki nowe nieszczęście, czynić folgę rozpaczy smoląc cholewki do jakiéj garderobiany, nie tak bardzo niedostępnéj,

żeby szorstkich westchnień jęczącego nieszczęśliwca nienagrodziła pustym całuskiem...

Choć i tak drobna okoliczność miała ogromne znaczenie dla Byronisty — odtąd czuł się usprawiedliwionym wyrzekać na słabość kobiét z apodyktyczną pewnością Don Jouana. Zgoła najkrótsza a często najniewinniejsza praktyka na polu amorów dawała obfity żér do rozpowiadań o swoich małych sekretach, i to tak górno, i z takim szatanizmem, jakby Europa gotowa była poczytać za ewenement, że jakiś ktoś miał rendez-vous z drugą ktosią. — Do tych spowiedzi z urojonych grzechów i cierpień przyłączyła się jeszcze mania rozprawiania o tajemniczych występkach i zbrodniach wielkiego świata, znanych chyba z przedpokojowych plotek, co nieprzeszkadzało udawać tak spoufałego z życiem arystokracyi, — jakby się było Montmoransym. — Mania ta przeszła z poematów do powieści i romansów, i dotąd się utrzymuje, służąc za środek demokratycznemu socyalizmowi do bombardowania tradycyi historycznéj. — Jednem słowem, Byron chociaż sam stoi na niezrównanéj wysokości, wiele mózgów przewrócił i niemało przyczynił się do sfałszowania naturalnego tonu poezyi: bo odjął jéj prawdę. — Ten lub ów wma-

wiając w siebie osobistość Byrońską, kłamie sobie i drugim....

Tyle co do autora i jego naśladowców, — co do tłumacza można powinszować panu Wiktorowi z Baworowa, że szczęśliwie pokonał ogromne trudności, tak dalece, że wiele strof ma tu naturalność i swobodę, jaka służy tylko rzeczom oryginalnie pisanym. Są jednak miejsca, gdzie w przekładzie użyty wiersz trzynasto-zgłoskowy, do tego często z przeplatanym rymem, nieodpowiada przedmiotowi lekkiemu i lotnemu, i za wiele ma powagi, jak wspaniale płynąca rzeka, zamiast szalejącéj kaskady. Lecz i w tém tłumacz nie chciał odstąpić od swego wzoru.

Wiadomo, że do najtrudniejszych miejsc liczą początek Don Jouana pełen humorystycznego kaprysu i ciętéj werwy; o ile tłumacz wywiązał się z zadania łatwo osądzić z przytoczonych poniżéj kilku zwrotek:

Trzeba nam bohatéra: czy braknie nam na nich?
Wszak dzienniki co miesiąc prawią o nich dziwy,
A mąż wielki podrosły na kadzidłach tanich
Okazuje się w końcu zgoła nieprawdziwy.
Na takich bohatérów obojętnie patrzę,
Więc po staréj przyjaźni Don Jouana biorę —

Widzieliśmy niedawno jak go na teatrze
Bisy z sobą porwały, niekoniecznie w porę.

Wernon, Wolf, Hok i Grambi z księciem Ferdynandem,
Jenerał Burgojn, Kepel i Hof z Kumberlandem,
Wielkim wodzem-rzeźnikiem, źli i dobrzy, byli
Sławni jako Welington w teraźniejszéj chwili:
Lecz jak ród Banka, przyszli i odeszli skoro
Jednéj maciory istnych „prosiąt dziewięcioro;“
Również Bonapartego, Demuliera chwała
We francuzkim Kuryerze, Monitorze brzmiała.

Barnaw, Brisso, Kondorset, Lafayet, Mirabo,
Petion, Kloc, Danton, Marat, jaśnieją nie słabo
U Francuzów. Hosz, Marso, Dese, Żuber, Moro,
Lan i niemało innych, jak świecznik gorą;
Służyli za sklepowe godła ci wodzowie,
Dziesięcinę płacono im w potocznéj mowie,
I złych i dobrych sława i rozgłos najszerszy,
Ale nieprzypadają wcale do mych wierszy.

Niegdyś jak Boga Marsa, angielscy wyspiarze
Uwielbiali Nelsona; dzisiaj nowa era,
Wiatr inny: niema mowy już o Trafalgarze,
Jego imię spoczywa w urnie bohatéra,
Za lądową potęgą są dzisiaj mocarze;
A choć na to sarkają nasi marynarze,
Tylko piechotnych szyków dziś doła się święci;
Dunkan, Nelson, How, Dżerwis giną w niepamięci.

I pod Agamemnonem żyli ludzie śmieli,
A lubo spełna jego przymiotów nie mieli,
Męztwo, rozum posiadał, jeden, drugi, trzeci,
Ale cóż! o ich czynach zamilkli poeci,
I, poszli w zapomnienie: — nie wyjdzie przygana
Z ust moich; ale z nowym moim poematem
Teraźniejsi nie mają nic spólnego — zatem
Dawnego znajomego biorę, Don Jouana.

In medias res nurzają się wierszopisowie,
(Horacy wskazał ten trakt główny epopei)
Wcześniejsze zaś wypadki w obszernéj przemowie
Sam bohater pod kształtem epizodu klei,
Opowiadaniem swojém słuchacza wstecz wiedzie
W wolnéj chwili, wygodnie siedząc przy obiedzie,
Przy kochance, w pałacu, gaju czy pieczarze,
Służącéj za bawialnię zakochanéj parze.

Ta metoda utarta, ale jéj nie cenię —
Mojém zdaniem, zaczynać trzeba od początku;
Mój plan i układ prosty, trzymam się porządku,
Za błąd niedarowany mam wszelkie zboczenie;
Na samym przeto wstępie, jak należy, skreślę
(Chociażbym pół godziny strawić miał w namyśle)
Opowiem, czyje z ojca Don Jouan był dziecię,
I o matce nadmienię, jeśli pozwolicie. i t. d.

Widzimy tu potoczność i łatwość, a przytem precyzyę wyrażeń; również umiał tłumacz szczęśli-

wie dykcyę zastósować do ducha naszego języka, i niekiedy obrazom i porównaniom dać pewien pokost polski, co wszystko odejmuje dziełu jego pochodzenie obce, i robi je prawdziwie przyswojonem. Spodziewamy się po tak pomyślnie rozpoczętéj pracy, że niebawem i dalsze pieśni nastąpią w równie starannym przekładzie.

NAJPOPULARNIEJSZA
KSIĄŻKA.

Naśladowanie Chrystusa ułożone z starych przekładów p. X. Łętowskiego. — Kto był autorem téj książki? — Zdanie Ś. Franciszka Salezyusza. — Walka Kempistów z Gersonistami. — Badania przyznały autorstwo Gersonowi. — Praktyczność książki O Naśladowaniu zrobiła ją najpopularniejszą. — O polskich tłumaczeniach.

Zdawałoby się rzeczą zbyteczną chcieć dzisiaj mówić O Naśladowaniu Chrystusa, książce, krom Ewanielii, najbardziéj rozszerzonéj w świecie chrześciańskim; nietylko bowiem owoc ten najczystszego katolicyzmu smakuje katolikom, ale tak protestanci, jak schyzmatycy używać ją zwykli, z pewnemi wypuszczeniami, za przewodnika w pracy wewnętrznéj. Powiedzieć zatem coś nieznanego *O naśladowaniu Chrystusa*, kiedy tyle już o niem powiedziano, kiedy mało kto jest, coby téj księgi

nieznał, byłoby próżném ubieganiem się, a jeszcze większą zarozumiałością. Celem niniejszego sprawozdania jest tylko historya książki.

Polskie tłumaczenie ksiąg *O naśladowaniu Chrystusa* świeżo wydane, a z dawniejszych XVI. i XVII. wieku tłumaczeń Fabrycego, Wysockiego, Wielowickiego, przerobione szczéropolskiem piórem X. biskupa Łętowskiego, niejest tak obojętnym w piśmiennictwie wypadkiem, aby nań bacznéj nie zwrócić uwagi. Zresztą czyż wzniosły ten utwór pobożnego ducha niezajmuje w ogólnéj literaturze takiego samego miejsca, jakie zajmują Wyznania Ś. Augustyna, Pisma Ś. Bernarda, Pieśni Ś. Franciszka, nieporównane *Fioretti*, a nawet i Boska Komedya? Dla téj przyczyny niegodzi się go pominąć, bo to niedrobnostka z przelotnem życiem, ale dzieło zawsze prawdziwe, i zawsze świeże, pokąd w ludziach tkwić będzie pragnienie wewnętrznego doskonalenia się.

Jak wszystkie nadzwyczajności w dziełach ludzkiego umysłu niewiadomego są pochodzenia, tak i księgom *O naśladowaniu Chrystusa* erudycya cztérech wieków niemoże wynaleźć autora, i zwątpiwszy w swoją dociekliwą bystrość, gotowa się pisać na zdanie Ś. Franciszka Salezyusza, który wy-

rzekł, że księga o Naśladowaniu, niejest niczyją, tylko Ducha Ś.

Zapewne Duch Ś. jest głównym twórcą, idzie tylko o to, przez kogo do świata przemówił. Ciekawa to walka między trzema narodami spierającemi się o autorstwo. Włochy przypisują je Vercelskiemu benedyktynowi, nazwiskiém Gersen, Francuzi Janowi Charlier rodem z Gerson, Niemcy Tomaszowi z Kempen.

Nadaremnie pokorny i cichy autor prosił Boga o tajemnicę dla swego nazwiska, nadaremnie chciał się schować przed podziwem i poklaskami wywołanemi w świecie religijnym; ludzie usadzili się, żeby go wytropić i najmniéj paręset książek spisali, w tym jedynie celu, aby się o prawdziwym autorze „Naśladowania“ dowiedzieć.

Polemika ta prowadzona bardzo długo z zaciętością i subtelnościami scholastycznémi, wyczerpała wszystkie argumenta, nieprzekonała nikogo. Niemcy wraz z Sorboną, stali przy autorstwie Tomasza z Kempen; przeciwnie członkowie uniwersytetu paryzkiego przyznawali autorstwo swemu kanclerzowi Janowi z Gerson, który niegdyś żywy brał udział w ważnych zmianach roztrząsanych na soborze w Konstancyi. Proces toczył się zażarty między

Kempistami a Gersonistami, i nierzadko od argumentów szło do grubiaństw i czubów, a chociaż stronnicy pierwszego niemieli więcéj za sobą, tylko iż na manuskrypcie z r. 1442 stał u dołu podpis Tomasza, co właściwie niemiało wielkiego znaczenia, albowiem Tomasz w swojem bractwie pełnił urząd kopisty, mimo tego sprawa dostała się do parlamentu, który wyrokiem sądowym autorstwo przyznał Tomaszowi, i bardzo długi czas księgi o Naśladowaniu miano za dzieło Tomasza à Kempis. — Bystrzejsze i trzeźwiejsze badania późniejszych uczonych, z których dość wymienić powagę Bossueta, całkiem przeważyły szalę na stronę Gersona, bo i manuskrypt znalazł się z roku 1427, dawniejszy od Tomaszowego i przez porównanie innych pism Gersona z *Naśladowaniem Chrystusa*, te same wyrażenia i zwroty stylowe w jednych jak w drugiem; a co także posłużyło filologom za dowód, że księgę tę niepisał ani Włoch, ani Niemiec tylko Francuz, to łacina przepełniona lokucyami i zwrotami właściwemi naturze języka francuzkiego. W owych bowiem wiekach łacina niekształcąca się na wzorach klassyków łacińskich, nosiła na sobie piętno narodu, z którego autor pochodził. I tak łacina naszego Kadłubka lub Dłu-

gosza, inną jest od łaciny kronikarzy włoskich, niemieckich, angielskich lub francuzkich, nietylko w wyrażeniach rzeczy, ale i w zwrotach stylowych. Żywioł narodowy silniejszy niż sama umiejętność pisania w starożytnéj, umarłéj mowie, musiał przebijać się przez formy przyswojonego języka. W wieku odrodzenia nazwano tę łacinę zepsutą, kuchenną — lecz mimo tego nosi ona piętno swoim czasom odpowiednie, i do zrozumienia tychże więcéj się przyczynia, niż żeby ją zdobił gładki styl Cycerośki zacierający właściwości wyobrażeń i fizyonomię średniowiecznego spółeczeństwa.

Najważniejszy zarzut przeciw autorstwu Gersona był, że jako świecki ksiądz, nie mógł pisać tym tonem mnicha wyrzekającego się stosunków ze światem, tonem przemagającym w całości i w szczegółach ksiąg o Naśladowaniu. Lecz i ten zarzut sam z siebie upada, gdy jak wiadomo z życia Gersona, tenże uchodząc prześladowań stronnictwa Burgundzkiego, przeważnego w Paryżu, osiadł w Lugdunie w klasztorze Celestynów, gdzie brat jego był przeorem, i tam zostając przez lat dziesięć i zachowując regułę tego zakonu, mógł był pisać jak mnich, tém bardziéj, gdy przeor prosił go, aby napisał nabożną książkę dla jego zakonnéj braci.

W rzeczy saméj, czytając uważnie księgi o Naśladowaniu Chrystusa, przychodzi ta myśl, że autorowi znajomość światowych stosunków wcale niebyła obcą, ale że poznawszy się na ich nicości, radził szukać pociechy w oderwaniu się od świata i w doskonaleniu się wewnętrzném.

Żaden mnich od młodu zamknięty w klasztorze, niebyłby w stanie pochwytać tych wszystkich odcieni słabości naszych dla ponęt rozrzuconego życia, jak to umiał znany czy nieznany autor *Naśladowania* uczynić, i dla téj to własności książka ta z murów zakonnych przekradła się w publiczność chrześciańską i od kilku wieków została przewodniczką w pracy wewnętrznego doskonalenia się.

Nie mając bynajmniéj zamiaru zapuszczać się w rozbiór tak znanego i świętego dzieła, pragnę zwrócić jeszcze baczność na sam tytuł, krytykowany nie rzadko przez ludzi szukających skazy na każdéj doskonałości. „Co za uroszczenie! — nie raz to słyszeliśmy — chcieć naśladować Chrystusa. Co za bezsens! a nawet i bezbożność: bo z silną wolą pilnego naśladowania podanych przepisów, możnaby samemu zostać Chrystusem! — Ci, co takie zdania głosili w piśmie i w mowie, niezajrzeli pewnie daléj w tę książkę, jak po sam tytuł, albo

téż niewiedzieli nie o zwyczaju autorów średniowiecznych, że tytuły ich książek niezawsze odpowiadały treści; co się przecież i nowszym autorom trafia nierównie częściéj. O naśladowaniu Chrystusa pod względem pogardzenia próżnością tego świata, mowa jest tylko w pierwszym rozdziale; otóż argument ten rozciągniony został i na resztę książki; był to bowiem stały zwyczaj w średnich wiekach oznaczać tak bule papiezkie, jak modlitwy kościelne i pieśni, pierwszemi słowami, od których się takowe zaczynały. Dla tego powiedziano: *Naśladowanie Chrystusa*, jak tytułowano pieśni *Dies irae*, *Stabat Mater*, a bullę *Unam sanctam* i t. p.; w rzeczy zaś saméj książka *O naśladowaniu* nie jest wymierzoną do tego jednego celu. W każdéj księdze, w każdym rozdziale traktowane są najrozmaitsze przedmioty; związek zaś mający łączyć te oderwane cząstki zupełnie zniknąłby z oczu czytelnika, jeżeliby ten nieczuł na dnie tych oderwanych ułomków spoczywającéj jednolitéj myśli chrześciańskiéj. Chcąc porównać księgę *O naśladowaniu* z jakiemi późniejszémi dziełami filozofów-moralistów, moglibyśmy coś podobnego znaleźć w owych zbiorach maxym, przysłowiów, rozmyślań, gdzie lubo odkrywamy jeden stały kierunek myśli, uczuć, opi-

nii moralisty, jednakże nieznajdujemy tego ciągu rozumowań z założenia wypływających, bez którego dobrze ułożona książka obejść się nie może. Autor *Naśladowania* pod księgi i rozdziały ugrupował wprawdzie myśli swoje wypływające bądź z jednego usposobienia i położenia duszy, bądź z zasady postawionéj ściśle; wszakże innéj metody szukać nienależy w tych kartach, tak wzruszających głęboko, bo wytrysłych z najczystszego ducha chrześciańskiego, tak nastrajających ton wysoki: bo zdolnych ustalić nasze pragnienia, powściągnąć namiętności ziemskie, a na ich miejsce niezmierną miłością ku Zbawicielowi i ludziom zapalić.

Co osobliwego mają do siebie księgi *O naśladowaniu*, że lubo urodziły się w epoce największych dysput i sporów religijnych, mimo tego nigdzie w nich ani śladu polemiki. Autor czy był lub nie w kłótnie różnych szkół wmięszany, widocznie odłożył tu na bok czcze szamotanie się, aby żaden odgłos zewnętrznego świata niezakłócał spokoju cichéj duszy. W takiém usposobieniu pisał on zapewne tego przewodnika po drogach wewnętrznego żywota.

Szczególniéj zastanawiając się nad księgą pierwszą, widać w niéj, że jest głównie ułożoną dla

użytku zakonnika. Co chwila mówi pobożny autor, o zasłudze bezwarunkowego posłuszeństwa, o zupełném wyrzeczeniu się siebie, o rozkoszach kontemplacyi; lecz kto chce sięgać po te owoce, winien już całkiem zerwać ze spółeczeństwem świeckiém. Potwierdza to mnóstwo miejsc; jedna szczególniéj myśl charakteryzuje tę drogę mistyczną, gdy mówi:

„Pragnąć masz sobie, abyś z samym Panem Bogiem i aniołami jego miał towarzystwo, a znajomości się ludzkich wystrzegaj.“

Obok tych rad dających się ściśle zastósować do klasztornego życia, jakżeż wiele spotykamy myśli przydatnych nawet dla największego światowca:

(Roz. XV.) „Dla żadnéj rzeczy stworzonéj, ani dla zamiłowania którego człowieka niemamy źle czynić, albo grzeszyć; ale z potrzeby, dla użytku czyjego może być dobra sprawa niekiedy odłożona, albo na co lepsze odmieniona.“

„Albowiem tym sposobem uczynek dobry opuszczony niebywa, ale w co lepszego się zamienia.“

„Uczynek zwierzchny bez chrześciańskiéj miłości nic niebywa pożyteczny, a cokolwiek znowu z miłością się dzieje chociażby téż co podłego i wzgardzonego było, wszystko się pożytecznem stawa.“

„Tenci wiele czyni, który bardzo miłuje.“
„Tenci wiele czyni, który co dobrze czyni.
„A ten dobrze czyni, który drugich pożytkowi więcéj niżeli swojéj woli służy.“

Bez końca możnaby przytaczać ustępy do powyższego podobne, a noszące piętno wcale nie cenobityczne. *Księgi o Naśladowaniu* nigdyby niebyły przekroczyły murów klasztornych, żeby w nich nieznajdował się obfity pokarm dla świeckiego i światowego nawet człowieka. Sama wziętość téj książki liczącéj w różnych językach blizko tysiąc wydań, pokazuje jéj praktyczną użyteczność.

Na schyłku szesnastego wieku zaczęły się u nas pojawiać przekłady ksiąg *O naśladowaniu.*

Bibliografowie cytują kilka przekładów: Wielowickiego, Wysockiego i Wujka; z świeższych mamy ministra Tadeusza Matuszewicza najwięcéj rozpowszechniony, lecz najniezasłużeniéj; następnie gładki i zwięzły przekład X. Jełowickiego; świeżo zaś wydał nowe tłumaczenie X. Guzier. Najszczęśliwszą jednak myśl miał X. biskup Łętowski, gdy wziąwszy stare nasze przekłady, zrobił z nich jedno dokładne, biorąc z każdego, co najlepiéj przypadało, aby się złożyło najwierniejsze. — „Była to robota — jak mówi w przedmowie — mozolna,

więcéj niż się zdawało, ale wiele wdzięczna. Mają bowiem nasze książki duchowne z tamtych czasów coś dziwnie prostego i słodkiego; a w książce o *Naśladowaniu* dużo na tém zależy, aby się obraz jéj (oryginał) ile być może w mowie dochował.«

Porównywając to nowe wydanie X. Łętowskiego z innémi nowoczesnémi tłumaczeniami, niepodobna mu nieprzyznawać wyższości nad niemi, nietylko w ścisłości i nadzwyczaj pięknym języku staropolskiego kroju, który ma to do siebie, że w samém zestawieniu i użyciu wyrazów tkwi pewna głębokość, która, że tak powiem, pociąga myśl czytelnika i zmusza go do refleksyi.

Więcéj to zapewne utrudza, niż gładkie a płytkie tłumaczenie *à la manière française*, za to bywa korzystniejszém dla każdego, co w téj książce szuka pokarmu dla swoich rozmyślań.

Zalety tego tłumaczenia zniewoliły mię do zwrócenia uwagi na książkę najwięcéj znaną w świecie chrześciańskim.

SPIS RZECZY.



[illegible]

[illegible]

